

ANIOŁY I DEMONY

Antologia romansu popularnego



UNIWERSYTET ŚLĄSKI
WYDAWNICTWO



Dr Maria Bujnicka

literaturoznawczyni,
badaczka literatury
popularnej, jedna
z prekursorów
nowoczesnych badań
nad intertekstualnością
romansu. Pozostawiła
po sobie doskonale,

inteligentne i celne analizy klasyków tej twórczości – Heleny Mniszkówny, Pawła Staśki, Antoniego Marczyńskiego, Ireny Zarzyckiej, ale również pisarzy organizujących wyobraźnię współczesnego odbiorcy – Zbigniewa Nienackiego, Katarzyny Grocholi, Krystyny Kofty, Moniki Szwai. W swoich badaniach sięgała ku *gender studies* i krytyce feministycznej (*Kobieta przed lustrem. Próba interpretacji motywu literackiego*, w: *Gender w humanistyce*, red. M. Radkiewicz, Kraków 2001), pozwalających na nowe odczytanie literatury kobiecej. Autorka kilkudziesięciu haseł w *Słowniku literatury popularnej* pod red. Tadeusza Żabskiego (Wrocław 2006), w tym uznawanego za podręcznikowe, monograficznego hasła *Romans*. Wybitna pedagog, wykładowczyni akademicka, od 1975 roku związana z Uniwersytetem Śląskim w Katowicach. Urodzona w Krakowie 8 maja 1944 roku, zmarła 1 kwietnia 2022 roku. Pochowana na Cmentarzu Rakowickim w Krakowie.

ANGEL & DEMON

ANIOŁY I DEMONY

Antologia romansu popularnego

Wybór, wstęp, opracowanie naukowe

Maria Bujnicka

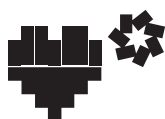
Opracowały ponownie,
opatrzyły wprowadzeniem,
posłowiem i przypisami

Dobrosława Wężowicz-Ziółkowska,

Marta Tomczok

Recenzja

Grażyna Borkowska



**Europejskie
Miasto Nauki
Katowice 2024**

Spis treści

- 7 — Anioły i demony Marii Bujnickiej. Wprowadzenie
(Dobrosława Wężowicz-Ziółkowska)

Część pierwsza

- 17 — Każdemu wolno kochać, czyli dlaczego lubimy czytać romanse
23 — Krótki wyciąg z metryki urodzenia protoplasty masowej kultury
27 — Gwiazdy, amanci i statysci na Wielkiej Scenie Melodramatu
33 — Pejzaże miłości
39 — Szamani i szalbierze słowa, czyli rzecz o języku, tytułach i reklamie

Część druga

- 51 — Kazimierz Przerwa-Tetmajer
Anioł śmierci. Romans (1898) T. I i II
85 — Kazimierz Przerwa-Tetmajer
Romans panny Opolskiej z panem Główniakiem. Anegdota (1912)
111 — Mieczysław Srokowski
Kult ciała. Dziennik człowieka samotnego (1909)
143 — Stefan Kiedrzyński
Trujący kwiat (1914)
161 — Helena Mniszek
Trędowata (1909) T. I i II
209 — Helena Mniszek
Ordynat Michorowski (1910)
241 — Helena Mniszek
Gehenna (1914)
305 — Helena Mniszek
Czcziciele szatana (1918)

325	_____	Posłowie (<i>Marta Tomczok</i>)
329	_____	Biogramy (<i>Dobrosława Wężowicz-Ziółkowska</i>)
335	_____	Bibliografia (<i>Marta Tomczok</i>)
337	_____	Nota edytorska (<i>Dobrosława Wężowicz-Ziółkowska, Marta Tomczok</i>)
339	_____	Indeks osób
342	_____	Streszczenie
343	_____	Summary

Anioły i demony Marii Bujnickiej

Wprowadzenie

Maria Bujnicka od początku lat 90. XX wieku była jedną z lepiej znanych i wyróżniających się badaczek literatury popularnej, specjalizującą się zwłaszcza w subtelnych i przenikliwych analizach stylu, poetyki, cech gatunkowych i toposów polskiego romansu przełomu XIX i XX wieku. Swoje dociekania koncentrowała głównie na teorii literatury, która, co jasne dla specjalistów, wymaga również szerokiej wiedzy w zakresie historii literatury. Niedługo po uzyskaniu w 1982 roku w UJ doktoracie, napisanym pod opieką naukową prof. Henryka Markiewicza, podjęła trud wykazania swoich literaturoznawczych kompetencji, zaplanowawszy czasochłonną erudycyjną próbę stworzenia wielkiej, a przede wszystkim reprezentatywnej antologii ulubionego przez siebie gatunku – polskiego romansu popularnego. Współczesnym użytkownikom internetu szczególnie ta „czasochłonność” może wydawać się nieco wątpliwa, warto jednak mieć na względzie, że czas, kiedy w umyśle autorki pojawiła się wizja stworzenia takiej antologii, to – przynajmniej w polskiej rzeczywistości – czas bez komputerów, wyszukiwarek, świat bez Worda i funkcji Ctrl+V czy Ctrl+C. To setki godzin ślęczenia w czytelnich, repozytoriach, bibliotekach zbiorów specjalnych, przeglądania mikrofilmów, robienia odręcznych notatek bez użycia skanerów w telefonach komórkowych. Uściślając, zamysł stworzenia wielkiej antologii polskiego romansu popularnego, którego niniejszy tom stanowi tylko pierwszą część, pojawił się, zanim nowoczesne technologie wydatnie usprawniły pracę naukową, ale również na długo przed tym, kiedy o identycznym tytule jednego ze swoich dreszczowców zdecydował Dan Brown (2000). Początkowo jednak w konspekcie antologii przesłanym przez Marię Bujnicką do szczecińskiego Wydawnictwa GLOB w 1984 roku sugerowała ona tytuł *Od „Trędowatej” do „Dzikuski”*, argumentując:

[...] obejmowałyby fragmenty tekstów od Mniszkówny do Zarzyckiej. Byłyby to więc lata 1909–1939, bowiem w tym okresie powstała i rozwinęła się swoista odmiana romansu popularnego, będącego „epigonem” literatury wysokiej

i forpocztą literatury masowej. Wybuch II wojny, zamykając nieodwołalnie pewną epokę, był również granicą gatunku jako artykulacji kultury międzywojnia. [APDB]¹

Założone trzydzieści lat rozkwitu i ewolucji romansu zaplanowała autorka zamknąć aż w pięciu tomach antologii, tom I poświęcając całkowicie powieściom Heleny Mniszek, czyli klasyce gatunku.

Obok obszernego wyboru z „Trędowatej” zamieszczono by tu fragmenty „Ordynata Michorowskiego” (b. trudno dostępny tekst), „Gehenny”, „Panicza” i „Czcieli szatana” – a więc powieści, które cieszyły się największą popularnością. W tomie II–IV znajdowałyby się fragmenty najbardziej znanych i znaczących powieści doby modernizmu i dwudziestolecia [...]. Tom V – podobnie jak I – byłby „autorski”, tzn. w całości poświęcony Irenie Zarzyckiej. [APDB]

W cytowanym konspekcie jasno przedstawiła też przyjęte zasady wyboru i konstrukcji całości:

[...] układ chronologiczny krzyżowany niekiedy z układem opartym o podobieństwa i związki. Wskazując to, co kluczowe dla danego momentu rozwoju gatunku – można by łatwo podkreślić odpowiedniość motywów, struktur fabularnych bądź stylistycznych dominant, czyli schematyczność i stereotypowość tej literatury. Ponadto, tak zrobiona selekcja nazwisk i tytułów, przez wydobycie tego, co reprezentatywne i symptomatyczne jako modelowa realizacja romansu, odsłaniałaby psycho-socjalne mechanizmy odbioru, wyjaśniając tajemnicę popularności tego typu literatury. [APDB]

Jak pokazują powyższe przytoczenia, autorce projektu towarzyszyła ambicja wykazania wewnętrznych przemian dokonujących się w tkance gatunku, w przeobrażeniach układów fabularnych, motywów, ale też formuł – od melodramatycznych, typowych dla powieści modernistycznych, po obowiązkowy *happy end* lat 30. W przekonaniu Bujnickiej dzięki tak prowadzonemu doborowi treści nawet niewprowadzony w arkana literaturoznawcze czytelnik

¹ APDB oznacza Archiwum Prywatne Dominiki Bujnickiej. Wszelkie kolejne cytowania z takim skrótem odnoszą do tego właśnie archiwum.

byłby w stanie uchwycić zarówno schematyzm takich powieści, jak i zachodzące w nich zmiany, zyskując dodatkowo wiedzę o stereotypach kobiecości i męskości upowszechnianych w tym obiegu literatury. Każdemu tomowi w założeniu miało towarzyszyć omówienie najważniejszych zagadnień dostrzeżonych przez badaczkę, w tym języka powieści, zastosowanych chwytów gry z odbiorcą, krótka charakterystyka głównych postaci oraz streszczenie. Przewidziano również zwięzłe notki o autorach i tekstach, z zastrzeżeniem, iż „jest to literatura bez dokumentacji, a daleko posunięta depersonalizacja pisarzy tego obiegu stwarza tu kolosalne kłopoty” [APDB]. Autorka planowała wzbogacenie dzieła o okładki książek, ilustracje z epoki, fotosy filmowe, aby odtworzyć atmosferę towarzyszącą rodzącej się w Polsce kulturze masowej. Projekt, jak widać, był faktycznie szeroko zakrojony i ambitny badawczo, wymagający nie tylko dobrego rozeznania w zasobach bibliotek i dotarcia do nich, ale również dogłębnego rozpoznania gatunku oraz świetnej znajomości i wyczucia *ambiance* epoki gwałtownego wzrostu popularności taniej powieści romansowej.

Uwzględniając fakt braku jakiegokolwiek konkurencji w tym zakresie, trudno się dziwić, że w 1984 roku GLOB z zainteresowaniem przyjął ofertę, po negocjacjach z autorką okrojona jednak do trzech tomów w zmienionym nieco układzie. W korespondencji Marii Bujnickiej z kierownikiem Redakcji Literackiej Wydawnictwa, magistrem Józefem Krzyżanowskim, znajduje się bardzo interesujący w moim odczuciu, bo dobrze unaoczniający politykę kulturalną PRL-u, *passus* dotyczący okrojenia rozmiarów antologii. Wynikał on z obawy, że „w dobie rozlicznych kryzysów – w tym wydawniczych – Departament Książki MKiSz może mieć zastrzeżenia co do zasadności wydania literatury trzeciorzędnej w pięciu tomach” [APDB]. Sądząc po aktualnych ofertach księgarskich, współcześni wydawcy bez ministerialnych dotacji byłiby niewątpliwie mocno rozbawieni takim podejściem do rynku książki. W latach 80. XX wieku rzecz miała się jednak inaczej. Finalnie ustalono, że autorka spróbuje zawrzeć swój projekt w trzech tomach o objętości około 60 arkuszy autorskich [APDB]. W wersji z 1985 roku, za jej zgodą, zdecydowano również o zamieszczaniu okładek cytowanych powieści bezpośrednio przed tekstem, jako swego rodzaju karty tytułowej. Dla lepszego zobrazowania ostatecznego kształtu dzieła warto w tym miejscu wyliczyć powieści, których fragmenty zaplanowano ostatecznie dopuścić do druku, tym bardziej że wiele z nich obecnie odeszło w całkowite zapomnienie, mimo znacznej

poczytności w kręgach przedwojennych odbiorców. Zgodnie z archiwum miały to być w kolejności alfabetycznej: Gustawa Bojanowskiego *Dziewczyzna z Raju* (1919) i *Wstyd* (1921); Juliusza Germana *Gwieździsta noc* (1914), *Iwonka* (1926) i *Jacek. Powieść o prześlicznym chłopcu* (1928); Stefana Kiedrzyńskiego *Trujący kwiat* (1914); Mieczysławy Łuczyńskiej *Krzyk nagich ścian* (1933); Józefa Maciejowskiego *Demon zmysłów* (1921); Heleny Mniszek *Trędowata* (1909), *Ordynat Michorowski* (1910), *Czciiele szatana* (1918) i *Gehenna* (1919); Kazimierza Przerwy-Tetmajera *Anioł śmierci* (1899) i *Romans panny Opolskiej* (1912); Józefa Relidzińskiego *Niewolnice miłości* (1923); Pawła Staški *Hetera* (1918), *Romans autora z bohaterką powieści* (1923), *Jej wiosna* (1926) i *Serce na śniegu* (1937); Aurelii Wyleżyńskiej *U złotych wrót* (1926); Ireny Zarzyckiej *Dzikuska* (1927), *Jawnogrzeznica* (1928), *Kwiat jabłoni* (1929) i *Córka wichru* (1930); Ewy Ziemskiej *Cywilizowany dzikus* (1934).

Od roku 1987 w umowach i listach od redakcji pojawia się też nowy tytuł główny antologii – wspomniane *Anioły i demony* – zainspirowany najpewniej wierszem późnoromantycznej poetki Deotymy (Jadwigi Łuszczewskiej), którego fragment znalazł się również w archiwum córki badaczki (pojedyncza kartka maszynopisu bez daty):

Wiek nasz! Ty zwan będziesz wielkim kobiet wiekiem!

Niewiasta się ozwała z żądaniem nieznanem:

Dotąd aniołem była lub szatanem –

Dzisiaj chce zostać człowiekiem².

Zakreślono w nim na czerwono zdanie „aniołem była lub szatanem”. Nawiasem mówiąc, zarówno te terminy, jak i wcześniejsza propozycja tytułu głównego, *Od „Trędowatej” do „Dzikuski”*, w całej swej metaforyce trafnie oddają krystalizujące się z czasem zainteresowania badawcze Marii Bujnickiej, która w swoich kolejnych pracach „poantologicznych” wyraźnie zmierzała ku myśli feministycznej, analizom wyobrażeń „kobiecości” w literaturze popularnej i ogólniejszej refleksji nad tzw. literaturą kobiecą. Wracając jednak do antologii, przyznać należy, że jej projekt był rzeczywiście znaczący, ważny i zakrojony z rozmachem, czemu redakcja literacka GLOBU niejednokrotnie dawała wyraz – świadczą o tym liczne słowa uznania, a wreszcie i decyzja druku.

² Pochodzi on najpewniej z jednej z *Pieśni* opublikowanych w 1870 r. Brak źródła.

Antologia romansu popularnego miała stać się wydawniczym hitem i finansowym sukcesem szczecińskiego wydawnictwa, przynosząc popularność (a także najpewniej, wraz z pozostałym dorobkiem naukowym, habilitację) jej autorce.

Jednak, trochę tak jak w romansach, z pasją i doskonałym rozeznanie opisywanych przez Bujnicką, w losach publikacji nastąpił nieoczekiwany a fatalny zwrot akcji. Po potwierdzeniach ze strony edytora przyjęcia do druku dzieła (tom I – marzec 1987; tom II – sierpień 1987; tom III – sierpień 1989), w 1991 roku wydawca nagle odwołuje edycję i ogłasza likwidację całego wydawnictwa! W liście z dnia 1 października 1991 roku donosi:

[...] uprzejmie informujemy, że z wielkim żalem, ale nieodwołalnie musimy zrezygnować z publikacji antologii romansu popularnego. Nasze zamierzenie wydawnicze zdezaktualizowało się całkowicie, gdyż w ostatnich 2 latach rynek księgarski nasycił się tak kiedyś poszukiwaną literaturą popularną i brukową zarówno polską jak i obcą. Wprawdzie Pani praca ma charakter ponadczasowy i uniwersalny z uwagi na komentarze, noty i wielość zadań, które miała spełnić, ale jest to przedsięwzięcie ogromnie kosztowne, którego nie możemy się podjąć mając niewiele zamówień z sieci księgarskich. [APDB]

Oczywiście nie moim zadaniem jest tu ustalenie rzeczywistych powodów tak dramatycznych rozstrzygnięć, tym bardziej że dotyczyły one nie tylko antologii Bujnickiej, co należy wnioskować po zmianie podpisu z „Dyrektor Wydawnictwa mgr Romuald Sawicki” na „Likwidator inż. Augustyn Nowaczek” oraz zniknięciu wydawnictwa z kulturowego krajobrazu Szczecina. Można jedynie domniemywać, że okres transformacji ustrojowej, na jaki przypadła ta decyzja, okazał się zbyt trudny dla GLOBU tyleż z powodów ideologicznych, co może i ekonomicznych. Tak czy inaczej, autorka pozostaje bez książki, której poświęciła mnóstwo wysiłku, czasu i pieniędzy na kwerendy, zdjęcia okładek, maszynopisy – całą pracę stworzyła bowiem w rękopisach, przepisywanych potem przez tzw. maszynistkę (osoba zawodowo zajmująca się przepisywaniem tekstów o różnej treści). *De facto* pozostaje zatem z niczym, aczkolwiek, jak wynika z korespondencji, GLOB odsyła na jej adres otrzymane wcześniej maszynopisy dzieła. Rozmiar wykonanej przez nią pracy dobrze uzmysławia wyliczenie z kolejnego listu:

W jednej przesyłce wysłano tom pierwszy, zawarty w trzech tekach, w drugiej tom drugi i trzeci, w pięciu tekach oraz kopertę z 30 zdjęciami okładek przedwojennych wydań. [APDB]

Wszystko w jednym egzemplarzu.

Kolejny etap tej burzliwej historii (po kilku latach gromadzenia sił i budowania mobilizacji do działania) to próba wydania książki w Wydawnictwie Literackim w Krakowie. Jest rok 2010. Tym razem przed złożeniem oferty, a w celu udoskonalenia swej pracy Bujnicka stara się jeszcze o uzyskanie opinii wybitnych literaturoznawców – prof. Henryka Markiewicza i prof. Erazma Kuźmy. Obie są pozytywne i zalecające publikację, aczkolwiek Markiewicz zauważa:

Oczywiście, jak każda antologia, także i ta nie jest bezdyskusyjna, jeśli chodzi o dobór umieszczonych w niej tekstów. Skoro jest w niej Tetmajer, może powinno znaleźć się miejsce dla innych ambitniejszych autorów – Rodziewiczówny, Dołęgi-Mostowicza czy też Wandy Miłaszewskiej (romanse budujące). [...] Uzupełnienia te można by wprowadzić, rezygnując z niektórych mniej ważnych utworów Germana czy Staśki. [APDB]

Kuźma z kolei, podkreślając celowość zamieszczenia biogramów, informacji o późniejszych losach romansów, ich karierach filmowych itd., sugeruje:

Może nawet dobre byłoby rozwinięcie tych biogramów w opowieści biograficzne; czytelnik to lubi, życiorysy nadają się do tego, a pióro Bujnickiej nie byłoby od tego. [APDB]

Jak przekona się uważny czytelnik tego tomu, obie uwagi zostały uwzględnione – sugestia Kuźmy przyjęta, zaś wybór tych, a nie innych pisarzy uargumentowany przez autorkę w partii wstępnej. Mimo takich rekomendacji Wydawnictwo Literackie nie podjęło się opublikowania antologii. Tymczasem coraz bardziej oczywiste dla autorki stało się przygotowanie cyfrowej wersji książki, czyli przepisanie całej zawartości ośmiu tek maszynopisów zwróconych przez GLOB. Być może brak takiej właśnie postaci tekstów zniechęcił krakowskich wydawców? Jakiż anioł bądź demon zdołałby to udźwignąć?

Jak by nie było, tom I, czyli tu właśnie przedkładany, zyskał wszakże postać pliku komputerowego i został zaproponowany kolejnej oficynie – Wydaw-

nictwu Dolnośląskiemu we Wrocławiu. W archiwum rodzinnym brak dokumentacji obrazującej pertraktację z nowym wydawcą, gdyż prowadzono je ustnie, wiadomo jedynie, że wstępnie był zainteresowany drukiem. I wtedy, gdy horyzont właśnie zaczął się przejaśniać, świat opanovała pandemia koronawirusa SARS-CoV-2. Aktywność wydawnicza, naukowa, badawcza, a w zasadzie wszelaka, spadła do zera. Bardzo osłabła również kondycja psychiczna i fizyczna Marii Bujnickiej, która zmarła 1 kwietnia 2022 roku, nie doczekawszy publikacji ani jednego tomu swego ogromnego dzieła.

Dzięki finansowemu wsparciu Wydawnictwa Uniwersytetu Śląskiego i Jego Magnificencji Rektora Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach – akademii, z którą Bujnicka była związana od połowy lat 70., dzięki wysiłkowi przyjaciół i uczniów badaczki oraz zaangażowaniu córki, Dominiki Bujnickiej, i profesora Tadeusza Bujnickiego, po czterdziestu latach peregrynacji *Anioły i demony* trafiają w końcu do rąk czytelników. Pora nadeszła.

Dobrosława Wężowicz-Ziółkowska

CZĘŚĆ PIERWSZA

Każdemu wolno kochać, czyli dlaczego lubimy czytać romanse

Romanse to słowo staroświeckie, wyjęte z lamusa, ujęte w nieco ironiczny, nawet wzdurliwy cudzysłów. U progu XXI wieku prowokuje raczej wzruszenie ramion niż łzy wzruszenia. Nikt dziś nie umiera z miłości (poza bohaterami filmu André Cayatte'a), pewno dlatego, że kochamy pośpiesznie, zbyt mało lub zbyt późno. Czas uczuć dziwnie koliduje z czasem współczesności. Być może to kwestia mody? „A przecież mi żal...” śpiewa Okudźawa i w tym momencie ulegamy tęsknocie, refleksji. Czy sukces filmu *Love story* tego nie potwierdza? Może więc ten wstęp należało zacząć inaczej?

Romanse. Lektury wstydlive, skrywane, chwile ulotne, intymnie przeżyte. Ucieczka od szarego Dziś w krainę bliżej nieokreślonego Kiedyś, Być może, Niekiedy się zdarza... Wbrew zdroworozsądkowej logice, na przekór faktom – wyprawa na Wyspy Szczęśliwe lub przynajmniej na Przylądek Dobrej Nadziei. Szansa zmiany kostiumu, miejsca, ba – nawet obyczajów! Kopciuszek na balu w pałacu: najpiękniej tańczy, zadziwia wszystkich, znalazł swego królewicza. Wszystko może się zdarzyć, trzeba tylko wziąć do ręki książkę, zanurzyć się w świat inny, wysniony, w świat fantazji i marzeń, a wkrótce nastąpi cudowna metamorfoza: pocałunek przemieni ropuchę w królową, a głupi Jaś okaże się najdzielniejszy, najmądrzy i poślubi piękną księżniczkę. Czy nie po to dziewczęta czytają romanse, a chłopcy powieści o rycerzach, piratach lub Indianach, by przeżyć tę cudowną, magiczną przemianę? W każdym drzemie pragnienie bycia Kimś Innym, piękniejszym i lepszym, mocnym i wspaniałomyślnym, a czasem okrutnym, występny i brutalnym¹. Lekturowa

¹ Klasycznym przykładem tekstu, który w obiegu wysokoartystycznym spełnia podobne funkcje, jest Trylogia: superepos, superromans historyczny, powieść przygodowo-awanturyczna, można by rzec (tu przepraszam wszystkich poważnych badaczy Sienkiewicza) – wielki narodowy superkicz! Postaci i sytuacje są kwintesencją pewnych stereotypowych wyobrażeń na temat polskości, rycerskości, patriotyzmu, honoru, odwagi itp. Wszystko tu można odnaleźć, i to w najlepszym wydaniu. Właśnie ta doskonałość budzi pewne podejrzenia. Tajemnica popularności Sienkiewicza to idea „pokrzepienia serc” nie tylko

psychoterapia to sprawa dobrze znana i wcale nie nowa. Od dawna wiadomo, jak niezmiernie doniosłą rolę w prawidłowym kształtowaniu osobowości dziecka odgrywają baśnie. One to w formie symbolicznych obrazów i przypowieści przekazują wielowiekowe ludzkie doświadczenia, uczą odwagi i rozważli, wskazują na sens wysiłku, siłę nadziei, potrzebę walki. Uczą, jak żyć bez lęku, z wiarą w siebie i w los.

Literatura popularna podobne funkcje spełnia wobec swoich dorosłych odbiorców: jest lekarstwem na samotność, bylejakość życia, jest ucieczką i zapomnieniem.

Odrzućmy zatem na bok inwektywy i lekceważące gesty stronników sztuki elitarnej, ekskluzywnej, tzw. literatury wysokiej, ich etykiety w stylu: „kicz”, „tandeta”, „banał”, „bzdura”, i przyjrzyjmy się książkom, które z zapartym tchem, z wypiekami na twarzy, skrapiając łzami niejedną stronicę, od lat kilkudziesięciu czytały niezliczone rzesze kobiet.

Biblia dla ubogich. Opowieści o losie człowieka każdego i zawsze. Historia niezwykła, nieprzeciętna, wyjątkowa. Radość i cierpienie, szczęście i poniżenie, nadzieja i rozpacz. Wielkie emocje. Napięcie. Dzięki magii słowa oraz z usługą pomocą naszej wyobraźni uczestniczymy w odwiecznym misterium miłości. Śladami bohaterów błądzimy jak cienie bądź sobowtóry przez kręte labirynty pokus, ciemne ścieżki grzechu i namiętności, piekło zazdrości i zwątpienia. Stajemy nawet (wraz z kochankami) „nad przepaścią”, skąd ratuje nas (oczywiście w chwili ostatniej z ostatnich) przytomny i odpowiedzialny autor. Wreszcie odnajdujemy Arkadię – słońcem prześwietlony pejzaż. *Amor omnia vincit!* (Wielce optymistyczna jest ta wiara w absolutne zwycięstwo miłości!). Szczęśliwe zakończenie. Oddychamy z ulgą.

w formie doraźnie interwencyjnej terapii, to znakomicie przyrządzony, uniwersalny lek na ludzkie kompleksy i marzenia. Bogaty wachlarz charakterów, wielkość ludzkich losów i zdarzeń pozwalają każdemu czytelnikowi wybrać dla siebie odpowiednią rolę. Szczególnie szeroki jest repertuar męskich wcieleń i może dlatego właśnie nie tylko chłopcy, lecz także dorośli mężczyźni z takim upodobaniem czytują Trylogię do poduszki. Jedni śnią o tym, aby być Bohunem czy Azją Tuhańbejowiczem, inni – Kmicicem lub Wołodyjowskim, są i tacy, których zadowala rola Ketlinga bądź Skrzetuskiego: nie chcą porywać, mścić się, gwałcić, wyzwałać, odbijać, torturować, pragną jedynie wiernie służyć i czule kochać. Także wszystkie możliwe erotyczne gusty męskie umie zaspokajać Sienkiewicz, co nie bez racji powiększa stale szeregi jego wielbicieli. Krytycy i badacze wielokrotnie zwracali uwagę na ten aspekt popularności pisarza. Zob. np. T. Bujnicki, *Trylogia Sienkiewicza na tle tradycji polskiej powieści historycznej*, Ossolineum, Wrocław 1973, s. 96 i n.

Nie zawsze jednak tak bywa. Melodramat – szczególnie ukochane dziecię kultury popularnej – rozrzutnie szafuje wzruszeniami i naszymi łzami. Rozdziela kochanków, piętrzy przeszkody, często jedno z nich umiera... Takie rozwiązanie akcji, choć sprzeczne z oczekiwaniami czytelników, nie „po linii pragnień”, jak mówią psychologowie, jest efektowniejsze aniżeli „pospolity” *happy end*! Czytelnik zresztą, dzięki wydatnej pomocy autora, wierzy, że miłość bohaterów jest wieczna, że sięga poza grób... Tragedia wkracza do romanisu w koturnach Fatum, Przeznaczenia, Przekleństwa Losu. Starannie wyreżyserowana ostatnia scena, z troską o każdy szczegół dekoracji, patetyczna w tonacji i geście, pozostaje na trwałe w pamięci. Wszechogarniająca formuła niezmiennego porządku świata – zwycięstwa dobra nad złem – nie zostaje przy tym w odczuciu czytelnika unicestwiona. Wszak Cierpienie i Śmierć mieszczą się w formule ludzkiej kondycji podobnie jak Miłość i Szczęście.

Współczesnego czytelnika bawi, choć częściej po prostu śmieszy lub irytuje, nieprawdopodobnie napuszony język romanisu, przerysowane postaci, ich psychologiczna płaskość, nieprawdopodobieństwo zdarzeń, stereotypowość wątków, nachalny dydaktyzm, cikliwy sentymentalizm itd. Oskarżenia można mnożyć i jest to bardzo łatwe. Jednak nie w tym rzecz... Zanim wszakże podejmę się „Obrony niedorzeczności, pokory, romanisu brukowego i innych rzeczy wzgardzonych”² i zacznę zapisy do klubu koneserów „Kiczu, czyli sztuki szczęścia”³, muszę odpowiedzieć na pytanie, które być może wielu dręczy, a niejeden pragnie wypowiedzieć. Domyślam się, że nie jest ono zwykłym znakiem zapytania, który stawiamy z łobuzerskim mrugnięciem, lecz pytaniem fundamentalnym, z gatunku „sporów o pryncypia”, przygnębiającym trzeźwym racjonalizmem i ponurym sceptycyzmem – dlatego nie sposób, nie wypada lekkomyślnie go pominąć. Należy je publicznie zadać, z szacunkiem wysłuchać i... wyeliminować z dalszych dyskusji. A więc cytuję domniemane wątpliwości: czy warto wyciągać staromodne romanse⁴ z zakurzonych

2 G.K. Chesterton, *Obrona niedorzeczności, pokory, romanisu brukowego i innych rzeczy wzgardzonych*, przeł. S. Baczyński, Towarzystwo Wydawnicze „Rój”, Warszawa 1927.

3 Tak zatytułował swoją pracę na temat kultury masowej współczesny badacz Abraham Moles – A. Moles, *Kicz czyli Sztuka szczęścia: studium o psychologii kiczu*, przeł. A. Szczepańska, E. Wendel, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1978.

4 Pora już, aby podać – choćby projektującą – definicję romanisu popularnego. Gatunek ten, jak każda z odmian literatury popularnej, ściśle wpisuje się w tzw. horyzont oczekiwań odbiorcy: prezentuje ulubione postaci i wątki zajmująco i wzruszająco, nie stawia

komód i przepastnych szuflad naszej literatury? Jaka wartość – poznawczą, estetyczną czy tylko rozrywkową – przedstawiają dla współczesnego odbiorcy? Dlaczego te, a nie inne teksty trafiły do antologii?

Aby nie zabrnąć w jałową dyskusję na temat „wyższości Świąt Wielkiej Nocy nad świętami Bożego Narodzenia”, którą można prowadzić bez końca, czego dowiodła kabaretowa praktyka profesora mniemanologii stosowanej Jana Tadeusza Stanisławskiego, odpowiem krótko. Uważam, że zestaw zaprezentowanych w antologii romansów, dziś już w większości zagubionych, zaczytanych białych kruków dla zbieraczy osobliwości, może być zabawny, ale i pouczający. Są to przecież książki, które zapoczątkowały naszą kulturę masową; odzwierciedlają świadomość jej twórców oraz konsumentów. W oparciu o teksty można więc rekonstruować upodobania estetyczne, normy moralno-etyczne, obowiązujące konwencje i mody, wzory miłości i sposoby jej wyrażania. Gdy przyjmiemy jeszcze antropologiczny punkt widzenia, odnajdziemy tu informacje nieobecne w oficjalnych wypowiedziach krytyków, filozofów, ideologów, a stanowiące dokument o niebagatelnym psycho-socjologicznym znaczeniu. Terapeutyczne mity romansu popularnego będą też łatwe do odczytania, są bowiem kompozycyjnie przejrzyste i ideowo jednoznaczne, w myśl zasad koniecznej standaryzacji produkcji, która patronowała tej pierwszej komercyjnej sztuce.

Antologia po grecku oznacza „wybór kwiatów”. Układając ów bukiet, kierowałam się zasadą reprezentatywności utworów lub autorów. Wybierałam przy tym teksty, które po wojnie nie były wznawiane i tylko pojedyncze egzemplarze leżą ukryte w magazynach wielkich bibliotek (*Trędowata* jest koniecznym wyjątkiem). Są tu więc romanse – symbole (*Kult ciała*, *Trędowata*, *Dzikuska*), kwintesencje kiczowatości (*Hetera*, *Cywilizowany dzikus*), pisane wyraźnie pod publiczność, dla zabawy i zarobku (powieści Stański, Bojanowskiego, Maciejowskiego), a także tzw. powieści z ambicjami (*Gwiazdzista noc* Germana, *Trujący kwiat* Kiedrzyńskiego)⁵.

kłopotliwych pytań, lecz potwierdza naszą obiegową wiedzę o ludziach i życiu. Romans jest lekturą łatwą, w której wątek miłosny stanowi dominantę tematyczną i kompozycyjną (zob. M. Bujnicka, *Romans*, w: *Słownik literatury popularnej*, red. T. Żabski, Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego, Wrocław 2006, s. 535–544).

⁵ Mowa tu oczywiście o antologii zaplanowanej przez autorkę, a nie o tomie niniejszym. Patrz: *Wprowadzenie* [D.W.Z.].

Zestawione razem pozwolą dostrzec typową dla kultury masowej wędrówkę motywów, charakterystycznych słów kluczy i językowych banałów. A może dojdziemy do odmiennych, nieco szokujących wniosków, iż granica pomiędzy literaturą wysoką, tą dobrze znaną ze szkolnych lektur (Orzeszkowa, Sienkiewicz, Żeromski), a literaturą popularną nie zawsze jest wyraźna...

„Uczyć – bawiąc, bawić – uczyć” to hasło wielkiego przedwojennego koncernu wydawniczego „Rój” (kierowanego przez Melchiora Wańkowicza), które wypisane było na niezliczonych seriach powieści rozmaitego kalibru intelektualnego i artystycznego. Niechaj i dziś zmobilizuje nas ono do dalszej lektury. (Jest to apostrofa do tych wytrwałych i systematycznych, którzy nie zaczęli książki od końca!). I aby nadmiernie nie wystawiać na próbę cierpliwości (ciekawości?!), wyjaśniam, że nie zamierzam bynajmniej postępować ambitnie i robić długiej, starannej i bardzo uczonej Wielkiej Analizy pt. *Wariacje scjentystyczne more geometrico demonstrata na temat: „Kobieta zmienną jest...”*, ani też nie napiszę Wielkiej Syntezy pod nazwą: *Transcendentalna transgresja toposu „Bo w tym całym jest ambaras, żeby dwoje...”*. Chcę tylko podać garść informacji, podkreślić kilka charakterystycznych cech gatunkowych (aby ich nie przeoczyć w trakcie pasjonującej lektury – gdyż mam skrytą nadzieję, że taką się ona okaże), wskazać kierunek interpretacji.

Zmierzajmy zatem niezwłocznie ku poznaniu, ku zdekonspirowaniu plagiatów, a przynajmniej stereotypów. Niech będzie to – cytując Wespazjana Kochowskiego – „niepróżnujące próżnowanie”.

Krótki wyciąg z metryki urodzenia protoplasty masowej kultury

Romansowe historie w literaturze, podobnie jak w życiu, istnieją „od zawsze”: Tristan i Izolda, Abelard i Heloiza, Romeo i Julia, Paweł i Wirginia, Otello i Desdemona itd. Nie miejsce tu i pora, by zapuszczać się w gąszcz minionych epok, prądów i stylów, zresztą nasze narodowe piśmiennictwo nic tam nie wniosło. Trudno i mnie postawić diagnozę czy sformułować w związku z tym akt oskarżenia. Bo przeciw komu? Przeciw naszej mentalności, ukształtowanej w znacznym stopniu przez katolickie wychowanie? Przeciw historii, która raz po raz kazała „na koń wsiadać” natychmiast po ostatnim mazurze? A może zawinił po prostu klimat¹? Kto wie, jak to było, faktem jest wszakże, że tradycja przekazała nam obraz Polaka, który chętniej machał szabelką na chwałę Ojczyzny, aniżeli w łóżnicy ze swą lubą się zabawiał. Wolał pojedynki, zajazdy, procesy od subtelnych potyczek spod znaku Amora i Psyche, z których rodzi się Rozkosz. Bohaterski wojak i zabijaka dziwnie tracił w takich sytuacjach rezon i fantazję, stawał się nieporadny, niezręczny, nieprzekonywająco sentymentalny. Jego męski honor na szczęście ratowały Wielkie Zdarzenia lub Idee: Obowiązek, Naród, Ojczyzna, usprawiedliwiające dezercję czy niemoc! Ta smutna konstatacja nie dowodzi wszak, że w Polsce romans jako gatunek w ogóle nie istniał. Istniał, lecz za kulisami oficjalnej literatury. Zapożyczone z kultury zachodnioeuropejskiej opowieści o Magielonie, Meluzynie, Rinaldo Rinaldinim i wiele, wiele innych jako tzw. literatura straganiarsko-brukowa, przeznaczona dla plebejsko-ludowego czytelnika, nie miały jednak wstępu na Parnas Sztuki.

Odmienny typ sentymentalno-obyczajowego romansu rozwijał się w XIX wieku, lecz była to z kolei literatura drugorzędna, często o funkcji dydaktycznej, adresowana przede wszystkim do dziewcząt (np. *Księżniczka Urbanowskiej*, *Ślubna obrączka Hajoty*, *Kartki z życia kobiety Estei*).

1 O tych i innych aspektach erotyzmu w polskim wydaniu interesująco i dowcipnie pisze Andrzej Banach – A. Banach, *Erotyzm po polsku*, Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe, Warszawa 1974.

Romans popularny, który nas interesuje, jest dzieckiem XX wieku i posiada dość ciekawe koneksje. Jego liczni bliźsi i dalsi, wysoko urodzeni krewni (powieść sentymentalna, postpozytywistyczna powieść obyczajowa, modernistyczna powieść o artyście) niechętnie się do niego przyznawali, a on również nie rozgłaszał ostentacyjnie swych powinowactw. Zachodni kuzyni uznali, że jest naiwnym, opóźnionym w rozwoju romantykiem, zaś dalekie dystyngowane ciotki wstydliwie przemilczały mezalians. Wkrótce jednak pojawił się w sklepowych witrynach obok swych szacownych przodków i rodziców na równych prawach, bez cienia zażenowania. W tej sytuacji fakt narodzin bękarta nie mógł pozostać bez echa.

Skandal odkryli i rozgłosili bywalcy salonów, zagorzali tropiciele sensacji i plotki – krytycy. W trosce o zagrożoną czystość „rasy”, ekskluzywność prawdziwej Sztuki, widząc tupet i brak manier „plebejusza”, zaatakowali zgodnie i bezpardonowo. Werdykt brzmiał: szmira i pornografia! Padały wyzwiska, gromy, inwektywy („czciciele tandety”, „niska muza”, „absurdy i banialuki”, „służebnica ubogich”), zarzuty ulegania „poziomym dążeniom i aspiracjom” tłumów, „schlebiania” masom itd. Był moment, gdy wydawało się, że egzorcyzmowanie przyniosło skutek. Lecz oto w obronie oskarżonego stanął cały tłum sympatyków. Chociaż byli bezimienni, stanowili realną siłę, z którą należało się liczyć. Ucichł więc chór biegłych ekspertów, areopag dostojnych koneserów, a głos zabrali dziennikarze. Na prawach przykładu przytoczę zamieszczoną w „Świecie Kobiety” wypowiedź z 1929 roku, której autorka poszukuje psycho-socjalnych uzasadnień nowego zjawiska:

Istnieją legiony, rzesze, masy kobiet, które karmią się łakomie lichym, prymitywnym romanssem: szwaczki, modniarki, manikiurzystki, fryzjerki, mniej inteligentne biuralistki, dziewczęta ze sklepów, pokojówki [...]. Czytając – nie pragną się uczyć, zdobywać nowe światy wyobrażeń, nowe horyzonty myśli – ale chcą oszołomić się chwilą, marzyć o miłości, porównywać los bohaterek z własną dolą w oczekiwaniu tajemnic przyszłości².

Łatwo zrozumieć, że w tej sytuacji książka stała się towarem, którym warto było handlować. Należało go tylko odpowiednio zareklamować i „opakować”, to znaczy efektownie zatytułować i ozdobić wabiącą oczy i pobudzającą

2 Cytat bez lokalizacji.

wyobrażnię okładką (por. *Kult ciała* Srokowskiego, *Szalona sielanka* Staśki). Nazwisko autora często było pomijane, wystarczył tytuł i obrazek: ekspresywna treść i forma.

Samozwańczy władca dusz łatwo znalazł nie tylko wyznawców – wielbicieli, ale i menadżerów. „Afera” wywołana przez arbitrow Sztuki została polubownie rozwiązana; protektorzy – wydawcy i księgarze, rozdzielili tereny działania i zakres kompetencji. Wysokoartystyczny obieg ponownie zaczął rządzić się własnymi prawami, niezagrożony przez niską muzę, która już tylko swoim klientom zachwalała swe wdzięki. Do tego momentu romans, jako wciąż niepewne swego losu dziecko z nieprawego łoża, ubezpieczał się na dwa fronty: kokietował dalekich krewnych, naśladowując ich sposób bycia, a przy tym imponował bliskim znajomym oglądą i elegancją. Zabiegi te bardzo łatwo dostrzec w powieściach Mniszkówny, Germana, Maciejowskiego, wczesnego Staśki. Elementy Tradycji, i to tej najwyższej ocenianej, są stale obecne w tkance powieści. Można to niewątpliwie uznać za świadectwo kultury literackiej, lecz jest to przykład mieszania stylów na pograniczu dwu kultur i epok. Dwujęzyczność romansu jako gatunku, sięganie do różnych, często niespójnych tradycji, brały się także stąd, że większość autorów parających się piórem w owym czasie uprawiała wielorakie formy literackie; obok tekstów rozrywkowo-zarobkowych pisywali też utwory bardziej ambitne. Dzięki temu poziom produkowanych ramot, jak wówczas mawiano, niekoniecznie był brukowy.

Nie upłynęło nawet ćwierć wieku, gdy romans – bożyszcze kobiet, wyleczony z kompleksów, zerwał „więzy krwi” i całkowicie zidentyfikował się z nową publicznością. Stał się wolny od konieczności przestrzegania etykiety literackich konwencji, swobodny w sposobach wyrażania się, prosty i pozbawiony psychologicznych niuansów, programowo beztroski (romanse z reguły kończyły się happy endem). Masowa kultura, bujnie rozkwitająca w dwudziestoleciu międzywojennym, kultura kinematografu, kabaretu, seryjnych wydawnictw, kolorowych czasopism, nawet pierwszych komiksów, nie tylko w pełni go zaakceptowała, lecz, uznając za swego protoplastę, naśladowała i powielala jego gesty i manieri. Także przeróżne odmiany gatunkowe literatury popularnej, jak powieść przygodowa, sensacyjna, kryminalna, egzotyczna itp., komponowane były w oparciu o schematy wypróbowane wcześniej przez romans. I oto – można by rzec – nastąpiła zmiana ról: romans jako „głowa rodu” stał się zachowawczy i dostoyny. W latach 30. bywał już

mentorski, chwilami purytański, zatracił lekkomyślny wdzięk bon vivanta, jego umiłowanie zabawy i bulwersowania mieszczucha. Niczym dama z półświatka, w miarę jak się starzał, popadał w pretensjonalny sentymentalizm i dewocję. Takim zastał go rok 1939. Wojny nie przeżył.

Gwiazdy, amanci i statyści na Wielkiej Scenie Melodramatu

„Jesteś w błędzie!” – powiada bohater opowiadania Pitigrillego do swego przyjaciela. „Zmuszasz kobiety do tego, aby były inteligentne, oryginalne, tajemnicze! O niepoprawny głupcze. Gdy kobieta ma ładne nogi, może sobie pozwolić na to, aby być analfabatką. Dwie ładne łydki kobiece więcej znaczą aby zdobyć mężczyznę, od całego rozumu Rabelais’ego”¹.

Autorzy polskich romansów, choć nie wygłaszali tak bulwersujących kwestii, rozumowali podobnie, co najwyżej eksponowane szczegóły były nieco inne. Cóż, Warszawa czy Kraków to wszakże nie Wiedeń, a z odkryciem uroków łydek będziemy musieli poczekać na Gombrowicza. Tymczasem nasze heroiny „nosiły” oczy i usta, czasami jasne włosy, i to z reguły już wystarczało, by nieomylnie rozpoznać ich anielską duszę. Było to tak ewidentne, że nawet nie musiały ust otwierać. Więcej kłopotów z opisem było w przypadku *femme fatale*, półdziewic lub, co gorsza, rozwódek, ładacznic i kurtyzan... One miały ciało! Nie sposób było to ukryć, przeoczyć ani przemilczeć. Ciało, które domagało się pędzla malarza, dłuta rzeźbiarza, a przynajmniej pióra romansopisarza. I chociaż i tu anatomię traktowano dość dyletancko, jednakże... Wrażliwa wyobraźnia artysty, wyostrome spojrzenie znawcy, nieomylny instynkt prawdziwego mężczyzny prowokowały wręcz do odkrywania tajemnic kobiecych kształtów. Oczywiście nie zapomniano i o twarzy idealnie pięknej, urzekającej, w której najważniejsze były usta zmysłowe, prowokująco rozchylone, wilgotne wargi – jako obietnica rozkoszy, otchłań grzechu, raj zapomnienia:

Piękna jest diabelsko, piękna ta kusicielka [...]. Widział w niej piekielną namiętność, zawrotną... odurzającą... [...] Figura kształtna, ponętna ogromnie. Szyja i odsłonięte nieco piersi, jakby z puchu najbielszego a gorącego... Bujne jagody piersi rozchylone nieznacznie, zdawały się ciągnąć ku sobie

1 Pitigrilli, *Rumuński czar*, w: Tegoż, *Luksusowe zwierzątka*, przeł. Z. Melicka, Alfa, Warszawa 1931, s. 64.

i obiecywać rozkosz wtrącającą w półjawnny i nieprzytomny sen... Usta widział wilgotne i wabiące... Pałały czerwonością, jakby sama namiętność².

Sztuka używała chętnie swego kostiumu bardzo wielu tematów, z których erotyzm niewątpliwie był najważniejszy. Prawo wyjścia poza ciasne opłotki przeciętności mieli ci, których muzy wyniosły ponad innych. Opisy dzieł malarskich, rzeźb, tańca, gry aktorskiej, utworów muzycznych itp. były więc swego rodzaju psychologicznymi portretami bohaterów. Te słowne transkrypcje, próby wyrażania tego, co niewyraźne, nieprzekładalne, są charakterystyczne dla epoki modernizmu. Romans popularny wcale nie pozostawał w tyle za literaturą wysoką i na miarę swoich możliwości starał się sprostać modzie.

Czyste, nieskalane anioły, skazane na cnotę przez powieściową konwencję, to spadek po romantyzmie. Modernizm poszukiwał bardziej wyrafinowanych wrażeń. Dla schyłkowca – mózgowca klasyczne ideały Piękną, będące w sposób konieczny upostaciowaniem Dobra, stały się bezbarwne, wręcz banalne. Piękno i Zło – to mariaż godny dekadenta. Warto zaprzepaścić duszę, dobrowolnie skazać się na cierpienie, mękę, zatracenie, ale za cenę najwyższej, wyrafinowanie perwersyjnej rozkoszy (*Anioł śmierci*, *Zatrute piękno*, *Trujący kwiat* – to charakterystyczne tytuły, a zarazem określenia kobiety).

Ucieczka od nijakości w ekstrawagancję odbywała się w romansie popularnym mimo wszystko dość powściągliwie, albowiem pisarz musiał pamiętać o surowości obyczajów swych czytelników i o tym, że reprezentowali oni psychicznie zdrową „normalność” (czytaj: przeciętność). Dobra znajomość rzemiosła, zręczna technika kompozycji polegały na takim rozłożeniu ról w miłosnym duecie, a właściwie tercecie, by nie obrazić mieszczańskiej moralności, a fabułę uczynić ciekawą. Bo przecież niczym niezachwiana cnota, kryształowy charakter, pełna wyrozumiałości dobroć itp. na dłuższą metę są śmiertelnie nudne, mdłe i monotonne. Nie są to tematy, które z nieznanego autora uczynią sławnego pisarza, ulubieńca płci pięknej, i na dodatek napełnią mu kieszenie miłym szelestem banknotów. Nie można jednak popadać w skrajności. Owe niebiańskie istoty, sanktuaria uduchowionego piękna, są niezbędne, bez nich nie obejdzie się żaden prawdziwy, sentymentalny romans! A więc cóż robić? Przydzielono im pierwszoplanowe role. W aureoli świętości,

² P. Staśko, *Grzesznica: powieść*, J. Czernecki, Warszawa–Kraków 1921, s. 17.

otoczone powszechnym zachwytem, stąpały po powieściowej scenie. Mówiły niewiele, więcej przeżywały (co naturalnie malowało się na ich twarzach), od czasu do czasu monologowały, aby czytelnik mógł upewnić się, że myśli ich, podobnie jak czoło, są czyste, dumne i wzniosłe, a więc gdy zachodzi potrzeba, dla dobra sprawy mogą być podane do publicznej wiadomości. Nieco później *entrèe* miała Ta Druga – pełne zaprzeczenie duchowych walorów primabaleriny. Rywalka. Konkurencja poważna, gdyż obdarzona temperamentem, czasem dowcipem bądź inteligencją, brakiem skrupułów i majątkiem. W dodatku autor dawał jej na ogół *carte blanche*, wychodząc ze słusznego założenia, że gdyby wszystkie kobiety były cnotliwe, z kim mężczyźni zdradzaliby swe żony.

Ta oszałamiająco piękna wysłannica piekieł stanowiła źródło towarzyskich skandali, rozmaitych *qui pro quo*, i była przyczyną dramatycznych powikłań akcji. Wszyscy mężczyźni jej pożąдали, ona – tylko tego jednego. Szczęśliwiec ów, aby sprawę bardziej zagmatwać, nie był wolny, choć bardzo tego pragnął w tym momencie. Miotał się w paroksyzmach wątpliwości i niepohamowanych apetytów, popadał w schizofreniczne rozdwojenie osobowości (porównując obie damy), aż wreszcie „zapominał się” w objęciach jawnogrzesznicy. Zgodnie z powieściowymi obyczajami dżentelmen mógł u niej bywać, lecz krótko i bez zbędnych sentymentów. Wkrótce zresztą do akcji wkraczał autor i stosując znane sobie sztuczki, oddalał panią. Tym sposobem „uczciwemu” mężczyźnie oszczędzano dalszych prób wierności i charakteru. Zaś demoniczna kochanka była nieodwołalnie i przykładowie potępiana: odsądzona od czci i wiary, wpłątana w kompromitujące przygody, schodziła samotna ze sceny. Czasem dawano jej ostatnią szansę: pokajania się i nawrócenia w retrospektywnym monologu, gdyż niektórzy pisarze o moralizatorskich skłonnościach lubili takie dramatyczne pointy. Tragiczny finał z magicznym słowem „*fatum*” to jednak chwyt ulubiony z racji zintensyfikowanej ekspresywności. Poświadcza to Paweł Staško, który z całym cynizmem odsłania warsztat romansopisarza:

[...] zamierzał zgótować jej po miesiącach szczęścia jak najokrutniejszy los. Zresztą wszystko mu było wolno – sto razy ją uwieść i tyleż razy uniewinnić, oczyścić z upadku [...] – stracić w realną przepaść życia na mękę i rozpacz, na głód po bachusowych ucztach, na trąd w miejsce gorących

pocałunków – a wszystko przez los, przez to życiowe fatum. Dążył do wywołania jak najsilniejszego efektu na kontrastach – - 3.

W tej trudnej, lecz aktorsko efektownej roli czarnego charakteru występowali również panowie. W ich wykonaniu były to postaci jeszcze bardziej cyniczne i zdeprawowane (*Przygoda leśnej rusalki* i *Serce na śniegu* Staśki, *Iwonka* Germana), chociaż zdarzali się uwodziciele pociągający, atrakcyjni, co było jeszcze bardziej niebezpieczne, wręcz zgubne (*Gehenna* Mniszek, *Rumieniec duszy* Staśki). Moralny sens opowieści, którą romans oferował swoim czytelnikom, musiał stanowić potwierdzenie powszechnie aprobowanego systemu wartości, akceptację obowiązujących i realizację pożądanых zasad. Ten haracz spłacany cenzurze, Kościołowi i tradycyjnej obyczajowości często ograniczał się do zakończeń powieści – sztucznych i nieprzekonywujących.

Starannie zaprojektowana i ściśle realizowana wyrazistość rysunku bohaterów, nie tylko ikoniczna, ale i charakterologiczna, ułatwiała orientację w powieściowym świecie. Jak wynika z powyższych obserwacji, portrety kobiece najczęściej budowano z wykorzystaniem jednej dominującej cechy, można by powiedzieć: kreślono charakterologiczne monolity. Postaci męskie były ciekawsze i bardziej dynamiczne. Amanci wyposażeni byli w pełen sprzeczności repertuar cech osobowych, słowem, charakter zmienny, nieco nieobliczalny, zaskakujący. Lekkomysłność kolidowała z wrodzoną dobrocią, duma i pycha umniejszały odwagę i szlachetność, popędliwość raniła, temperament obrażał, fantazja przynosiła więcej zła niż pożytku i radości.

Sądzę, że projektowany odbiorca (tzw. kobieca publiczność) decydował o wyborze takiego scenariusza. Ambiwalentność i niejednoznaczność to dla czytelnika gwarancja niespodzianki, emocji. Dla nas, współczesnych, ta wielowymiarowość jest także rodzajem informacji psychosocjologicznej. Dowiadujemy się na przykład, jak dalece odmienne przywileje posiadali panowie i damy. Surowość obyczajów była nakazem skierowanym do płci pięknej. Mężczyzna mógł posiadać tzw. przeszłość, być utracjuszem, hulaką, casanovą – i bynajmniej nie dyskwalifikowało go to w oczach ukochanej. Przedślubne tuzinkowe romanse uznawano wręcz za gwarancję szczęśliwej przyszłości. Zresztą wszystko przestawało się liczyć, gdy zjawiała się Ona. Następowало cudowne

3 P. Staśko, *Kwiaty ziemi: powieść współczesna*, „Lotos”, Gdańsk 1922, s. 46–47.

moralne odrodzenie⁴ birbanta i salonowego lwa (słynną kwestię: „Uśpiłaś we mnie lamparta” mówi do Stefci Rudeckiej Waldemar z *Trędowatej*). Miłość, która po raz pierwszy zakiełkowała w sercu mężczyzny – „pana stworzenia”, czyniła przerażające spustoszenie w jego psychice: gwałtownie pragnął się żenić lub przynajmniej zmieniał się w uczuciowego monogamistę⁵. Łamał konwenanse, forsował piętrzące się na drodze do szczęścia przeszkody: „Musi być moją, choćbym miał świat zwalić – wyrzucił z namiętną energią [ordynat Michorowski – M.B.]”⁶. A ponieważ siła uczucia na ogół nie idzie w parze z intelektualną erupcją, więc kochankowie popełniali liczne błędy i „malowniczo” komplikowali sobie życie. Wszystkie ich nieudane posunięcia niezaprzeczalnie urozmaicały dramaturgię powieści, dostarczając czytelnikom silnych przeżyć i skrytej satysfakcji, że oni sami są przezorniejsi i podobnych głupstw nie czynią. W tym dobrym samopoczuciu utwierdzał ich jeszcze narrator, który z ubolewaniem komentował zdarzenia i zapowiadał smutny, a nieunikniony ciąg dalszy. Wreszcie następowała chwila przełomowa. Autor, nie chcąc dłużej wystawiać na próbę siły uczucia zakochanych i zarazem dbając, aby się sobą nie znudzili, rozdzielał ich bądź prowadził do ołtarza (lub inaczej rozumianego raju). Radosny *happy end* stał się w latach 30. panującą konwencją nie tylko w literaturze popularnej, ale w całej kulturze masowej (film jest tu koronnym przykładem). Przekonanie, ba – pewność, że każdy zasługuje na szczęście, każdego ono czeka, było krzepiącą obietnicą, którą romans – bajka dla dorosłych – ofiarował swoim neofitom⁷. Scena pozostająca w pamięci, ta

4 O fizycznym odrodzeniu nikt nie wspominał, był to temat wstydlawy i kłopotliwy, jak wiemy choćby z felietonów Boya – T. Żeleński (Boy), *Narzeczeni*, w: Tegoż, *Reflektorem w mrok: wybór publicystyki*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1978, s. 325.

5 Oto znamienny przykład tej metamorfozy i straszliwej emocjonalnej zachłanności: „Ogromna miłość nagiła do osiągnięcia Ireny, złączenia się z nią w węzeł wspólnego życia, uwić z tą upragnioną kobietą szczęsne, spokojne gniazdo bytu, stworzyć swój własny świat, dusze i serce zlać w niepodzielną jedność dążeń i snów, wziąć ją w wyłączne posiadanie i oddać zarazem siebie w serdecznej dani – pragnął uczynić ją sobą i stać się nią” – P. Staśko, *W rajskim ogrodzie: powieść o szczęściu*, „Wiedza i Sztuka”, Kraków 1922, s. 59–60.

6 H. Mniszek, *Trędowata*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1972, s. 236.

7 Słowo „bajka” odmieniane na różne sposoby to *leitmotiv* romansów. Pojawia się nie tylko w wypowiedziach narratora, ale i postaci. Bajeczność to piękno, ale i nierealność. Nieprzypadkowo chyba ton ten pobrzmiwa stale na kartach melodramatów: „Niedawno nasze spotkanie, onegdaj zaręczyny, jutro wracamy do kraju, a za dwa tygodnie – ślub... Czy to nie z cudownej bajki?” – P. Staśko, *W rajskim ogrodzie...*, s. 120.

ostatnia przed opuszczeniem kurtyny, była tkliwo-sentymentalna. Oddajmy głos samym zainteresowanym i z uwagą obserwujmy sielankowo wystylizowaną scenę:

Oni oboje uśmiechali się do siebie radośnie jak dzieci, które dojrzały słońce, przeglądając się w krystalicznym źródle i próbując podchwycić je w dłonie.

Kiedy on wyciągnął do niej ręce, padła mu w ramiona wzruszona i drżąca, pełna miłości i oddania⁸.

To była stylistyka lat 20. XX wieku. A oto inna scena – z roku 1937. Widzimy już wyraźny wpływ filmowej konwencji (ruch, przestrzeń, przejrzysta symbolika):

– Moja!!! – krzyknęły usta pijane uniesieniem.

– Ty orle mój! Ty mój!

Wpadli sobie w objęcia i zatopili się w swych ustach cudem młodości i stęsknionego kochania.

Kiedy oszołomieni szczęśliwością zwarli się w pieśczoce jak dwa górskie potoki, Wichna pokazała mu serce wyrzeźbione na śniegu. Jędrak w jednej zachwytniej chwili ogarnął jego treść i rozrywając serdak na rozdyszanej piersi, odpowiedział żarliwie:

– A ty masz moje – moje! [...]

Znów zwarli się w pieśczoce jak dwa górskie potoki, a słońce grało im na śniegach swoje czarowne, odwieczne symfonie⁹.

Czyż nie są to „żywe obrazy” znane z wczesnych filmów bądź jarmarcznych pocztówkowo-makatkowych „arcydzieł”? Ich malarskość, a przy tym szablonowość, stereotypowość są uderzające, a sentencjonalne formuły, które przy tej okazji bywają wypowiedziane, zestawione z pseudoludowym folklorem, upewniają nas, że romans popularny jest niewątpliwie przodkiem naszej kultury masowej.

⁸ T. Konczyński, *Blaski miłości*, J. Czernecki, Warszawa–Kraków 1926, s. 261.

⁹ P. Staśko, *Serce na śniegu*, Wydawnictwo Współczesne, Warszawa 1937, s. 200.

Pejzaże miłości

Tego dnia nie zdarzyło się nic, absolutnie nic z tego, co w komediach dzieje się w antraktach, a czego w powieściach trzeba się domyslać pomiędzy jednym rozdziałem a drugim, dzięki białej stronnicy lub gwiazdkom¹.

To cytat z Pitigrillego... A jak przedstawiała się rodzima twórczość? Romans popularny w hierarchii gatunków plasował się niżej niż powieść² i może dzięki temu „coś” się w nim wydarzało, chociaż, mówiąc szczerze, wielu rzeczy należało się domyslać!

Erotyzm można było odnaleźć w międzytekstowych przestrzeniach, poza warstwą znaczeń dosłownych, albowiem miłość w romansach była raczej przecuciem, oczekiwaniem niż spełnieniem. Częściej opisem miejsc, mglistym wspomnieniem przeszłości niż akcją *sensu stricto*. Ze stron powieści wyłania się powoli obraz świata nie tylko bohaterów, lecz i czytelników, sposoby wyrażania uczuć, miejsca sprzyjające miłości, przeszkody, które stały na drodze do szczęścia. Jak w kalejdoskopie zmieniają się obyczaje i style, zróżnicowane jak samo życie.

W modernizmie modna była sentymentalno-romantyczna wersja miłości idealnej, choć nie pozbawionej ognia (czego przykładem „płonąca” Stefcia i Waldemar: „Szare oczy gorzały mu ciemnym ogniem”; „Ognie uderzyły jej do głowy”; „Krew w nim wrzała”; „pożoga olbrzymich uczuć”). Powieści te ciążyły wyraźnie ku psychologizmowi. Piękni kochankowie, niezwykła sceneria, trudne próby wierności i charakteru, nasuwające skojarzenia z dziejami Tristana i Izoldy. Gorączka zmysłów i wysublimowane uczucie, harmonia dusz

¹ Pitigrilli, *Jąkanie*, w: Tegoż, *Luksusowe zwierzątka*, przeł. Z. Melicka, Alfa, Warszawa 1931, s. 84.

² We wstępie do pierwszego wydania *Anioła śmierci* Tetmajer pisze, że ponieważ nie udało mu się zrealizować ambitnych planów stworzenia wielkiej społecznej powieści, swojemu utworowi może tylko dać nazwę „romans” – K. Przerwa-Tetmajer, *Anioł śmierci: romans*, T. 1, Gebethner i Wolff, Gebethner i Sp., Warszawa–Kraków 1898.

i ciał, ubóstwienie ukochanej. Niestety, majątek, pochodzenie bądź przesady społeczne rozdzielają przeznaczonych sobie wybrańców. Historię tę znamy z *Trędowatej* (choć schemat jest niezmiernie stary), a wkrótce powtórzy się ona w wielu innych powieściach popularnych.

Wariant drugi: namiętność, zmysły, seks, pożądanie, grzech, zbrodnia. To już przełom wieku, modernizm. Zanegowanie wszelkich etycznych aksjomatów, poczucie zagubienia i lęku, któremu wyraz daje wielka literatura, próby sformułowania negatywnego katechizmu człowieka końca wieku – to tematy, które w bardzo powierzchownej warstwie znaczeń, zdeformowane i strywializowane, często gościły w literaturze popularnej. Sztuka, szatan, śmierć – niezawodne chwytły, fascynujący sztafaż, dobrze znany także ikonografii epoki. A miłość? Miłość wymaga egzotycznego tła, może to być Riwiera i Alpy lub przynajmniej Bałtyk i Tatry. Musi być wysoko lub nisko, zawsze na antypodach: „Po morzu pragnę teraz gór, kocham góry i w górach chcę dać panu odpowiedź. Góry dodają mocy – wyolbrzymiają...” – mówi bohaterka romansu Staśki *W rajskim ogrodzie*³. Skrajne uczucia, podobnie jak przestrzenie, są udziałem demonicznych, nienasyconych kobiet i niewolniczo podporządkowanych im mężczyzn (w ten sposób dawał o sobie znać mizoginizm epoki). I chociaż miłość była zmaganiem, rozpaczą, poniżeniem – rzadko radością, ekstazą, ukojeniem – nikt nie chciał się jej wyrzec:

[...] stanęła mu przed oczyma duszy szalona praca nerwów od przeszło dwóch lat, to straszne szamotanie się uczucia, co przy wrodzonej wrażliwości dochodziło prawie szału. Uprzytomnił sobie ile przecierpiał, ile natoczył go czerw okropnej, duchowej rozterki – nie było przecież dnia, nie było spokojnej godziny, by mógł odetchnąć...⁴.

W romansach z lat 20. obok bohaterów artystów, co uzasadniało ową niezwyczajną amplitudę przeżyć, pojawiają się postaci napiętnowane złem: handlarz żywym towarem, znienawidzony, aczkolwiek piękny Żyd (Żydówka) lub Niemiec, ci, którzy chcą zniszczyć polski naród, spotwarzając najświętszą rzecz: czyste dusze polskich kobiet (por. *Iwonka Germana*, *Skrzydłaci ludzie* i *Jej wiosna* Staśki). Ideologicznie zabarwione wątki bardzo często były obecne

³ P. Staśko, *W rajskim ogrodzie: powieść o szczęściu*, „Wiedza i Sztuka”, Kraków 1922, s. 90.

⁴ Tamże, s. 96.

w polskim romansie, szczególnie w jego sensacyjno-kryminalnej odmianie. Mroczna atmosfera wynaturzonego seksu, przejrzysta aluzyjność zwyrodniałych chuci, mówiąc językiem Przybyszewskiego, karmiła wyobraźnię czytelnika i budziła „słuszny” odruch rasowej nienawiści.

Wprowadzone tą drogą tematy zakazane, drastyczne, dwuznaczne są dowodem ekspansji gatunku na nowe tereny w poszukiwaniu nowych odbiorców. Bywali nimi na przykład młodzi mężczyźni odczytujący powieść przez pryzmat inicjacyjnych doświadczeń, poszukujący pikanterii w wątkach erotycznych. Aby nie narazić się cenzurze obyczajowej, autor opatrywał te fragmenty moralizującym komentarzem, uzasadniając, iż wprowadza je „ku przestrodze”, ponieważ zło trzeba znać, ażeby je w porę rozpoznać i konsekwentnie go unikać. To psychologiczne alibi przeznaczone dla płci pięknej było formułą ze wszech miar wygodną w dobie największego rozkwitu gatunku.

W latach 30., gdy kultura masowa mieszała tematy i odbiorców, a film, kabaret i prasa konkurowały z książką, romans zaczął kokietować młodego czytelnika. Programowa wspólnota świata bohaterów i czytelników kazała pisarzom wyeliminować z powieści niebiańsko piękne heroiny i wyjątkowych, fascynujących mężczyzn, zaś na ich miejsce wprowadzić bohaterów bardziej realnych, bliższych psychice odbiorców, po prostu sympatycznych. Dlatego może miłości, flirty, westchnienia dziewczątek, które są już tylko śliczne, rozkoszne, trzpiotowate i nieświadomie amoralne, przypominają zwierzenia podlotków z panieńskich pokoików. Oczywiście czystość ich serc z reguły dorównywała czystości ich umysłów nieskażonych jedną głębszą myślą. Te naiwne i skromne (lub mimo woli nieskromne) panienki bywały przez los hojnie nagradzane w myśl biblijnej zasady „błogosławieni ubodzy duchem”. Mężczyźni, którzy obdarzali je uczuciem i otaczali opieką, byli bez wyjątku szlachetni, piękni i naturalnie – jak to w bajkach – bogaci.

Obowiązkowy *happy end* to nowa koncepcja życia i losu, którą kultura masowa karmiła swych odbiorców. Optymistyczna wiara w sens ludzkich działań. Słoneczny promień rozświetlający szary dzień. Miłość szczęśliwa, nagroda od Boga dla biednej sierotki rozkwita w jasnym świetle dnia bez cienia grzechu i zła. Ta wersja pouczającej przypowieści dla panienek, produkowana w tysiącach egzemplarzy i licznych nakładach przez Irenę Zarzycką, przemyciała erotyczne motywy w postaci sielankowych obrazków, często umajonych ekliwio-religijnym kiczem.

Równoległe na rynku wydawniczym pojawiły się inne „budujące” romanse (autorstwa Aurelii Wyleżyńskiej, Mieczysławy Łuczyńskiej, Marii Horskiej-Szpyrkówny), które z kolei dość nowocześnie ujmowały tematy erotyczne. Bohaterki, śmiałe i wyemancypowane, traktują miłość jako sposób poznawania życia we wszystkich jego przejawach. Nie zawsze kończy się to pomyślnie, a na szczęście czasem warto zaczekać, o czym przekonują się, niestety, zbyt późno. Powieści te wykorzystywały technikę subiektywnego opisu (list, pamiętnik, dziennik), by uwiarygodnić psychologicznie losy postaci, pogłębić szczerłość wypowiedzi i nadać mu cechy dokumentu. Odchodziły tym samym od czysto romansowej struktury, zmierzając ku obyczajowej powieści z tezą.

Wracając jednak do bardziej rozrywkowych ujęć takich tematów, warto poświęcić parę słów scenerii, krajobrazowi, oprawie miłosnej partytury.

Czy konieczne ograniczenie repertuaru miłosnych zabaw było rekompensowane swobodą w wyborze przestrzeni, czyli przysłowiowego miejsca akcji? Poniekąd tak, chociaż i tu oczywiście panowała konwencja i sztampa: określone miejsca były przypisane określonym postaciom bądź sytuacjom (podobnie jak my wyobrażamy sobie jelenie wyłącznie na rykowisku!). Na tle majowej przyrody pojawiała się heroina sentymentalnego romansu, a miłość zakwitała lirycznie i bujnie jak otaczające ją sady, ogrody lub łąki. Romantyczne przeświadczenie o związku ducha z naturą było bardzo wyraźnie eksponowane. Wśród chaszców, splątanych leśnych gąszczów, na trzęsawiskach, wrzosowiskach i mchach, wśród trzin i tataraków spotkać można było te bohaterki, którym gorąca krew kazała niespokojnie błądzić i w dzikiej naturze szukać sprzymierzeńca. Nie obawiały się miłości, wręcz jej szukały, biegly jej naprzeciw. W katalogach pejzaży przyjaznych kochankom niebagatelne miejsce zajmowała też woda, szczególnie wzburzone fale morza, synonim przypływu gwałtownych uczuć. Warto wiedzieć, że w łódkach flirtują już kochankowie z książek Mniszek i Staški, który to fakt może zrehabilitować nieco polski romans, gdyż w pomysłowości o wiele lat wyprzedził Sagankę (ale nie *Tristana i Izoldę!*).

Rozległe przestrzenie symbolizowały swobodę i mimo wszystko naturalną, niekłamaną siłę uczuć. Przyroda zawsze towarzyszy miłosnym dramatom, walce zmysłów i ducha zgodnie z romantyczną konwencją znaną dobrze literaturze i malarstwu. Przestrzeń kultury – zamknięty krąg miasta, a w nim zaciszne buduary, hoteliki, gabinety nocnych lokali itp., posiadały już niezaprzeczalny stygmat zepsucia. Kobiety, którym autor taki sztafaż

zaprojektował, to wyrafinowane, zdeprawowane hetery bądź upadłe, nieszczęśliwe istoty skazane na potępienie.

Miejsce określało więc charakter postaci i pośrednio zapowiadało dalszy rozwój akcji. Skonwencjonalizowanie tego chwytu było bardzo wyraźne, co nie przeszkadzało z równym powodzeniem stosować przeciwnego – zasada kontrastu, antytezy, psychologicznego rysopisu i przynależnej mu lokalizacji znana jest z bajek. Autorzy romansów również pozwalali aniołom zstępować na ziemię nieoczekiwanie i w nieodpowiednie miejsca. Piękną posyłał w objęcia Bestii, rusalkę oddawali w pazury wilkołaka, a Kopciuszka gubili w pałacowych komnatach. Dramatyczny dysonans stwarzał szansę ciekawych rozwiązań: dostosowania się do nowej roli, czyli metamorfozy, bądź ucieczki. Stan zachwianej równowagi zostawał na koniec przywrócony, lecz zanim to nastąpiło, czytelnik przeżywał wiele emocji, a pisarz bogacił się, kreśląc liczne stronnice książki.

Wraz z rozwojem literatury popularnej stereotypizacja przestrzeni była tak wyraźna (w filmie widać to jeszcze lepiej⁵), że wystarczyło kilka zasadniczych rysów, jakby haseł wywoławczych (np. dworek, leśniczówka, salon, buduar, ulica), by stworzyć określoną sylwetkę bohatera, przewidzieć jego gesty i możliwy los. Kompozycja utworu zaczęła powoli ograniczać się do przesuwania postaci na „planszach”, z przestrzeni swojskiej, znanej, w obcą, zagadkową lub wrogą. Topografia terenu, gdzie miłość zakwita lub owocuje, była pełna symboli, wyraziście wartościowana, zgodnie z powszechnie aprobowaną hierarchią i tradycją.

Istniała jeszcze jedna swoista prawidłowość w konstrukcji postaci i przestrzeni: wyizolowanie bohaterów z otoczenia społecznego. Heroiny romansów były najczęściej sierotami, półsierotami lub pannami bardzo samodzielnymi, nie posiadały troskliwych rodziców, wścibskich ciotek przyzwoitek ani innych czuwających nad ich cnotą aniołów stróżów. Mogły błędzić i szaleć na własny rachunek. Czasami tylko oko opatrności zsyłało im prezent w postaci

5 Erwin Panofsky tak opisuje ikonografię wczesnego kina: „Obrus w kratkę raz na zawsze oznaczał milieu »ubogie, lecz szlachetne«; szczęście małżeńskie, które wkrótce zaćmić miały cienie przeszłości, symbolizowała scena przy śniadaniu: młoda żona nalewała kawę mężowi; pierwszy pocałunek zapowiadało niezmiennie delikatne muskanie przez panią krawata pana, towarzyszyło mu zaś, też niezmiennie, uniesienie przez nią lewej stopy” – E. Panofsky, *Styl i medium w filmie*, przeł. J. Mach, w: *Estetyka i film*, red. A. Helman, Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe, Warszawa 1972, s. 139.

„bezgranicznie” szlachetnego mężczyzny (choć bywało, że rolę tę przydzielał autor wiernemu psu, jak w powieściach *Królewski lot* Zarzyckiej czy *Serce na śniegu* Staśki). Również miejsca, gdzie spotykali się kochankowie, bywały dziwnie wyludnione. W czułym *tête-à-tête* nikt im więc nie przeszkadzał z wyjątkiem autora, który za ich plecami wciąż przemawiał do czytelnika na temat niezbadanych wyroków losu:

Przecucie bywa nieraz głuche, nie trwoży serca do ostatka, nie mąci ciszy i szczęścia.

I ci dwoje przykucnięci w zasadzce [rzecz dzieje się na polowaniu – M.B.], pełni marzeń i słońca w piersiach łakących życia, nie przeczuwali świątynią serc co im przyniesie jutro...⁶.

Dobre pisarskie rzemiosło polegało na umiejętnym dawkowaniu nastrojów i napięć oraz na takim obrazowaniu, które skutecznie pobudzało wyobraźnię. Trzeba bowiem powiedzieć, że mechanizm odbioru literatury opiera się na dwu przeciwstawnych reakcjach: projekcji i identyfikacji. W trakcie lektury czytelnik „oczyszcza się” psychicznie z pewnych niepokojów, kompleksów, zahamowań, lęków i przenosi je na osobę bohatera w drodze projekcji (postaci powieściowe jakby zastępczo przeżywają te stany). Jest to forma transmisji myśli i doznań ze świata rzeczywistego w świat fikcyjny. Identyfikacja ma kierunek przeciwny: to wchłonięcie, adaptacja, przyswojenie tego, co imponuje, o czym się marzy, co nieosiągalne. Próba przeszczepienia obrazów ze świata wyobraźni na twardy grunt realności, rodzaj kompensacji, przymiarka kostiumu, wejście w rolę.

Romans popularny spełniał wobec swoich odbiorców obie te funkcje. Trafność psychoterapeutycznych zabiegów to sukces książki. Zależał on od wielości możliwych projekcji i identyfikacji, które była w stanie wywołać jej lektura, od ich atrakcyjności i psychospołecznej adekwatności. Wygrywano emocjonalną sferę życia, przede wszystkim wrażenia zmysłowe. Bodźce intelektualne w tym wypadku były znikome i mało ważne.

⁶ P. Staśko, *W rajskim ogrodzie...*, s. 135.

Szamani i szalbierze słowa, czyli rzecz o języku, tytułach i reklamie

Uwodzicielsko piękny świat romansów istniał przede wszystkim dzięki magii języka. Niezwykły i kunsztowny, niewolił serca i umysły, estetyczne wzruszenia próbował wznieść na wyżyny prawdziwej sztuki: „będę czarował muzyką słowa, przykuwał powojami sytuacji, grał na nerwach czytelnika” – mówił klasyk polskiego romansu, Paweł Staśko, ustami swego bohatera¹.

W praktyce oznaczało to sztucznie rozbudowane opisy i nieprawdopodobnie długie sceny. Oczywiście w pewnych partiach tekstu to wielosłowie można było uznać za uzasadnione. Mam na myśli erotykę. Wytrawny romansopisarz wiedział, że młodzieńczy pośpiech jest nierozsądny, czasami nawet bywa zgubny... Ponadto cenzura była nieubłagana, dlatego uciekano się do pewnych wybiegów, zwolnień tempa akcji. Ważną rolę odgrywała interpunkcja – pauzy, wielokropki, wykrzykniki. Rytuały poprzedzające miłosną ucztę, decydujące o jej smaku, eksponowano z pietyzmem. Fakt ten z oburzeniem opisuje Czesław Lechicki w *Przewodniku po beletrystyce* z 1935 roku, omawiając powieści Zarzyckiej: „bohaterkom swoim pozwala na wszystkie preludia miłosne z wyjątkiem finału”². Nie wiadomo, czy irytuje go brak finału, czy owe preludia, trzeba jednak dodać, że trudno było zadowolić tego chadeckiego krytyka. O Staśce dla odmiany pisze on, iż ze „studencką brawurą” demonstruje erotykę³. Sprawdźmy to w oryginale. Oto fragment jednej z wcześniejszych powieści „oskarżonego” – *Grzesznicy*:

Zatopił wargi w balsamiczne ciało, którego ciepło odebrało mu ostatnią myśl panowania nad sobą.

Nic nie chciał widzieć co czyni – i nie mógł, wszystko mu było obce, obojętne, dalekie mózgu... tylko ją czuł, w nią się wpijał i dyszał nią, nią jedynie...

¹ P. Staśko, *Kwiaty ziemi: powieść współczesna*, „Lotos”, Gdańsk 1922, s. 14.

² C. Lechicki, *Przewodnik po beletrystyce*, Naczelny Instytut Akcji Katolickiej, Poznań 1935, s. 355–356.

³ Tamże.

[...] Czuła jak ją złożył na ziemi, chciała się podnieść podrygiem ciała — przeszkodził jej ucałowaniem ust, zachłannie, prawie dusząco... [...]

Jeszcze jedna trzeźwiejsza myśl zbudziła przyczajony, dziewiczy wstyd, przebiegła silnym drgnieniem po ciele — i ta zgasła po chwili, odbierając resztę opornych sił i połowę życia...

Włodziu!... — odezwała się jeszcze półkrzykiem, drgnęła nagłym przebiegiem — i poczęła coś szeptać urywanie... jakby jego imię, coraz ciszej... ciszej... ciszej

Od smrekowych postaci plół się po trawniku cień, jako zjawia wieczorna⁴.

Owa pełna wymowy i dyskrecji przerwa nierzadko pojawiała się w roman-sach; choć milkły słowa, „akcja” toczyła się dalej. Mimo tych urozmaiceń język był podstawowym materiałem, z którego wyczarowywano piękny świat iluzji. Spójrzmy więc na to niezwykle tworzywo uważnie. Oto kilka chwytów i stylistycznych kruczków, którymi szamani pióra mamili swych czytelników. Aby nie narażać się na zarzut niekompetencji, na wstępie chcę zaznaczyć, że język romansu popularnego jest specyficznym zlepkiem stylów i konwencji. Obok fragmentów językowo neutralnych, rejestrująco-informacyjnych, zawiera imponujące opisy, monologi oraz narracyjne komentarze pełne ekspresji i artystycznych „ambicji”. Te właśnie rewiry genialności i osobliwości pragnę obecnie spenetrować.

Ekskluzywność i egzotyka świata arystokracji, artystów czy półświatka, równie dalekie doświadczeniu czytelnika, co Orient, Afryka bądź biegun północny, pozwalają porzucić nieciekawy dokumentaryzm, faktografię i tworzyć wszystko na nowo, na własny rachunek. Talent pisarza mógł bujać swobodnie w oparach fantazji i blagi. Liczył się gest, a pod tym względem odwagi nie brakowało. Galopujące słowa, frazy, zdania nie pozostawiały zresztą czasu na refleksję. Szafowano nieomal wszystkimi częściami mowy, chociaż trzeba wiedzieć, że i tu bywali uprzywilejowani i pariasi.

Sugestywna, niezawodna w działaniu stylistyka to w znacznym stopniu domena przymiotników bądź słów o podobnych funkcjach. Najchętniej

4 P. Staśko, *Grzesznica: powieść*, J. Czernecki, Warszawa-Kraków 1921, s. 41–42.

posługiwano się stopniem najwyższym, jakby w pełnym przepychu ich mocy i urody. Emocjonalne *fortissimo* nie przestawało rozbrzmiewać, szczególnie gdy mowa była o urodzie i uczuciach bohaterów: najżarliwszy, najczulszy, niebiańska, nieskalana, boska, przepyszna, bezkresna itp. W ślad za tymi zachwytemi, komplementami, ozdobnikami musiała podążać realność – a więc rzeczowniki. One także były ze sfer najwyższych, w najlepszym gatunku. Wytworne dotrzymywały kroku ekstrawaganckim epitetom i sprzymierzane z nimi olśniewały czytelników światem luksusu, kreując upragniony świat nierealnej realności.

Ważną rolę w przyrządzaniu upajającej mikstury odgrywały nazwy własne – magiczne dla odbiorcy synonimy bogactwa i dostatku, a przy tym autentyczne: Riwiera, Monte Carlo, Adriatyk, Capri, Paryż, kasyno, kabaret, dancing, gondola, ordynat, baron, hrabia, księżna itd. Pojawiały się, równie wiarygodne, nazwy najwytworniejszych trunków, ras koni, rodzajów porcelan, gatunków tkanin. Obcowanie z nimi było jak poznawanie dworskiej etykiety, stanowiło dowód znawstwa i prestiżu.

Nie należy jednak sądzić, że przywoływanie pojedynczych słów z leksykonu pod tytułem „światowe życie” wyczerpywało pomysłowość pisarzy. Prawdziwą satysfakcję mogła dać twórcza inwencja artysty – zaczynając od neologizmów (np. „orkanna namiętność”, „przedodchłanne żądze”), poprzez zaskakująco „odświeżone” frazeologizmy („oczy jak sztylety, owinięte w aksamit, usta jak żywy żar pod miękkim mchem”), aż po samodzielne metafory, często komiczne od nadmiaru pomysłowości („Myśli jego, niby tygrysyce rozdrażnione, rzucały się po klatce czaszki piniącym warem”).

Romans popularny to nie tylko miraże, które przed oczami czytelnika roztaczał autor. To również iluzja realności, rzeczywistości, dostępności, bo jakże inaczej możliwa byłaby identyfikacja – wejście w rolę amanta, heroiny, kochanki, bohatera? Język dawał i tę szansę współuczestnictwa, rozporządzał całym arsenałem środków sugestii i perswazji. Oprócz wspomnianych już nazw własnych, które miały posmak autentyku, do niezawodnych chwytów należało użycie na pozór niewiele zmieniających, acz obdarzonych wielką siłą ekspresji, wyrażen typu: zawsze – nigdy, wszyscy – nikt, każdy – żadne, wszędzie – nigdzie. Nie należy sądzić, że w tej funkcji są one wyłącznie domeną literatury popularnej – wystarczy przypomnieć naszego wieszczka:

Na każdym miejscu i o każdej dobie,
 Gdziem z tobą płakał, gdziem się z tobą bawił,
 Wszędzie i zawsze będę ja przy Tobie
 Bom wszędzie cząstkę mej duszy zostawił⁵.

Na karty romansów sprowadzał je ich patetyczny charakter, zawarty w nich dramatyzm. Ponadto miały one inny walor – jak każda generalizacja wywoływały podświadomą reakcję pewności, stabilności, uniwersalności, a więc zaufania do przekazywanych treści. Odbiorca rozumował: „prawdą jest, że..., kłamstwem jest, że...” i wyobrażał sobie świat czarno-biały, w którym, wiedząc, co dobre i złe, łatwo dojść do celu, spełnić marzenia, zdobyć szczęście. Pomiedzy zawsze – wszędzie – każdy rozciągała się mityczna przestrzeń nadziei.

Zatrzymajmy się na chwilę w analizie romansu, aby zadać kolejne podchwytliwe pytanie: o artyzmie mówimy czy o rzemiośle? Oczywiście, że o rzemiośle, ale sprawnym. Mimo to wciąż mamy wątpliwości: dlaczego większość romansów powtarza te same schematy kompozycyjne i stylistyczne szablony? Przyczyn zapewne jest kilka, lecz trzeba pamiętać, że brak inwencji i nonszalanca wobec czytelnika to jedno, a realizacja jego oczekiwań, przyzwyczajień, to drugie. Kiedy idziemy do kina na melodramat, chcemy płakać, kiedy na film grozy, chcemy drżeć, a oglądając western, oczekujemy pełnej realizacji znanego schematu i wszelkie „ulepszenia” nas irytują.

Można również bronić prymitywnego czy, mówiąc subtelniej, mało odkrywczego języka romansu, rozumując podobnie jak bohaterka nowelki Pitigrillego przy lekturze listu kochanka. Zacytujmy ów bilecik i jej refleksje, co z pewnością przywróci nam dobry humor i położy kres rozterkom i mało-
 stkowej dociekliwości:

„To, czego chcę od ciebie, nie jest dreszczem, którego wszyscy mężczyźni żądają od wszystkich kobiet. Nie. Chcę tylko całować Twoją szyję, Twoje ramiona, piersi...”

– Wszyscy mężczyźni – komentowała Zuzanna – przysięgają, że przestaną na tym, a potem chcą więcej... Wszyscy mówią tak, i wszyscy

5 A. Mickiewicz, *Do M...*, w: Tegoż, *Poezje*, T. 1: *Poezje rozmaite 1817–1854*, Nakład Gubrynowicza i Syna, Lwów 1929.

po to, aby mieć to samo... Zresztą – skonkludowała – jest to sprawiedliwe. Bo skoro wszyscy chcą tego samego, byłoby absurdem, gdyby używali różnych słów⁶.

Słowa, styl, pomysłowość to walory, które zaczynały się liczyć, gdy w grę wchodziła wysoka stawka – tytuł. Wówczas rzeczywiście należało być oryginalnym, a z pewnością dwuznacznie interesującym. Tytuł miał być zapowiedzią i obietnicą, znaczący i prowokujący, zrozumiały, choć niebanalny. Autor sprzedawał na karcie tytułowej to, co mogło najpewniej zwabić czytelników: miłość, przygodę, skandal, nieodmiennie na plan pierwszy wysuwając erotykę (np. *Romans dyplomaty*, *Romans kurtyzany*, *Niebezpieczna kochanka*) lub sentymentalizm (np. *Magnesy serc*, *Blask miłości*, *Marnotrawcy miłości*). Do najlepszych należały tytuły nieco przewrotne, podszyte smaczkiem lektury na indeksie: *Słodysz grzechu*, *Uśmiech szatana*, *Zakazana miłość*. Jak istotną rolę odgrywał tytuł w handlowej ofercie, niech potwierdzi fakt, iż książka Józefa Maciejowskiego *Jabłko szatana* w II wydaniu pojawiła się pod zmienionym, charakterystycznym tytułem *Demon zmysłów*. Ważnym elementem w kampanii reklamowej był także podtytuł, dopowiadający, wyjaśniający, ekspresywnie pogłębiający pierwsze słowo autora do czytelnika: *Romantyczna historia malarza*, *Romans buduarowy*, *Romans kinematograficzny*, *Opowieść erotyczna*, *Historia miłości*, *Akordy zmysłowe*. Nie wiemy, czy wszystkie pomysły wyszły spod pióra samych pisarzy. Może wydawca wyposażał w nie tekst, który dla niego był przede wszystkim towarem? Dziś nie rozstrzygniemy już tego, ale bez względu na ich genezę trzeba przyznać, że niektóre były celne. Wystawione w witrynach księgarskich mogły być pokusą lub przynajmniej propozycją. Troska autora o sukces nie była więc odosobniona. Równie (a może i bardziej) zainteresowany był nim wydawca, i on również zapewniał książce odpowiednią reklamę. Sposoby były rozmaite – od spokojnych, rzeczowych informacji po krzykliwe, a nawet kłamliwe zapowiedzi, streszczenia i pseudorecenzje. Wszystkie chwytły były dozwolone. Nawet w na pozór najbardziej zobiektywizowanych notkach, posługujących się głównie liczbami, kryły się drobne nieścisłości. Oto na przykład reklama książek Ireny Zarzyckiej z 1928 roku:

⁶ Pitigrilli, *Jakanie*, w: Tegoż, *Luksusowe zwierzątka*, przeł. Z. Melicka, Alfa, Warszawa 1931, s. 87.

Tejże autorki:

Dzikuska (6 nakładów) – 80 000 egz.

Jawnogrzesznicza (3 nakłady) – 45 000 egz.

Kwiat jabłoni (2 nakłady) – 30 000 egz.

Chłopiec z Dalekiej Ojczyzny – 20 000 egz.

Okruchy Zakłętego Zwierciadła – 20 000 egz.

Córka wichru (w przygotowaniu)

W przeciągu 15 miesięcy – 215 000 egz.

Dalsze nakłady są wciąż odbijane.

Rekordy bez precedensu w Polsce!

Wystarczy wykonać prosty rachunek dodawania, aby przekonać się, że suma wynosi 195 000 egzemplarzy! Może liczba poniżej 200 000 źle wyglądała?

Z myślą o bardziej wykształconym odbiorcy stosowano reklamę „komparatystyczną”, wykorzystującą chwyt porównania bądź kontrastu. Powieść polską zestawiano z klasykami literatury zachodnioeuropejskiej. Padały określenia: polski Dekobra, Pitigrilli, nasz Margueritte, d'Annunzio itp. Podsycano ciekawość, a przede wszystkim snobizm czytelnika, który czuł się zdopingowany do przeczytania książki, a swój wybór postrzegał jako usprawiedliwiony. Na przykład:

Pędziwiatr – chłopczyca o niespokojnym profilu i złotej koronie rozwichrzonych włosów, o nienasyconym głodzie przygód, przestrzeni i miłości jest jakby przeciwstawieniem do głośniejszej bohaterki trylogii Margueritte'a. Chłopczyca polska jest piękna, czysta o nieskalanym umyśle i ciele, a życie obserwuje z ciekawością turysty.

Obce są jej drgania namiętności ukrytej, kocha mężczyznę subtelnie, jest nawet platoniczną żoną, by w końcu pójść za wiecznym instynktem kobiety [...] ⁷.

Oczywiście także przekłady beletrystyki były barwnie reklamowane, często nawet znacznie efektowniej aniżeli książki rodzimych pisarzy, których dobrze znał polski czytelnik. Oto jeden z przykładów:

⁷ Reklama powieści *Pędziwiatr* Marii Bochdan-Niedenthal zamieszczona w „Kurierze Księgarskim” w 1928 r.

ZOBELTITZ FEDOR

PRZEKLEŃSTWO LOSU

Na barwnym, tętniącym bujnym życiem tle Riwery i nowojorskich salonów, rozgrywa się, doskonale pod względem psychologicznym przeprowadzony dramat z życia amerykańskich miliarderów i niemieckiej arystokracji. Naturalny syn arystokraty, przeszedłszy okropne koleje, przybiera cudze nazwisko, żeni się z miliarderką i usiłuje dalszym życiem zmazać grzechy młodości. Jest to jedna z najlepszych powieści autora. Nawet epizodyczne postacie są tak bajecznie określone, że stoją przed nami jak żywe, jak starzy dobrzy znajomi. Tę opowieść czyta się jednym tchem. A dajemy ją czytelnikowi w bardzo dobrym przekładzie p. Ireny Łozińskiej⁸.

W latach 30. reklama bywa coraz agresywniejsza, nachalna, stylizowana na wzór notatki z brukowej gazety:

Wkrótce ukaże się fascynująca powieść współczesna pióra

MARKA ROMAŃSKIEGO

pt.

S P R A W A N R 777

Oto kilka fragmentów tematowych ze Sprawy Nr 777 ... miłość syna prokuratora i pięknej, lecz biednej ekspedientki ... brutalny szef napastujący swoją pracownicę erotycznymi propozycjami ... rozpaczliwa obrona... itd.⁹.

Najpotężniejszym sprzymierzeńcem literatury popularnej był film. Przeniesione na ekran romanse (*Trędowata*, *Gehenna*, *Iwonka*, *Niewolnica miłości*, *Dzikuska* – wyliczam tylko te, które znajdują się w *Antologii*) zapewniały kasowe sukcesy właścicielom kin, a autorom przysparzały splendoru. Związki filmu z powieścią (i *vice versa*) były bardzo znaczące na pewnym etapie rozwoju kultury masowej, co znalazło swe odbicie w schematach kompozycyjnych oraz wpłynęło na zmianę techniki opisu i budowania dialogów w literaturze.

⁸ Reklama zamieszczona w książce Pierre'a Louÿsa – P. Louÿs, *Psyché: powieść*, przeł. K. Bukowski, Wydawnictwo „Globus”, Lwów 1928.

⁹ Reklama dołączona do książki Ursuli Parrott – U. Parrott, *Osaczona*, Wydawnictwo „Unja”, Warszawa 1936.

Ekspresywna stylistyka reklam, sugestywne zachęty polegające m.in. na wyliczaniu motywów i wątków w powszechnym odczuciu uznawanych za niezwykle ekscytujące (idealna miłość, stracone złudzenia, kobieta nad przepaścią itp.) oraz retoryka perswazji odwołująca się do intelektu czytelnika – oto wyliczone na prawach przykładu chwytły, które miały jeden jedyny cel: z przechodnia uczynić nabywcę. Fakt, iż reklama bywała kłamliwa, a piszący notki często naprawdę nie znali książek i mylnie ich sens wykładali, nikomu nie przeszkadzał. Psychologiczny blef bądź szantaż musiał być skuteczny! To był jedyny cel reklamy. Wielka wyprzedaż uczuć, aby kupić dusze... I zarobić.

W zakończeniu nakreśliły jeszcze, choćby szkicowo, klimat umysłowy, w którym żyły czytelniczki romansów Heleny Mniszek, Juliusza Germana czy Ireny Zarzyckiej. Co „łykały” zamiast proszków nasennych, wiemy z kaba-retowej piosenki *Ja się boję sama spać*, lecz gdzie szukały rozrywki lub informacji niezbędnych w życiu? Otóż w samej Warszawie w latach 1920–1939 płeć piękna miała do wyboru m.in. następujące pisma: „Pani”, „Gazeta Kobieta”, „Ziemiańska Polska”, „Pani i On”, „Piękność i Zdrowie”, „Życie Kobiety”, „Pani Domu”, „Świat Dziewcząt”, „Świat Pięknej Pani”. Nie wymieniłam tu np. tygodnika „Bluszcz”, który ukazywał się już w XIX wieku. Warto wspomnieć, że osobne pisma, takie jak „Pracownica Polska” czy „Chrześcijańska Służąca Polska”, wydawano wtedy również dla służby domowej.

Jak widać, czasopism wyłącznie dla pań nie brakowało. W trosce o dobre maniery, czyli tzw. *bon ton*, kandydatki do tytułu „damy” mogły studiować jeszcze specjalistyczne dzieła. Na rynku księgarskim można było swobodnie wybierać. Z najbardziej znanych podręczników *savoir-vivre*’u należy wymienić: *Zwyczaję towarzyskie* Zygmunta Sarneckiego (*notabene* napisane jeszcze pod koniec XIX wieku), *Zwyczaję towarzyskie, podręcznik praktyczny dla pań i panów* Mieczysława Rościszewskiego oraz słynny *Polski kodeks honorowy* Władysława Bozewicza, dedykowany Józefowi Piłsudskiemu.

Dla czytelniczek o większej kulturze literackiej Tadeusz Boy-Żeleński tłumaczył arcydzieła literatury francuskiej, a Edward Boye przekładał literaturę włoską, np. *Dekameron* Boccaccia czy *Jak Nanna swą córeczkę Pippę na kurtyzanę kształciła* Pietra Aretina.

Wśród poradników wyróżniały się: *Podręcznik całowania* Juliana Ejsmonda, *Sztuka kochania* Owidiusza w przekładzie Ejsmonda oraz *Małżeństwo doskonale* Theodora van de Velde – poważny fachowy podręcznik dla tych, co rozsądnie do spraw cielesnych podchodzą.

Oczywiście wszystkie wymienione pozycje były surowo zakazane, o czym z pasją i furią donosili autorzy katolickich przewodników po literaturze: o Marian Pirożyński w *Co czytać* i wspominany już Czesław Lechicki w *Przewodniku po beletrystyce*. Mam wrażenie, że ich pełne oburzenia „recenzynki” były raczej zaproszeniem do lektury aniżeli ostrzeżeniem przed utratą przyzwoitości. Pogrożki brzmiały nieprzekonywająco w porównaniu z ukrytym smakoszostwem w opisywaniu nieprawości. Zacytujmy:

Dekobra Maurycy [...] Romanse jego składające się z błagi sensacji i pornografii nie należą do literatury w ścisłym znaczeniu. Jest to poszukiwany na rynku czytelniczym kawior słony a pieprzny, produkowany na eksport w celach merkantylnych¹⁰.

[...]

Margueritte Wiktor [...] Jest to świadomy pornograf o poważnych wszelako zapędach artystycznych a światopoglądzie przekonanego materialisty, nie wzdrygającego się przed restytuowaniem zwierzęcości w człowieku [...]¹¹.

No i jak tu nie chwalić Lechickiego, że tak troskliwie odsłania wszystkie zasadzki czyhające na lekkomyślnych czytelników? Trzeba zresztą obiektywnie przyznać, iż jego dzieło w dwudziestoleciu międzywojennym było najpełniejszym źródłem informacji na temat książek zakazanych. Żadna nie umknęła jego oku, wszystkie z uwagą przestudiował!

Sądzę, że i my po latach możemy niektóre z nich przeczytać. Zakładam, że każdy znajdzie tu dla siebie coś atrakcyjnego: trochę zabawy, trochę wzruszeń lub nawet „faktograficzną” wiedzę: Kto? Z kim? I dlaczego?

Będzie to mały spacer w przeszłość, niezobowiązujący, bez potrzeby stąpania na palcach i kontemplowania w skupieniu narodowych świętości. Można się śmiać lub płakać, komentować i krytykować, plotkować i parodiować, czytać od końca lub szybko lekturę porzucić. Bo chociaż romans popularny nie może być Stendhalowskim zwierciadłem przechadzającym się po gościńcu – myślę, że może być zwierciadłem z lunaparku, z gabinetu krzywych luster. Śmiejmy się zatem, pamiętając, że mistyfikacje i karykatury bywają pouczające.

¹⁰ C. Lechicki, *Przewodnik po beletrystyce...*, s. 80.

¹¹ Tamże, s. 147.

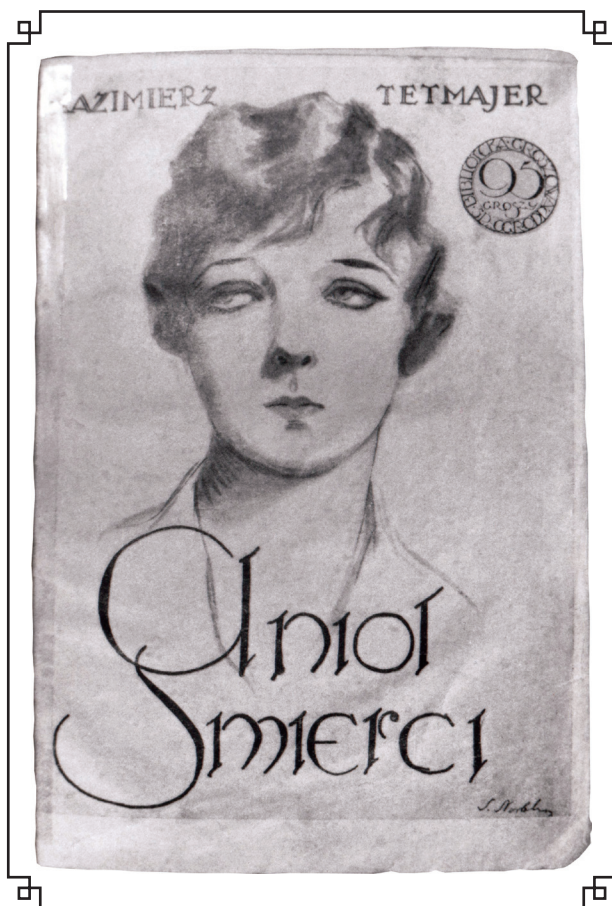
CZĘŚĆ DRUGA

Kazimierz Przerwa-Tetmajer

Anioł śmierci

Romans (1898*)

T. I i II



Ilustracja nr 1. Okładka powieści *Anioł śmierci* K. Przerwy-Tetmajera, wyd. Biblioteka Groszowa, Warszawa 1925. Autor ilustracji: S. Norblin.
Źródło: Fot. M. Bujnicka.

* Rok pierwszego wydania powieści.

— Nie, to jest, jak Boga kocham, prześliczna kobieta — rzekł Tężel, przestawszy nucić i cofając się parę kroków w tył od ściany, na której wisiał portret młodej panny w ciemnej sukni. — Jak Boga kocham, prześliczna kobieta — powtórzył i jeszcze się krok cofnął. — I co to za genialna bestia z tego Romka, żeby taki portret namalować! Tycjan by się nie powstydział, ale żeby znów Tycjanowi kazał kto rzeźbić, jak Romek!... Nie, jak Boga kocham, to jest ultrarenesansowy łeb...

Podszedł, nucąc drugą strofkę, do okna i odwróciwszy się odeń ku portretowi, rzekł całkiem poważnie:

— Słuchaj, ty nie wiesz, co to Romek jest, a jeżeli wiesz, to niezupełnie. Ładna jesteś, boś ładna, ale myślisz, żeby kto o tobie za czterdzieści albo za pięćdziesiąt lat wiedział? Pies by wiedział. A jak będziesz żoną Romka, za sto, za dwieście, za tysiąc lat będą wiedzieli, że panna Maria Tyżwiecka była żoną Romana Rdzawicza. To jest ultrarenesansowy łeb, mówię ci. A swoją drogą... Eh, aleś ty nawet na portrecie tego wiedzieć nie powinna. Tężel jest Tężel — i kwita!...

Gwiżdżąc trzecią strofkę, począł wielkimi krokami chodzić po pracowni, portret zaś wodził za nim uporczywie oczami. Tężel to czuł i znowu odwrócił się ku niemu.

— Jak żywa, jak żywa — szeptał — co to za genialny łeb! I co za śliczna kobieta!...

I jakby raz pierwszy tę twarz widział, jął się wpatrywać w przepyszne, ogromne, ciemnoblond włosy, lokami spadłe ku ramionom, w ściągłą, szczupłą twarz o matowym rumieńcu, z wielkimi, podłużnymi, ciemnoszafirowymi o złocistym blasku oczyma; o nosie prostym, cienkim i delikatnym, z płaszczyznami, jak u greckich posągów; ustach małych, wąskich, dziwnie regularnych, z górną wargą cokolwiek wzniesioną i brodzie dosyć krótkiej, klasycznie okrągłej. Głowa ta, na prześlicznej szyi, z odmalowanym poniżej, cokolwiek odsłoniętym biustem, miała dziwny wyraz melancholii i swawoli, zuchwalstwa i smutku, dzieciństwa i powagi, sentymentalizmu i zmysłowości, a miała w sobie nieujęty jakiś wdzięk, nieodparty czar.

— Czy ona jest piękna, czy bardziej czarująca? — mruczał Tężel. — Ale, że ta bestia Romek nie wraca! Ja, żebym miał taką narzeczoną,

toby mnie korkociągiem od niej nie wyciągnął, a ten już dwa tygodnie, kaduk wie, gdzie siedzi. Zachciało mu się wystawy w Wiedniu. A te ślicznoty czekają, czekają, stokrotkom listki rwą: „Przyjedzie... nie przyjedzie...”, a jego nie ma. A te ślicznoty... — tu Tężłowi bardzo mocno głos zadrżał. Zachnął się: — Tfu, do diaska!

Tężel, pomimo woli, spojrział w lustro, zobaczył swoją kwadratową, grubo ciosaną twarz o wystających kościach policzkowych, małych oczkach, perkatym nosie, szczeciniastych, płowych włosach i również szczeciniastych, płowych wąsach i swoje zwaliste ramiona, i odwróciwszy się z niesmakiem, poszedł ku oknu, obok którego stał stolik. Na stoliku leżał list w białej kwadratowej kopercie.

— To od niej — mruknął. — Psiakrew, są przecież szczęśliwi ludzie na świecie. Ale koperta nie jest taka, jak zawsze...

— Tężel! Jesteś tam, stara małpo! — ozwał się w tej chwili w drzwiach dźwięczny, wesoły, męski głos o niskim tonie i stanął w nich młody, około dwudziestu sześciu lat mężczyzna.

— Romek! — zawołał Tężel, podbiegając ku wchodzącemu z otwartymi ramionami.

— Jak się masz, Jędrzek? — rzekł Rdzawicz — tylko mnie nie zgnieć, niedźwiedziu.

— Zdrówes, Romek?

— Zdrowem. Jak się masz? Każ mi rzeczy znieść i zapłać dryndę. A cóż Marysieńka?

I Rdzawicz, zrzucając zamasyżście podróżną torebkę z ramienia, poszedł ku przeciwniejszej drzwiom ścianie, pod którą na trójnożnym, wysokim stoliku stało, sklezione z pokostowanych kartonów, umocowanych na deseczkach, wielkie pudło. Rdzawicz podniósł je ostrożnie. Ochraniało ono modelowane w gipsie popiersie młodej kobiety.

— Tężel, podobne to, co? Gdzieżeś ty? Aha!... Moje, moje śliczne, moje ty złote, serdeczne. Tężel, wróciłeś? Podobne to?

— Ba!

— Cóż „ba”! Gadaj: podobne?

— Cóż się pytasz, kiedy sam wiesz, że podobne.

— Bo wiesz, diablo trudno jest robić portret z portretu. I jeszcze z malowanego rzeźbić...

— Ale ty jej nie rzeźbisz z tego tam — odezwał się Tężeł cichym i jakimś wzruszonym, a usiłującym wzruszenie pokryć głosem — ty jej nie rzeźbisz z tego tam, coś namalował, tylko ze swego serca, bo ty ją masz w sercu...

Rdzawicz popatrzył nań wilgotnymi oczami.

— Tężeł, jak ty czasem ładnie mówisz — rzekł. — I jakże ja bym ją mógł inaczej robić? Podmalowałem portret w trzech dniach, a i to Bóg wie jak, bo przecież malarzem nie jestem, ani Buonarottim, co wszystko umiał. Nie mógłbym jej też rzeźbić, żebym jej w sercu nie miał. Mam tam każdy jej rys, każdą linijkę, każdy szczegół twarzy. Ale się też Rysia ucieszy! Jak już będę mniej więcej gotów ze szkicem, dopiero ją poproszę, żeby mi dopozowała do reszty, a potem w marmur! Czy to nie będzie piękny prezent ślubny? Co? Tężeł, ty stara małpo?!

Rdzawicz, porwawszy Tężła za ramiona, obrócił nim kilka razy po pracowni, zawadzając o krzesła, potem siadł, odetchnął i począł mówić:

— Masz wirginia. Tężeł, powiadam ci, co za wystawa! Jakie Niemcy! Co za Szwedy! Co za Hiszpany! Malarze mi się daleko więcej podobali, niż rzeźbiarze. Powiadam ci...

— Ale, ale — przerwał Tężeł — jest tu list.

— Od kogo? Co?

— A od kogóżby? Od panny Marii.

— Maryś złota! Iris moja! Dajże! Gdzie! Aha, tam...

I spostrzegłszy list, zerwał się i podbiegł ku stolikowi.

— Ależ, cóż to, jakaś inna koperta. Zawsze są podłużne, bladoróżowe albo heliotrop — mówił, rozcinając pilnikiem kopertę.

— I ja to samo zauważyłem.

— Teraz cicho siedź.

— Ba — ale w tej chwili Tężeł porwał się z krzesła i prawie krzyknął: Romek! Jezus, Maria? Co ci jest?

Rdzawicz stał się purpurowy, żyły nabrzmiały mu na czole, rozchyliły się usta i poczęły drżeć, a kark napęczał od napływu krwi.

— Romek, co ci jest? — wołał Tężeł.

Ten zaś zbladł, a raczej zsiniał, położył list na stole, chrapnęło mu coś i jęknęło w gardle, zachwiał się i cofnął.

Tężel osłupiał. Patrzył na Rdzawicza i widział, że temu pierś podnosi się coraz szybciej i ciężiej, jak u kogoś, co ma gwałtowny, astmatyczny atak, i że oczy stają mu się coraz bardziej nieruchome, coraz szersze i jakby błędne, ciało zaś całe drży i jakby pręży się w sobie. Nie mógł nic pojąć. Zrozumiał, że Rdzawiczowi stało się coś strasznego, ale nie mógł zrozumieć co? Na koniec Rdzawicz rzekł:

— Czytaj...

Tężel wziął ze stolika list i począł czytać. List brzmiał:

„Wiem, że sprawię Panu wielką przykrość, może nawet boleść. Wiem, że uczucie Pana do mnie nie jest tak silne, głębokie i trwałe, jak Ci się zdaje i jak sam w to może wierzysz, ale nie wątpię, że nie jestem Ci obojętną. Pisanie tego listu i dla mnie samej jest bardzo przykre. Pan wiedziałeś, że ja Pana nigdy istotnie nie kochałam, ja się łudziłam, brałam chwilowe wrażenie za prawdę, łudziliśmy się oboje. Dawno już walczyłam ze sobą, te dwa tygodnie pańskiej nieobecności zdecydowały mnie. Ja Ciebie nie kocham i zwracam Ci słowo. Przecież nie chcesz mi Pan wiązać świata. Listy i wszystko odeśle moja ciotka, jak Pan wróci. Ja jutro wyjeżdżam. A jeśli nie możesz beze mnie żyć, to się otrujmy.

D. 28 kwietnia 1894 r.

Maria Tyżwiecka”.

Tężel, przeczytawszy ten list, opuścił ręce i zdrętwiał. Ścisnęło go coś za gardło i chwyciło coś za włosy. A potem musiała mu przelecieć przez głowę jakaś myśl, która wydała mu się wstrętą, gdyż nagle, jakby płaza zobaczył, zachnął się, splunął i mruknął: — Tfy! Tężel!...

Rdzawicz zaś osunął się na kanapę twarzą w dół i leżał oddychając, jakby braknące powietrze chwycił ustami.

— Romek — ozwał się Tężel oszołomionym głosem.

Rdzawicz nie odpowiedział; leżał nieruchomy i chwycił powietrze.

Długa chwila zbiegła, nim odjął twarz i podniósł się nieco; Tężel wzdrygnął się — tak wyglądał.

— Co to jest? — szepnął. — Co się stało?

Tężel nie wiedział, co odpowiedzieć. Rdzawicz zaś wydobyl portfel z bocznej kieszeni ubrania, wyjął zeń list w podłużnej bladurórowej kopercie i podał go Tężłowi, mówiąc:

— Czytaj.

Tężel poczał czytać.

„Jedyny mój, najdroższy! Mój! Ty! Ti!

Okropnie cieszy, że Rom zrobił taką Dianę! Rom jest caca. Rom jest śliczny. Niech cieszy, że cieszy. Przyjdź zaraz. Rysi jest tęskno bez swojego pana.

Całuję lewe ocko.

Mój Ty! Taką mi sprawiłeś rozkosz. Mój geniuszu! Czy to może być, żebyś mnie Ty kochał? Za co mnie Ty kochasz? Jak Ty mnie możesz kochać? Czy to może być, żeby mnie tyle szczęścia spotykało? Czy ja jestem warta tego? Czy ja ci potrafię dać szczęście? Wszystko, byłeś Ty był szczęśliwy. Ja przestaję istnieć dla siebie. Jedyny mój, skarby moje, wszystko moje, życie moje! Chciałabym dla Ciebie ponieść jakąś wielką ofiarę, chciałabym cierpieć, umrzeć. Czuj dla mnie, co chcesz, ja Ciebie kocham! Mój Ty! Mój Ty! Mój!

Całe miasto mówi o Twojej Dianie. Nawet ciocia Porzelska jest wzruszona. Ja śmieję się i płaczę ze szczęścia. Całuję prawe oczko.

Nie myśl wcale, że dlatego Cię tak kocham, że tak mówią o Tobie. Kocham, bo kocham. Wszak tylko taka miłość jest coś warta? Ty sam tak mówisz, prawda?

Nie lękaj się. Będziemy szczęśliwi. Kobieta, kiedy kocha, świat zwali, a uszczęśliwi. A ja kocham.

Czuję się teraz lepszą, szlachetniejszą, mądrzejszą. Miłość takiego, jak Ty, człowieka, podnosi. Taka jestem dumna, że Cię kocham. Mój orle! Patrzę z góry na wszystkie inne panny. Ty mnie wybrałeś. Ty — mnie. Jedyny mój!

Nie byłeś już trzy dni — prawda, wyjeżdżałeś, po coś wyjeżdżał, Ty — niedobry?! Ti — przyjdź zaraz! Czekam Cię. Twoje bobo ceka i prosi. Czy cieszy, że zobaczy? Niech cieszy, bo cieszy. Kocha?

Byłam podczas Twojej nieobecności w teatrze. Nie chciałam iść, ale mnie gwałtem zabrali. Z początku strasznie mi było

smutno, że Ciebie nie ma, ale potem byłam kontenta, bo obok siedziała jakaś śliczna panna i byłbyś się z pewnością zakochał. Jesteś taki wrażliwy...

Całuję oba oci. Ti!

Kocha, kocha, kocha, kocha, kocha —

Twoja narzeczona
Rysia

P.S. Ma kota”.

Tężel położył list na stole.

— Z tym się nie rozstawałem — szepnął Rdzawicz, biorąc list i chowając go do portfelu. — I ta sama kobieta!... Jak można mnie tak odrzucać! Jak można! Jak można! Mario! Rysiu!...

Pochwycił go płacz, który przeszedł w spazmy.

Tężel był w rozpacz. Obejmował Rdzawicza rękoma, całował, tulił i czuł, że mu grube łzy cieką po twarzy, zarazem czuł, że nie wie naprawdę, co się stało, że mu się wszystko miesza w jakiś pogmatwany, potworny kłęb.

Nadszedł wieczór. Rdzawicz uspokoił się i zdawało się, że zasnął. Tężel zapalił lampę i spojrzał nań. Leżał na wznak ze zbielełymi, rozchylonymi ustami, blady jak trup i jak trup sztywny. Obrzmiałe, zaczerwienione powieki spoczywały na oczach bezwładnie.

— Śpi czy nie śpi? — myślał Tężel.

Zapalił papierosa i stuknął popielniczką. Rdzawicz nie ruszył się.

— Śpi — szepnął i odłożywszy papierosa, oparł przy stole czoło na rękach i począł patrzeć na leżącego.

— Śpi, chwała Bogu — szepnął znowu. — Biedny chłopak...

Nagle uczył, że go coś ciągnie w przeciwną stronę i odwrócił głowę — to portret panny Tyżwieckiej patrzył nań swymi wielkimi, ciemnoszafirowymi, o złocistym blasku, oczyma.

— Coś ty uczyniła?! — szepnął — coś ty uczyniła?!...

I porwał go na tę kobietę wściekły, szalony gniew; miał ochotę rzucić się na jej portret i podrzeć go, poszarpać na sztuki. Portret zaś patrzył nań uporczywie. Tężel utkwiał oczy w martwych, a patrzących

oczach – i spuścił swoje. Głowa mu opadła na piersi i czoło pofałdowało się w bruzdy.

Po chwili powstał, podszedł ku portretowi, zdjął go ze ściany i odwrócił ku niej. Po czym usiadł przy stole i włożywszy ręce w kieszenie, głowę zwiesił¹.

Tak oto, wprowadzając czytelników w samo epicentrum dramatu, zaczyna Tetmajer swój romans *Anioł śmierci*.

Tężel, nieurodziny chłopski syn, ma duszę całkiem różną od swojej aparycji – jest dobry, wrażliwy i prawy. Martwi się o przyjaciela, w którego rodzinie panowała „skłonność do melancholii”. Wie, że Rdzawicz ma ponadto „szalony, dziki temperament, heljogabalowskie rozuzdanie zmysłów, impet fantazji i pęd, a organizm stosunkowo wątły... Jak on to przetrzyma?...”². Znają się już osiem lat: Tężel szanuje i podziwia swego utalentowanego, wykształconego, z innej sfery kolegę, a Rdzawicz ceni jego przywiązanie, uczciwość i zdrowy rozsądek. Ich przyjaźń ma mocne podstawy. W charakterystyce Rdzawicza autor podkreśla szaloną żądzę używania życia, zmysłowość i lubieżność (wszystkie cechy odziedziczone po babce Hiszpance!). Pozwala to spodziewać się jakiejś niekonwencjonalnej fabuły, niestety, zapowiedzi te pozostają bez pokrycia. Przed oczami czytelników przesuwają się wiele interesujących kobiet, które byłyby nawet skłonne poflirtować z nieszczęśliwym, a zatem interesującym artystą, lecz on opętany jest tylko przez wspomnienia minionej miłości. Wszystkie damskie postaci pozostają więc zaledwie tłem tej – Jedynej. Rdzawicz zatopiony w przeszłości analizuje, przeżywa, cierpi, rozpacza, na koniec w stanie głębokiej depresji rozbija „Anioła życia” – rzeźbę, która wyrażała radość i szczęście kochania. Tym akcentem autor zamyka pierwszy rozdział romansu.

Nieszczęśliwego kochanka udaje się w końcu przyjaciółom zaopatrzyć w gotówkę i wyekspediować do Włoch. Listy, które otrzymuje Tężel między innymi z Palermo, Neapolu, Sorrento, Capri, Rzymu i Wenecji, dokładnie opowiadają kolejne stadia psychicznych rozterek. Rdzawicz wprowadza

¹ K. Przerwa-Tetmajer, *Anioł śmierci. Romans. Dwa tomy w jednym*, wyd. czwarte, Gebethner i Wolff, Gebethner i Sp., Warszawa-Kraków 1906, s. 1–10.

² Tamże, s. 11–12.

dochodzi do wniosku, że widać nie kochał Marii naprawdę – skoro nie umarł z bólu, jednakże ów stan względnej równowagi emocjonalnej nie trwa długo. Poszukując otuchy w Mickiewiczowskich doświadczeniach, zastanawia się, czy z Gustawa nie powinien przemienić się w Konrada. Jeden z jego listów będzie naśladowaniem Wielkiej Improwizacji!

Zdaje mi się, że mi się coś dzwiga w piersiach i ramionach, że mi coś zaczyna szumieć w głowie! Na Boga! W górę! Jest przecież duch! Gdyby przez tę ziemię przejść, jak wichur płomienny – zapalić, świecić i ogniami błyskać. [...] gdyby się wzbić i lecieć – lecieć w bezmiar jak orzeł, oszalałym lotem... Ha! Co za przestrzeń! Co za przestwór olbrzymi!... Dalej!... Dalej!... W nieskończoność, w wieczność...³

Rdzawicz decyduje się wrócić, choć ma pełną świadomość, że życie jego bezpowrotnie zostało okaleczone. Ma przeczucie nieuniknionej tragedii („spadnę i zginę”). Tę obsesję śmierci pogłębia fakt, iż na przyjęciu u znajomych pewien mężczyzna – Drewski – popełnia samobójstwo. W liście, który pozostawił, przepowiada także jemu nienaturalną śmierć. Rdzawicz jest jednocześnie wstrząśnięty i zafascynowany tym zdarzeniem. Czuje się nawet jakoś odpowiedzialny. Nieraz dyskutowali z Drewskim na temat wieczności, nicości itp. (*notabene* motyw „współudziału” w samobójczej śmierci jest w modernistycznej literaturze częsty, pojawia się on także u Germana w *Gwiazdzistej nocy*).

Dowiadujemy się tymczasem, że panna Tyżwiecka żyje tylko teraźniejszością. Znalazła sobie już pięknego i bogatego wielbiciela – Borzewskiego z Ukrainy. Rdzawicz przypadkowo ma okazję go widzieć, ocenić jego dżentelmeńskie zrównoważenie, wykwintne obycie, i dochodzi do wniosku, iż jest przy nim śmiesznym zerem. Aby oderwać się myślami od Marii, bez reszty poświęca się pracy. Wystawa w salonie Zachęty przynosi mu sukces. Przyjaciele, którzy przyjdą do jego pracowni, aby opowiedzieć o tym triumfie, oglądający zgromadzone prace, rozumieją, że wszystkie one są wyrazem „zniweczonej nadziei i zmiażdżonego pragnienia”.

³ Tamże, s. 60–61.

— A co to jest? — spytała pani Laura, wskazując palcem dużą bryłę białego marmuru, w której można się było domyśleć siedzącej postaci, w ten sposób, że prawa noga opierała się na lewym kolanie.

— To jeszcze nic nie jest, to dopiero będzie „Trucicielka”.

— Jak to „Trucicielka”?

— Ja mam zwyczaj wszystkie swoje kompozycje naprzód szkicować kredką na kartonach, więc jeżeli panie ciekawe, to proszę.

To mówiąc, odwrócił stojący tyłem do widzów na sztalugach wielki karton na blejtramie.

Rysunek przedstawiał młodą kobietę, z rozpuszczonymi długimi włosami, której draperia okrywała tylko nogi i zsuwała się z lewego biodra. Kobieta ta siedziała na omszonym gładzie, około którego rosły paprocie i na który wspinał się młody powój: z prawą nogą, opartą w przegubie kostki na lewym kolanie, trzymając w lewej ręce czarękę, a prawą wyciskając w nią sok z wilczych jagód. Pochyloną miała nieco głowę nad tą robotą, ale twarzy obejrzeć nie można było, gdyż widocznie namalowana pierwotnie, zamazana była kilku gwałtownymi pociągnięciami niebieską farbą.

— A cóż tam masz? — spytał Przerwic, podchodząc ku sporemu płótnu, naciągniętemu na blejtram, również grzbietem do widza.

— To? Mogę ci pokazać, ale ledwo naszkicowałem. Zdaje mi się, że to będzie mój najlepszy obraz.

Obrócił płótno, trzymając rękę na ramie; pani Laura, spojrzawszy, krzyknęła „ach!” jak przestraszone dziecko.

Obraz przedstawiał pokój, oświetlony ogromnym kandelabrem z mnóstwem świec, których blask odbijał się i dwoił w dużym zwierciadle na ścianie. Prawie w środku pokoju, pod ciemnoamarantowym o brudno żółtych koronkach *ciel de lit*, wśród szeroko rozwiniętych kotar, stało łóżko, narysowane w skróceniu, a światło świec padało nań jasne i wielkie. Obok łóżka, człowiek w szarym płaszczu prawie padał w tył i razem na kolana, wyrywając się równocześnie piersią naprzód, jakby chciał za kimś lecieć, z rękami załamanymi na czole i oczach, rozchylonymi wargami i zaciśniętymi, jakby w strasliwym bólu zębami; po prostu widać było, że się wali z szalonej rozpacz. Łóżko wraz

z tym człowiekiem było ku prawej stronie od widza, na lewo zaś od tej strony, ku której padający zwrócony był przodem, mając wzdłuż siebie łóżko i poza sobą poduszki, ściana jakby rozwiała się i w niezmierną, otwartą przestrzeń, w jakąś bladoróżaną o złotym odcieniu otchłan, odchodziła kobieta w białej sukni ślubnej z welonem i kameliami we włosach, zupełnie plastyczna, a równocześnie jakby wtapiająca się w tę bladoróżaną o złotym odcieniu rozwiej.

W ruchu tej kobiety, która mogła iść w nieskończoność, wiecznie taka rzeczywista i niknąca, taka kobieta-widmo i wiecznie w tej nieskończoności widzialna: była zupełna obojętność i zupełny spokój... Odchodziła w swej ślubnej sukni, z welonem i kameliami we włosach, jak cień lub jakby od rzeczy nieżywej... Tymczasem w tym człowieku, który i lecieć chciał za nią, i na kolana padał, jakby chciał za nią krzyknąć i w tył się walił: była przechodząca wszelką moc ludzką boleść, gruz rozpacz, druzgotanie i zgruchotanie wszystkiego, co ludzkie... Na łóżku zaś, poza nim, wśród otwartych kotar i w jasnym blasku świec, głową na poduszce, leżał udrapowany w ślubny welon szkielet kobiety, z szyderczym wyrazem kościanych szczęk i ciemnych oczodołów. Jedną rękę miał kokieteryjnie podłożoną pod twarz, drugą rzuconą na koldrę; nogi ginęły w cieniu.

Wrażenie było tak silne i tak niespodziewane, że Przerwiciowie i pani Bisza stali bez słowa; Rdzawicz, z ręką opartą na ramie płótna, mając w swoich stalowych oczach coś orlego, podobny był w tej chwili do muzyka, który wsłuchuje się w ostatni ton swej symfonii, gdy słuchacze, oniemieli z podziwu, ust jeszcze otworzyć od krzyku, ani rąk złożyć do brawa nie mogą i nie śmieją.

— Cudowne — szepnęła na koniec pani Bisza.

— Straszne — powtórzyła również szeptem pani Lola.

Przerwic milczał, a Tężel, promienisty, jak Apollo delficki, wodził kolejno oczyma po twarzach obecnych z miną triumfującego Cezara.

[...]

— A tu szkic do „Wampira”?

— Tak, pani.

Szkic ten przedstawiał krajobraz jesienny. Była żółtawa, zawiędła łąka i za nią, blisko, drzewa o ciemnych liściach. Słońce zniżało się bowiem i ostatnie wielkie, złotawe smugi i plamy płomienistego pąsu świeciły na niezmiernie czystym i błękitnym niebie. Na łące leżał mężczyzna w szarym płaszczu, podobnie, jak na poprzednim obrazie; widać było tylko czoło i oczy, resztę twarzy zasłaniała naga kobieta, klęcząca przy nim i zwrócona w szalenie zuchwałym ruchu i śmiałym skróceniu bokiem do publiczności. Kobieta ta miała bujne ciemno-blond włosy. Po mężczyzny przymkniętych oczach poznać można było, że śpi, a po fałdach czoła, ruchu figury i skurczu palców, że we śnie straszliwie cierpi. Kobieta bowiem klęczała przy nim, wbijała mu się ustami i zębami w gardło i wysysała zeń krew, której krople ciekły na trawę spod jej piersi. Wśród pierwszoplanowych drzew, wśród niebieskawych o zachodzie pniów brzozowych, w czarnej draperii, ze stalowym sierpem w ręku, ukazywała się trupia głowa śmierci z wyrazem zimnym i obojętnym. Cały nastrój obrazu miał w sobie coś niesłychanie smutnego i przygnębiającego.

— Ten szkic jest prawie skończonym obrazem — rzekł Przerwicz.

— A, bo ja pierwotnie ten miałem wystawić. Dopiero później namalowałem tamten, prawie dwa razy większy.

Pani Laura wodziła oczyma po obrazach i zauważyła, że między tymi dwoma kobietami i „Trucicielką” jest coś pokrewnego.

— Bo to jest ta sama kobieta — odparł Rdzawicz. — Ta sama modelka — dodał, jakby poprawiając się.

Pani Bisza uśmiechnęła się.

— Ona jest bardzo ładna, ta dziewczyna.

— O, tak, bardzo ładna! Ta dziewczyna jest ładniejsza, niż pani myśli — odparł Rdzawicz, wymawiając z naciskiem słowo „dziewczy-na”. — Zresztą, do figury pozuje mi kto inny.

— Jak to kto inny?

— Bo, widzi pani, w „Opuszczeniu” nie widać wcale, a w „Wampirze” prawie wcale twarzy kobiety, raczej zza włosów widać jej tak mało, że wszystko jedno, jaka jest twarz; w „Trucicielce” zaś jeszcze nie robię głowy.

– Więc to nie ta sama będzie panu pozowała do głowy?

– Nie.

– A skądże pan model weźmie?

Rdzawicz spojrział ze smutnym zdziwieniem na panią Biszę, a potem rzekł:

– Nie mam jeszcze modelki do głowy.

I jakby mimo woli oczy padły mu na nieduże płótno, odwrócone ku ścianie, Tężel zaś rzucił na panią Biszę z boku pełne niezadowolenia spojrzenie⁴.

Romantyczne w stylu obrazy Rdzawicza komplementuje jego kuzyn, poeta Przerwica, recytując wiersz:

Widzę, że nie jest On tylko robaków
Bogiem i tego stworzenia, co pełza;
On lubi szumny lot olbrzymich ptaków,
A rozhlukanych koni On nie kiełza!
On piórem z ognia jest dumnych szyszaków [...] ⁵.

Jest to oczywiście *Beniowski* Słowackiego, choć Tetmajer tak sytuje go w narracji powieści, że wygląda na wiersz Przerwica.

Przez pracownię Rdzawicza przewijają się różne, zręcznie przez pisarza portretowane, osoby. Niektóre scenki przypominają atmosferę studenckiego pokoju, opisaną przez Prusa w *Lalce*. Pojawia się również charakterystyczna dla świata cyganerii postać modelki:

Miała piękne, szare oczy, lekko orli regularny nos i bardzo szlachetny owal twarzy. [...] Miała przy tym w swoich szarych oczach dużo

⁴ Tamże, s. 144–150.

⁵ Tamże, s. 152.

sentymentu i tklivości. [...] Ciemnogrnatowy trykotowy stanik z białymi guziczkami, zapięty pod szyją srebrną broszką w kształcie listka z łądygą, obciskał jej krągłą, wysoką pierś i smukłą, a nie ścisną gorsetem talię, pod ciemną spódnicą zaś rysował się łuk wspaniałych bioder [...] ⁶.

To w jej ramionach Rdzawicz spróbuje znaleźć ukojenie, lecz daremnie. I znów powróci pytanie, czy może jeszcze potrafi wskrzesić miłość Marii, uratować ją nawet na przekór temu, co zaszło...

Rdzawicz pozostał sam.

Było mu źle do pęknięcia serca. Dziesięć już miesięcy nie widział Marii... Dziesięć miesięcy... Dłużej już jej nie widzi, niż był z nią, prawie dwa razy dłużej... I przez ten czas nie zmieniło się w nim nic: żyje jedną tylko myślą i jednym uczuciem. I tylko coraz bardziej wzmacnia się w nim świadomość straszliwej bezsilności, absolutnej niemoicy wobec kwestii jego stosunku do Marii. Nie może zrobić nic, jest odcięty od niej murem jej woli i społecznego konwensu i może pod tym murem zginąć, a przekroczyć go nie może. Wszystko mu wolno – przyłożyć sobie w tej chwili rewolwer do skroni i pociągnąć cyngiel, roztrzaskać głowę o ścianę, rzucić wszystko i wyjechać na zawsze, wolno mu szukać rozkoszy czy miłości, gdzie chce, tylko nie wolno mu spytać Marii: – nie przestałem cię kochać – czy nie chcesz wrócić?... I to nie tyle jej wola między nimi stoi, ile społeczny konwens, społeczny układ, który człowieka w podobnym położeniu, jak on, wykreśla z pamięci kobiety i wpisuje w poczet dla niej umarłych ludzi. Nie może zaś chyba być, żeby on naprawdę przestał dla niej istnieć, żeby już rzeczywiście umarł dla niej... Dała mu tyle dowodów miłości – mogła go przestać kochać, ale kochała go – a tak, jak przestała, tak samo może go zacząć kochać na nowo... A Borzewski? Borzewski może być naprawdę dla Marii niczym. Nieraz mówiła mu, kiedy rozmawiali

6 Tamże, s. 157–158.

ze sobą poufnie, że podejrzewano ją często o zajęcie się ludźmi, którzy jej byli w istocie najzupełniej obojętni. Lubiała flirt i przyznawała się do tego. Borzewski może być takim flirtem i w istocie niczym dla Marii. Gdyby napisać do niej?... Napisać?... Nic łatwiejszego. Jakież jednak odpowiedzi może się spodziewać? Gdyby Maria chciała do niego wrócić, mogła była dać mu to do poznania na sto sposobów. Tak, ale konwenans społeczny powiada, że kobiecie w podobnych razach nie wypada robić pierwszych kroków... Można więc komuś życie złamać i sobie życie złamać dlatego, że nie wypada czegoś zrobić. Ba! można kogoś dlatego zabić.

Gdyby był się Marii po dwóch lub trzech tygodniach znajomości oświadczył i dostał odmowną odpowiedź, mógłby być, na przykład, po dwóch lub trzech miesiącach, po roku czy kiedykolwiek, próbę powtórzyć — tymczasem teraz, po stu wyznaniach, stu przysięgach i stu uściskach, jest dla niej jakby umarłym człowiekiem i ma nim pozostać na zawsze, chybaby naprawdę cud go wskrzesił...⁷.

Rdzawicz na szczęście ma swoją sztukę i... sławę. Dostał właśnie zaproszenie na raut wraz z bukietem kwiatów od jakiejś bezimiennej wielbielki. Początkowo odrzucił myśl pójścia gdziekolwiek, lecz potem zmienił zamiar: „– Cóż mi to szkodzi – myślał – niechże się »obetkam tą sławą, jak kot salcesonem«”⁸. Znajomi mówili mu, że Maria wyjechała, więc śmiało może pójść. Tężel szybko zorganizował dla niego nowe „rękawiczki i krawatę” i we fraku – zdaniem przyjaciela niczym lord – udał się na przyjęcie. Po drodze snuł szalone plany zawojowania wszystkich kobiet i zaimponowania wszystkim mężczyznom, jednakże gdy wszedł do sali, poczuł się mniej „królewski”. Na szczęście był kuzyn z żoną, ich znajomi, były także dwie młode dziewczyny, które bardzo pragnęły poznać zdolnego rzeźbiarza. Rdzawicz z rozbawieniem słuchał ich śpiewnego akcentu (panny Rosieńskie pochodziły ze Wschodu), przyglądając się z zaciekawieniem, a nawet z przyjemnością.

⁷ Tamże, s. 162–164.

⁸ Tamże, s. 168.

Rdzawicz, który dotąd przypatrywał się głównie swojej sąsiadce, ślicznej szesnastoletniej brunetce o czarnych z zielonym połyskiem żrenicach na niebieskawych białkach pod olbrzymimi rzęsami, patrzących z zupełnie legendową naiwnością na świat, spojrzał teraz na drugą pannę Rosieńską, siedzącą między ojcem a panią Biszą. Oczy ich spotkały się i chwilę zatrzymały na sobie, po czym panna przysłoniła swoje powiekami o równie ogromnych, ciemnych rzęsach, jak u siostry.

Ta mogła mieć lat osiemnaście, była szatynką, lekko bladą, o szaroniebieskich oczach, dużych i głębokich, a oczy te uczyniły od razu wrażenie na Rdzawiczu, że można w nie iść, jak w las; rysy miała delikatne, mniej ładne, niż u siostry, ale zwracające od razu uwagę, zwłaszcza nos miała śliczny, trochę orli, i przepyszne, wiśniowej, ciemnej barwy usta, takie, o których się mówi, że są „stworzone do pocałunków”. Białą miała szyję, pełny, szlachetny biust i wąską rękę. Twarz jej, blada i wytworna, miała w sobie jakiś smutek, jakąś w wyrazie myśl tęskną i pragnącą, a utajoną, i ten wyraz był przede wszystkim wymową jej twarzy.

W tej dziewczynie coś się wewnątrz pali i to nie jest pierwsza lepsza z brzegu — pomyślał Rdzawicz, któremu jej uroda od razu podziała na zmysły⁹.

[...]

Przed wszystkim uderzało go w niej to, że była niesłychanie czysta; głębokie oczy i jej godne, równo sklepione czoło czyniły wrażenie, jakby przez nie nigdy nie przechodziła żadna myśl brudna, niska i niegodna, gdy natomiast usta wołały: — pragnę!... Ta dziewczyna wydawała mu się, jakby kwiat o świcie, kiedy jeszcze mgły poranne wiszą nad ziemią, ale już perleją i prześlacają się w słonecznym wschodzie i kiedy krople rosy na kwiatach poczynają brać w siebie blask i świecić. O tej porze kwiaty są tak czyste, jak nigdy, i woń mają świeżą i śliczną, choć kolory jeszcze nie rozbudzone i jakby trwożne. Są przy tym jakieś smutne i dziwnie ciche.

Rdzawicz czuł, że jakaś żądza przyłgnięcia do tej dziewczyny ogarnia go coraz silniej. Uczucie, jakiego doznawał, było dlań całkiem nowe,

⁹ Tamże, s. 175–176.

bo jeżeli z jednej strony pożądał jej zmysłami, to z drugiej szedł od niej ku niemu jakiś spokój duchowy i czystość jej myśli jakby przelewała mu się od niej w duszę. Był to czar, jakiego nie znał dotąd – czar łąki, pełnej słodkich zapachów i łagodnych barw, czar przyrody zupełnie takiej, jak jest, żywiołowej, prostej i tą prostotą jakby świętej. Żadnej kokieterii, żadnej sztuki nie widział w pannie Rosieńskiej; zdawało mu się, kiedy patrzył na jej usta, że ona lada chwila mogłaby wyciągnąć do kogoś ręce, założyć mu je na szyję i powiedzieć głośno wśród całego tłumu: „Kocham, bo mi to jest wrodzone...” – gdy, patrząc na jej oczy i czoło, widział wstyd kobiecy i dumę, które w niej wyrobiła cywilizacja i które w niej musiały być bardzo silne.

Stała ze schyloną trochę głową, dotykając ust skrajem wachlarza, podobna razem do Charyty i Diany. Rdzawicz czuł, jak mu się coś wewnątrz, w piersiach, pochyla ku tej dziewczynie; spojrzał na nią, a równocześnie ona podniosła nań z pod wielkich rzęs swoje głębokie oczy. Ciepło ogarnęło Rdzawicza, albowiem przez jedno ledwo dostrzegalne mgnienie te oczy coś mu chciały powiedzieć, po czym znów stały się ciche, łagodne i smętne i przysłoniły się powiekami o ogromnych rzęsach. Cicha i dumna czystość spała niebudzona na czole panny Rosieńskiej, zaś jej wiśniowe i jakby do pocałunków stworzone usta wołały: pragnę!...¹⁰.

Ela Rosieńska zrobiła na Rdzawiczu wielkie wrażenie. Nie wiedział, czy ją kocha, czy jej pragnie, ale był pewien, „że ta kobieta, która pobudza go do najwyższej ekstazy zmysłów, jaką czuł kiedykolwiek, jest zarazem najczystszej kobietą, jaką kiedykolwiek spotkał”¹¹.

Z prowadzonych na raucie rozmów dowiadujemy się, że pani Laura, żona Przerwica, bardzo jest rada, że efekt jej małej intrygi jest tak pomyślny. Ma nadzieję, iż Ela mogłaby uleczyć artystę z jego melancholii, a może nawet dać mu szczęście.

¹⁰ Tamże, s. 184–186.

¹¹ Tamże, s. 189.

— Bardzo bym chciała, żeby pan był szczęśliwy.

— A czy, gdyby było potrzeba dorzucić jedną cegielkę do mego szczęścia, dorzuciłaby pani? — spytał, czując, że mu trochę drga głos.

— Tak — odrzekła Ela, zniżając powieki.

— Czy dlatego, że pani jest dobra i że pani uczyniłaby to dla każdego?

Powieki Eli opadły jeszcze niżej i te usta, których rzeźba wołała: pragnę!..., także zadrgały nieco, jak jemu głos. Wówczas on czuł, że go opanowało dziwne wzruszenie i dziwna śmiałość i korzystając, że suknie pani Biszy i Laury osłaniały ich sobą, nieznacznym ruchem wyciągnął dłoń ku opuszczonej wzdłuż biodra ręce Eli z wachlarzem i ujął ją razem trwożnie i namiętnie.

Na twarz panny Rosieńskiej uderzyła cała fala krwi i szarpnęła ręką, aby się wyrwać, ale on przytrzymał ją, po czym ręka ta spoczęła w jego dłoni, jakby wysilona, omdlała i bezwładna. Puścił ją i spojrzał na Elę: na twarzy jej nie było ani oburzenia, ani gniewu lub niechęci, tylko obudzony ogromny wstyd... Rdzawicz uczuł głęboki żal, że go obudził... Ona już nie jest tym, czym była — pomyślał, mając to wrażenie, jakby coś zniszczył lub zepsuł. Szukał jej oczu i wreszcie, jakby zamagnetyzowana, Ela podniosła je na niego: były smutne, wilgotne i bardzo wzruszone, ale nie odpychały, owszem, jakby oddawały mu ją całą spojrzeniem. Rdzawicz zrozumiał, że ta dziewczyna wierzy, że kobietę tak za rękę może wziąć tylko mężczyzna, który ją kocha, i że kobieta, która pozwoli zatrzymać dłoń swoją w dłoni mężczyzny, powinna i musi do niego należeć. Moje święte dziecko — myślał z rozrzewnieniem, doznając uczucia, jak żeby mu się kwiat rozwijał w dłoniach. Nie czuł też w tej chwili względem Eli nic, tylko niezmierną rzewność i dobrą wolę, oraz wielkie święte zobowiązanie, rycerski i konieczny obowiązek, a w sobie czuł niezmierną błogość. Moje święte dziecko — powtarzał w myśli — anielstwo moje, moje ty biedne, małe moje ty, ti... za ten jeden uścisk całe moje życie ci dam!... Czuł, że powiedzieć w tej chwili cokolwiek, byłoby to zepsuć czar, jakiemu równego nie znał; milczał więc, ona zaś pod wpływem jego spojrzenia jakby pochylała się ku niemu i czuł, że jest jego...

Wtem spostrzegł, że pani Laura, która odwróciła się ku Morskiemu, nadchodzącemu właśnie z boku pasażu, stała się nagle cała pąsowa i usłyszał, jak Morski odezwał się do niej:

— Cóż to za śliczna osoba? Któż to jest?

Obejrzał się i o jakie osiem lub dziesięć kroków od siebie, w pasażu, ujrzał stojącego Borzewskiego z panią Porzelską, obok zaś Kołolaskiego, pannę Strzeliską i Marię. Uczyniło mu się ciemno i oddech mu się zaparł, a w mózgu, jakby w czarnej jakiejś otchłani, zawirowały mu nagle płomieniste zygzaki: To ona!... Maria... moja narzeczona... ona... tak dawno jej nie widziałem... to ona...

Nie wiedział, dlaczego nie pada i dlaczego wszystko nie zapada się wokoło... Kiedy otworzył oczy czy na nowo przejrzał, bo sam sobie sprawy z tego nie zdawał, zobaczył, że Maria, stojąc doń cokolwiek bokiem i nie widząc go, rozmawia żywo i kokieteryjnie z Kołolaskim, równocześnie rzucając spojrzenia na Borzewskiego; w tyle spostrzegł dwóch brunetów z „lejbguardii”¹².

Być może rozbawiona i adorowana przez cały tłum wielbicieli Maria wcale nie zauważyłaby swego eksnarzeczonego, gdyby nie panna Strzeliska. Ujrzawszy go, skinęła współczująco głową, a Maria, widząc jej gest, obróciła się.

Na twarzy jej zapalił się rumieniec i drgnęła w tył ciałem; jemu zaś serce chciało pierś rozsadzić.

Stali naprzeciw siebie, zaskoczeni nawzajem swoim widokiem, ona, która przysięgała mu, że go nigdy nie opuści i pozwalala się cisnąć do piersi, i on, który na przysięgi te odpowiadał przysięgami, brał jej stopy w ręce i całował je i miał ją mieć swoją na zawsze. Czuł, że słabnie i jeżeli nie zapanuje nad sobą albo nie oprze się na kimś, padnie¹³.

[...]

¹² Tamże, s. 222–224.

¹³ Tamże, s. 225.

Rdzawicz poszedł do bufetu, aby gdzieś pójść, aby gdzieś odłączyć się, zejść z oczu i być samym. Skronie pulsowały mu i na wargi wystąpiła spiekota; czuł razem gorączkę i zimne dreszcze. Miał wrażenie, jak w pierwszych chwilach po zerwaniu, że wszystko runęło dokoła i że on sam runął w otchłań.

Siedział z czołem opartym na rękach, zapomniawszy, gdzie się znajduje; ocknął się dopiero, kiedy garson zapytał go, czy każe sobie co podać? Starał się ogarnąć, ovladnąć i związać myśli, które wirowały mu w głowie, jakby mózg jego rozprysł się na sztuki.

— Zobaczysz ją!... Jeszcze ją zobaczysz!... To ona!...

Chciał wstać, ale na powrót usiadł — brakło mu odwagi, bał się sam siebie, wrażenia, którego miał doznać. Siedział znów chwilę, a w głowie rosło mu coraz bardziej pragnienie: Zobaczysz ją!... Jeszcze ją zobaczysz!...

Zresztą, jeżeli tak się zmieszała, ujrzawszy go, to widocznie nie zapomniła, widocznie pamięta... Takiej przeszłości, takich chwil nie mogła zapomnieć... Musi się czuć z nim związaną na zawsze... Może jutro da mu znać, że chce go widzieć, że chce, aby on wrócił do niej... Może potrzeba było właśnie w tej chwili spotkania, aby wszystko, co upadło, powstało z gruzów na nowo... Ona jest tam!... Ona... Ona... Ona...

Wszedł na salę. Dosyć długą chwilę błędził po niej, nim wreszcie ujrzał Marię, nieopodal estrady, w tym samym towarzystwie, co poprzednio, tylko jeszcze jakiś młody człowiek stał przed nią, a ona rozmawiała z nim tak, jakby go na całe życie zdobyć chciała, gdy on widocznie tonął w niej zupełnie, opętany nieodpartym czarem tej kobiety. Rdzawicz uczył, jak mu się kąty ust ściągają w dół na wewnątrz i podsunął się, nie zważając na nic, ślepy na skierowane ku sobie spojrzenia pani Porzelskiej i panny Strzeliskiej. Maria spostrzegła go: ani na twarzy jej, ani w oczach nie odbiło się już teraz żadne wrażenie; mówiła dalej, nie patrząc więcej w jego stronę. Wówczas on czuł ból, jakby mu ptak drapieżny wbił szpon w serce, w wargach zadrgało mu: — Ja nie istnieję dla niej! — i wyszedł z sali prawie nieprzytomny.

Ubrał się, wydostał na ulicę i wsiadł w dorożkę, nie wiedząc, kiedy to czyni — nie myślał nic i nic nie czuł — spadła nań zupełna ciemność. Nagle znalazł się przed drzwiami swego domu: wszedł nie do mieszkania, lecz do pracowni i zapalił wszystkie lampy i świece, jakie tam były. Pracownia stanęła w świetle, które padło na nagrobek Drewskiego, na „Trucicielkę”, na szkic do „Wampira” i „Opuszczenie”, odwrócone na sztalugach frontem. Wówczas cisnął szapoklak o ziemię i kopnął go w kąt pokoju, zrzucił na podłogę paltot i podniósł pięść w górę, jakby groził. Straszliwy gniew, straszliwa chęć zemsty, straszliwe uniesienie i poczucie własnej siły porwało go. Z zaciśniętych zębów wydobyła mu się na usta biała piana, a pierś oddychała gwałtownie i głośno. Chwycił ze ściany portret Marii, rzucił na ziemię i nogą uderzył. Zarazem w głowie szumiało mu i huczało i czuł, że w nim coś potwornego rodzi ból, gniew i chęć zemsty. Nagle, jakby mu skrzydła wydarły się z ramion i rozpełtały nad głową... Pochwycił blejtram z naklejonym świeżo kartonem, oparł na sztalugach i począł rysować. Pod ręką jego rósł kształt z niesłychaną szybkością. Na ziemi leżał mężczyzna w płaszczu, z zasłoniętą twarzą, tak jak w „Wampirze”, nad nim zaś stała kobieta, oparta jedną nogą na jego piersiach, drugą występująca naprzód i obu rękami odsłaniająca z draperii nagi przód ciała, w ruchu wyzywającym hetery, jakby mówiła: dalej! dalej!... Twarz jej była twarzą Marii, narysowaną z pamięci, ale zrobioną jakby w halucynacji i tak podobną, jak leżący na ziemi portret. Pod spodem napisał wielkimi literami:

ANIOŁ ŚMIERCI

Po czym doznał dziwnego wrażenia, jakiego nigdy jeszcze nie doznawał: oto na moment stracił zupełnie świadomość siebie, nie tak jednak, jak się traci pod zbyt silnym wrażeniem, ale tak, jakby mózg przestał istnieć w człowieku; wzdrygnął się i przeląkł, omdlenie to bowiem mózgowe miało w sobie coś strasznego i złowrogiego, podobnego do żywej śmierci, do śmierci duszy w żywym ciele — i wysilony, zmęczony, ale jakiś szalenie, dziko triumfujący, padł na szezlong.

Przed oczyma jego zamajaczyła blada twarz Eli Rosieńskiej, o oczach dużych, głębokich i smutnych, pod ogromnymi rzęsami,

i o wiśniowych ustach, które wołały: pragnę... Roześmiał się wzgardliwie i opuszczając ręce w dół, ku ziemi, przymknął powieki¹⁴.

Rdzawicz z pasją pracował. W ogóle nie wychodził, z nikim się nie spotykał. Żyjąc na granicy rzeczywistości i halucynacji, rzeźbił „Anioła śmierci”. Tetmajer, jak przystało na modernistycznego pisarza, szczegółowo opisuje twórcze męki artysty, sublimację erotycznego pragnienia w Sztukę. Napaady szaleństwa i twórczej erupcji tak go wyczerpały, że rozchorował się „na mózg”. Prawie miesiąc nie odzyskiwał przytomności. Ta dłuższa rozłaka z Elą Rosieńską sprawiła, że „urok, jaki miała dla niego chwilowo, przeminął zupełnie”. Rdzawicz ma wyrzuty, że zrobił krzywdę tej czystej dziewczynie, że „czegoś w niej nadużył”. Powraca także obsesyjnie do ostatniego spotkania z Marią, albowiem zrozumiał wówczas, iż „jeżeli można przestać kochać, to się nigdy nie zapomni upokorzenia”¹⁵. Nie pomogła nawet psychoterapia, którą zastosowała jej kuzynka, a zarazem dama do towarzystwa, Jadwiga Strzeliska, opowiadając mu o burzliwych perypetiach sercowych Marii, o zerwanym narzeczeństwie i projektowanym małżeństwie z rozsądku. Skończyła, zresztą podsumowując: „Marynia naprawdę nie kocha nikogo i nic, tylko swoją urodę i to, że się ludzie w tej urodzie kochają”¹⁶.

Warto zauważyć, że Tetmajer właściwie raz za razem kompromituje bohaterkę romansu, przedmiot gwałtownej namiętności bohatera. Ta kobieta fatalna – bo taką postacią jest Maria – w istocie okazuje się głupia i płytka. A mimo to wygrywa z subtelną, wrażliwą, dobrą i również piękną Elą Rosieńską. Ostentacyjne zanegowanie romansowych stereotypów nastąpi później, w *Romanie panny Opolskiej*, choć już teraz, w tej pierwszej powieści pisanej w celach zarobkowych widzimy nieco drwiące potraktowanie konwencjonalnych schematów.

Wróćmy do panny Strzeliskiej, w której usta autor wkłada opinię na temat męsko-damskich relacji we współczesnym mu czasie i środowisku:

¹⁴ Tamże, s. 228–231.

¹⁵ Tamże, s. 247.

¹⁶ Tamże, s. 263.

Ale kobiety są słabsze i chcą to czuć w stosunku do mężczyzn. One panują tym, że się je traktuje jako słabsze. Kobieta lubi rozkazać prośbą, ale prosić rozkazem, to jest wasza rzecz. [...] Takiej kobiecie, w której jest więcej ciała, niż duszy, trzeba przede wszystkim podobać się z powierzchowności i trzeba to rozumieć, że u nas Polek salon więcej znaczy, niż pokój sypialny, jadalny i gabinet do czytania, a świetność domu więcej, niż szczęście w nim¹⁷.

Na koniec Rdzawicz został jeszcze nie tylko pouczony, ale i skarcony, że patrzy „na życie jak pensjonarka” i bardzo dobrze, że Maria z nim zerwała, bo „swoją parafiańską moralnością” zamknąłby przed nią świat. Nie dziwne, że po tej rozmowie ponownie zatęsknił za prostotą uczuć i zdecydował się wyjechać z Przerwicami na wieś, do Rosieńskich. Tam otrzymuje wiadomość od Tęźła o swym niebywałym sukcesie na międzynarodowej wystawie w Monachium. Krytycy uważają, że „od czasów Berniniego nie było takiego rzeźbiarskiego talentu”. Rozpiera go radość, lecz nie ma jej z kim podzielić. Wszyscy dookoła są jakby zajęci tylko sobą, szczęśliwi, gdy on odczuwa samotność i obcość. Błąkając się wieczorem po parku, dostrzega na ganku równie samotną postać. To Ela. Prosi, by z nim pozostała, gdyż boi się smutku i pustki. Próbują coś sobie wyjaśnić, coś nieokreślonego, co w ostatnich dniach ich rozdzieliło.

Ela schyliła głowę i wyszeptała raczej, niż powiedziała głośno:

— Być może, że zrobiłam panu wtedy jaką przykrość...

W jej głosie, w jej postawie, w całej niej było to zupełne poddanie się jakiejś, które ma kobieta tylko wtenczas, kiedy bardzo kocha. Rdzawiczowi ogień przeleciał żyły; sam sobie nie zdawał sprawy, dlaczego ukląkł przed Elą i przycisnął obie jej ręce do ust.

Ona zadrżała całym ciałem i usiłowała mu znów wyrwać dłonie, ale kiedy odjął usta i przycisnął do nich czoło, one jakby omdlały w jego rękach.

¹⁷ Tamże, s. 272–273.

Kłęczał, nie myśląc nic, nie zastanawiając się nad niczym, z tym jednym tylko uczuciem, że kłęczał przed kobietą. Czuł, że bez względu na to, kto jest ta kobieta, życie by za nią dał w tej chwili, za to tylko, że jest i przy nim.

Jej zaś ręce stawały się w jego rękach coraz więcej bezwładne i jakby senne; ujął je głębiej — nie broniły się.

Wtedy powstał, puścił jedną z nich i objął oba ramiona Eli: drgnęła, jakby ocucona, i oparłszy mu rękę na piersiach, widocznie instynktownym i uprzedzającym jeszcze jej wolę ruchem, chciała go odepchnąć; ale on przycisnął usta do jej dłoni, którą trzymał, a potem przycisnął znów do niej czoło, jak pierwaj, kiedy kłęczał — i Ela, z ręką, opartą o jego piersi, jakby urzeczona, osunęła się nieco w tył.

Rdzawicz stracił świadomość siebie: krew zakipiała w nim, przygarnął Elę ku sobie i nachylił się nad nią: zwiśla mu bezwładnie na rękę, jakby tracąc przytomność.

Znalazł jej drobne, wilgotne usta i położył na nich swoje, w których czuł płomień, a potem bezwładną posadził na ławeczce gankowej, ukląkł przed nią i całował jej ręce i suknię. Ciało Eli począł wstrząsać dreszcz i palce jej, widocznie nieświadome tego, co robią, poczęły błędzić po jego twarzy, szyi i włosach.

Rdzawicz, pomimo całego uniesienia, lękał się chwili, kiedy Ela się ocknie z tej półnieprzytomności: usiadł koło niej, objął jej głowę ku sobie i począł ją głaskać po policzku, jak dziecko, które się chce uspokoić i utulić. Nagle Ela wybuchnęła szalonym, gdzieś z pod serca rwącym się płaczem.

Wysunęła się z objęcia, pochyliła głowę ku kolanom i szlochała na głos; był to prawie jęk, pełen rozpacz, bólu i zapamiętania się.

— Elu, Elu — szeptał Rdzawicz przerażony tym płaczem, który trwał długo i uhamować się nie dał.

Wreszcie Ela otarła łzy i wstała z ławki — nie śmiał jej zatrzymywać, ani tknąć. Chciała odejść, ale nagle, jakby jakąś przemożną i niezwalczoną siłą pchniętą, zwróciła się ku niemu i upadła mu twarzą na piersi, wybuchając ponownie płaczem. Czuł, że w nim samym szuka przed nim ratunku.

— Kochasz mnie? — szepnął.

— Nad życie! — odpowiedziała wśród łkań.

Wtedy on doznał dziwnego wrażenia dotkliwej przykrości; on sam miał w sobie dla niej w tej chwili wszystko, co dla kobiety mieć w sobie można, oprócz kochania. Jeden nerw uczucia w sercu mu nie drgał.

Czuł się winnym, przede wszystkim winnym, przy tym po prostu nie wiedział, co zrobić.

— Nie kochaj mnie! — szepnął. — Nie jestem tego wart i sam kochać ciebie nie mogę.

— To też ja nie chcę żyć! — jęknęła Ela.

— Dziecko — przerwał jej, czując, że mu się gardło ściska. Pierwszy raz w życiu czuł się kochanym przez kobietę naprawdę i czuł, że tej miłości jest taki ogrom, iż go przygniata i prawie zgina. Przeląkł się tej potęgi, która ogarnęła go nagle, jak morze — taki sam żywioł, jak ono. Miał wrażenie, że fala tej miłości spiętrza się, zalewa go z głową, pochłania go, grunt mu podmywa z pod nóg, topi go i porywa z sobą, rozkiełznana, paląca, szalona... Przy nim zaś była tylko jedna smukła i wiotka dziewczyna, z twarzą na jego piersiach ukrytą, płacząca, słaba i bezsilna, którą mógł wziąć za ręce, jak dziecko, albo położyć sobie u stóp, gdyby chciał.

Ela nie mówiła nic, nie cisnęła go do siebie, a jednak on czuł, że wszystko w niej jest miłością i tylko miłością. On tak kochał niegdyś Marię.

Oto jest u celu swego życia, u celu, o którym marzy, odkąd zaczął marzyć, do którego dąży, odkąd zaczął mieć wolę: jest naprawdę kochany... Tylko nie przez tę, którą on sam kocha...

Uczuł, że depcze, że zdobywa, druzgocząc, i że druzgocze istotę niewinną. Cóż za złe fatum!

Gdyby Maria była go tak naprawdę kochała, byłby doszedł do najwyższego szczęścia przez najwyższe szczęście; tymczasem teraz on jest nieszczęśliwy, jak był, a z jego nieszczęściem może się związać nowe — tej biednej dziewczyny, tej Eli.

— Elu — ozwał się — powiedz, przebaczasz mi?

Odjęła twarz od jego piersi i podniosła ją ku niemu.

Zrozumiał: stała przy nim, jakby łudząca się jeszcze nadzieją, czy-sta, biała, dziewicza panna młoda do ślubu serc; żal zdławił go, schylił się i przycisnął jej ręce do ust.

Teraz ona zrozumiała: zachwiała się, rozwarła dłonie u rozchy-lonych nagle rąk i byłaby padła, gdyby nie zdążył na czas jej objąć ramieniem¹⁸.

Zemdloną Elę Rdzawicz zaniósł do jej panińskiego pokoju i długo cucił, a potem prosił o przebaczenie. Poza poczuciem winy była w nim triumfująca pycha, że tak prawdziwie jest kochany. Mimo to opuszcza Zagórze, porzuca dobrych ludzi, czystą i uczciwą dziewczynę, piękną przyrodę i wraca do „ohyd-nego” miasta. Tu jest jego miejsce.

Tym razem uświadamia sobie wyraźnie, że nigdy nie wyzwoli się od Marii, która jest „klątwą jego życia”. Postanawia, że pozostanie w kraju aż do dnia jej ślubu, a potem na zawsze wyjedzie.

Znowu życie wypełnia mu Sztuka.

Anioł śmierci był na ukończeniu. Rdzawicz kuł w obciosanym przez Tężła i Łanowskiego marmurze twarz, której brakowało. Kuł twarz Marii. [...]

Robił też tak szybko, że sam się zdumiewał: w kilku dniach rysy Marii wyrosły z kamienia, zupełnie prawdziwe. Ściągła, szczupła twarz, wielkie, podługne oczy, nos cienki, prosty i delikatny, z płaszczyznami, jak u greckich posągów, usta małe, wąskie, dziwnie regularne, z górną wargą cokolwiek wzniesioną, broda dosyć krótka i klasycznie okrągła: wszystko to wyprowadził z bryły marmuru, jakby życie w nią tchnął. Włosy puszczone miała lokami ku ramionom, jak były na portrecie, jak je nosiła najczęściej w Kłężu. — A kiedy się cofał od roboty, aby się jej przypatrzeć, mimo woli dreszcz go przechodził, bo to była ona, Maria, zakłeta w marmur, zmuszona być i trwać.

¹⁸ Tamże, s. 322–325.

Zniewolił ją. Zechciał i stworzył ją po raz drugi; rozkazał – i powstała. Obnażył jej dziewicze ciało, dał jej ruch, jakim by się nigdy nie pokazała nikomu, zgniótł ją w ręku, jak wosk...

Ale chwile pocucia tego jakby triumfu twórczej władzy kończyły się zawsze myślą, że to on sam tam leży w płaszczu z zasłoniętą twarzą, że to jego ta kobieta obaliła i odtrąca nogą, jak martwą rzecz, jego depce, i że rzeźba ta jest symbolem klątwy jego życia, triumfu jego złego przeznaczenia nad nim, jego złej doli... W tym marmurowym bloku, w tym kształcie, zatartym draperią, czuł się tak silnie, że prawie bolała go stopa Marii na piersiach...

Potem potrafił nadać tej wywołanej z kamienia twarzy wyraz melancholii i swawoli, zuchwalstwa i smutku, dzieciństwa i powagi, sentymentalizmu i zmysłowości, dać jej nieujęty wdzięk i nieodparty czar i rzucić na to wszystko, w oczy i w usta, błysk czegoś wyzywającego, co zestrząsało twarz z wyzywającym ruchem ciała.

Widok jego własnego dzieła upajał go. Ta cudowna kobieta była przerażająca, jej twarz była jak trujący kwiat, jej oczy były jak sztylety, owinięte w aksamit, jej usta jak żywy żar pod miękkim mchem. Nie była to hetera, odtrącająca ludzi, jak martwą rzecz, z wyzywającym ruchem: dalej! dalej! – ale jakaś personifikacja dobra, co się na złe obraca, symbol piękna, które się staje potworem, Anioł, ale śmierci!...

W podziwie stał przed własnym dziełem, bo prawie więcej stworzył, niż pomyślał i niżby sobie mógł wyobrazić, że potrafi.

Tymczasem nadesłano mu gipsowy odlew z Monachium i począł z takim samym pośpiechem, jak głowę, wykończyć ciało; draperia i figura leżąca były zupełnie gotowe. I znów w trakcie roboty doznał kilkakrotnego podobnego zaćmienia w mózgu, jak kiedy rzucał na karton szkic, po powrocie z rautu. Wiedział wprawdzie, co mu powiedzieli lekarze, że może się doprowadzić do fatalnych następstw, jeżeli po ostatniej chorobie długo i zupełnie nie wypocznie, i że zakazali mu najsurowiej w ogóle kiedykolwiek się forsować: kuł jednak z takim wytężeniem i tak bez wytchnienia, jak nigdy, a ból i załamywanie się w mózgu, jakie mu się zaczęły dawać czuć, sprawiały mu jakby jakieś smutne i gorzkie zadowolenie. W jego zmęczonej i rozgorączkowanej

wyobraźni myśl, że musi zginąć przez Marię, gruntowała się i wszczępiała w nią coraz głębiej. Czuł i lęk, i żal, a jednak jakby umyślnie chciał się zgubić, pracując już w końcu nie siłą, którą wyczerpał i której nadużył do ostatniego, ale tylko wolą, energią i gorączką. Ból i załamywanie się w mózgu przeszło potem we wrażenie próżni pod czaszką; w trakcie roboty począł zapominać, co robi i nieraz chwilę stał bez ruchu z podniesionym do góry młotkiem i dłutem na marmurze, nim znowu oprzytomniał¹⁹.

Rdzawicz pracuje gorączkowo. Lęka się, że umrze i nie dokończy dzieła. Ostatnie dotknięcie dłutem zaplanował na dzień ślubu Marii. Wtedy też chce rzeźbę wystawić na widok publiczny. „To jest arcydzieło, ale czy to nie jest wendetta?” – zapyta baronowa Heimerthowa, oglądając posąg, lecz przecież „dla artystów nie ma paragrafów kodeksu: »można albo nie można«, »godzi się czy nie godzi«”²⁰ – doda po chwili zachwycona ekspresją dzieła.

Rdzawicz rzeczywiście pragnie się zemścić. Na próżno Tężeł powstrzymuje go, tłumacząc, że stawia w ten sposób Marię „pod pręgierz”. Sztuka prawdziwa może być niemoralna – odpowiada Rdzawicz i wie, że nieszczęście i zło, które zrodziły dzieło, muszą także zło sprowadzić, ale cofnąć się nie może. Całe swoje życie przełał w tę rzeźbę. Teraz jest martwy i jałowy. Z determinacją oczekuje tragarzy, którzy zaniósł „Anioła śmierci” pod bramę domu Marii, aby ją powitał, gdy będzie wracała ze ślubu z Kołolaskim.

Ślub Marii miał się odbyć za godzinę. Rdzawicz siedział w swojej pracowni, czując, że ostatnim wysiłkiem energii, na jaki się zdobędzie, będzie rozkaz wyniesienia z pracowni posągu, kiedy ludzie po niego przyjdą. Potem...

Siedział przy stole i obracał rewolwer w rękę, machinalnie, nie myśląc ani o śmierci, ani o Marii, ani o sobie, zmęczony i bezsilny od

¹⁹ Tamże, s. 364–367.

²⁰ Tamże, s. 378.

bezmyślności; wtem bez pukania otworzył ktoś drzwi: Rdzawicz podniósł głowę — w drzwiach stała Ela Rosieńska.

— Pani?! — krzyknął zdumiony, zrywając się z krzesła.

— Tak, ja — odpowiedziała cicho, ale wyraźnie.

Zdumienie odjęło Rdzawiczowi mowę, ona zaś stała przed nim w niezamkniętych drzwiach, blada, jak płótno, i jakby znieruchomiona.

— Pani?! — powtórzył po chwili. — Pani?!

— Tak, ja.

Wtenczas Rdzawicz podeszedł ku niej, wziął ją za rękę, przymknął drzwi i wprowadził na środek pracowni.

— Panno Elu, czy pani wie, co pani zrobiła? — spytał, ochłaniając ze zdumienia.

— Wiem.

— Po co pani przyszła?

Na bladą, prawie białą twarz Eli Rosieńskiej wystąpił szkarłatny rumieniec. Zachwiała się trochę, wetchnęła silniej powietrze i odpowiedziała:

— Powinnam była przyjść.

Rdzawicz zrozumiał... ścisnęło mu się gardło, zamroczyło w oczach... i runął do stóp Eli, opierając usta na jej trzewikach. Była to dalsza fala tej miłości kobiecej, która jest tak ogromna, że przygniata i zgina, ogarnia, jak morze, zalewa, pochłania, grunt podmywa spod nóg, topi i porywa, rozkielzana, paląca, szalona a święta...

I całował małe trzewiki Eli, czując, że się w nim wszystko zamienia w jedną olbrzymią łzę żalu, bólu i wzruszenia. Nagle na ramionach swoich uczuł ręce Eli, które usiłowały go podnieść z ziemi, i usłyszał jej cichy, ale wyraźny głos:

— Niech pan wstanie.

I drobne jej ręce dźwignęły go, jakby miały w sobie siłę elementu; Rdzawicz nie czuł, że to nie one go dźwignęły, ale on sam przylgnął do nich ramionami, zamagnetyzowany mocą tej miłości, potężnej, jak morze, i tak samo żywiołowej jak ono.

— Pani... — szepnął jakby odurzony, podnosząc wzrok na Elę — była znów blada jak pierwej; oczy miała suche i patrzące jasno i pewno.

Zbliżyła się do stołu, wzięła zeń rewolwer, po czym ujęła Rdzawicza za rękę i odezwała się:

- Niech pan wyjdzie ze mną.
- Dokąd?
- Nie wiem, niech pan wyjdzie.

Rdzawicz zawahał się: w cichym, spokojnym i jakby przytłumionym, ale wyraźnym głosie Eli Rosieńskiej była jakaś moc, która go opanowywała.

- Dokąd? — powtórzył.
- Nie wiem, tylko stąd. Od tej śmierci i od tej rzeźby.
- Kto pani o mnie powiedział? Kto pani mówił o tej rzeźbie?
- Nikt. Ja nic nie wiem. Niech pan wyjdzie ze mną.

Rdzawicz uczynił krok naprzód. Dziwne jakieś uczucie owładnęło nim: zdawało mu się, że traci przytomność i że jakiś błękit obwiewa mu głowę.

- Elu — szepnął — dokąd idziemy? Czy na nowe życie?

Jej zaś twarz uczyniła się jak cudowny mistyczny kwiat, niczemu ziemskiemu niepodobny, i stała przed nim cicha i biała. Rdzawiczowi przypomniawszy się sen Marii; oto sprawdzał się: do umierającego przyszła kobieta i wydziera go śmierci, tylko tą kobietą jest inna, jest nie Maria, nie ów, zgubny swoją pięknnością, Anioł śmierci, ale ta dziewczyna, cicha i biała.

Spojrzał za siebie: tam stała tamta, naga, triumfalna, oślepiająca, ale walka między tymi kobietami była już rozegrana. Rdzawicz pochylił się ku Eli i usta ich złączyły się w pocałunku cichym, długim, bezwiednym, w którym się przez usta i serce dusze całują i łączą. Jakaś jakby wiosenna woń i świeżość wpłynęła w serce i duszę Rdzawicza; spojenie to ust z ustami Eli odrodziło go, jakby z martwych podniosło.

- Kocham cię — szepnął.

Ona zaś powiodła go ku drzwiom, mówiąc:

- Pójdź, pójdź...

Na nowe życie... Daleko stąd...

Wtem na schodach dały się słyszeć ciężkie kroki i ktoś zapukał do drzwi.

— Co to? — spytała Ela.

Drzwi się uchyliły i ukazało się w nich kilku tragarzy w niebieskich bluzach, wśród nich zaś Tężel z twarzą przerażoną i pełną wielkiego wzruszenia. Rdzawicz zrozumiał twarz Tężla; uśmiechnął się i wyciągnął ku niemu rękę, a potem odwrócił się, ujął z ziemi ciężki młot kamieniarski, którym Tężel obtłukiwał marmur, i z całej siły uderzył w głowę „Anioła śmierci” — rozprysła się na sztuki. W tej chwili jednak doznał uczucia, jakby mu kto szpadą przeszył mózg, a potem jakby weń wpłynął strumień płonącej lawy. Zakręcił się, rozkrzyżowawszy ramiona, cofnął się i upadł w tył na posąg, uderzając z głuchym łoskotem czaszką o marmurowe nogi obnażającej się kobiety.

Nazajutrz całe miasto mówiło o wypadku i skandalu. Utalentowany rzeźbiarz, Roman Rdzawicz, nagrodzony dyplomem honorowym na międzynarodowej wystawie w Monachium i ogłoszony *hors concours* na Niemcy, rozbiwszy młotem głowę swojej ostatniej rzeźby, przedstawiającej podobno jego dawną narzeczoną, pannę Marię Tyżwiecką, w skandalicznej pozycji — dostał napadu szaleństwa, tak, iż go tragarze, zamówieni do zniesienia tej rzeźby w miejsce jeszcze im nie wskazane, musieli skrępować sznurami, po czym przyjaciel nieszczęśliwego, także rzeźbiarz, niejaki Tężel, odwiózł go do zakładu dla obłąkanych, gdzie od wczoraj jest w ciągłej furii. Równocześnie z pracowni Rdzawicza zaniecono do domu bezprzytomną pannę Elizę Rosieńską, córkę obywatela z Królestwa. W godzinę zaś później w kościele św. Krzyża, panna Maria Tyżwiecka, znana powszechnie z piękności i wdzięku, wykonała przysięgę małżeńską klęczącemu obok niej narzeczonemu, panu Kołolaskiemu spod Klecka.

Wracając od ołtarza, młoda oblubienica rozsyłała naokoło, znajomym i nieznanym, tak czarujące uśmiechy, że kobiety przygryzały wargi, a mężczyźni przestępowali z nogi na nogę. Tańczono do rana. Maria szalała po prostu: wydzierano ją sobie z rąk do rąk, a ona opierała się tancerzom na piersi swoim klasycznym gorsem i dawała się nieść, omdlewająca.

— Borzewski?! — szepnęła jej raz, mijając ją w kontredansie, Jadwiga.

— Nie ma go tu — odrzuciła szybko Maria.

Jadwiga zrobiła wielkie oczy.

Następnego dnia o zmroku, przed wyjazdem na wieś, Maria zmęczona i z uczuciem wielkiego niesmaku leżała na szezlongu z rękami pod głową, kiedy nagle otwarły się drzwi i wpadła Jadwiga, wołając:

— Wiesz, co się stało?!

— Co?! — spytała Maria zaniepokojona, lekko się unosząc.

Strzeliska zaczęła jej czytać „Kurier” z opisem tragicznego wypadku Rdzawicza; nie mogła skończyć — rozpłakała się.

Maria milczała chwilę, a potem ozwała się chłodno a chętnie:

— On mnie jednak szalenie kochał!

Potem zaś dodała jakby do siebie:

— Miał w sobie tłumioną, ale taką dziką namiętność... A mógł być bardzo sławny...

Tymczasem Jadwiga powstrzymała płacz i powtórzyła, co mówią o „Aniele śmierci”, o czym w piśmie była tylko pobieżna wzmianka. Maria zerwała się z szezlongu i usiadła na nim, krzycząc:

— A łotr! Jak on śmiał!? Żeby go już nigdy nie puścili z zakładu! A tak mnie niby kochał! Dobrze mu tak! Łajdak!

— On cię już nie kochał — przerwała jej Jadwiga zimno. — Zastano u niego pannę Rosieńską, o czym przez dyskrecję nie piszą, a z którą, jak opowiada ów Tężel, wychodzić miał z miną bardzo szczęśliwą z atelier i gdyby nie to rozbicie —

— A jednak ja byłam na końcu — rzekła Maria już spokojnie i z satysfakcją i znowu położyła się na szezlongu, z rękoma pod głową.

Przed bolesnym zaś Chrystusem Guido Reniego, wiszącym nad jej łóżkiem, pani Lora Przerwicowa, klęcząc z podniesionymi ku wizerunkowi oczyma, szeptała: — „Chryste! Chryste!” — albowiem zdawało się, że w Eli Rosieńskiej — która w sąsiednim pokoju siedziała przy stole, z czołem, opartym na rękach — dusza umarła...

K o n i e c²¹

²¹ Tamże, s. 409–415.

W 1905 roku, siedem lat po pierwszym wydaniu *Anioła śmierci*, ukazał się dalszy ciąg losów Rdzawicza autorstwa Tetmajera, pt. *Zatrącenie*. Bohater ma już trzydzieści pięć lat, za sobą parę skandali towarzyskich i romanśów. Znowu przeżywa wielką miłość. Zakochał się w bogatej, pięknej i młodej hrabiance, Teresie Morskiej (jej brat jako postać epizodyczna występował w *Aniele śmierci*). Nowe, romantyczne uczucie zostaje przez niego unicestwione, albowiem bojąc się przeżywać kolejne upokorzenie, Rdzawicz po prostu znika. Nadaremnie Teresa oczekuje jego powrotu. Wreszcie zmuszona przez rodziców wychodzi za mąż za Michała Wiśniowieckiego, który uwielbia ją, a ponadto jest bogaty, najbogatszy w kraju, męski, mądry i szlachetny (ma wiele cech, w które później wyposaży Mniszkówna ordynata Michorowskiego).

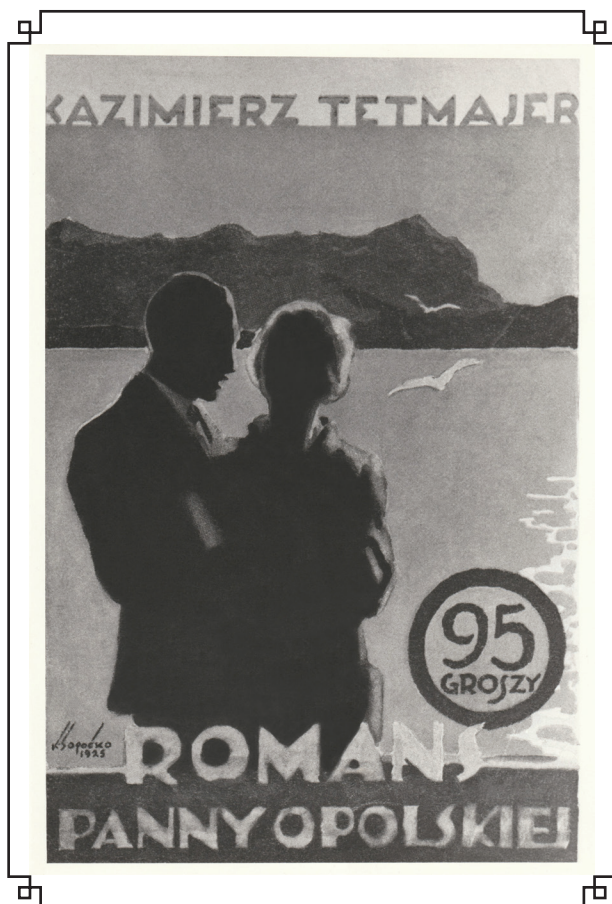
Rdzawicz *incognito* pojawia się na ślubie Teresy w Krakowie. Widzi ją śmiertelnie bladą, cierpiącą, lecz znowu nie ma odwagi „wkroczyć do akcji”, ratować ją, przeciwdziałać tragedii. Gdy po latach spotkają się za granicą i z ust Teresy dowie się o jej oczekiwaniu, męce i nieudanym małżeństwie, wówczas zrozumie, że zmarnował tak jej, jak i swoje życie. Powróci do kraju i w Tatrach, gdzie po raz pierwszy wyznali sobie miłość, popełni samobójstwo (utopi się w Ciemnosmreczyńskim Stawie, tak pięknie opisywanym przez Tetmajera w jego lirykach).

Jak widać, fabuły obu powieści nie grzeszą pomysłowością; powtarzają zresztą dobrze znany z literatury romantycznej motyw nieszczęśliwej miłości artysty do wysoko urodzonej panny. Temat ów wędruje przez epokę pozytywizmu; znajdziemy go choćby u Sienkiewicza w nowelach *U źródła* i *Ta trzecia*. Trzeba także wiedzieć, że w powieści *Anioł śmierci* bez wątpienia widoczny jest wpływ autora *Bez dogmatu* i *Rodziny Połanieckich* (szczególnie w scenkach obyczajowych). Z tego punktu widzenia znacznie bardziej nowoczesne jest *Zatrącenie*. Romans ten cechuje bowiem modernistyczna amorficzność kompozycji, subiektywizacja opisu i liryzacja stylu.

Anioł śmierci Kazimierza Przerwy-Tetmajera cieszył się w swojej epoce dużą popularnością, co było zapewne „zasługą” skandalu towarzyskiego, który się z tą powieścią wiązał. Tekst zawierał wiele elementów autobiograficznych i jak każda powieść z kluczem, budził żywe zainteresowanie i jeszcze żywsze reakcje. Już rok po wydaniu doczekał się przekładów na język niemiecki i francuski, później na hebrajski, rosyjski i ukraiński, nie mówiąc o licznych polskich wznowieniach (do 1912 roku miał pięć wydań).

Kazimierz Przerwa-Tetmajer

**Romans panny Opolskiej
z panem Główniakiem**
Anegdota (1912*)



Ilustracja nr 2. Okładka powieści *Romans Panny Opolskiej* K. Przerwy-Tetmajera, wyd. Biblioteka Groszowa, Warszawa 1925. Autor ilustracji: K.M. Sopoćko.
Źródło: Fot. M. Bujnicka.

* Rok pierwszego wydania powieści.

Romans panny Opolskiej z panem Główniakiem. Anegdota Kazimierza Przerwy-Tetmajera już od początku, od wstępnej prezentacji bohaterów, odwraca typowy dla romansu popularnego układ ról: on – bogaty, wysoko urodzony, odważny, ona – uboga, nieśmiała, załęczniona. W powieści nie zabraknie również tradycyjnych motywów, takich jak: potajemne spotkania, polowanie, zagraniczne podróże, utrata majątku, wielka, łamiąca wszelkie przeszkody namiętność, a wszystkie one są ironicznie podbarwione, często karykaturalnie przerysowane; usytuowane gdzieś pomiędzy pastiszem a parodią, przeдрzeźniają konwencję melodramatu.

Z turkotem i rozpędem zajechało kilka lekkich pojazdów w dobre konie zaprzężonych, przed dwór, czy pałac, jak go także zwano w Kresowicach. Z pierwszego wózka, chwyciwszy rajtpajcz za plecami położony i rzuciwszy lejce chłopcu stajennemu, ponad stopień, prosto na ziemię, wyskoczyła panna Helena Klementyna Opolska i poczęła wołać do przybyłego wraz z nią towarzystwa:

– Wysiadajcie! Wysiadajcie! Musicie być głodni!

Towarzystwo wysypało się z wolantów, wózków i amerykańów. Sama młodzież, młode panny, młodzi chłopcy, wszystko z wiejska ubrane, suknie podpięte, sztylpy i buty z cholewami, wszystko ochocze, zdrowe i przystojne.

– Proszę! – wołała panna Opolska. – Chodźcie!

Młodzi ludzie nie weszli, ale raczej wpadli na wyścigi po kilku wysokich schodach w ogromną sień, gdzie na ich powitanie wylazł rosły o głupim wyrazie wąskich, skośnych oczu pies, jakaś mieszanina brytana i doga i podniósłszy wielki łeb w górę, patrzył na przybyłych.

Nim zawieszono na kołkach peleryny, płaszcze i kurty zwierzchnie, wszedł do sieni z dziedzińca Jan Główniak, nauczyciel ludowy z Kresowic i zarazem nauczyciel ośmioletniego Jacusia Opolskiego, brata panny Heleny Opolskiej.

Główniak starał się przejść niepostrzeżony pod lewą ścianą sieni, ale pies zastąpiwszy mu drogę i wyszczerzywszy zęby, począł warczeć.

Główniak zatrzymał się zakłopotany. Pies był ogromny.

Działo się to tuż przy ścianie, za plecami kilku tyłem do niego odwróconych panien, pośród których stała panna Opolska; panny żywo rozmawiały, poprawiając na sobie ubranie i przyglądając sobie naprędce włosy.

Główniak czuł straszną i upokarzającą katastrofę przed sobą. Nawet krzyknąć na psa się lękał, aby jej nie przyspieszyć. Widział to, że jeszcze moment, a głupi i zły pies rzuci się ku niemu ze zgubniejszym, niż możliwe rany, upokarzającym hałasem.

Wtem świsnął rajtpajcz, gruby i twardy, z ręki panny Opolskiej z tak wściekłą siłą uderzając w łeb psa, że pies przypadł pyskiem ku ziemi, drugi zaś cios, niesłabszy od poprzedniego, w bok wymierzony, w przednią łopatkę, zmiotł go z drogi przed Główniakiem.

— Dzię-dziękuję — poczęło się bełkotać Główniakowi w ustach.

Ale panna Opolska zaledwie odwróciła głowę i zaledwie spojrzała nań. Nie przerwała rozmowy z towarzyszkami.

Główniakowi zdawało się, że się uklonił i poszedł dalej, na lekcję z Jacusiem, niesłuchanie zmieszany, zawstydzony i wzruszony.

— Kto to jest? — zapytała panny Heleny panna Tonia Rapciszewska. — Śliczny chłopak!

— To? Nauczyciel Jacka. Pan Główniak.

— Jak?!

— Główniak.

— Zmiłuj się! Nie może być! — i panna Rapciszewska parsknęła śmiechem.

Z kątów szafirowych oczu panny Opolskiej, podobnych do zamgłego jeziora, strzeliły ku niej złe ognie, ledwo widoczne. Panna Rapciszewska nie spostrzegła ich wcale¹.

Jak łatwo się domyślić, panna Opolska była osobiście zainteresowana wiejskim nauczycielem i korzystała z każdej nadarzającej się okazji (a nie brak ich było, gdyż co dzień odbywały się lekcje jej brata Jacusia), by go spotkać.

¹ K. Przerwa-Tetmajer, *Romans panny Opolskiej z panem Główniakiem. Anegdota*, Gebethner i Wolff, Warszawa 1912, s. 1–3.

Tego dnia wszakże zdecydowała, że pora już zacząć działać. Inicjatywa tylko od niej wyjść mogła...

Panna Opolska zamknęła książkę.

Była noc listopadowa, mroźna i widna. Księżyc świecił na nowiu i gwiazd tysiące błyszczało w niebie.

Spojrzała na zegarek. Było w pół do pierwszej.

Po kolacji tańczono dwie godziny. Ponieważ nazajutrz miało być polowanie, o północy towarzystwo imieninowe rozeszło się spać.

Panna Opolska poszła do swego pokoju na piętro i tam w ubraniu wieczorowym położyła się na łóżko i poczęła czytać powieść, tłumaczoną ze szwedzkiego, „Los”.

Wstała.

Nie mogła dłużej leżeć.

Suknia nierozsznurowana była jej ciasna, wszystko ją irytowało, drażniło ją.

Tupnęła nogą w dywan i odrzuciła precz książkę.

Wyjęła z szafy grubą tyrolską pelerynę, wzięła w rękę szpicrutę, za pasek wetknęła sztylet wenecki w pochwie i otworzyła drzwi.

Światło elektryczne świeciło na schodach. Zeszła cicho na dół, otworzyła z klucza tylne drzwi do ogrodu i wyszła na dwór.

Szła szybko przez ogród, przez ciemne aleje, z ogrodu kwietnego dostała się do sadu, ze sadu do inspektów i ogrodu warzywnego i stanęła nad dużą sadzawką, na której brzegu przypięta była do palika łódź. Odpięła ją i wskoczywszy kilkunastu silnymi pchnięciami wiosł po głębi przepłynęła na drugą stronę. Była poza obrębem dworskim.

Szła dalej przez puste pola. Opodal widniały ciemne sylwety chałup; w jednym tylko oknie w dużym budynku na skraju wsi, a raczej poza wsią, jaśniało światło.

Panna Opolska szła prosto ku temu światłu.

Rosło ono jej w oczach, aż ujrzała wyraźnie kratę oprawy szyb. Podsunęła się pod samą ścianę. Okno było niezastłonięte. Zajrzała wewnątrz.

Z głową opartą na rękach, drzemiąc czy myśląc, siedział nauczyciel ludowy, Główniak, przy drewnianym, różową bibułą przykrytym stole; obok stał garnuszek prawdopodobnie z herbatą, leżały chleb, nadkrojona kielbasa i nóż.

Spał, albo myślał.

Widać było jego łóżko przykryte derką, podobną do końskich derek; na łóżku spała na derce brzuchem na dół dziewczka wiejska, obrócona twarzą do ściany.

Panna Opolska zapukała do okna.

Nauczyciel nie usłyszał.

Zapukała drugi raz mocniej.

Zerwał głowę z rąk, spojrzał w okno i nie poznając jej, spytał: kto tam?

— Proszę puścić! — zawołała panna Opolska.

Widziała, jak nauczyciel podniósł się z krzesła i w pomieszczeniu rzucił na śpiącą dziewczynę jakiś paltot w pośpiechu schwycony z kołka, znać było jednak, że nie wie, kto go nawiedza.

Panna Opolska nie czekała; podstąpiła pod drzwi i zapukała bardzo silnie, zarazem ruszając klamką. Nauczyciel przekręcił klucz w zamku i uchylił drzwi.

— Czego chcecie, kobieto? — zapytał. — Noc.

Jak piorunem rażony cofnął się na środek pokoju.

Panna Opolska stała naprzeciw niego, zarumieniona od nocnego zimna i szybkiego marszu.

— Pani?!... Jezus Maria!... Pani?!

— Tak, ja — odpowiedziała.

Nauczycielowi wydawało się, że zwariował. Cofał się w tył, aż się oparł tyłem o stół pod przeciwną ścianą.

Panna Opolska zaś usiadła na łóżku, odsuwając nogi dziewczki, leżącej na nim.

Dziewinka nie obudziła się.

Nauczyciel stał przed nią blady, jak trup i zupełnie niezdolny zapanować nad sobą.

Patrzył na nią i widział jej kasztanowate w rudawy odcień wpadające włosy, jej oczy szafirowe, podłużne, podobne do przymgłego jeziora, jej twarz okrągłą z prostym, nieco w górę wzniesionym nosem, o niewąskich nozdrzach i ustach z grubą wargą dolną, twarz jednak z tym wszystkim rasową i ładną, pod opadłą zaś z jednego ramienia peleryną widział w srebrzystej wieczorowej sukni jej ciało bujne, pełne, wyzywające ponętą. Oślupiał i zgłupiał. Majak, czy co?

Ale ona siedziała naprzeciw niego i patrzyła mu w oczy prosto, bystro i śmiało.

Nagle trzepnęła w tył płaską dłonią dziewczkę śpiącą na derce i zawołała:

— Magda, czy tam Wikta, obudź się!

Dziewka, uderzona mocno, ocknęła się od razu ze snu i poczęła pytać przestraszona: Co? co?

— To ja, panna z pałacu — rzekła panna Opolska. — A ty czyja?

— Od Miętusa, proś łaski jaśnie panienki, Kasia — odpowiedziała, nie zdając sobie z niczego sprawy z tego snu obudzona dziewczyna.

— Z Polanki? Od Miętusów?

— Tak tys, proś łaski jaśnie panienki, stamtąd.

— A ty tu co robisz, o dwie mile w Kresowicach?

Dziewka, nie więcej lat szesnastu, bardzo ładna, brunetka, ze świecącymi czarnymi oczami i wiśniowymi ustami, zakreśliła dziurkę od paltota nauczyciela Główniaka na palec i odpowiedziała, chyląc z wdziękiem głowę na prawe ramię:

— Ja tu chodzę, proś łaski jaśnie panienki, bo mi się tys pon nauczyciel strasznie spodobał... My się kochamy.

Jeszcze więcej schyliła twarz.

Panna Opolska wstała. Różowa jej dosyć z natury i zaczerwieniona od chłodu twarz stała się blada, jak płótno. Wyprostowała się i wyszła, pozostawiając za sobą drzwi półotwarte².

² Tamże, s. 9–13.

Główniak przez dłuższy czas nie mógł zorientować się, czy śnił, czy oszalał. W Kresowicach od początku czuł się niepewnie i nie na miejscu. Przyjechał tu ze Lwowa

[...] jako zdeklarowany socjalista, [...] wróg wszystkich sfer posiadających, burżuazji i szlachty, z zamiarem najbardziej wrogiego zachowywania się i występowania wobec plebanii i dworu, a najściślej zżycia się z chłopami, stania się rzecznikiem ich sprawy, ich obrońcą, ich doradcą, mścicielem ich krzywd, w razie potrzeby ich wodzem, a przede wszystkim mesjaszem pomiędzy nimi idei najskrajniejszego socjalizmu³.

Tymczasem okazało się, że znajomość realiów wsi wyniesiona z lektury książek żydowskich socjalistów jest żadna, a syn sklepikarki i jego poglądy są tu zupełnie nie na miejscu, nikomu niepotrzebne. Dlatego też Główniak zdecydował się przyjąć posadę prywatnego nauczyciela syna dziedzica, albowiem miał zamiar tą drogą niszczyć „nienawistną mu warstwę”. Rzeczywistość i tym razem okazała się zaskakująca. Miał zachowywać się dumnie i asertywnie, pan Główniak co dzień spieszył wymuskany i uniżony do pałacu, marząc o tym, by ujrzeć pyszną dziedziczkę – pannę Opolską! O tym, co ona w tym czasie czuła, najlepiej dowiemy się od samej zainteresowanej.

„Ludko moja – pisała panna Opolska do swojej siostry ciotecznej, od roku zamężnej, z którą była w ścisłej przyjaźni – pytasz mi się, dlaczego od dwóch miesięcy nie odebrałaś ode mnie listu, a nawet na pierwsze imieniny Twego malutkiego Edzia nie posłałam mu »powinshawania«? Czy ty wiesz, skąd w tej chwili wróciłam? (Jest godzina druga w nocy). Z pokoju, wyraźnie i dosłownie, z pokoju naszego nauczyciela wiejskiego, pana Jana Główniaka, który jest także nauczycielem naszego Jacusia.

Nie łam ręk, Ludko – *jestem jeszcze panną Opolską.*

3 Tamże, s. 15.

Słuchaj.

Coś dziwnego się ze mną dzieje, coś, czego nazwać nie umiem i z czego sobie sama nie zdaję sprawy.

Pewnego dnia, we wrześniu, zjawił się u nas chłopak, może dwadzieścia lat, bardzo przystojny, w którym nie ma ani jednego nieordynarnego szczegółu, zaczawszy od kształtnej głowy, a skończywszy na niezbyt dużej i szerokiej stopie, albo raczej ordynarny mimo wszystkich szczegółów niebrzydkich, lub nawet więcej niż ładnych, jak oczy i usta. Ja zajeżdżałam konno przed ganek od dziedzińca, jego przed domem atakował pies podwórzowy, a potem go lokaj nie chciał wpuścić, gdyż miał buty wysokie i zabłocone i wygląd, jak nasz głupi Franciszek twierdzi, socjalistyczno-liberalny. Kazałam puścić i iść za sobą. Kiedy szedł za mną do mamy, jam go już czuła za plecami.

Jużem wisiała w oknie na piętrze, czekając, kiedy wyjdzie i z pasją kazałam psa zabrać na łańcuch, czemu się Jacek trzy dni sprzeciwiał, ale co w końcu wskutek równej jak u Franciszka, u Hultaja antypatii do »socjalistycznych liberałów«, stać się musiało stałą regułą.

Wyobraź sobie, ja wisiałam w oknie już co dzień potem, kiedy szedł na lekcję i kiedy odchodził.

Potem zaczęłam go spotykać na dziedzińcu w sieni.

Potem pod różnymi pozorami zaczęłam podczas lekcji wchodzić do pokoju Jacusia. Spowiadałam ci się, Ludko, tak jak Ty niegdyś spowiadałaś mi się, pamiętasz, z Zygmunta Nawoyskiego, a potem z tego oficera od dragonów, zanim poszłaś za Twego męża.

Szukałam na nim wrażenia. Było ono miałkie, codzienne, najpospolitsze, to, co nas najbardziej irytuje — musiałam mu się podobać. On ma lat dwadzieścia, czy dwadzieścia jeden, ja osiemnaście, on jest zdrow, ja jestem dobrze zbudowana, noszę często amazonkę mocno obcisłą, bo dużo jeżdżę konno teraz — rozumiesz. To, co zawsze. Ale więcej nic. Widziałam, że z satysfakcją mnie spotyka, ale że nie jest to dla niego ani szczęściem, ani tęsknotą, ani snem, ani marzeniem.

Boże! Szczęściem i tęsknotą, snem i marzeniem pana Główniaka!...

Znasz mnie. Papa jest arystokratą do szpiku kości, no, a mama wiesz jaką jest. Ja, żeby mi nie wiem co gadali, czuję

w sobie pięć wieków dokumentowanej kultury, wielkiego dobrobytu, niepodległości, swej woli, swych praw i swych przywilejów Opolskich i wiele więcej państwa Inneborchów, jestem szlachcianka z krwi i kości. Słowacki to czuł, kiedy swojej Dianie w »Nowej Dejanirze« kazał mówić nawet o paznokciu i krwi rubinowej i każdym kawałku ciała »gdzieś wziętym na wezryze«. Więc wszystko się we mnie otrząsa na samą myśl, że ktoś taki, jak Główniak, mógłby... wiesz...

A jednak jestem pod jakimś urokiem – byłam raczej – do dzisiaj – do tej nocy nieszczęsnej...

Czytałam książkę, szwedzką powieść »Los«. Rozpaczny los nędzara, ale nie dziada – nędzarza-artysty, człowieka z inteligencji. To jego los – gdy się ożeni, gdy będzie mieć dzieci, żonę, gdy nie będzie mieć czego do ust im włożyć, gdy drzeć będzie o ich po prostu egzystencję na wypadek swej śmierci, swej choroby – nędza, nędza, nędza!

Tańczono u nas na imieninach papy. O dwunastej wszyscy poszli spać, polowanie, ja w sukni do książki. Tak mi się go żal zrobiło, tak strasznie żal! Zarzuciłam pelerynę na siebie, w lekkiej sukni, w mróz, w nocy poszłam do niego. A wzięłam sztylet wenecki, od wypadku, wiesz... Byłabym zabiła!

Szłam, jak pijana jakimś trunkiem nieznanym.

Stałam przy oknie. On siedział przy stole wsparty na rękach, może spał, na łóżku leżała dziewczyna.

Zapukałam – nie poznał mnie. Weszłam... Mniejsza o to... Kocham go!

Taki mi się wydał biedny, nieszczęśliwy z tą nędzą w mieszkaniu, z tą śliczną dziewczyną na łóżku, tyłem do niego zwróconą i śpiącą, która mi powiedziała, że się kochają – takie to wszystko smutne, strasznie bolesne, beznadziejne, rozpaczliwe!... Ja wyjdę za mąż i będę miała powozy, konie – ten robak, nie; Główniak...

Być skazanym na całe życie, być robakiem świata...

Nie wiem, czym był jego ojciec, stróżem, szewcem, może go nie miał wcale, może jest synem służącej, albo dziewczki z przedmieścia – wstecz i naprzód, za sobą i przed sobą być zawsze tylko robakiem...

Logicznie, po ludzku, powinien mi być z tą dziewczyną właśnie obrzydnać, lub powinnam się wściekać – nie – mnie go tylko żal! Żal, żal, żal! A wiesz, co to jest żal u kobiety – to jest: miłość.

Tak, kocham go⁴.

Ciąg dalszy listu to wyznanie „wiecznej” miłości, lecz z tym małym zastrzeżeniem: „On mnie nie dotknie nigdy”, albowiem panna Opolska pamięta, co to „rasa”. Postanawia wszakże, że i on musi ją pokochać. Wybiegając w przyszłość w swoich planach, rozważa wszystkie za i przeciw ewentualnego związku, by na koniec filozoficznie stwierdzić: „Żyć z nim nie chcę, a żyć bez niego nie będę mogła. [...] Tak było przeznaczone”⁵. Trudno tę konkluzję pogodzić z decyzją nieuprawiania „stajennych romansów” i „przedpokojowych stosunków”, ale uczucia to mają do siebie, że z reguły kolidują z rozumem.

Panna Opolska po skończeniu listu-wyznania spaliła go, po czym położyła się smacznie spać. Nazajutrz po owej pamiętnej nocy znów spotkała Główniaka i to już był jej pełny triumf. (Dla zachowania koniecznej równowagi wzlotów i upadków heroiny autor zaraz potem wprowadza motyw upadku w dosłownym tego słowa znaczeniu).

Ubrała się prędko. Kazała szybko kulbaczyć swoją klacz kasztanową ze strzałką na czole. I w obcisłym czarnym kożuszku z astrachanów, w kołpaczku, w amazonce, oblewającej jej kształty, wyjechała na swojej rosłej, pół krwi, wierzchowej klaczy, wprost naprzeciw idącego dziedzica na lekcję Główniaka – albowiem nie miała odwagi spotkać go pieszo, a nie miała także odwagi nie spotkać go wcale.

Jechała dumna, spokojna, ozięble wyniosła, biała z wydętymi bardzo ustami.

W Główniaku na jej widok zaplątało się wszystko – nogi mu znikły od kolan i zawieruszyło się w głowie. Porwał rękę ku czapce o piętnaście kroków.

4 Tamże, s. 23–27.

5 Tamże, s. 28.

Ją zaś niósł koń. Siodło, lęk i strzemień trzymały ją w nieskazitelną pańskiej równowadze. Drżąc wewnątrz, dygocząc ze wzruszenia pod swoim astrachanem, z przymarzłą na twarzy impozycją, posuwała się naprzeciw Główniaka, niesiona przez wierzchowca, wysoka nad nim, górująca, bogata, wspaniała, tak daleka i obca...

Atakowała jego i siebie, ale atak wykonywał koń. Osuwała się z siodła ze wzruszenia i przejechała sztywna i wyprostowana, skinąwszy mu brwiami, à la jej matka, kierując klacz, aby przejechać mimo prawą stronę w obcisłej amazonce.

Główniak, z uczuciem, że się najadł szaleju, wszedł do pokoju Jacusia.

Najmniej spodziewał się tego, co zobaczył. Przede wszystkim sądził, że panna Opolska będzie go unikała i że jej w ogóle więcej nie spotka. Przypuszczał także, że może pod jakimkolwiek bądź pozorem postara się, aby mu wypowiedziano lekcje. Wyobrażał sobie, że gdyby się spotkali, albo zmiesza się ona niesłychanie, albo zachowa się wobec niego w taki sposób, że on zapomni języka w gębie, oraz przestanie odróżniać prawą swoją nogę od lewej. Tymczasem przejechała koło niego – panna Opolska z Kresowic wobec nauczyciela ludowego, Główniaka.

Mając głowę całą w bani z dymu, Główniak poprawiał ćwiczenia Jacusia i egzaminował go z zadanych słówek niemieckich.

Tymczasem panna Opolska puściła klacz w kłus tęgi i grzmiąc kopytami jechała przez pola, przemarzłe już od nocnego chłodu i ranego mrozu.

Jechała nie tą drogą, którą ruszyć miało śniadanie na Przysiekę, tylko w odnogę leśną, skąd na przełaj drogami leśnymi dobić można było na polankę przysiecką.

Polowano w innej stronie, nie mogła jej grozić nawet przypadkiem zbłąkana kula ze sztucца.

Wjechała w las gęsty, zbity w wąwóz pośród drzew, którą pnie ścięte wywożono, gdy nagle z przeciwnej strony pojawiła się maciora z siedmiu warchlakami, pędząca prosto ku niej.

Klacz panny Opolskiej spłoszyła się, skoczyła w bok ku drzewom, amazonka uderzyła głową o konar sosny i runęła z siodła na ziemię.

Przestraszone dziki rzuciły się w gęstwinę, klacz zaś zawróciła się i wierzgnąwszy kilka razy poza siebie w galopie pognęła przez las ku polom i do dworu.

Zrobił się alarm i hałas. Pani Opolska kazała czym prędzej zaprzęgać do wózka, dla Jacusia siodłać kuca, na którym jeździł. Cała służba została wprawiona w ruch. Klacz przygalopowała z potarganymi na sękach leśnych cugłami, sama pokaleczona w dzikim pędzie przez las i pokrwawiona. Główniak niepytany i nieproszony, skoczył na kozioł wózka obok stangreta.

Jechano na oślep, męska służba na fornalskich koniach, na wypródki. Lecząc, nim dojechano do lasu, wysunęły się stamtąd cztery postacie chłopskie, niosąc na splecionych naprędcie z gałęzi sosnowych noszach leżącą na nich na wznak Helenę.

Część nagonki szła przez ostęp, gdzie panna Opolska spadła i ci ją znaleźli.

Nie była nieprzytomna, ani nie wydawała się ranna; oczy miała otwarte. Na widok matki i Jacka uśmiechnęła się, a spostrzegłszy na koźle wózka siedzącego Główniaka, uśmiechnęła się i do niego.

Główniakowi zdawało się, iż go coś gołymi rękami złapało za duszę.

Nic podobnego nigdy nie widział, nie śnił, nie marzył, nie przeczuwał – nie wyobrażał sobie wprost, aby mogło istnieć.

Wszystka słodycz, wdzięk, czar, wszystka piękność zbiegły się w tym uśmiechu. Trzeba by całować po rękach i po nogach i jeszcze byłoby mało, gdyby kto chciał za taki uśmiech dziękować, taki uśmiech odpłacić. Główniak osłupiał i czuł się jak zakłęty⁶.

Od tej chwili Główniak żył w całkowitej dysharmonii pomiędzy teorią a praktyką: „chłopów przeciw dworowi nie buntował, a zamiast ich uświadamiać od rana do nocy, w dzień uczył dzieci i panicza ze dworu i myślał o dworskiej pannie, a nocami nie tyle uświadamiał i kształcił, ile całował i ścisnął wiejską dziewczkę”⁷.

⁶ Tamże, s. 32–35.

⁷ Tamże, s. 38.

Wreszcie nauczycielka z sąsiedniej wsi przywołała go do porządku. Kazała mu szerzyć ferment, budzić nienawiść i uświadamiać. (Przy tej okazji w powieści przewija się także wątek ideologiczny, który można by sprowadzić do obiegowego frazesu: „To Żydzi wszystkiemu są winni, gdyż propagują rewolucyjne idee”).

Główniak, zdecydowany wyrzec się „gnuśności”⁸, która jest rodzajem „przeniewierstwa”⁹, zaczyna realizować swoje posłannictwo. Przychodzi mu to tym łatwiej, że z powodu choroby Jacusia nie bywa w pałacu, a więc urok panny Opolskiej nie paraliżuje jego buntowniczych nastrojów. W Wigilię udaje mu się podburzyć chłopów, którzy ruszą wycinać pański las. Przerażony swym demagogicznym sukcesem pragnie jak najszybciej ukryć się w domu, lecz w drodze spotyka go kamerdyner z pałacu i wręcza list. Jest to zaproszenie na wspólną świąteczną kolację do Państwa Opolskich. Główniak udaje się na nią, filozoficznie stwierdzając, że takie widać jest jego przeznaczenie (konstatacja ta, jak pamiętamy, wcześniej padła z ust panny Opolskiej). Nastrój wigilijnej wieczerzy, stroje państwa, gesty, całe wnętrze wydają się wiejskiemu nauczycielowi nad wyraz teatralne: wesele i jasełka razem połączone. Tetmajer dramaturg-parodysta zadbał o ten efekt, pomyślał i o następnym. Oto podniosły, celebrowany z pietyzmem rytuał zostaje nieoczekiwanie przerwany: do pałacu wkraczają zbuntowani chłopci. Na śnieżnobiałym obrus, na porcelanę i rodowe srebra zostaje rzucony krwawy trup gajowego. Scena ta, wahająca się pomiędzy tragedią a gombrowiczowską farsą, jest znakomita: po obu stronach zbezczeszczonego stołu gniewne, wzburzone twarze, a tymczasem sam prowokator – Główniak – stoi przezornie ukryty i czuje „mimo całej zgrozy drgnienie popędu płciowego!”¹⁰.

Kiedy tej samej nocy do Kresowic przyjeżdżają żandarmi, chłopci obciążają winą nauczyciela – agitatora. Przerażony obrotem sprawy Główniak postanawia sam oddać się w ręce sprawiedliwości, byle tylko nie widzieć spojrzenia panny Opolskiej. Akcja wraz z bohaterem przenosi się do Krakowa. Kancelaria adwokacka, sąd, proces – cały ten prawniczy wątek jest okazją do humorystyczno-tendencyjnego pokazania Żydów jako jurystów, pseudosocjalistów, kupców. I znowu Tetmajer – satyryk i zdolny stylista znakomicie podsłucha

⁸ Tamże, s. 45.

⁹ Tamże.

¹⁰ Tamże, s. 64.

język i podpatrzy mentalność (wcześniej podobne funkcje pełniła stylizacja gwarowa). Rozprawa sądowa jest nieomal parodią procesu. Główniak z oskarżonego przemienia się w bohatera i niewinny wyrusza na poszukiwanie jakiejś pracy. Nie jest to proste. Wreszcie przypadkowo trafia na anons w gazecie: „Poszukuje się służącego, młodego, przystojnego, dobrze zbudowanego pod liberię człowieka. [...]”¹¹. Zostaje przyjęty i wyjeżdża do Jarmolina na Ruś jako Jan Głowacki (potomek Bartosza!). Służąc jako lokaj u państwa Barskich, nieoczekiwanie spotyka pannę Opolską. Jest przerażony, lecz jej gniew wkrótce ustępuje miejsca wspaniałomyślnemu przebaczeniu. Helena ponownie jest pod urokiem „pełnej, silnej i foremnej budowy” Jana. Nie może wzroku oderwać od niego, choć przecież w domu Barskich bywają młodzieńcy „rasowi”, z jej sfery.

Raz jeszcze Tetmajer wyprzedza Gombrowicza; wszak Główniak – lokaj, który nocą przychodzi do panny, jest gombrowiczowskim parobczakiem poszukiwanym przez Miętusa. (Pamiętamy, że wiejska wybranka Główniaka też nazywa się Kasia Miętus). „Zwykła gęba” bez miny, „nieskażony” intelekt, przeciwieństwo kultury i wychowania tak fascynują pannę Opolską, jak dwadzieścia sześć lat później bohaterów *Ferdydurke*! Podobnie też pragnie nim rządzić i zarazem bratać się z nim”, jak tego pragnie Miętus.

Dla Heleny zaczął się dziwny czas.

Co noc pozwalała Główniakowi przyjść do siebie, klękać przed sobą, całować się po rękach i gadać do siebie, co mu na myśl przyszło. Ale najulubieńszą dla niej sytuacją było, gdy Główniak klękał przed nią, gdy siedziała ponad nim. Ile razy chciał być brutalnym, powstrzymywała go oczami i gestem, nigdy głosem, ani słowem. I czekała, kiedy Główniak przełamie jej nieme: nie wolno!

A po jego wyjściu rzucała się na kanapę wbijając w nią paznokcie i gryząc usta.

Wiedziała, że gdyby to nie był Główniak, tylko którykolwiek z tej młodzieży jej towarzystwa, które знаła, i gdyby jej się tak podobał, jak podobał jej się Główniak, byłaby mu się oddała może cała, może zupełnie, do ostatnich granic – tu ją coś wstrzymywało. Skądś byłaby zeszła,

11 Tamże, s. 138.

zniżyła się, coś straciła — coś straciła dla siebie i dla niego. Panowała. Była królewną. Zaczarowaną księżniczką. Marzeniem. Snem. Tęsknotą. Upojeniem i pragnieniem, a przede wszystkim bogatą szlachcianką wobec syna sklepikarki z Kleparza, czy Placu Matejki.

Ale razu pewnego Główniak natarł mocniej, a ona słabiej się zastawiła ramieniem i usta jego chwyciły się z kłeczek jej ust. Chciała się oderwać, ale już i sama nie mogła. Główniak ordynarnie miażdżył jej usta swymi ustami, ona ssała z nich rozkosz. Ale gdy chciał ją ogarnąć, uściskując — odsunęła go.

— Nigdy! — powiedziała, po raz pierwszy mówiąc o tym.

— Czemu?

— Nigdy!

— Okrutna!

— Nigdy!

— Ja tak jezdem kochający!

Nad wszystko w świecie...

Więcej, niż świat cały i to słońce na niebie!...

Mimo wszystko Helena uśmiechnęła się; była noc czarna, jak kruk.

Helena nie dała się zmiękczyć. A gdy Główniak wyszedł, skoczyła do toalety i poczęła wycierać i szorować usta wodą pachnącą.

Dziwna, nie swoja rozkosz...

Główniak, syn sklepikarki, ordynus...

Jednak rozkosz była upojna, przepotężna.

Z płonącymi ogniem żyłami w całym ciele położyła się Helena do łóżka.

A gdyby, gdyby wyjść za niego...

Zosia Zarucka z Przylesia poszła za doktora Kapustę, syna ogrodnika z Grybowa, czy Gorlic i była bardzo szczęśliwa, dopóki się nie zaraził tyfusem i nie umarł.

Ah nigdy! Musiałabym mu się oddać. Nigdy!

Miewały i księżne, i księżniczki romanse z chłopakami stajennymi, ale nigdy żadna z Opolskich, nigdy by ona...

Mówili mało ze sobą, prawie nic. Główniak całował ją po kolanach i rękach i przytulał do jej kolan swoją głowę. Nigdy też nie był dłużej,

jak dziesięć minut, kwadrans. Bała się. Kazała mu wychodzić. Nigdy nie było mowy o owej nocy, kiedy poszła do jego domu. [...]

Helena czuła się ubezwładniona. Ubezwładniała ją siłą ramion Główniaka i własne porywające ją uczucie.

— No więc tak, tak, kocham cię — odpowiedziała.

Główniak naówczas przestał ją całować i rzekł:

— No to się pożeńmy.

Ze wszystkiego ten zwrot był najmniej dla Heleny spodziewany. Objęła szyję Główniaka rękoma i po raz pierwszy w życiu poczęła całować kochanego mężczyznę. Całowała go po ustach, oczach, policzkach, czole, po całej twarzy.

Na obliczu Główniaka obok wrażenia zmysłowego widniała duma.

— No co — rzekł z przerywanym oddechem — pożeńmy się? Ze mną warto. Ja —

— Głupi jesteś, cicho bądź — szepnęła Helena — daj mi się całować...

— Hm — myślał Główniak — nic dziwnego. Tak się musiało stać. Gdyż jezdem bardzo pięknym. Zakochała się na umór. Ożenię się i wezmę hopy. Bo beze mnie żyć nie będzie mogła...

Od owego wieczoru, po którym Helena już nie wycierała ust pachnącą wodą, stan rzeczy zmienił się. Ona była stroną więcej czynną, niż Główniak i nie pozwalała mu odejść, aż przed świtaniem.

— Niech się dzieje co chce — mówiła sobie — nikt się niczego nie domyśla, a to jest tak słodkie!¹²

Główniak, który przyjął rolę absztyfikanta, nie mógł pozostać dłużej lokajem. Helena zdecydowała wyjechać z nim za granicę. Tam będzie swobodna, a i przygoda miała szanse nabrać nowych, nieznanych barw.

Helena Opolska szła szybko prawym brzegiem Jeziora Genewskiego. Pierwszy raz była zagranicą sama — a nie, nie sama. Nieopodal wielkiego hotelu, w którym zamieszkała ona, w małym

¹² Tamże, s. 171–175.

hoteliku mieszkał Główniak. Przynajmniej tam przespał tę pierwszą noc genewską.

Helena szła i szła coraz dalej, w stronę ku Morges. Niesłychany błękit jeziora, jego bezprzykładnie niebiesko-przejrzysta toń pierwszy raz w życiu widziana, magnetyzowała, czarowała, urzekała jej oczy. Czuła, jak źrenice jej zagłębiają się w tę wodę, zapadają w nią i pełzną po piasku dna, sypkim na pozór, tak lekką, kryształowo suchą, tak świetliście szklaną wydawała się woda ponad nim.

Helena biegła sama przed sobą, uciekała przed własną myślą.

[...]

Wybrała Genewę z kilku przyczyn; raz nie zdawało jej się, aby tam bawił kto z jej znajomych, po wtóre, że chciała być z kochankiem w jakimś pięknym, opromienionym poezją miejscu, o Genewie zaś czytała, że mieszkał w niej Słowacki i Byron, na koniec, że chciała, aby Główniak nauczył się po francusku i przetaił trochę w świecie, coś zobaczył, coś wiedział i widział.

Ale gdy stanęli na miejscu, strach ją objął.

Była daleko od domu i bądź co bądź w mocy Główniaka. W Jarmolinie bronił ją dwór, ludzie tuż za ścianą, w Wiedniu była blisko kraju, parę godzin zresztą tylko i tylko od rana do wieczora, ale tu, o setki mil od Polski, w obcym mieście, wśród samych obcych ludzi, gdzie, jak jej się zdawało, nawet różnica jej nazwiska, stanowiska i majątku nie miały żadnego dla nikogo waloru w stosunku do Główniaka, uczuła przed nim strach. Mógł — no mógł wszystko, co chciał.

A choć to nęciło, choć rwało duszę i ciało — katolicyzm, szlachectwo, etyka, rasa i estetyka, tak i ona, wstrzymywała Helenę¹³.

Nastąpi mimo wszystko kolejny etap „klasowego zbliżenia”. Helena kupiła pierścionki i obrączki, aby mogli udawać małżeństwo. W tym celu ubrała też odpowiednio Główniaka. Nabyte rekwizyty nie są jednak w stanie zmienić głupoty i prostactwa amanta. Na dodatek robi się on zarozumiały i nazbyt pewny swoich praw i urody. Helena musi sobie odpowiedzieć na pytanie: co dalej?

¹³ Tamże, s. 193–196.

Helena Opolska stała wobec zagadnienia. Tak przecież wiecznie, bez końca nie mogło trwać. Nie mogła zawsze i bezustannie siedzieć z Główniakiem nad Genewskim jeziorem, nie mogła w końcu nie wrócić do domu, do matki, nie mogły się także to szaleństwo i ta okropność, których się dopuszczała, długo ukrywać przed wiadomością świata.

Przyjdzie taki dzień, taka godzina, że wszystko się wyjawia, przyjść musi i przyjdzie, a wtedy co? Kompromitacja na całe życie, dla pani Opolskiej cios straszny i ani nieprzebolewały kiedykolwiek, ani do zapomnienia. Pożycie z ładnym i kochanym – ale jak? – Główniakiem nad Lemanem jest słodkie – ach! jakie słodkie! – ale cóż dalej?...

Jak kochanym?

Czy kochanym?

Czy Główniak powiedział kiedy jedno słowo, jeden wyraz, czy wypowiedział z siebie kiedy, czy wynurzył kiedykolwiek ze swej duszy jedną myśl, cokolwiek, co by Helenę jeśli już nie zachwyciło, to przynajmniej zaciekało, zajęło, jeśli nie porwało i uniosło, to przynajmniej podobało jej się?

Nie.

Ładny był, zgrabny, silny i przystojny: nauczyła go pieścić się, bo i tego nie umiał.

I w tych pieścizotach utonęła.

Prawda, że były nieludzko upajające, rozkoszne i słodkie...

Prawda, że gdy się rozejrzała naokoło siebie ileż to panien...

Prawda, że to panna, jej znajoma, przysłała jej ten wiersz:

„Lubię, kiedy mężczyzna drży z żądzы tłumionej,
Gdy widzi, że w brutalne radby chwycić szpony
I sycić głód rozkoszy, po zwycięskiej walce –
– A może tylko – białe ucałować palce!

Lubię, gdy nieprzytomnie, przez drgające wargi
Szepce słowa pieścizoty i namiętnej skargi
Jednym szалу pragnieniem owładnięty cały,
Lubię – drwiącym uśmiechem studzić te zapęły.

Lubię, gdy błyskawica w oku jego gore,
A namiętnych pożądań burza rozkiełznana
W zapamiętaniu każdą zmiotłaby zaporę.

Chciałby ból, mękę zadać, z szaleństwem tyrana,
A musi prosić, błagać — uderzyć w pokorę,
Chciałby użyć przemocy, a zgina kolana”¹⁴.

Prawda, że panny zawierały układy ze swymi narzeczonymi na rok, na dwa, na trzy lata, prawda, że wiele obchodziło się w ogóle bez słów, prawda, że pewna podupadła panna z dystygowanej sfery byłaby „zrobiła karierę, gdyby nie głupie przesady mamy”, prawda, że bywają narzeczone, które mawiają: cóż nam na potem zostanie? — ale jednak...

Helena bała się.

Więc co robić?

Co pozostaje?

Pójść za Główniaka?

Ach, nie!

Już mniejsza o nazwisko, o różnicę wychowania, ale nie oddałaby mu się nigdy, nigdy, nigdy...

Nie, Główniak nie posiadzie jej —

Nigdy!

Może ją pieścić, całować, ścisnąć, tulić, ale nigdy ona nie uczuje się jego, nie uczuje się w jego posiadaniu —

Nigdy!

Przy łóżku Heleny w chustce od nosa zawinięty leżał jej wenecki sztylcik i nieraz kładła Helena rękę na bijące serce Główniaka¹⁵.

Mimo mocnych postanowień Helena wciąż się waha. Kocha go — i tego nie da się zmienić. Cywilizuje więc, uszlachetnia i udelikatnia Główniaka, który nieoczekiwanie przestał być natarczywy. To ją zaniepokoiło. Śledząc

¹⁴ Wiersz ten nie jest bynajmniej mego pióra. Przypisek autora.

¹⁵ Tamże, s. 232–234.

trasę jego spacerów, przekonała się, że chodził do pewnego „domu”! Indagowany odpowiedział szczerze, choć obcesowo: „[z Kasią Miętus – M.B.] ja bym wszystko miał. Nie tylko takie lizanie konfitur przez szybę...”¹⁶. Tego już było za wiele. Helena przypomniała sobie, kim jest ona, kim on... i wyekspediowała go z powrotem do kraju. Natychmiast i bez dyskusji.

To było to, co od początku, od pierwszego wejrzenia stało między nią, a nim, o czym w podartym swym liście pisała do Ludki: rasa inna.

Więc co? Jakże to?

Była Polką i Główniak był Polakiem.

A jednak pierwszy lepszy *von* niemiecki, *de* francuski, pierwszy lepszy Holender, Włoch, Szwed z towarzystwa był jej bliższy, niż członek tej samej narodowości.

Rasa ich różniła.

Kultura wieków, lub przynajmniej lat dziesiątków. Z innej gliny było jej ciało, z innej ciało Główniaka. To się nie dało zaprzeczyć. Ona była od pięciu wieków panią, on był synem sklepikarki z Kleparza. Jej przodkowie to byli rycerze, jego mularze, cieśle, szewcy, piekarze, kto ich tam wie. Jej babki były z dworu, zamku, lub pałacu; jego mogły być pokojówki, pomywaczki, szwaczki. Inna rasa.

— Tak jest.

Główniak nie jest jej.

A to, co było, było szaleństwem.

Szaleństwem zmysłów, obłędem, wariacją!

Szaleństwem zmysłów, obłędem i wariacją, której się trzeba było pozbyć.

Ten wymyty, wyczesany i wystrojony Główniak był jednak zawsze i tylko ordynarnym człowiekiem z gminu¹⁷.

Tak podsumowawszy swoje rozważania, postanowiła ożenić go z Kasią. Szlachetna wciąż i po pańsku rozrzutna wyprawiła im wesele. Oczywiście gest ten

¹⁶ Tamże, s. 240.

¹⁷ Tamże, s. 242–243.

dawał jej specjalne prawa, a mianowicie: prawo pierwszej nocy. Panna Opolska – jak niegdyś dziedzic, gdy wydawał folwarczną dziewczkę za męża – spędził więc noc poślubną z panem młodym. Scenka ta jest krótka, lecz jakże pełna treści! Jak widzimy, Tetmajer – parodysta jest konsekwentny w budowaniu fabuły romansu *à rebours*.

Ef ef! – Dziś dziś! – huczało po sali.

Helena Opolska siedziała i patrzyła na wesele Główniaka, jak przez sen. Smutek, żal, rozpacz ją ogarniały. Kasia, która nie wiedziała o niczym, przychodziła do niej, całowała ją po rękach, dziękowała i obejmowała za kolana, a głównie z powodu kawioru. Nagle w trakcie wesela Helena powstała, zbliżyła się do Główniaka, który zażerał się kiełbasami z owym kawiozem i golił piwo pomieszczone z szampańskim i szepnęła mu:

– Zmęczona jestem. Odprowadź mnie pan do hotelu.

Główniak obtarł głowę, złapał za kapelusz i wrzasnąwszy: Z życiem panowie! Zaraz jeźdem curik! – poszedł z Heleną.

Helena zamknęła drzwi żydowskiego hotelu na klucz, potem wylała na Główniaka flaszkę wody kolońskiej, flakon perfum na swoje łóżko, zacisnęła oczy powiekami jak tylko mogła najmocniej i zapytała:

– Kiedyś się kąpał?

– Dziś rano. Abo co? Znać?

Helena ogarnęła go sobą...¹⁸

Po tym ekscesie Helena chce nareszcie ułożyć jakoś własne życie. Zgadza się wyjść za męża. Niestety – w ostatniej chwili zatrzyma się. Musi iść inną drogą...

Zakończenie anegdoty.

„Panie hrabio – pisała Helena do hrabiego Strońskiego – jutro ma być nasz ślub, a jednak ten ślub się nie odbędzie. Przez trzy miesiące

¹⁸ Tamże, s. 293–294.

naszego narzeczeństwa myślałam o tym ciągle i nie miałam odwagi zdecydować się. Nie, żebym Pana kochała — Pan wiesz, że tak nie jest. Chciałam wyjść za mąż, Pan chciał się ze mną ożenić, tośmy wiedzieli oboje. Śmiałeś się Pan z mojej eskapady genewskiej z byłym nauczycielem mego brata, mówiłeś, że owszem podoba ci się to, że nie widzisz powodu, dlaczego kobiety, tak samo jak mężczyźni, nie mają mieć swojej przeszłości i przyszłości. Mądre i nowoczesne zdanie. Masz Pan łatwość i swobodę poglądów. Ale ja nie mogę być Pańską żoną. Odsyłam pierścionek i przepraszam Pana. Zanadto jesteś, hrabio, światowcem, abys wziął za złe.

Zawsze Pańska przyjaciółka
Helena Opolska”.

W parę godzin później Helena jechała do Główniaka, w okolicę, gdzie on sobie za pieniądze Kasi kupił folwark i osiadł, zrywając z tradycją. Gdy dowiedziawszy się o Główniakowej fortunie, towarzysze zwrócili się do niego, pewni, że strumieniami posypie się złoto na „Kasę Chorych”, szpital, wydawnictwa i inne cele partyjne, Główniak odpowiedział, a mowę swoją wzorował na stylu prowincjonalnych radców miejskich, którzy teraz byli jego ideałem:

— Jo jezdem obywatel. Mom hopy i na ideje gwizdom. To dobre dla takich, co nic nie majom. Jo jezdem patryjota.

— Hale! — dodała Kasia. — Dziady! Icie ich! Śpitol! Umrzyj kaj kces! Cynta z mojigo nie dom!

Helena jechała wrząca.

Co to jest?!

Dziewka jakaś wiejska, od niej ze wsi, z łaski jej rodziców wyposażona, miała ją pozbawić, miała jej odebrać kochanka?!

Sławne!

Wypędzi, każe pójść precz, każe za sobą pójść Główniakowi, weźmie go ze sobą i basta!

Ona, panna Opolska — i Kasia Miętusówna!...

Śliczne zestawienie.

Każe i kwita.

Wydrze Kasi Główniaka.

Już się dosyć stęskniła za nim, dosyć naprzewracała samotnie po łóżku w długie smutne noce. Główniak był jej, jest jej i będzie jej!

On też duchem ku niej skoczy, nie może inaczej być.

Przypomni sobie lekcje w Kresowicach, noce w Jarmolinie, Genewskie jezioro...

Odzyska go na powrót.

Odzyska go i nie puści więcej.

Musi być jej narzędziem rozkoszy, jej pieszczotą...

Ah! Tarzać się z nim!...

Tarzać się, tarzać się, tarzać się...

Wszystkie członki mdlały Helenie.

Za wolno jechał jej pociąg, za wolno najęte żydowskie konie.

Kasia? Niech robi, co chce! Niech ją diabli wezmą! Jest się o co pytać, o co troszczyć! Dostała dwadzieścia pięć morgów, czy ile jej tam matka wydzieliła, ma z czego żyć. Chłopska miłość! Wyrobi jej się rozwód, pójdzie za innego Miętusa i kwita. A zresztą niech ją diabli wezmą.

Helena zajechała przed dom Główniaka.

Był tak samo wieczór, jak wówczas, gdy w Kresowicach skradała się pod okna Główniaka; tak samo kazawszy zaczekać koniom, podsunęła się i teraz. Zajrzała. Przy stole, na którym stały flaszki z piwem i wódką, oraz leżał na fajansowym talerzu w kwiaty salceson, chleb i kiełbasa, siedzieli Główniak, żandarm i jegomość, wyglądający na organistę, i grali w karty. Kończyli grę. Główniak, żandarm i prawdopodobny organista przeliczyli lewy i Główniak rzekł do żandarma:

— Pon jeźdeś durniem. Gromy dali? Kasiu! Przysiednij się do durnia!

— Zaroz, zaroz — odpowiedziała Kasia, wychylając się z sąsiedniego pokoju i ukazując mocno zaawansowaną figurę, mimo to śliczna, jak zawsze — ino dom w pysk Jantosi, bo sie prosie skaliczyło.

— Doj jej pani dwa, nur schnell — powiedział żandarm.

— Czekomy — dodał przypuszczalny organista.

W tej chwili Helena otwarła drzwi bez pukania i wchodząc na środek pokoju, rzekła:

— To ja zagram z panami, zanim Kasia da Antosi w pysk.

Główniak zerwał się z krzesła:

– Panna Helena?! Tu?!

– Jak pan widzisz. Daj pan wódki, bo zimno, i odpraw pan konie.

W pańskie ręce!¹⁹

Możemy domyślać się, że Helena na zawsze już pozostanie u „państwa” Główniaków, grając w durnia z żandarmem i organistą. Oni zresztą chętnie zaakceptują ten układ, bo już na zapas kombinują, jak to Opolska zostanie matką chrzestną ich dziecka. Anegdotę kończą słowa ludowej piosenki, którą przy kartach podśpiewuje organista Kopytko „z ruska po krakowsku”:

Czygoś chciała, toś dostała,
a tyroz sy ni dumoj²⁰.

Jest jeszcze dodatek *Od Autora*. Cytuję go w całości, bo wystarczy za dalsze komentarze:

Kochany Główniaku! Kiedy skończyłem twoją korektę, widzę, że jesteś niekonsekwentny — nie jesteś jednakowo głupi, ale jesteś coraz głupszy i, o ile to możliwe na tym świecie, bodaj że za głupi. Jakie to szczęście, że wraz ze swoją amantką, panną Opolską, jesteście tylko anegdotą²¹.

Romanse Tetmajera to w istocie współczesne powieści obyczajowe. Już w *Aniele śmierci* w migawkowych ujęciach dostrzegamy zręcznie podpatrzone wizerunki. Był w nich humor i realizm. Z czasem jednak kpiące spojrzenie zmienia się w ironię, pamflet (*Panna Mery*), by na koniec w *Romansie panny*

¹⁹ Tamże, s. 297–300.

²⁰ Tamże, s. 302.

²¹ Tamże, s. 303.

Opolskiej cały świat przedstawiony poddany został niszczącej deformacji. Nikt właściwie nie obronił się w powieści przed bezwzględny, potępiającym sądem; „co tknąć, to albo dureń, albo kanalia” – skonstatował trafnie Adam Grzymała-Siedlecki w książce *Niepospolici ludzie w dniu swoim powszednim*²². Przyznać trzeba, że w tym właśnie demaskatorskim rzemiośle, w ostrym, krótkim sytuacyjnym szkicu Tetmajer jest artystycznie lepszy aniżeli w sentymentalnych, rozwlekłych monologach. Sądzę, że anegdota o Janie Głównia-ku jest jednym z ciekawszych, choć gorzkich tekstów „panicza z Ludźmierza”.

22 A. Grzymała-Siedlecki, *Niepospolici ludzie w dniu swoim powszednim*, wyd. IV, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1974, s. 139.

Mieczysław Srokowski

Kult ciała

Dziennik człowieka samotnego (1909*)



Ilustracja nr 3. Okładka powieści *Kult ciała. Dziennik człowieka samotnego* M. Srokowskiego, Instytut Wydawniczy „Lektor”, Lwów 1920. Autor ilustracji: L. Ostrowski.
Źródło: Fot. M. Bujnicka.

* Rok pierwszego wydania powieści.

Warszawa. Noc sylwestrowa. W nędznym hotelowym pokoiku samotny mężczyzna robi bilans minionego roku. Do stolicy przyjechał z Podola. Obecnie jako autor „zmysłowo-erotycznych nowel” ma z czego żyć, lecz dręczy go tęsknota za rodzinnym domem, za pejzażem, gdzie równina „lekko rozfalowana kurhanami”, a „czarne krzyże na rozstajach”. Tam też pozostał grób jego ukochanej. W tę niezwykłą noc czuje się bardzo samotny. Postanawia zacząć pisać dziennik, nie dla zarobku, lecz by wypowiadać się ze wszystkich „walk, cierpień i szamotania z losem”¹.

Czesław Bartkowicki – bo tak nazywa się główny bohater – jako artysta obdarzony jest naturą wrażliwą, wyobraźnią, fantazją i temperamentem potomka szlacheckiego rodu. W towarzyski świat Warszawy wprowadza go przyjaciel, Janek Rzewnicki, w środowisku dziennikarskim osoba dość znacząca. To w jego domu Czesław pozna Hankę Złotopolską. Romans, którego inicjatorką i reżyserką od samego początku będzie ta niezwykła panna, wypełni bez reszty wszystkie karty tej powieści Srokowskiego – słowem stanowi jej fabułę.

Gdym wszedł przed dziesięciu dniami do Janka, zastałem w saloniku cztery osoby: jego matkę, pannę Dusię, mego kolegę szkolnego, bawiącego chwilowo w Warszawie, Stacha i – nieznajomą mi ładną pannę. „Ładna panna” jest dobrego wzrostu, biała brunetka, bez rumieńców, cera świeża, oczy czarne (lubi je mrużyć), budowa ciała silna, bardzo kształtna, sprężysta – usta świeże, barwy maków, o wyrazie rozpieszczono-dziecinny, w oczach i całej twarzy zresztą maluje się gorąca zmysłowość i pełne uświadomienie kobiece.

„Ładna panna”. Biło z niej lenistwo, zupełny dobrobyt, nałóg dogadzania najmniejszym kaprysom swoim, niesłychane rozkochanie w sobie samej i wielka miłość wykwinu!

Siedziała doskonale udrapowana w powłóczystą czarną suknię, zupełnie matową. U pasa, na dość grubym srebrnym łańcuchu, wielka masa breloków różnych kształtów i postaci, które za najmniejszym poruszeniem jej brzęczały tak prawie, jak dzwonki u sanek.

1 M. Srokowski, *Kult ciała. Dziennik człowieka samotnego*, Stanisław Sadowski, Warszawa 1909, s. 7.

Przy niej na kanapce siedziała Dusia, jak zwykle milutka, jak zwykle ze smutnym uśmieszkiem koło ust – niby wesoła, ale jakąś zamyśloną wesołością.

Naprzeciw nich Stach, bardzo gładko wygolony i bardzo dobrze ubrany, przyjaciel mój. Pani domu chwilowo w saloniku nie było.

Salonik cichy, słabo oświetlony lampą w szkarłatnym abażurze, wyściełony dużym dywanem, ciepły. Wszystko to byłoby ładne – gdyby nie ja!

Przypomniałem sobie, wchodząc tam, mój wyświechtany surdut, nieogoloną gębę i fryzurę w dzikim nieładzie, i chciało mi się bardzo śmiać. Będę tu wyglądał, pomyślałem, gdy mnie przedstawiano, jak wstrętny chwast na klombie róż. Przedstawiono mnie i ładna panna kiwnęła lekko głową tak, jakby powiedziała: „wszystko mi jedno, kto jesteś – obdrapańcze” – i ciągnęła dalej rozmowę ze Stachem. A ja siadłem w kącie najbardziej oddalonym – jak panna Figaszewska, respektowa kasztelanowej w komedii Fredry.

Mówiono o balu, który miał się odbyć w salonach naszej redakcji 14 stycznia – mówiono długo i szeroko. Stach zapewniał, że czternastego jest zajęty, dlatego na balu nie będzie, panny go za to gromiły, śmiano się. Ja nie istniałem. A ładna panna, którą Dusia nazywała Hanką, śmiała się o dobre dwa tony za głośno i łyskała oczami w stronę Stanisława często i z doskonałą wprawą.

Tak to trwało dobre pół godziny. Zacząłem się najpierw nużyć, a potem nudzić. Nie zwracano zupełnie na mnie uwagi, wyszedłem więc cicho do stołowego pokoju.

Tu pani domu pomagała w przygotowywaniu do herbaty – było jasno i raźnie, i przykry nastrój opuścił mnie zupełnie. W ogóle przechodzę łatwo z nastroju w nastrój, jak koń dryndziarski z chomąta w chomąto.

– Kto jest ta panna? – zapytałem matki Janka.

– Panna Hanka Złotopolska, bardzo bogata panna ze wsi, jedy-naczka, kuzynka i sąsiadka Dusi.

– A dlaczego ona tak krzyczy? – zapytałem.

– Bo jest bardzo żywego usposobienia. – Podoba się panu?

– Nie!

– Ma opinię piękności w swojej guberni.

– Niech tam! Mnie się wcale nie podoba – za głośna jest.

– Doskonała partia. Jeden z panów powinien się o nią starać, będziemy swatać. Mnie się zdaje, że ona więcej dla pana Stanisława na żonę stworzona.

– Stanowczo więcej dla Stanisława niż dla mnie – potwierdziłem. – Dla mnie żadna nie jest stworzona.

– Dlaczego?

– Bo za literatów nie wychodzi się, proszę pani.

– Ale dziwi mnie, że się Hanka panu nie podoba; ona jest bardzo w guście panów.

– Nie przeczę, że ma duże zalety! Śmiałą linię bioder, przeczuwam także u niej pierś Astarty i mlecznobiałą karnację ciała...

Tu pani domu przerwała mi:

– Pan jest brzydki cynik...

I mówiła coś dalej, ale ja już nie słyszałem, gdyż właśnie przyniesiono doskonale omszoną butelkę starki i postawiono ją obok całej baterii butelek na bocznym stoliku z przekąskami. A ta starcka była moją dobrą znajomą i bardzo miłą przyjaciółką. Zналиśmy się doskonale i rozumieli nawzajem po prostu – cudownie! Pieściłem więc pękaty jej kształt oczyma i... marzyłem. Aż marzenie, jak w baśni, zaczęło się spełniać na jawie! Najpierw błysnął mi w oczach duży topaz, rzucił mi aż w głąb mózgu snop złotych płomieni, a w topazie działały się dziwy – dziwy:

.....
 ...przecięcie domu – gnom-figlarz cudownymi nożycami rozciął dwór modrzewiowy od dachu do piwnic. W górze strych pusty i w kominach półcie słoniny, a niżej – w komnatach, jasno oświetlonych woskowymi świecami, w komnatach o tęgich dębowych pułapach – odbywa się uczta ślubna – dymią podgolone czupryny, śmiga w oczy szkarłat jaskrawy; to srebrem, to złotem palą się słuckie przepychy... [...]

I tak cichutko przy bocznym stoliczku, przez nikogo niezauważony, pograżałem się w wizjach „topazowo-starkowych”, że w chwili, gdy pani domu wypowiedziała uroczyste: „proszę do herbaty”, byłem już gruntownie urżnięty...

Usiadłem do herbaty z mózgiem wyczulonym, ze zmysłami i wyobraźnią zaostrzoną co najmniej trzykrotnie, i gdy znalazłem się obok panny Hanki, poznałem, że wielka ilość pierwszorzędných zalet jej uszła mojej baczności. Usta ma szatańsko-finezyjne i takie boskie w uśmiechu, że patrząc na nie miałem uczucie Araba w pustyni, który ginie na pożarze słonecznym z pragnienia i wie, że o sto kroków bije przed nim w cieniu palm źródło zimnej wody, ale przystąpić nie może, bo przy krynicy zaczął się lew!

Lew konwencyonalnej cnoty – gorzej: lew niemożliwości! Chodzi o to, żeby lwa zastrzelić, ale, Boże broń, nie zranić tylko! Rozedrze w strzępy! A że stuletnia starka dodaje animuszu i rozwiązuje języki, powtórzyłem jej głośno tę oklepaną arabską bajkę.

Odpowiedziała mi lepiej, niż przypuszczałem:

– Nie trzeba ani ranić, ani zabijać tego nudnego lwa, tylko zręcznie pazurki mu poobcinać².

Od tego wieczoru Bartkowicki będzie wciąż szukał pretekstu, aby zobaczyć piękną Hankę, mało tego, zacznie dbać o swą prezencję, aby być jej godnym. Wkrótce nadarzy się okazja – wielki bal w redakcji gazety. Tym razem Hanka po prostu go olśni. Jej szkarłatna suknia niczym królewska purpura kontrastuje z alabastrem twarzy, ramion, gorsu i hebanem ciężkich włosów. Wrażenie jest tak kolosalne, że dopiero parę kieliszków koniaku przywraca Czesławowi elokwencję i pewność siebie. Wkrótce prowadzi swobodną konwersację, podczas której panna Złotopolska bulwersuje go ripostami. Demonstracyjnie zdobna w duchowe aberracje, wygłasza na temat miłości zdania, które mają szokować, np. „[jest to – M.B.] rozstrój nerwów bezwarunkowo ogłupiający”³. Efekt ten bez wątpienia udaje się jej osiągnąć.

² Tamże, s. 18–26.

³ Tamże, s. 50.

— Ile pani ma lat... przepraszam... I skąd się to wszystko w pani wzięło?

— Ile mam lat? Dwadzieścia jeden i trzy... tak, i trzy miesiące, a skąd się to we mnie wzięło? To... to moja rzecz, panie...

— Przepraszam panią — odpowiedziałem, nie wiem dlaczego jąkając się — ale żal mi pani i... bardzo, bardzo mi smutno...

W tej chwili stała się rzecz dziwna... Spojrzałem na nią i zobaczyłem zwrócone na siebie oczy jej, te ogromne czarne oczy, twarzyczkę pobladłą i jakimś smutnym uśmiechem rozchylone, przesłodka jagody jej ust, takie kobiece i takie niewysłowione, że mimowiednie ścisnąłem kurczowo jej rękę, którą trzymałem w swojej, i syknąłem przez zęby:

— To wszystko kłamstwo, co pani mówi — bo twarz, oczy i usta... te usta, gdy milczą, mówią co innego.

A ona na krótką, niewysłowioną chwilę spotęgowała czar spojżenia i uśmiechu, potem nagle, jak na rozkaz, twarz jej zmartwiała i schłodła.

— Nie, panie — ja albo nie mówię wcale, albo mówię szczerze... A potem (tu zniżyła głos i mówiła zimnym, ostrym szeptem) proszę mi tak nie ścisnąć ręki, bo ja mam i cienkie kości, i cienką skórę, mój panie...

— Przepraszam panią, zrobiłem to bezwiednie.

— To się rozumie! — Powiedziała to z obojętną pychą i spojrzała na mnie jak na swego furmana!

Porwała mnie jakaś rozpaczliwa pasja i powiedziałem sobie w myśli: wszystko jedno — będę zuchwały.

— Otóż widzi pani, teraz ja skłamałem, bo ścisnąłem rękę pani wcale nie bezwiednie, tylko dlatego, że nie mogę porwać pani na ramiona i unieść stąd gdzieś precz z oczu tej całej hołoty, która mi przeszkadza, i nieść jak opętany w ramionach nie mogę, i przycisnąć całej pani istoty do smutnej piersi mojej nie mogę! A zrobiłbym to nie dlatego, żebym się miał tak w lot rozkocharać — o nie, ale dlatego, że taki jest w tej chwili mój królewski kaprys, moja pani!...

Mówiłem to jakimś wściekłym szeptem, nachylny tuż nad jej uchem, robiąc równocześnie wszystkie „passez” i „avancez” kontredansa.

— To dziwna rzecz, że prosty kaprys, mój panie, doprowadza pana aż do takiego uniesienia.

— Unoszę się — tak! Bo widzi pani — ja albo jestem, albo mnie nie ma, ale nie umiem być trzymany na długość bata!

Kąty jej ust zadrżały silnie, jakby gwałtownie powstrzymywanym śmiechem, i zagadnęła nagle:

— Ale bądźmy szczerzy. Gdyby panu zupełnie na mnie nie zależało, nie opowiadałby mi pan tego wszystkiego!

— I owszem — na balu zawsze zależy mi na danserce, która jest w moim guście.

— A brawo! Jaki pan złośliwie zręczny... Lubię pana okropnie!

I ciepło nagle zrobiło mi się od tego „lubię”, bo ona je wymawia tak jakoś miękko i ciepło — mówi coś w rodzaju *liubię* — bardzo miło.

W tej chwili wodzirej zawołał: — Galop!

— Koniec kontredansa — ja galopować nie będę, niech mi pan poda ramię, przejdziemy się... albo porozmawiajmy gdzieś w ciszy...

I rozmawialiśmy już aż do kolacji i przy kolacji. Piłem wiele. Gdy wstawaliśmy od stołu — byłem rozbudzony czuciowo aż do jakiejś bolesnej jaskrawości... Zabrział walc, wszyscy z ochotą porwali się do tańca, a my — znikliśmy aż do cichych damskich pokoi, na jej wyraźny rozkaz. Weszliśmy w ten błękitny półmrok pod ramię, potem ułożyłem ją w bujającym fotelu, sam usiadłem przy niej na krześle. Milczenie... Siedziała biała, trochę znużona, oczyma czarnymi jak otchłanie patrzyła przed siebie w próżnię... Po długiej chwili szepnęła:

— Niech pan coś powie...

— Dobrze... niech mi pani będzie posłuszną...

Uśmiech pół bolesny, pół doświadczony, potem takie słowa:

— Potrzebny mi jest przyjaciel — *prawdziwy przyjaciel*, nie zakochany automat-pozytywka, co to mówi i robi od początku świata zawsze wszystko tak samo — bo to jest okropnie męczące i nudne... ale przyjaciel-człowiek, który by mnie nie karmił emetykiem miłości — rozumie pan? Takiego szukam... Pan nim będzie? Ja wiem, że pan potrafi dobrze wyjść z kobietą — i opancerzony już pan jest od tego

obrzydliwego zakochania się, bo widzę na pańskiej twarzy smutno-cyniczny uśmiech, a ja go znam – taki uśmiech mają tylko ci, którzy już tę chorobę przebyli...

– Więc pani będzie posłuszną? – zapytałem i równocześnie czułem, że ona w tym półmroku, otulona w te miękkie szkarłatne gazy, jest, jak na naszą samotność, trochę za piękna.

– A pan, czy nie będzie zakochany?

– Nie mam do tego ani ochoty, ani zdolności nawet...

– To dobrze – odparła, krzyżując ręce nad głową... I ujrzałem toczone mlecznobiałe ramiona jej... Wyszły ze zwojów szkarłatnej gazy, jak dwie śnieżne lilie z płomienia. – To dobrze – ciągnęła dalej – tyle jest piękniejszych rzeczy od miłości...

– Na przykład?

– Młodość... kwiaty... wiosna, żywiczne aromaty, gorące słońce, rozkosz... zmysły...

Wyciągnęła silniej nad głowę ramiona i przymknęła oczy⁴.

Intymne zwierzenia, czule sam na sam narkotycznie wręcz działają na Bartkowickiego. Artysta, a zarazem reprezentant „starej rasy”, nieco znużony życiem, spragniony wyrafinowanych podniet, które zagłuszą dramat samotności, pobudzą zmysły i będą służyć Sztuce, przyjmuje propozycję Hanki, zgadza się na rolę przewodnika po niezbadanych ścieżkach Astarte. Po balu publicznie złoży swej uwodzicielskiej przyjaciółce hołd, publikując poświęcony jej, piękny erotyk. Kobieca duma panny Złotopolskiej jest zaspokojona, pycha zdobywczyni męskich serc nasycona; mimo to, a może właśnie dlatego, Hanka najwyraźniej bawi się swym wielbicielem. Ten zdaje sobie coraz wyraźniej sprawę ze swej „niepojętej rejterady intelektualnej”⁵, lecz nie może stłumić uczuć, które go przepełniają. Demoniczna władczość kusi go, amoralność fascynuje, a cynizm zadziwia. Poszukując dla siebie usprawiedliwienia, próbuje wyjaśniać tajemnicę uroku tej kobiety: „Stanowczo w niej jest jakaś ślepa, żywiołowa siła, taka sama jak w orkanie wichrowym, jak w huraganie

⁴ Tamże, s. 50–55.

⁵ Tamże, s. 59.

na morzu, jak w wulkanie!...”⁶. Choć świadom niebezpieczeństwa i możliwych upokorzeń, wciąż podąża jej śladem.

Weszła Hanka.

Przywitała się ze mną wynioślej niż kiedykolwiek, chociaż ciepłe usta jej lekko drgnęły, jakby półuśmiechem — ruszała się po swoim salonie jak młoda łania na słonecznej polanie.

Te miękkie, ciepłe płatki róży, jej usta, naprawdę całowały czy moje? Otulona w królewskie szkarłaty, onaż to tchnęła na mnie żarem rozfalowanej piersi swojej?

Błękitna przed świtem zimowym, onaż to, ona, ten cud-Hanka, zbliżała się — niedawno, zaledwie dwa dni temu, senna, drżąca, owiana zawrotnym aromatem młodego, znużonego balową bezsennością ciała?

Onaż to rozchyliła usta i objęła szyję moją paląco białą girlandą ramion swoich?

Ona? Nieprawda!!

Ona patrzy teraz na mnie chłodno i najwyraźniej to wszystko się zupełnie nie zdarzyło — patrzy na mnie tak, jak musiało niegdyś królewskie dziecko, księżniczka, patrzeć na bladego trubadura, którego z jej kaprysu w komnaty zamkowe wpuszczono. Wpuszczono go, pozwolą mu wciągnąć w biedne piersi baśniowe tchnienie beztroski i szczęścia, które przesyca te komnaty, pozwolą spojrzeć na królowną Bajkę, pozwolą zabić się, zatruć na wieki obłąkaniem nieziszczalnej miłości i wkrótce pozwolą odejść sobie... na zawsze!

Tak myślałem i męczyłem się jak dzikie zwierzę w nastawionych żelazach... Hanka już nappełniła ogromny salon swoim śmiechem, pogrążona zupełnie w Stanisławie, a jemu najwyraźniej „uśmiechami rozdzierało się łono”. Pani Złotopolska coś do mnie mówiła, a ja, uśmiechając się trupio, „coś” odpowiadałem — potem nic — potem przemówił do mnie Złotopolski, ja znowu coś odpowiedziałem — o jakież to wszystko okropne.

Dlaczego ja się tak męczę?

6 Tamże, s. 60.

Przecież otrzymałem krezusowy dar jej ust... tak, ale ja temu nie wierzę — to się nigdy nie powtórzy, nigdy — już przepadło, minęło — to był błyskawiczny obłęd jej, z którego ja przypadkiem czerpnąłem sekundę cudu niepojętego, który mi chyba życie połamie...

Ja i taki cud, jej usta — bajka...

Przeklinam ją! Pożegnała się ze mną, jak się żegna studenta, który jest na guwernerskiej kondycji, albo swego „bardzo porządnego” oficjalistę!

To źle, że mnie takie marnoty zajmują — źle!

Wizyta trwała godzinę⁷.

Sytuacja Bartkowickiego dodatkowo zaczyna się komplikować, gdyż do „bolesnej walki o kobietę”⁸, z której płynie rozkosz czyniąca cierpienie, staje również jego najbliższy przyjaciel, Stanisław Alfred baron Waldemar-Stumberg. Jest to poważny konkurent. Z racji swego majątku ma pełne prawo starać się o rękę panny Złotopolskiej. Ponadto bardzo ją kocha. Rodzina i sama zainteresowana traktują go przychylnie (co nie przeszkadza Hance nadal flirtować). Sytuacja ta wręcz ją ekscytuje, podczas gdy Czesław czuje się „moralnym oszustem”. Jednakże wszystkie skrupuły przestają się liczyć po pierwszym prawdziwie intymnym *rendez-vous* w Pałacyku Łazienkowskim. Ich wzajemna namiętność staje się dla obojga nie do ukrycia. Hanka po raz pierwszy wówczas wyznaje mu: „palą się oczy moje do takiego z brązu ulanego aktu męczyzny, gdy szaleje pożądaniem... gdy pręży się w nim każdy nerw i żyła... ale... ale...”⁹.

Teraz zaczyna się nowy etap w ich flircie. Hanka, którą pochłania ciekawość, jak to określa, podniecona niezwykłą przygodą, decyduje się przyjść do hotelu, gdzie mieszka nie tylko Bartkowicki, ale i narzeczony!

Nie mogłem uwierzyć ogromowi własnego szczęścia.
Powóz zatrzymał się — wysiedliśmy...

⁷ Tamże, s. 87–89.

⁸ Tamże, s. 64.

⁹ Tamże, s. 110.

Paniczny lęk mnie ogarnął: rozmyśli się... pojmie, co robi... Obejrzałem się: widzę – idzie za mną z konsekwencją kuli, staczającej się po równi pochyłej... a ja co krok oglądałem się. Żadna z tych, które dotąd sprowadzałem z drogi prawej, nie stawiała pierwszego kroku do raju tak jak Hanka – szła, jakby uśmiechnięta przez sen... Robiła *passé* obok przechodniów, jak w pierwszej figurze kontredansa... I ja uśmiechałem się jak truposz i krzywiłem usta do śmiechu, choć wszystka krew uciekła mi do serca...

Weszliśmy w bramę – trzecie piętro... prywatne wejście, łączące dwa domy, zdało się...

Trzęsąc się jak w ataku epileptycznym, otworzyłem drzwi z klucza. Zapalono... posprzątano... dobrze –

Zostawiłem drzwi otwarte i czekam – słyszę jej kroki – lekki szelest... drogi... kochany –

Weszła! – weszła, jak nigdy żadna w moim życiu, różowa zimnem, uśmiechnięta – bez drzeń – bez jęków, bez omdleń ze strachu... bez sakramentalnego wykrzyknika: „Co ja robię?!”.
 Weszła, nie zamykając nawet drzwi za sobą, i rozglądała się, mówiąc:

– Ach, jak tu miło i ciepło...

Usiadła w fotelu przy stole i rozpinając rękawiczki, pochyliła się nad papierami, które na nim leżały...

Dobrze, że ten dziennik chowam do szuflady...

Ja tymczasem zamknąłem drzwi na klucz, klucz wyjąłem i oddałem jej z ukłonem.

– Po co mi dajesz to żelazo?

Rzuciła go na stół... I znowu była jak żadna inna... Nie robiła awantur ze zdjęciem kapelusza, ale sama powyciągała zeń szpilki i odłożyła go na bok, nie powiedziała, jak zawsze wszystkie mówią niby stanowczo (na pierwszej wizycie dyskretnej): „o nie... nie... nie zdejmę... ja tylko na pięć minut!” – a potem okazuje się, że mają haczyki do zapinania bućków w ręcznej torebce, mają puszek, puder itd.

To był naprawdę „pierwszy taki krok” w życiu Hanki...

I cóż dalej?

Ciekawa jesteś ty, biała karto mego dziennika – jedyna powier-nico moja? Płoniesz, jak do białości rozpalone żelazo – falujesz i dławisz mnie, opętanego szaleńca, pytaniem:

– „I cóż dalej?”.

Otóż – czy ja wiem? Nic – nic!

Nie pomogły zwykłe w takich razach perswazje, że na balu widzę jej biust i ramiona... że wszyscy tam mają prawo na to patrzeć... Nic!

Odsłoniła po długich błaganiach małe miejsce na piersi tuż pod szyją, miejsce nie większe od połowy kobiecej dłoni... i tam pozwoliła mi złożyć pocałunek.

Męka potęgowała się...

Nie pytając o pozwolenie – posadziłem ją sobie na kolanach... Płynęły znowu pocałunki. W małej, nadmiernie ogrzanej klatce hote-lowej męczyło się, drogie, tchnące miodną wonią jej ciało... Pieściłem ją na kolanach – czułem każdy jej kształt na sobie i przy piersi. Piłem jej usta...

Zaczęła tracić władzę – przeginała mi się przez ręce – Wziąłem w ramiona i zaniósłem na łóżko.

Ubrani wyciągnęliśmy się przy sobie blisko, blisko – spleśliśmy się w męczarnym uścisku...

Czułem, że się duszę... Zdarłem kołnierz i krawat – bez jej pozwolenia zdjąłem kamizelkę i surdut...

Łakomie przywarła ustami do mojej szyi – potem do piersi, i ona odsłoniła szyję... zaledwie szyję...

Tuliłem ją, leżąc na niej, objęty piekielnym rozchyleniem jej ud...

Byliśmy ubrani. Postawiła granitową granicę, której przekroczyć żadna moc nie zdoła...

Trzy godziny takiej męki błogosławionej przeżyłem...¹⁰

Romans staje się coraz śmielszy. Rytuał miłosnych pieśczot, coraz bardziej wyszukanych, dokładnie relacjonowany jest w dzienniku. Z powodu oficjalnych zaręczyn Hanki ze Stumbergiem spotkania zostają przerwane.

¹⁰ Tamże, s. 119–122.

Czesław konstatuje wówczas z przerażeniem, że przegrał. Przegrał podwójnie: jako mężczyzna i jako artysta. Wydaje mu się, że bezpowrotnie utracił to, co było szczęściem, a cierpienia nie umie przemienić w Sztukę. Alkohol też nie daje ukojenia. Dręczy go poczucie klęski, ból i tęsknota. Karty dziennika wypełniają krótkie, rzadkie i chaotyczne notatki. Aż wreszcie przychodzi straceńcza decyzja: musi ją za wszelką cenę ujrzeć! Idzie do domu panny Złotopolskiej i tam, korzystając z chwili odosobnienia, wyznaje jej miłość: „Kocham jak zatraceniec... kocham na obląkanie... na śmierć... na cud... na potępienie... Jak mego Boga – moją pieśń, która w tej chwili skoła – bo ty jesteś już...”¹¹. Hanka, nieco zaskoczona i zadowolona, że tak wielką wzbudza namiętność, postanawia znowu przeżyć coś niebanalnego. Wymyśla zręczne kłamstwo, aby móc spędzić noc z Czesławem: „pierwszy raz w życiu noc... Jakby poślubna... co?! [...] Ja tobie ufam, rozumiesz? Ufam! Pamiętaj – nie może się stać nic, czego nie chcę... Choćby Bóg wie jak chciała. Sław, przyrzeknij mi [...]”¹². Oczywiście przyrzeka, choć nie bardzo rozumie jej zachowanie.

Dziwna jest konsekwencja Hanka... Albo może nie jej, tylko logika i prawidłowy rozwój owej przemiany dziewczyny w kobietę... W kobiecie tylko co do świadomości, nie w znaczeniu fizycznym, bo Hanka była i jest virgo intacta.

Nazwę to logiką wstydu dziewiczego.

Gdyśmy przybyli do mnie – Hanka dała rozkaz krótki i energiczny:

– Położę się zaraz – proszę usiąść przy stole i grzecznie sobie coś czytać i naturalnie odwrócić się do mnie.

Spełniłem jej rozkaz i zdawało mi się, że wieczność całą ta operacja trwała. Ostatecznie usłyszałem to oczekiwane:

– I cóż?... Oto leży na nierozścielonym łóżku, leży do pasa w sukni, szczelnie zapiętej, od pasa w koszulce... Białe ramiona skrzyżowała nad głową i patrzy na mnie dziecinnymi niemal oczyma!

Była w tej chwili jak książka odłożona przed miesiącem, którą zastałem otwartą w tym miejscu, gdzie czytanie przerwałem. I jeszcze do tego jej słowa własne:

¹¹ Tamże, s. 203.

¹² Tamże, s. 207.

— W tym miejscu skończyliśmy, Sławie, nieprawda? Widzisz, jak ja pamiętam!!

I śmiech... Długi śmiech!

Usiadłem przy niej... Świeciłem całunkami jej marmurowe piersi, które znowu pod falą pieśzczot odsłoniły się zupełnie... — Pokój oświecała tylko jedna świeca, daleko na stole stojąca.

Nowy urok padł na mnie. Bo otuliła nas tchnąca czarem najtajniejszych pieśzczot — noc... I ta świadomość, że jedna cała noc do nas należy... Do nas razem z całym żarem niespełnionych pragnień.

Hanka była senna... Zmieniłem ubranie... Miałem na sobie tylko mój miękki, wełniany kaftan związany u pasa... Ułożyłem się obok niej.

— Hanka — mówię żebrzącym szeptem — Hanka, źle ci tak... źle i mnie źle... pragną cię oczy moje... pragną ramiona... Nic, nic, tylko ten uścisk wzajemny, zupełny... Po co melodię twego ciała... melodię bogów godną, mącą te suknie... te... ohydy... Hanka...

Zwolna... zwolna rozluźniłem, żebrząc, szalejąc, płacząc niemal, wszystkie zapięcia u pasa... uniosłem ją lekko w górę i modląc się po prostu do niej, z niewolniczą powolnością zesuwać począłem ubranie... Ale zaledwie oślepiający przepych jej nagości dosięgnął o małą linię niżej bioder, ona jakby ocknęła się z chwilowego odrętwienia, zatrzymała oburącz dłonie moje kurczowo i prawie z rozpaczą szeptała gwałtownie:

— Sław... Sław, miej litość... nie obnażaj mnie tak okropnie... Ja nie mogę... nie mogę... ty mój... dobry...

Schyliła się do moich rąk, których siłą od całego zwoju swych ubrań oderwać nie mogła, i płacząc suchym, nerwowym łkaniem, zaczęła je okrywać pocałunkami...

— Widzisz... widzisz, jak się okropnie wiję... Nie mogę! Sław... ty to pojmiesz... Mnie nikt na świecie obnażonej nie widział... nikt... Nawet moja własna pokojowa... nawet matka rodzona... odkąd dorosłam, nikt... Ty nie wiesz, co to jest taki dziki jakiś wstyd dziewczyny... To aż w mózgu kłuje, aż boli... po prostu boli w piersi... aż dusi... Nie mogę...

Pot kroplami wystąpił na jej czoło... Czy miała przerażonej łani... Ręce mi opadły...

Jakiś lęk i wstyd wyłagł się we mnie nagle...

Żał mi jej było... I jednej rzeczy zrozumieć nie mogłem: patrzyła przecież na mnie... patrzyła ostatnim razem... Powiedziałem jej to...

— O... Sławie... Widzisz, jaki niedobry jesteś... Powiem ci wszystko... Słuchaj mnie... We mnie żyła i żyje ogromna ciekawość... Ciekawość po prostu paląca... Wtenczas, gdy patrzyłam na ciebie, przypomnij sobie, jak to było... Zrobiłeś to niemal podstępem... A mnie pożerała ciekawość wzroku... Przyznaję, tak... Wbrew swemu wstydowi można zaspokajać pragnienie swych oczu — choć i wtedy boli... Ale oszałamia pokusa wzroku i ulega się... To co innego jest... Sama nie robię wcale ofiary ze swojej nagości... patrzę tylko ja... a nie patrzy ktoś na mnie... Pojmij! Ja nie umiem tego powiedzieć, ale to jest okropna różnica!

Powstałem, otulając się, jak najszczelniej mogłem, moją bonzurką, i cicho, ze szczerą pokorą pocałowałem ją w rękę — potem poszedłem do stołu i usiadłem, zapalając papierosa... Po długiej chwili przemówiłem:

— Uśnij, Hanka, cicho i spokojnie, ja będę pisał — mam wiele listów do napisania i oprócz tego trochę pracy, wystarczy na całą noc... Ufaj mi, że niepokoić cię nie będę, dzieciaku...

I zacząłem naprawdę jakieś słowa bez związku i sensu gryzmolić na listowym papierze. Zaledwie jednak minęło parę minut, usłyszałem ciche kroki za sobą — oglądam się: — Ona. — Powstrzymując oburącz opadające z niej ubranie, przystępuje do stołu i zdmuchuje świecę.

Ciemność i dzwonek śmiechu:

— Aha... figa! Za chwilę proszę grzecznie tu przyjść, zawołam...

Słyszę szelest zdejmowanych sukien. Słyszę, jak padają, odrzucone na podłogę... Słyszę odkrywanie kołdry... kładzie się znowu i komenda:

— Już...

Szybko zapalam świecę — zapalam drugą i przystępuję do łóżka... Nakrywa się aż po szyję i mówi:

— Znowu światło... wiesz, jesteś niepoprawny...

Zrzucam z siebie bonzurkę. Ona szepcze, przysmykając oczy:

— Okropne! I po co to światło?!

Przygarniam się cały do niej – jesteśmy obydwoje pod nakryciem – obejmuję ją w ramiona i przygarniam do siebie... I mam świadomość, że się dzieje niesłychaność, na której wysłownienie mowa ludzka za biedną jest chyba! Mam ją przy sobie... – Czuję niespodziewane bogactwo jej bioder, piersi, ramion... Ramiona i piersi odkryte... Od reszty dzieli mnie tylko cieniuchna tkanka jej koszulki... Krew wali mi we wszystkich arteriach... Nie pozwala osunąć z bioder swoich koszuli... A ja tulę się jak oszalały... i znowu żebrzę!!

– Hanka, przecież nie patrzę... sam nie mam nic na sobie... Hanka, uszanuję twoją wolę... nie tknę cię... Ale po co to... To nie ja proszę... Piękno przez usta moje płacze. Ty siebie... ty piękno samo krzywdzisz tym półokryciem swoim... Słuchaj mnie: moja religia to sztuka – a tej religii mojej, tej sztuki bogiem jest piękno. Hanka, ty piękną jesteś!...

I cóż dla mnie może być nad ciebie?!

Pojmij mój ból... Noc!... Ty niemyślne dziecko szczęścia, zaklęta moim pogańskim uwielbieniem piękna – ty, wieczna kobieta, jesteś u mnie... Jest noc – pojmię... Nieśmiertelna, wieczna piękność, to, co jest światłem moich oczu – duszą mojej duszy – jest i mieszka w tobie, i jest tobą! Stał się cud! Tak, cud... I oto ja mam spojrzeć na ciebie, abyś z pięknej stała się nieśmiertelnie piękną, przez siłę mego twórczego zachwyty! Hanka – Hanka, pojmię, że ja wpierw, nim byłem człowiekiem chyba, już byłem artystą – a ty myślisz, że nagość twoja, czysta i święta, jak piękno samo, może się okrywać marnym wstydem przed modlitwą moich oczu?! Przed pieśnią mego uwielbienia?!

I stało się przedziwnie!

Hanka jednym rzutem odrzuciła nakrycie i, za niecierpliwa, żeby zwlekać z siebie koszulę, szarpnęła ją gwałtownie, rozdarła i precz odrzuciła.

Rozkrzyżowała ręce – głowę, z której opadać zaczęły na ramiona ciężkie, krucze zwoje, odchyliła w tył – oczy przymknęła – twarz zbłądła bardzo, bardzo, męką wstydu – i ciężko falowały jej piersi...

A głowa w tył odchylona – a oczy zamknięte.

Stałem przy łóżku oniemiały – zabity –

Potem uderzył na mnie dziki ból: wstyd własnej marnej nagości! Otuliłem się, owinąłem po prostu szczelnie przed własnymi oczyma i jak skąpiec, który odkrył skarb i sam własnym oczom wierzyć nie chce, przystąpiłem do niej ze światłem — postawiłem je obok łóżka, na stoliku nocnym — potem przyniosłem drugie, i jeszcze mało — mało światła mi było — zaświecełem więc dużą lampę, której używam do nocnego pisania, postawiłem ją pośród świec...

I słońce — sto słońc chciałem zapalić tej cichej chmurnej nocy, niechby gasły i ślepy, patrząc na nią!...

Ciało moje odeszło ode mnie, znikło, przestało istnieć, stałem się na wskroś czystym, zachwyconym duchem. Machinalnie wtuliłem się w fotel, który też bezwiednie sobie przysunąłem, i patrzyłem...

Patrzyłem tym, co jest najnieśmiertelniejsze w duszy człowieka, artysty — patrzyłem tą iskrą tchnienia Bożego, która żyje w duchu człowieczym...

Z wolna... z wolna zaludniać się poczęła biedna samotnia moja...

Tak — dziwna wizja...

Przesuwały się białe cienie dawnych mistrzów, zwołane moim zaklęciem. Szły długie korowody duchów owych pierwszych twórców barwnego kształtu, którzy niegdyś zabijali się nawzajem na ziemi za boską tajemnicę kolorów — kłębiły się i zwijały tęczą brzmącą zachwytem ich duchy nad moją białą z zamkniętymi oczyma dziewczą — nad moją Hanką. — A byli wszyscy, których znam, i ci, których nie znam, i tacy, o których istnieniu ludzkość zapomniała, a najuczeńsi dziś nie wiedzą... A ja wołałem głośnym zachwytem ducha mego największych z wielkich, aby przyszli i patrzyli.

[...]

Coraz śmielej —

Patrzę na moją Hankę i myślę: Przyszłość szczęście moje — otulone królewskim płaszczem grzechu — kradzione i oszustne szczęście... jakieś dzikie — niepojęte a cygańskie. — Leży i przez sen, bez ceremonii, jak dziecko, rozłożyła się na mojej piersi — a gdy uśpioną całuję, uśmiecha się już cała ujęta coraz błękitniejszym przedświtem wiosennym — i przez sen oddaje mi pocałunki...

Dyszy snem, nie otwiera oczu i całuje...

A przedświt błękitniał. Upajał mnie zapach jej młodego ciała — i snu, i to, budzące co chwila żar w piersi, tchnienie sypialni!

I niepojęta, do utraty zmysłów niemal doprowadzająca mnie, jej bytność u mnie...

Hanka — królowa balów...

Hanka — cel i ozdoba rautów!

Hanka dumna, śmiała, nieprzystępna, cięta i drwiąca Hanka — bogata i piękna panna, ozdoba salonów — u mnie!

Hanka cudem własnej nagości, przeze mnie nauczona boskiego bezwstydu — przy której białości alabaster szarzeje — kochanka moja, niekochająca mnie — kochanka moja przez szczodłą, królewską fantazję swoją, i tylko dla tej fantazji swojej — moja kochanka!

Wiecznie szalejący płomień — dziewica nietknięta — harfa moja złota!

Patrzyłem na nią, objęty zdradnym aromatem naszych ciał — na przedziwną biel jej nadspodziewanie rozwiniętej, śmiałej nagości.

Nie było żadnych dla oczu moich tajemnic — sen mi ją rozłożył jak owoc wyborny — jak grono wonne, dojrzałe!

I jak zwykle po znużeniu i bezsenności wielkie pożądanie obejmować poczęło i rozlewać się po wszystkich moich członkach...

Cicho przygarnąłem się do śpiącej — do bezbronnej w tej chwili. — Każda kropla krwi żarem mi płonęła, od którego prężyłem się aż do bólu i drżałem...

Ale był we mnie jakiś, dla mnie samego niepojęty, zakaz, który wyłączał wszelką możliwość, abym posiadał jej dziewictwo.

Czar dla mnie niepojęty ma jej „nietkniętość” — czar, który szłał moich pożądań doprowadza do wizji, do natchnień.

Cicho, nie budząc jej, objąłem gorący przepych jej ciała — i nie odrywałem, drżąc cały, ust moich z rozchylonych jej ust, aż gdy rozkosz szaleć zaczęła po wszystkich stawach moich — gdy już słodkie odrętwienie się zbliżało — Hanka, nie otwierając oczu, objęła ramionami szyję moją...

I poszła po mnie zupełna bezwładza — i bezwładza cicho zamknęła mi oczy...

A gdy już minęła — poszedłem żarem przepastnych pocałunków znowu do jej dziewiczych bioder.

Hanka moja umie przedziwnie wtedy płakać. — I zapłakała mi tak, nie wiem już który raz tej nocy...

Usnęliśmy snem kamiennym.

Potem przyszło nieubłagane w całym swoim majestacie — życie.

Obudziło mnie silne wstrząsanie... Otworzyłem oczy i widzę: Hanka trochę przerażona siedzi na łóżku i milcząc pokazuje mi na drzwi. Słucham — ktoś bardzo energicznie szamoce klamką i puka...

Zimno mi się trochę zrobiło — ale myślę — trudno — chcę wyskoczyć z łóżka, Hanka mnie nie puszcza. Szepcze mi do ucha:

— Zapytaj głośno — kto to?

Ja pytam głośno, nawet z jakąś rozpaczliwą pasją:

— Kto tam, do stu diabłów?!

Oniemiałem — słyszymy głos Stumberga.

[...]

Kroki jego oddalają się i giną — cisza. — Siedzę na burzliwie przewracanej pościeli w łóżku, jak Jeremiasz na gruzach Jerozolimy, i milczę... Nie mam nawet odwagi spojrzeć na nią. Aż usłyszałem jakby stłumiony spazm łkania... Patrzę: Hanka leży z twarzą zupełnie ukrytą w poduszkach, plecy jej, głowę wstrząsają gwałtowne drżenia! Lęk mnie porwał: — piękne było i skończyło się — myślę — przypało — ten jak Deus ex machina przyłazł. Ona płacze... Płacz, żal... I takie piękno zniszczone. Rzucam się niemal z rozpaczą do niej:

— Hanka, ty płaczesz? Moją przecież jesteś, nie jego! Hanko, ty masz wolną wolę... — I chciałem jeszcze coś mówić, ale przemawiając w ten sposób, uniosłem jej głowę z poduszki i ujrzałem serdecznie roześmianą jej twarz i słyszałem długą kaskadę śmiechu...

Poszedł chłód po mnie:

— Wiesz, Hanka... Ty silna jesteś!

Ona na to:

— O! tak... Okropna farsa... Ale mimo to mnie tego barana żal!

— Nazywasz go baranem?

— A tak... idzie przecież na zarznięcie!

— Widzisz — widzisz! Po cóż urządziłaś to całe narzeczeństwo — powinnaś z nim zerwać!

— Zerwać — o, mniejsza o to! Ale co ty mówisz? Ty — ty pytasz mnie, dlaczego urządziłam to narzeczeństwo ze Stumbergiem, otóż ci powiem: ażeby ta noc dzisiejsza nasza miała więcej uroku! A teraz proszę mi powiedzieć, kto z nas jest większym artystą: ja, czy ty?!

Był we mnie w tej chwili podziw dla niej, który przejmował mnie mrozem.

— A jednak — mówię — powinnaś z nim zerwać, bo moją jesteś...

— O nie — nie — twoją wcale nie jestem... Wcale... I nigdy nie będę — nigdy! To tylko ty jesteś mój! Ty!

— Dlaczego mówisz, żeś nie moja... A wszystko, cośmy przeżyli razem... Hanka?

— Nie jestem twoją, mój poeto, bo cię nie kocham i nigdy cię kochać nie będę — rozumiesz? — A to, żeśmy przeżywali i jeszcze będziemy przeżywać różne wrażenia, to jest wynikiem czterech... tak, czterech rzeczy, które się do tego przyczyniły...

— Jakie cztery rzeczy? — pytam.

— O — takie proste...

I zaczyna wyliczać na białych paluszkach:

— Mój kaprys — moje zaufanie do ciebie — moja ciekawość i sposobność!

Żółć zaczęła mi się rozlewać, ale... wysłuchałem. Po chwili zacząłem mówić:

— A więc nie kochasz mnie i... rozumiem z tego, że nic dla ciebie nie znaczę!

— O, przepraszam! Znaczysz, i to znaczysz bardzo wiele — bo jesteś mój... rozumiesz? — Mój... Mój ko-cha-nek!

Ostatnie słowo wymówiła, cedząc z wolna, sylaba po sylabie, i zarumieniała się bardzo.

— Mój pierwszy kochanek! Tym bardziej „mój”, że mnie kochasz i już tak będzie przez całe twoje życie... pamiętaj! Ty mnie już nigdy kochać nie przestaniesz... Choć już mnie dawno przy tobie nie będzie! Ciebie sobie wybrałam, bo chociaż nie dotrzymałeś naszego kontraktu, zawartego na początku, i zakochałeś się we mnie, a miałeś być tylko dobrym „ami”, mimo to masz wiele znakomitych zalet na kochanka: po pierwsze — nie kochasz nudno; po drugie — moja ciekawość przeczuła w tobie dobrego profesora rozkoszy; a po trzecie — budzisz we mnie zupełne zaufanie... A na końcu... co to długo gadać? Miałam taką królewską fantazję, żeby mieć kochanka, bo stać mnie na to i już! Ale pamiętaj, że ja nie jestem i nie będę twoją kochanką, ani twoim niczym innym... To tylko ty „mój” jesteś. Ja ciebie nie kocham!

Zapanował nade mną jakiś podły, pokorny smutek, taki podły, że poniżyłem się aż takim powiedzeniem:

— A jednak ze Stumbergiem gotowaś była nawet zaręczyć się!

— Boże! Czyż zaczniemy na nowo o tym mówić? Powiedziałam już, dlaczego to zrobiłam! Zresztą, co to znaczy? Czy mi się oświadczasz? Bój się Boga, Sławie. Mąż — przecież to jest już ostatnia rzecz!

Hanka pomału ubierała się, ja byłem już ubrany — ponieważ papierosy nam wyszły, kazała mi sobie przynieść od Stumberga.

Zrobiłem, czego żądała — gdy brałem papierosy od Stanisława, powiedziałem mu, że zaniósę do siebie, na górę, bo mi wyszły, a ta kobieta pali!

Wszystko to wydało mi się takie po łotrowsku nadzwyczajne, że ręce mi się trzęsły, gdy jej te nieszczęsne papierosy podawałem. — Ona śmiała się!¹³

Kochankowie — tylko sobą zajęci, rozzuchwaleni bezkarnością — nie zauważają dziwnych spojrzeń, niedomówień i niepokoju Stumberga. Jednak pewnego dnia Hanka oświadcza, że boi się ludzkich plotek, a niebezpieczne,

¹³ Tamże, s. 208–232.

zuchwałe wręcz igranie z losem, grożące kompromitacją, już jej nie bawi: „ja nie chcę, żeby plugastwo mnie się czepiło – ja jestem piękna i taką zostanę!”¹⁴.

Bartkowicki z zupełnie odmiennych powodów również uważa, że pora flirt zakończyć; oszukiwanie przyjaciela, który na dodatek ufa mu i zwierza się ze swej miłości i szczęścia, budzi coraz głębsze wyrzuty sumienia. Próbuje zagłuszyć je różnymi sposobami. U innych znajduje sugestywnie sformułowane rozgrzeszenie:

Panu nie wolno mieć przesądów, czy coś jest dobre, czy niedobre, skoro raz natura stworzyła go artystą! Pan powinien mieć tylko jedną religię: kult piękna! Jeżeli zakłamię tego piękna dla pana jest słońce – niech będzie kult słońca – jeżeli ciało – niech będzie kult ciała!¹⁵.

Mimo wszystko czuje się winny, ma wrażenie, że błądzi „labiryntem zła i kłamstw”¹⁶. Równocześnie jest już całkowicie pewien, że nie potrafi wyrzec się Hanki! Stumberga tymczasem męczą sny o zdradzie narzeczonej. Wkrótce potem domysł ten potwierdzają fakty. Udaje się więc do Bartkowickiego, aby z jego ust usłyszeć prawdę. Przyjaciół nie ma odwagi mu jej wyznać, zaprzecza wszystkim pogłoskom, podejrzenia zamienia w żart. Stumberg na pozór daje się przekonać, lecz w istocie, zrozpaczony, ucieka się do podstępów. Od tej chwili wydarzenia następują szybko po sobie.

Znowu siadam do ciebie, przyjacielu mój jedyny – jesteś, jak widzę, dość punktualnym przeglądem tygodniowym!

Jest noc... około drugiej po północy... siedzę i piszę... Stumberg ma dzisiaj dyżur w banku. Cały dzień i całą noc; wróci dopiero jutro o piątej po południu... Mieliśmy z Hanką dzisiaj dzień swobodny; napisała mi o tym rano i przyrzekła zjawić się u mnie o szóstej. Zjawiła się też punktualnie.

¹⁴ Tamże, s. 276.

¹⁵ Tamże, s. 246.

¹⁶ Tamże, s. 250.

Urządziłem jej niespodziankę; pozwoliło mi na to honorarium za trzy nowele, które otrzymałem dzisiaj.

Otóż zasypałem różami łazienkę kąpielową w jednej z samotnych willi znajomego mi rzeźbiarza. Obecnie nie ma go w kraju. Pałacyk ten — istne koronkowe cacko, położony jest w głębi ogrodu i urządzone tak, jak tylko to potrafi wielki artysta dla siebie, gdy rozporządza takim ogromnym, jak on, majątkiem.

Fenomenalny wyjątek — rzeźbiarz, artysta prawdziwy, w dodatku Polak i — bogaty. Wewnętrzne urządzenie jest ostatnim wyrazem wykwintu i wygody. Oddany mi jest bardzo stary jego służący — Marcin, który, cicho urządziwszy, co mu poleciłem, wyniósł się. Oprócz niego nie mieszka tam nikt. Żarowe lampy w muszelkach z matowego szkła kazałem otulić w małe szkarłatne abażury. Białe, kamienny jakby z marmuru basen sam obsypałem szkarłatnymi różami. Szezlong był kryty pąsową dywanową materią i dostrajał się doskonale do całości. Rozrzuciłem po całej łazience tej masę pąsowych róż i zamówiłem punktualnie na siódmą godzinę 30 stopniową kąpiel...

Stary dostał hojny datek za zastosowanie się do moich wskazówek; a widocznie prezent, który ode mnie otrzymał, uradował go mocno, bo mi powiedział na pożegnanie:

— Chciałbym u jaśnie pana służyć i do śmierci bym już nie odszedł!

— Dobrze byś wyszedł na tej służbie — pomyślałem.

O godzinie siódmej w zamkniętym powozie zawiozłem tam Hankę. Nie wiedziała, dokąd jedziemy, i dąsała się na mnie przez całą drogę, że jej nie mówię, co to ma być?

Wchodząc tam, gdy się opatrzyła, gdzie ją prowadzę, przez niepochwytny moment jakby zawahała się — ale to trwało, jak zwykle u niej, sekundę.

Weszliśmy — i Hanka krzyknęła...

Naprawdę było tu coś z raju.

Zapach ogromnej masy róż i niepochwytna woń kąpeli przewijająca się w tym, już to samo stworzyło nastrój dla nerwów i zmysłów oszałamiający.

Po białym marmurowym basenie wiły się niedbale porozrzucane masy pąsowych róż.

Lustro w różach — na oknach... na szezlongu... róże... I wszystko to oblane szkarłatnym światłem lamp... Czar jakiś nas po prostu otumaniał...

Hanka usiadła, przymykając oczy:

— Sławie, Sławie, jakie to jest cudne... Jakie będzie cudne — w głowie się mąci...

Pomyślałem o wszystkim. Zamiast czepka kąpielowego do osłonięcia włosów przed zmoczeniem miałem czerwoną jedwabną chustkę, którą sam, jak turban kobiet syryjskich, owinałem wokół jej głowy.

I po chwili stanęła przede mną w całym swoim majestacie, biała, z purpurowym turbanem na głowie. Pełzało po jej toczonych z alabastru wspaniałych ramionach, piersiach i biodrach — po tej zaiste chyba za pięknej, już chyba zmysłowo świętej nagości jej — pełzało szkarłatne światło i tworzyło cuda, od których nie miałem i wiłem się niemal boleśnie...

I brakło mi tylko do rąk jej białych — złotej misy z głową proroka...

I brak mi było do rąk jej białych miecza jasnego, oblanego krwią miecza i głowy Holofernesowej...

Potem na rękach ten cud mój zaniosłem na szezlong i na jaśmin jej ciała róże rzuciłem i modliłem się do niej milczeniem!...

Parokrotnie cicho wyciągnęła do mnie ramiona, które mówiły mi: pójdz...

Nie mogłem.

Zachwyt zabił we mnie ciało moje, zachwyt rzucił mnie na kolana, że nie śmiałem przystąpić.

I mówiła:

— Całuj mnie — Sław — całuj.

Nie zbliżałem się...

— Hanka cię prosi — twoja Hanka...

Nie zbliżałem się...

— Hanka rozkazuje...

Zbliżyłem się i cicho ległem obok niej – ale nie miałem mocy do pocałunków...

Aż ona sama rzuciła się ustami na usta moje, poszła pocałunkami po szyi i piersi i na piersi położyła mi rozpaloną jak ogień twarz, która nie umiała się oduczyć rumieńców...

Potem płynęły jak lawa płomienne pocałunki jej po piersi i łonie moim.

Zesuwała się ta szkarłatem owinięta głowa królowny po biodrach niewolnika, wybranego z tysiąca niewolników – za pieśń.

Za jedną pieśń.

Nie odrywając głowy z bioder moich, szukała spojrzeniem pytających oczu mego spojrzenia!...

A potem lekko uniosła głowę, bym widział jej dziewczęce jagodne usta – i patrzyła baśnią rozchylonych ust swoich w moje oczy.

I widziałem, jak drżały różane płatki jej warg, jakby modliły się o coś – jakby się bały – jakby się kajały i pragnęły równocześnie sprawić cud. Jagody jej ust niewysłowionych rozchyłała i trwoga ogromna, i pragnienie, i jakby pytań wiele niemych, z których jedno najgłośniej mózg mi przepalało: „A czy nie skonasz ty ze szczęścia wtedy? Przeżyjesz ty taki cud – niewolniku?

Patrz – ja, królewska córka!”.

I skłoniła się potem znowu głowa jej – znikły mi jej drogie oczy – znikły drogie usta.

Mgła nagle zasłoniła mi oczy...

Ziemia wraz ze mną zapadać się zaczęła.

— — — — —
Zaniosłem ją do marmurowego basenu. Oczy miała zamknięte, jakby się bała spojrzeć na mnie, a gdy położyła się prosto w tym łóżu marmurowym, białym, koło którego wiły się girlandy róż – gdy objęło ją gorąco tej wonnej kąpeli, z wolna otworzyła duże czarne oczy i spojrzała na mnie jakby ze zdziwieniem.

Potem cicho jak dziecko bawiła się kwiatami, które rzucałem na nią, i pływały około niej i pieściły szczyty jej piersi...

Zamyślona — brała mrące w gorącej wodzie róże w białe ręce
i mówiła cicho:

— Patrz — umierają...

Potem znowu spojrzała wokoło siebie i wyszeptała:

— Ogród mi jakiś czarowny stworzyłeś...

Nie! To ty, Hanko, ty mi darowujesz na gwiazdach zawieszone
baśniowe ogrody, gdzie już i szczęście, i piękno w obłęd chyba przecho-
dzą! Ty zawieszonych ogrodów pani — Ty Semiramis moja!

— — — — —

Nie umiem powiedzieć, co pierś moją przepełnia, gdy to piszę.

I dzisiaj to się stało! Dzisiaj?

Noc już otuliła ziemię moją biedną, cisza... Sam siedzę w biednej
mojej samotni — rozglądam się wokoło i pytam:

Byłoby naprawdę szczęście na ziemi?

[...]

13-go maja — 8-ma rano.

Stumberg się zastrzelił!

18-go maja.

Przedwczoraj był cichy pogrzeb Stumberga. Nie obyło się bez woj-
ny z klechami o pokropienie ciała.

Wszystko to było straszne i jest i żyje, jak ropiąca rana...¹⁷

Hanka z matką natychmiast wyjechały. Bartkowicki pozostał sam
z tragicznym listem od zmarłego: „Kaź tam wykopać mojego trupa!
Stanisław”¹⁸. Data, a nawet godzina: „12-ty maja — godzina 8 ½ wieczór”¹⁹,
nie budzą cienia wątpliwości. Bohater jest wstrząśnięty katastrofą, której
czuje się sprawcą. Raz po raz stawia sobie pytanie: „Kto zabił Stumber-
ga, jeśli nie konieczność dyskrecji... Kodeks obyczajowy nie powiada wca-
le, że są okoliczności, kiedy dyskrecja nie obowiązuje. Nie! Milczeć trzeba

¹⁷ Tamże, s. 280–287.

¹⁸ Tamże, s. 289.

¹⁹ Tamże.

zawsze!"²⁰. Tak minął ponad miesiąc. Wróciła Hanka i „ledwie ukazała się w progu mego mieszkania – upadłem jej oszalały do nóg!”²¹ – notuje znów w swoim dzienniku.

Ten krótki i dramatyczny zapis pełniej oddaje uczucie Czesława niż poprzednie długie wynurzenia i refleksje.

I na tym kończą się dzieje romansu.

Dziennik zamyka list do dawnego przyjaciela, Wacka Bułata, pisany po trzech latach pobytu w Paryżu. Jest to „obrona wniesiona przez serce”²² i „dzieje [...] niedoli”²³.

Kochałem.

Śmieszne – nieprawdaż? Tak, śmieszność z niewysłowionym nie-szczęściem wzięły dzisiaj ślub w mojej duszy!

O, mój ty, drogi, kochany, nie odgadnąłbyś nigdy, nigdy, dlaczego tak skwapliwie dzisiaj porządkowałem papiery moje, dlaczego znalazłszy ten dziennik, list, który miałem do ciebie napisać, piszę na tych wolnych kartach – i dlaczego w ogóle piszę?...

Na myśl by ci nawet nie przyszło, dlaczego to się wszystko dzieje?!

Otóż dlatego, że deszcz pada!

Tak, dlatego! Mówiłem ci kiedyś, dawno, że zawsze, choćby to nawet było w Polsce i w zimie, gdy ja wyruszam w daleką jakąś podróż, musi padać deszcz – pamiętasz?

Ja... teraz wybieram się w bardzo – bardzo daleką podróż, bo po trzech latach włóczęgi, uciekania przed koniecznością, żeby „tam” pojechać, doszedłem do przekonania, że tylko niepotrzebnie zrobiłem taką ogromną zwłokę, bo już przed trzema laty można się było „z tym” załatwić.

A dzisiaj, nareszcie, zaczął deszcz padać. Mówię „nareszcie”, bo jak kania dżdżu oczekiwałem tej szarugi... aż przyszła!

²⁰ Tamże, s. 294.

²¹ Tamże, s. 303.

²² Tamże, s. 306.

²³ Tamże.

Postanowiłem i tym jeszcze razem odjechać w dzień deszczowy... bo niech już tak będzie do końca...

A tu, jak na złość, tegoroczny kwiecień w Paryżu słoneczny był i pogodny – miały okropne dla mnie dni jasne i płomieniste słońcem, a ja tak pragnąłem szarugi...

Aż dzisiaj rano zbudził mnie sygnał. Pod moim oknem na szóstym piętrze, gdzie mieszkam, są dachy blaszane – otóż z rynny znad mego „szóstaka” z brzękiem równym i monotonnym spada woda na te niższe dachy.

Sygnał wyraźny – powiedziałem więc sobie dziadów naszych sposobem: „no, mości Bartkowicki, czas na Waści, pada deszcz – a słowo się rzekło...”.

Mglisty i okropny jest ten ranek...

O, Wacku mój – tylko nie patrz tak na mnie tymi smutnymi oczyma – bo ty jesteś tu przy mnie – czuję twoją obecność... Nie... nie mów mi, że to tchórzostwo – nieprawda! Z czym to ja mam tu zostać? Z czym? Ręce bezwładne – oczy osłепłe i zawsze, i na wieki tym samym okryte łachmanem... dusza, serce, pierś i mózg po brzegi tą samą wypełnione chorobą!

Z czym więc i po co zostawać jeszcze dłużej?!

Czy na urągowisko wkradającej się zawsze w tajnie niedoli wielkiej i wielkiego nieszczęścia – gawiedzi?... motłochu?!

Usłuchałem ja ciebie, druhu mój – usłuchałem, ale za późno!

I zaledwie w dwa, w trzy miesiące po ostatnich twoich słowach już było za późno – chociaż odszedłem!

A to już tak dawno – już pełne trzy lata upłynęło od tego czasu, gdy się wszystko skończyło i – odszedłem...

Nie! – Będę szczery, powiem prawdę, ja musiałem, musiałem odejść, bo doszedłem już w on czas do takiej niedoli, że w pięć minut po odejściu byłbym, czołgając się i wijąc w prochu, jak pies do nóg Jej powrócił... gdyby zawołała...

Ale – dzięki Bogu – było za późno... odwrót zamknięty – drzwi feudalnego Jej dworca zatrzaśnięte na wieki!

– A było to tak – powiem krótko: Jesień jakoś miała się chyba już ku końcowi... nie, mniejsza o to! Po prostu: raz wezbrała we mnie cała niedola moja i stało się tak, że wreszcie poczułem podłą, brudną rzeczywistość... tam, gdzie ja czułem się Bogiem – miano rozrywkę... tam, gdzie ja widziałem świętości, gdzie miałem sanktuarium moje najdroższe... urządzono sobie śmietnik. Poznałem to wszystko, i nie bacząc na obecność ludzi, wybuchnąłem głośno bólem całej krzywdy mojej, bólem złamanego życia, sponiewieranej miłości mojej... zblóconego człowieczeństwa!

I w szale nieszczęścia rzuciłem Jej całą prawdę w twarz!!

Tego samego dnia, rano jeszcze, a wieczorem nagle rozpadła się przepaść – otchłań między nami!

Poszedłem w świat...

Błądziłem w zamków nadreńskich ruinach... stałem zdumiony w rzymskim Koloseum... Patrzyłem na Paryża triumfalne łuki... ani Madrytu dziwnie smutna duma, ani Sewilli słońce, nic, nic... Wacku mój, nie dzwignęło biednej, chorej duszy mojej...

Więc w daleką odchodzę drogę – i muszę odejść...

Czas mi ciebie pożegnać, ty jedyny mój – pozwól jeszcze chwilkę, jakoś to trudno...

A czas wielki na mnie – bo deszcz dzwoni o szyby i przypomina, i wzywa...

Jedno słowo: otóż ten zwój papierów – te mętным smutkiem a czasem jasnym i jak płomiennym oblędem przepełnione karty – ten testament maniaka – a szczerą spowiedź wielkiego nieszczęścia i zaprawdę niepojętej miłości – posyłam, Wacku mój, tobie. Czytaj – i zamknij w sobie jak w trumnie to, co się stało moją trumną... a potem, kiedyś – proszę cię o to, bo wiem, żeś mi był bratem – każ zamknąć ze sobą, gdy ty, mój drogi, legniesz na wieczny sen.

Wybacz, że mówię o tym, ale tam przecież wszyscy idziemy...

O, jaki ja przeraźliwie sam – jaki sam, jak pies obity jestem –

No, a teraz już czas – wybacz mi, ty bracie, ty ojciec i matko, ty jedyny człowieku, jedyny duchu mój, którego miałem na tej biednej

ziemi... wybacz... Opustoszeje ci teraz świat – boś jak ja sam, wybacz – ale nie mogę, nie mogę...

Tulę się do piersi twojej – byłeś mi wszystkim, wiesz – chciałbym złożyć bezdomną głowę moją w ręce twoje... i szepnąć – słuchaj.

Cicho deszcz dzwoni...

K O N I E C²⁴

Bałwochwalczy kult ciała okazał się zgubny. Szał zmysłów nie był lekarstwem na samotność, zniszczył człowieka – nie zapłodnił Sztuki. Takie są końcowe wnioski jednego z najbardziej skandalizujących romansów z początku wieku, którego tytuł jest synonimem modernistycznego panerotyzmu. Nastrojowość, charakterystyczny sensualizm w widzeniu świata, fascynacja metafizyką płci prowadząca do śmiałego przekraczania obyczajowych konwensów, wykwinтна wersja dekadentyzmu (bardzo różna od tej, którą reprezentowała cyganeria z kręgu Przybyszewskiego) – oto niektóre tylko cechy „dziennika człowieka samotnego” (jak głosi podtytuł), najbardziej znanej powieści Srokowskiego (do 1930 roku ukazało się pięć wydań).

Jan Rybarski, pisząc w 1920 roku o *Kulcie ciała*, chwali „polskiego d'Annunzia” jako stylistę:

Trudno na koniec nie wspomnieć o niepokalanej czystości i poprawności języka Srokowskiego, który, wolny od szablonów sztywności z dziwną lekkością daje się nagiąć i wprost po mistrzowsku dawać może wyraz już to najpłomienniejszych ekstaz uczuciowych, czy też ekstaz zmysłowych, już to epiczne maluje obrazy, swojskiej pełne fantazji i rycerskiego polotu²⁵.

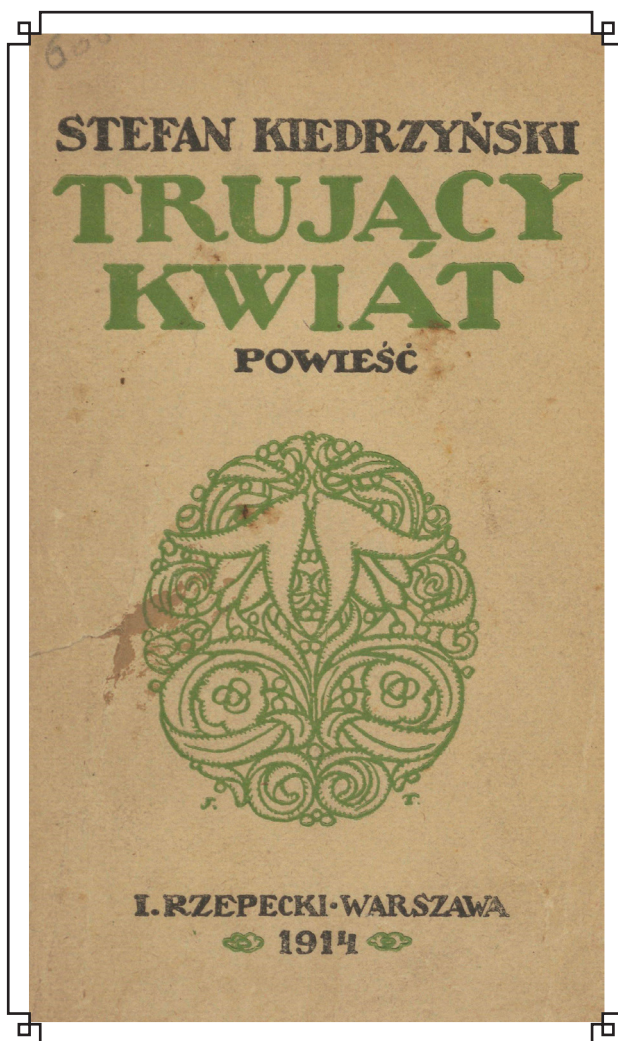
Istotnie. Pierwszoosobowa narracja, bardzo subiektywna formuła dziennika, i to dziennika pisanego ręką artysty – poety i prozaika – dawała możliwość ciekawych ujęć. Humor i trafność obserwacji spletają się z lirycznym monologiem i u dramatyżowaną scenką. Powieść Srokowskiego jest przykładem synkretyzmu, który cechował całą literaturę modernistyczną.

²⁴ Tamże, s. 306–311.

²⁵ W. Grzelak, *Kult ciała – i śmierci!*, w: Tegoż, *Cyganeria z „Udziałowej” 1908–1913*, Czytelnik, Warszawa 1965.

Stefan Kiedrzyński

Trujący kwiat (1914*)



Ilustracja nr 4. Okładka powieści *Trujący kwiat* S. Kiedrzyńskiego, wyd. I. Rzepecki, Warszawa 1914. Autor ilustracji nieznany.

Źródło: <https://polona.pl/item-view/9e70c241-88ce-4aa0-819e-7f0a86cee220?page=4> [dostęp: 11.08.2024].

* Rok pierwszego wydania powieści.

Trujący kwiat – charakterystyczny dla młodopolskiej konwencji tytuł – symbolicznie prezentuje heroinę romansu, kobietę piękną i okrutną. „Młoda jak wiosna”¹, „piękna jak poranek”², urodą swoją urzeka i fascynuje mężczyzn, bawiąc się ich uwielbieniem, drwiąc z uczuć, unieszczęśliwiając. Osią konstrukcyjną powieści są losy trzech mężczyzn i historia ich miłości do takiej właśnie kobiety – zimnej i niedostępnej Lucy Mory-Podhojeckiej. Kolejne portrety – charakterystyki, choć z różnych perspektyw robione, są tożsame. Nawet głos narratora pobrzmiewa w podobnej tonacji, gdy w zhiperbolizowanej, retorycznej frazie opisuje niebezpieczny urok kobiety fatalnej:

Jej cudowne oczy, o dziwnych spojrzeniach, głębokich i miękkich, miały w swej piękności niewinność dziecka i dumę królowej. Była to imponująca brunetka o bladej, białej, marmurowej twarzy, spokojnej, prawie majestatycznej, nacechowanej jakąś złowrogą niewinnością³.

Pierwszy rozdział powieści zatytułowany jest *Ex-człowiek*. Naturalistyczna stylistyka tej sceny wykorzystuje chwyt kontrastowego zestawienia postaci i społecznego dystansu: nędzy i bogactwa, upodlenia i wykwintności, brzydoty i piękna. Oto spotkanie dwu ofiar namiętności.

Pewnego dnia nad wieczorem, kiedy już zapalono miejskie latarnie, a z wystawowych okien sklepów chlusnęło na chodniki światło lamp, koło kościoła św. Krzyża uwijał się między przechodniami trzydziestokilkuletni mężczyzna – żebrząc. Była to kreatura dosyć niezwykła. Spod uniesionego kołnierza wystawała cienka żyłasta szyja, na której osadzona, niby gałka na lasce, kwitła czerwienią głowa o spłaszczonej pijackiej twarzy, poplamiona plastrami tłustych, czarnych, przylepionych do czaszki włosów. Oczy, niegdyś niebieskie, były jak wyprana, spłowiwała na słońcu stara szmata: blade i mętne. W czerwonych

1 S. Kiedrzyński, *Trujący kwiat*, wyd. 2, I. Rzepecki, Warszawa 1924, s. 64.

2 Tamże.

3 Tamże.

obwódkach powiek pływały wieczne łzy, ściekające po twarzy z lada jakiego powodu, wsiąkając natomiast bezzwłocznie w brunatne wąsy, zrudziałe pod nosem i zadymione papierosami. Była to twarz straszna, obrzękła mimo chudości, zorana nieszczęściem, zbrukana jak rynsztok⁴.

[...]

Naprzeciwko nędzarza siedł mężczyzna piękny, czterdziestoletni, ubrany z wytworną starannością. Twarz miał znudzoną, pobladłą, a oczy lekko przymknięte w znużeniu. Nędzarz zbyt dobrze znał tajemnice swego zawodu, aby tu nie spróbować szczęścia. Człowiek bogaty, owiany nudą, nie myśli o takich drobnostkach, jak kilka groszy rzuconych żebrakowi. W pełni świadomości rozumuje. Daje więcej niż inni albo pogrozi kijem – w chwili duchowego osłabienia rzuca niechętnie kilka groszy, aby się odczepić. Żebrak wiedział o tym dobrze i natarł z energią⁵.

[...]

Pan spojrzał na niego po raz pierwszy oczyma, z których biła łuna wstrętu. Podniósł laskę i opuścił ją wolno. Wstręt zastąpiło zdumienie, objęło piękną twarz obłokiem bladości, zapaliło się w źrenicach przerażeniem. Piękny pan stał zmieszany i patrzył na straszną postać żebraka, drżąc w lęku, który chciał opanować i zetrzeć z twarzy poszarzałej, bladej, mętnej – wypłoszyć z oczu utkwionych w ohydne łachmany nędzarza. Nagle obejrzał się dokoła i rzekł półgłosem:

– Chodź za mną.

Rzucił się przed siebie, jak w ucieczce. Szedł prędko ku najbliższej bocznej ulicy i skręcił w nią natychmiast. Odwrócił się, czekał⁶.

Piękny i bogaty Zamorski wysłucha z uwagą, a nawet pewnym szacunkiem, połączonym ze współczuciem, opowieści żebraka i wykojeńca – niegdyś przeciętnego, ale szczęśliwego, beztroskiego młodzieńca. Zaprosił go do siebie,

⁴ Tamże, s. 3.

⁵ Tamże, s. 6.

⁶ Tamże, s. 7.

chcąc poznać jego los i cierpienie, albowiem sam przeżywa podobne. Od dawna kocha „tę kobietę”. Retrospektywna narracja ex-człowieka w dużym skrócie przedstawia dzieje miłości: oczarowanie, wzrastającą namiętność, szalone pragnienie bliskości, chęć obcowania z ukochaną kobietą i na koniec okrutną cenę, jaką musiał zapłacić za iluzję szczęścia. Oto fragment tej opowieści:

Godzinami siedziałem bez ruchu, myśląc ustawicznie o niej! Wtedy zrozumiałem, że ją kocham. Mówiłem kocham, nie wiedząc jeszcze, że ją ubóstwiam.

To był początek mojej śmierci!

W ślad za świadomością miłości przyszła męka rozpacz. — Pragnąłem ją poznać i rzucić się do nóg. Błagać jednego spojrzenia, wyszlochać pocałunek — otworzyć sobie niebo uściskiem... Och, jakże daleko byłem od drogi, którą iść powinienem. Kobieta, którą kochałem, nienawidziła słabości i pogardzała uległością... Nie wiedziałem o tym! Pierwsza chwila naszego widzenia była klęską, pierwsze moje słowo — wyrokiem śmierci wydanym na siebie. Lecz wówczas miałem tylko jedno gorące pragnienie: poznać ją! Ta myśl przepalała mi serce, odurzała jak dym. Omdlewałem w zachwyceniu, wyobrażając sobie jej pocałunek... Każde drgnienie duszy mojej poświęcałem tej kobiecie, która była cudna jak sen, nikczemna jak gad trujący.

[...]

Tak przeszły dwa miesiące. Nie miałem sposobności jej poznać i szalałem z rozpacz. Codziennie po południu, jeżeli była ładna pogoda, zajeżdżał powóz, jak się okazało, jej własny, i jechała na spacer.

Schodziła ze schodów — cudna jak zjawisko, ubrana z tym oślepiającym smakiem, połączonym z bogactwem, który pięknym kobietom nadaje wygląd nie z tego świata. Ubrana białą, odurzała niewinnością, skłamaną widocznie, ale cudnie. Była to hetera z twarzą dziecka, Messalina z oczami anioła, Ksantypa — z postacią Psyche. Jeżeli spotkasz pan kiedy na swojej drodze kobietę, której oczy patrzą czystością błękitu, a słodycz ich olśni cię niewinnością — uciekaj. To są aniołowie śmierci! Ja o tym nie wiedziałem — i nie uciekłem⁷.

⁷ Tamże, s. 20–21.

Młodzieniec, który od chwili poznania nie potrafi żyć bez pięknej Lucy, kradnie pieniądze z kasy w swoim biurze, aby podążać do Paryża śladem ukochanej. Kiedy po wielu trudach udaje mu się ją odnaleźć, zostaje wyrzucony za drzwi, nieodwołalnie, na zawsze! Więzienie, nędza, staczenie się na dno – to dalszy ciąg tej melodramatycznej historii.

Omawiana część powieści stanowi rodzaj prologu i służy psychologicznej charakterystyce głównych postaci dramatu. Akcja zaczyna rozwijać się w pełni, gdy wprowadzony zostaje trzeci bohater – Ryszard Brechocki. Pochodzi on z ubogiej rodziny, którą *notabene* opuścił na skutek konfliktów z ojcem, człowiekiem słabym, nieciekawym i bez godności. Jednakże bezpośrednią przyczyną scysji będzie znany nam już Zamorski. Jest on właścicielem kamienicy, której administrowaniem zajmuje się ojciec Ryszarda. „Ryszard nie znosił jego [Zamorskiego – M.B.] pięknej twarzy, nacechowanej wzgardliwą grzecznością. Patrząc w jego szare oczy, uderzające spojrzeniami jak dłonią, uczuwał niewytłumaczoną dla siebie falę nienawiści, która obejmowała jego serce bolesnym niepokojem i zaciemniała myśl”⁸. Obrażony i upokorzony przez ojca w jego obecności, szczególnie mocno to przeżywa; do instynktownej niechęci dołącza urażona ambicja. Opuszcza rodzinny dom, by zamieszkać w domku ubogiej staruszki na przedmieściu. Tutaj po raz pierwszy ujrzy Lucy Podhójcejką w roli filantropki, a więc w sytuacji przeczącej jej charakterowi. Wrażenie jest tak kolosalne, że nie potrafi tego ukryć.

Stała na progu nędznego mieszkania, piękna jak bóstwo, pachnąca jak bukiet nieznanych kwiatów. Od błyszczącego jedwabiu i strusich piór kapelusza, od jej cudnej głowy, objętej głęboką czernią włosów, szedł zapach przedziwnych perfum i blask bogactwa i urody niezwyklej, przejmującej podziwem i przerażeniem. W tej chwili była zabójczo piękna i imponująca majestatem, wzniecając lęk i uwielbienie, rozkosz zachwytu i boleść onieśmienia. Nie wypowiedziawszy słowa, wodziła wzrokiem po wyszarzałej nędzy mieszkania, badając dosyć uważnie przykrą biedotę, maskowaną czystością i porządkiem⁹. [...]

⁸ Tamże, s. 44.

⁹ Tamże, s. 86.

Sklonił się dosyć swobodnie i podniósł oczy... Uczuwszy na sobie jej spojrzenie oślepiające cudem – zadrżał. Serce załopotało mu w piersiach jak ptak, rzuciło falę krwi do głowy, hamując oddech w piersiach. Ryszard oparł się o stół, żeby nie popełnić jakiejś niezgrabności, nie potrącić krzesła, nie zrzucić szklanki z kwiatkami ze stołu lub nie poślizgnąć się i nie upaść na ziemię...

Obłok słodkiego niepokoju objął go na nowo i zdławił głos w gardle, który nie chciał zakwitnąć na białych wargach. Stał nieruchomo, rozumiejąc, że jest śmieszny, nie mając siły na opanowanie wzruszenia, podejrzewając jednocześnie, że jego onieśmielenie może być fałszywie tłumaczone, jako hołd i czołobitność złożona bogactwu. To go nieco otrzeźwiło! Słowa Podhojeckiej do reszty zwróciły mu przytomność. Na jej niegrzeczne, oschłe pytanie, kim jest, odpowiedział z godnością:

— Jestem Ryszard Brechocki.

Podała mu rękę – co wprowadziło w zachwyt pocziwą staruszkę¹⁰.

Zimna piękność z zadowoleniem spostrzegła zachwyt młodego chłopca. Postanawia go rozkocharać, a następnie użyć do realizacji swoich planów. Najpierw, niczym dobra wróżka, zadba, aby awansował w pracy, lepiej zarabiał. Słowem, by ubogi, skromny chłopiec zamienił się w mężczyznę mającego odwagę marzyć o kobiecie takiej jak ona! Po tych wstępnych przygotowaniach zaprasza go do siebie...

Ryszard wszedł, olśniony bogactwem i urokiem smaku. Przycupnął na jasnym w srebrne kwiaty taboreciku i zaczął przeglądać album, patrząc uważnie, a nie widząc nic. Za chwilę usłyszał szelest sukni i uczył zawrót głowy. Wstał. Złożył ukłon głęboki, nie podnosząc oczu. I usłyszał głos miły, słodki, dźwięczący metalem, a gorący jak słońce!...

— Nareszcie raczył się pan pofatygować!...

Spojrzał na nią i zamarł z zachwytu. Była jeszcze piękniejsza niż zwykle, więcej olśniewająca w obłoku białych koronek i błyszczącego

¹⁰ Tamże, s. 88.

jedwabiu. Z niebieskich oczu padały płomienie radości, rzucając na jej precudną twarz łunę szczęścia¹¹.

[...]

Wyciągnęła do niego rękę, którą ujął drżącą, gorącą dłonią. Bez wahania przycisnął ją do ust i – omdlał w radości. Jej miękkie, pachnące, wypieszczone palce ofiarowały mu uścisk lekki, uroczy jak sen.

Puścił dłoń i wyprostował się. Był blady jak trup.

– Nie jestem zadowolony – szepnął. – Jestem szczęśliwy.

– Tym lepiej. Szczęście przychodzi tak rzadko, że nie należy go omijać¹².

Podhajecka przedmiotowo potraktuje Ryszarda – jako oręż w swej potyczce z Zamorskim. Ma odegrać rolę rywala i wzbudzić w nim zazdrość. Lucy kocha bowiem Zamorskiego, lecz miłość ta od samego jej początku jest pełna zmagania i walki. Oboje potrzebują wciąż nowych „ofiar” – świadków swego dziwnego, nieco sadomasochistycznego uczucia.

Każda myśl o Zamorskim była dla niej jak uderzenie sztyletu. Były chwile, kiedy błagała Opatrzność o cios wielkiego nieszczęścia, zesłanego na głowę człowieka, który szedł za nią jak cień, który omdlewał z tęsknoty do jej ramion, a patrzył na jej przedziwną piękność oczyma obojętności. Wówczas przyciągała go do siebie jeszcze bardziej, pragnąc całą duszą wielkiego triumfu nad tym niezwykłym spokojem, który obejmował ją chłodem swego rozumowania, przenikał strachem i upokorzeniem. – Między Podhajecką a kamiennym sercem Zamorskiego toczył się bój, walka śmiertelna o godność człowieka, o jego szczęście i miłość woli, którą Zamorski ubóstwiał, jako fundament nieoceniony i drogi swego istnienia. Szły tygodnie i miesiące całe, przepędzane w mrokach mieszkania Podhajeckiej, godziny strasznej męki i oczekiwania, ciężkiej walki wewnętrznej, którą staczał sam z sobą, często

¹¹ Tamże, s. 106.

¹² Tamże.

upadając pod brzemieniem piękności niezwyklej, odurzającej czarem żywego ciała.

Zamorski kochał ją całym impetem wielkiej miłości, która obejmowała go obłokiem wzruszenia bez miary i olśniewała jak błysk słońca. Były chwile, kiedy pragnął zapomnieć o wszystkim i rzucić się do jej nóg, objąć ramieniem ukryte w jedwabie kolana i wypowiedzieć wszystkie tęsknoty swego serca. Pragnął milczenia i ciszy, jak pragnie umierający ze znużenia wędrowiec wypoczynku. Całą duszą patrząc na jej niezwykłą piękność, słysząc słodką melodię głosu, pragnął tego czarownego spokoju, prawie sennego odurzenia, jakie spływa z uścisków kochanki, z zapachu jej włosów, z pocałunków ust, szepczących słowa brzemienne miłością. Wówczas, drżący w lęku tajemniczym – bladł i słaniał się jak pijany. Jeden błysk triumfu i cichej radości w oczach Podhajeckiej – odrzucał go jak cios wymierzony w piersi¹³.

[...]

Zrozumiała walkę, którą toczył sam z sobą – i postanowiła zmusić go do jej zaprzestania. Pragnęła zwycięstwa – władania myślą i sercem człowieka, który, opierając się jej piękności, wzywał ją na walkę z sobą – i szydził samym przypuszczeniem triumfu!

I bój się zaczął!

Z przedziwnych jej oczu, przejrzystych i pełnych słodczy, padały spojrzenia jak lśniące promienie wiosennego słońca. Mocą tajemnych sił przeistoczyła się przed jego oczyma w pachnący kwiat nie z tego świata, odurzający wonią i urokiem piękności bez miary. Przyszły chwile, brzemienne cichą miłością, jak gdyby tłumione z wysiłkiem, a promieniejące w szczęściu nieopisanym. Otaczała go przepychem swego czaru, który bił od niej jak dym odurzających woni, obejmując jego serce tchnieniem omdlewającego upojenia. I wtedy gasł i tajał jak bryły śniegowe pod promieniami słońca. Przychodziły chwile słodkiego otumanienia, kiedy śmieszna wydawała mu się ta cała walka – prowadzona przeciw jej piękności i w obronie czego?... Własnej godności?¹⁴

¹³ Tamże, s. 132.

¹⁴ Tamże, s. 134–135.

Młody i naiwny Ryszard, oczarowany łaskawością pięknej i bogatej damy, nie zdaje sobie sprawy, że jest zabawką w jej rękach. Lucy natomiast ekscytuje rywalizacja, do której sprowokowała obu wielbicieli. Z całą kobiecą okrutną intuicją i zręcznością reżyseruje „przypadkowe” towarzyskie spotkania. Zamorski, przewidując jej perfidne zamiary, chce zapobiec kolejnej ludzkiej tragedii.

Zamorski patrzył na nią głębią swoich oczu, spokojny i kamienny jak zawsze. Chwila rozpaczy, stłumiona woła, przeszła jak chmura gradowa. W tej chwili był tak spokojny, jak gdyby patrzył na marmurowy posąg, na kształt obojętny, chociaż cudny!

— Lucy — powtórzył — dlaczego chcesz zgubić tego biednego chłopca? [...]

— Mylisz się, mylisz się po trzykroć!... Z rąk moich otrzyma chrzest radości najwyższej. Słodycz tęsknoty, potęgę upojenia bez granic.

Zamorski nagle drgnął, jak w dreszczu śmiertelnym. Obiema silnymi dłońmi chwycił jej ręce i ścisnął mocno. Przybliżył twarz do tej twarzy pobladłej i utonął chłodem swoich oczu w jej słodkich źrenicach i pił tę słodycz, krzepnąc jak w agonii śmiertelnej, blady jak upiór. Z wykrzywionych ust, sinych i drżących, w charkocie strasliwym i na pół przytomnym, padł krzyk zapytania, zduszony, bolesny krzyk konającego serca, brzemiennego rozpaczą, szaleństwem, krwi zatrutej obłędem nieszczęścia.

— Ty?!

Podhojecka, nie opuszczając oczu, odpowiedziała spokojnie:

— Tak.

Zamorski puścił jej ręce, które opadły bezwładnie wzdłuż postaci, uderzając z szelestem o jedwab.

Nagle odwrócił się i szedł wolnym, mechanicznym krokiem ku drzwiom, sztywno, posępnie jak manekin. Przy samych jednak drzwiach, jakby trafiony w samo serce, zatoczył półkole i oparł się plecami o białą rzeźbioną ramę framugi, rzuciwszy jedno jeszcze spojrzenie w jej stronę.

W tej właśnie chwili Podhojecka, patrząc niemal z pogardą w jego trupią, ziemistą twarz, rzekła półgłosem:

— Ja kocham tego chłopca.

Wtedy Zamorski wyprostował się jak na paradzie wojskowej. Błade drżące ręce przesunął po twarzy, jak gdyby się budził z ciężkiego, męczącego snu, i skłonił głowę w ukłonie.

— Odchodzę — rzucił cichym, przejmującym szeptem.

A Podhojecka powtórzyła raz jeszcze tym samym dziwnym, półdrwiącym tonem:

— Kocham go!

Otwarte drzwi bez szmeru zamknęły się za nim¹⁵.

Tymczasem gra, którą Lucy prowadzi z Ryszardem, zbliża się do punktu kulminacyjnego: kobieta proponuje mu małżeństwo! Zaraz potem wyjeżdża z nim. W swoim majątku w Brogach zostaje jego kochanką, lecz w istocie myśli jej zaprzęta kto inny.

Ryszard pobladł jak przed śmiercią, opadając w omdlenie rozkoszne ponad miarę. Słowa Podhojeckiej wstrząsnęły nim, zdławiły serce jak dłonią, rzucając płomień krwi na oczy, patrzące w zdumieniu. Na pół przytomny zerwał się i przypadł do niej, objął ramieniem jej cudną głowę, przytulił do siebie, czując rozpierającą go, boską, niewypowiedzianą radość szczęścia. Była to chwila oślepiająca go jak piorun, oszalamiająca głębią przedziwnych uroków, odurzająca czarem obietnic. Drżącymi ustami wyszeptał lawinę przysięg i zaklęć, drżąc, szlochając w głębi swej duszy, przyciskając jej wonne dłonie do ust modlących się w zachwyceniu.

Odpowiedziała mu uśmiechem pełnym słodyczy. Przysunawszy twarz do jego twarzy, z ustami przy ustach, zapytała cichym, zduszo-
nym głosem:

— Pragniesz mnie?...

¹⁵ Tamże, s. 153–154.

Wówczas przygarnął ją jeszcze bardziej i utonął ustami w kwiatach rozkwitłych, pachnących, odurzających wonią, w kwiatach jej ust, przedziwnie słodkich, czując jednocześnie, że upada pod brzemieniem tej rozkoszy, zamraczającej myśl szczęściem. Nie odrywając swych ust spragnionych, zamglonym spojrzeniem swych źrenic pił rozkosz z jej oczu na pół przymkniętych, patrzących spoza koronki rzęs, jak nie z tego świata. Była to chwila zupełnego omdlenia, w której Ryszard tonął odurzony słodyczą jej ust, zwartych w pocałunku z jego ustami. Drżący falą krwi, dławiącej go obłędem pożądania, tulił ją coraz miłośniej do siebie, nie czując istnienia swego, objęty rozkoszą przejmującą do rdzenia, oślepiającą jak błyskawica w ciemnościach. Wreszcie oderwał usta, aby wyszeptać: „kocham”. I całując jej oczy przymknięte, odsłoniętą szyję, ręce białe, wyszłochał modlitwę swej miłości, rzucając do nóg najgorętsze drgnienia duszy razem ze łzami radości, które spadały na jej dłonie, na biały jedwab sukni i ginęły scałowywane drżącymi wargami Ryszarda. Wreszcie wysunęła się z jego objęć i głosem cichym, brzemennym słodyczą zaczęła go uspokajać, przemawiając jak do dziecka, ocierając płynące łzy z tkliwością matki.

Słodką pieśczętą kochanki obejmowała go cichym rozrzewniem. Nie mogąc wymówić słowa, wcisnął się w róg otomany i, półleżąc, z oczyma przymkniętymi, zdawał się usypiać¹⁶.

Szczęście Ryszarda równe jest cierpieniu Zamorskiego, który, śmiertelnie znużony, postanawia nieodwołalnie usunąć się w cień. Lucy zagrała *va banque*, a teraz jest zirytowana brakiem natychmiastowej reakcji z jego strony. Zabawa w miłość z Ryszardem na dłuższą metę nudzi ją, czego nawet nie stara się przed nim ukryć.

Odkładając z dnia na dzień chwilę stanowczej rozmowy, gryzł się i cierpiał, widząc jej obojętność. Nigdy nie miał odwagi zapytać jej, dokąd tak często wyjeżdża i dlaczego przedkłada jazdę konną nad

¹⁶ Tamże, s. 193–194.

miłe przejażdżki łódką po stawie, które w pierwszych dniach przyjazdu do Brogów odbywały się dosyć często. Lecz za każdym razem słowa zamierały mu na ustach i Ryszard, blednąc ze wzruszenia, całował jej rękę, nie mogąc się zdecydować na zapytanie. Tymczasem termin jego urlopu zbliżał się ku końcowi, a o małżeństwie nie było mowy. Podhajecka wprawdzie nie zaprzeczała, kiedy sam o tym wspominał, ale nie mówiła o tym nigdy. Po jakimś czasie i on, zażenowany jej milczeniem, przestał wspominać o tym, co było jego marzeniem, utajoną rozkoszą serca, co ustanowiło podstawę jego nowego, tak cudnie zaczynającego się życia.

Pewnego dnia po południu, przejęty do głębi jej obojętnością, wyszedł do ogrodu i poszedł, jak zwykle, usiąść na kamiennej ławce w altanie. Tego dnia był smutniejszy i bardziej rozgoryczony niż zawsze. [...] czuł, że stało się coś dziwnie strasznego i nieprzewidzianego [...]. Wiedział dobrze, że cały mit o szczęściu, wszystkie nadzieje jego rozpadają się w gruzy, rozpływają się w przestrzeni jak dym, jak wieczorna mgła nad moczarami¹⁷.

W majątku pojawia się wreszcie Zamorski. Przyjechał, by po raz ostatni zobaczyć Lucy i na zawsze ją pożegnać. To dramatyczne spotkanie na leśnej polanie (ich jedyne *tête-à-tête* na tle przyrody) pozwoli zakochanym po raz pierwszy wyznać swe uczucia szczerze i bez wstydu.

Koń pierwszy przeczuł jej zbliżanie się do polany, odwrócił głowę i postawił uszy. Zadrżał lekko i szarpnął mocnym rzemieniem lejc, jak gdyby chciał je zerwać i wyjść na spotkanie.

Wówczas jego pan, siedzący nieruchomo, drgnął i zaczął nasłuchiwać. Po chwili wstał błądy, owiany drżącą falą wzruszenia, oparł się o pień pobliskiego drzewa i czekał, stygnąc z chwili na chwilę, aż dawny zimny spokój pokrył jego twarz maską z kamienia.

Był to Zamorski.

¹⁷ Tamże, s. 221.

Na polanę wjechała Podhajecka, zatrzymując konia o kilka kroków od niego. W milczeniu, skłoniwszy się z zupełnym spokojem, pomógł jej zsiąść. Sam przywiązał klacz do pnia, pogładził jej lśniąca, czarną szyję i wolnym, pewnym krokiem zwrócił się do niej. Podhajecka stała oparta o to samo drzewo, które przed chwilą wytrzymywało napór jego ciała. Była spokojna jak on, z wyraźnym wysiłkiem jednak panując nad wzruszeniem, które odbiło się w jej cudnych oczach rozkosznym słodkim lękiem.

Chwilę stali naprzeciw siebie, milcząco tonąc oczyma w swoich oczach, z ustami drżącymi, na których zawisły słowa wyrwane z serc trzepoczących się w piersiach jak spłoszone ptaki.

Była to chwila pojednania ich spojrzeń. Patrzyli na siebie, nie mogąc wymówić słowa, bojąc się głosu swych ust, zdławionych kurczem rozkosznej bolesti.

Zamglone źrenice mówiły wszystko, mówiły prosto do serc, które pod wpływem tej milczącej rozmowy omdlewały w upojeniu.

Pierwszy tę ciszę rozkoszną przerwał Zamorski, mówiąc przerywanym szeptem:

— Dziękuję ci, żeś przyszła. Sądziłem, że ostatnia moja prośba zostanie bez odpowiedzi. Dziękuję ci bardzo!

— Dzisiaj rano otrzymałam twój list — odpowiedziała z wyraźnym wysiłkiem. — Jestem, bo nie chciałam i ja również... — Głos jej się załamał i zginął przerwany sztucznym, niezręcznym kaszlem, zacieraającym wzruszenie.

Zamorski objął ją oczyma jak miłosnym ramieniem. Oczyma, które kochały, całowały i modliły się jednocześnie.

— Nie chciałaś również — szepnął.

— Rozstać się bez pożegnania — dokończyła.

— Za to właśnie jestem ci wdzięczny — rzekł, odzyskując spokój. — Znamy się tak dawno... Dzisiaj, kiedy ostatni raz się widzimy w życiu, mogę ci powiedzieć istotną prawdę. Byłaś pierwszą i ostatnią kobietą, którą kochałem... Jesteś jedyną, którą kocham...

— Więc wyjeżdżasz nieodwołalnie?

Siedział na pniu brzozy przez długą chwilę nieruchomo. Nagle wstał i wyprostował się. Podszedł do niej i wyciągnął ręce ruchem pełnym niezwalczonej mocy.

— Bądź zdrowa... — rzekł. — Już późno. Pragnąłem cię tylko zobaczyć.

— I nic mi nie chcesz powiedzieć? — zapytała, biorąc jego rękę i zatrzymując w swojej dłoni.

— Nic ponadto! — rzekł z wysiłkiem. — Bądź szczęśliwa z tym, którego wybrałaś. I nie pamiętaj o mnie!...

W oczach Podhojeckiej zamigotał nagle błysk miłosnego płomienia i jak promień słońca padł na jego pobladłą, zmęczoną twarz. Przyciągnęła ku sobie jego ręce i ustami przy ustach krzyknęła prawie, rzucając wyrazy jak oslepiające wstęgi.

— Przysięgam ci, że nigdy nie kochałam tego człowieka!...

[...]

— Chciałam, byś mnie zdobywał w walce, a nie opanował jak niewolnicę i dlatego kazałam mu być przy sobie i kochać siebie. Pragnęłam cię zmusić do walki o siebie samą! Dlaczego nie mogłeś zrozumieć, że kłamstwo mojej miłości i długa komedia odegrana z Ryszardem — była komedią, graną na twoich uczuciach. Myślałam, że nie dasz się zwyciężyć człowiekowi, którego nienawidziłeś. Pragnęłam i żądałam twego zwycięstwa!

— Lucy... — szepnął.

— I dzisiaj możesz wybierać — zawołała, płonąc słowami. — Jeżeli odejdiesz ode mnie, dziś w nocy będę straconą dla ciebie na zawsze!...

Zamorski objął ją ramieniem i przycisnął do piersi. Po raz pierwszy może kamienna maska jego twarzy opadła jak ciemna zasłona. Ogarnął go płomień szczerzej, głębiej miłości, bijący ze spojrzeń oczu, ze słów tonących w fali wzruszenia bez granic. Ujął jej ręce i przycisnął do ust.

— Kocham cię... — szepnął — kocham i kocham zawsze.

— Mój jedyny — odpowiedziała oczyma. A potem dodała słowami o słodkim drzeniu kochania: — Na zawsze...

— Na zawsze moja?

— Do śmierci.

Objęła rękoma jego szyję i przycisnęła swe usta do jego ust. Był to pocałunek wielkiej, głębokiej miłości, brzemiennej wiecznością¹⁸.

Tymczasem Ryszard daremnie oczekuje spełnienia obietnic, ziszczenia marzeń. Lucy opuszcza go bez uprzedzenia i wyjaśnień. Nie ujrzy jej więcej, otrzyma jedynie list, w którym przyzna się ona do swych kłamstw i każe mu zapomnieć, jakby to było łatwe i proste rozwiązanie sytuacji.

— Przyszedłem wyjaśnić panu to, co może jest jeszcze dla pana tajemnicą — rzekł Zamorski — Przyniosłem również list...

— List... — wyszeptał drżącymi wargami Ryszard. — List od niej?...

— Tak! List, którym pana żegna! — Wyjął z kieszeni białą kopertę i położył na małym stoliku do herbaty, przyniesionym tam kiedyś z rozkazu Podhajeckiej. — Oto jest!...

Ryszard wyciągnął po niego rękę, która drżała fatalnie. Prawie nie patrząc, schował go do bocznej kieszeni na piersiach i zwrócił oczy na Zamorskiego.

— Gdzie jest teraz Lucy? — zapytał, krztusząc się tymi słowami. Zamorski odpowiedział spokojnie:

— U mnie!...

— Tak, tego się spodziewałem — szepnął. — Byłem nawet pewny, gdy się dowiedziałem, że pan właśnie chcesz dzisiaj ze mną pomóc. Ale przyznaję, wczoraj byłem może więcej szalony niż w tej chwili. Zaledwie kilkadziesiąt godzin minęło od czasu, kiedy wierzyłem... i byłem szczęśliwy jeszcze...¹⁹.

Brechocki po powrocie do miasta próbuje odnaleźć swoje dawne życie, pracuje, opiekuje się chorym ojcem, lecz wszystkie te czynności nie mogą być

¹⁸ Tamże, s. 228–231.

¹⁹ Tamże, s. 235.

lekarstwem na głuchy ból, który go obezwładnia. Nie chce i nie umie już żyć bez Lucy. Błądząc nocą po peryferiach miasta, napotyka żebraka (ex-człowiek znany nam z początku powieści). Oddaje mu wszystko, co posiada. Jest bankrutem. Dla niego już nic nie ma wartości. Zakończenie powieści przynosi ostateczne, tragiczne rozwiązanie.

Ryszard był sam. Stał na plancie z głową podniesioną ku górze, jak gdyby pogrążony w milczącej modlitwie. Cichy szept wydarł mu się z piersi i zakwitł krwawymi słowami na ustach:

— Och, jedyna!... Dlaczego odeszłaś ode mnie i serce moje rzuciłaś na dno rozpacz? Dlaczego kazałaś mi kochać siebie tak bardzo i rozpałałaś płomień, który zamienił mnie w popiół? I oto przyszła chwila, kiedy mówię do ciebie, jak ty mówiłaś do mnie: Mogę cię tylko pożegnać! Droga moja! Cokolwiek było, cokolwiek się stało, kocham cię zawsze! I kochać będę i pójdę za tobą jak cień niewidzialny a wieczny, bo dusza moja należy do ciebie na wieczność!

Zamilkł i schylił głowę ku ziemi. Mgła śmiertelnej niemocy ogarniała go coraz bardziej i coraz bardziej mrok nocy stawał się nieprzenikniony i tajemniczy jak wieczność.

Przymknął oczy, szepcąc zbielełymi ustami jej imię, stygnące na wargach w uśmiechu ostatniej miłosnej tęsknoty.

Serce omdlewało w odurzeniu. Gasły ostatnie światła w oddali.

W tej właśnie chwili nocny włóczęga wypełznął z ciemności i szedł wzdłuż wału po jego pochyłej ścianie, blady jak upiór. Nagle zatrzymał się stężony w przerażeniu. Padł twarzą w mokre zielska rosnące na stokach i zduszony krzykiem, przyczaił się, drżąc w febrze, schylając głowę przed hukiem nadjeżdżającego pociągu. A potem wstał i chwiejnym krokiem szedł dalej ku ciemnej plamie — rozpostartej na szynach.

Nastąpiła cisza morgi.

Z ciężkich chmur spadały pierwsze krople deszczu.

KONIEC²⁰

²⁰ Tamże, s. 249–250.

Wczesne powieści Stefana Kiedrzyńskiego lokują się na pograniczu literatury wysokiej i popularnej. Tendencja do naturalistycznego opisu nędzy i upodlenia splata się z rozbudowaną analizą psychologiczną. W powieści *Trujący kwiat* dominuje słowo narratora, a obszernie monologi i nieliczne dialogi bliższe są składniowo retoryce przemówienia niż językowi potocznej konwersacji. Bohaterowie prowadzą poważne dyskusje, cytują Biblię, Nietzschego i Senekę. Również pewien poziom wykształcenia zakłada autor u swych czytelników, gdy daje łacińskie tytuły rozdziałów, np. *Res sacra miser* (Nieszczęśliwy jest rzeczą świętą, cytat z Seneki) lub *Via doloris*. Warto zwrócić uwagę, że ten sam tytuł rozdziału znajdziemy w *Gehennie* Heleny Mniszek. Tam wszakże droga krzyżowa to droga cierpienia kobiety, a nie mężczyzny, jak u Kiedrzyńskiego. Obie powieści powstały w zbliżonym czasie – a więc prawdopodobnie są to niezależne od siebie ujęcia tematu.

Kiedrzyński w wielu powieściach opisuje miłość jako przyczynę męki, upokorzeń, nierzadko moralnego upadku (*Pożar*, *Serce na ulicy*, *Dolina pragnień*). Monotematyczność tę próbuje przełamać, wprowadzając realia społeczno-obyczajowe, aktualne wątki polityczne itp. Nie zmienia to jednak widocznej u niego skłonności do wygłaszania tzw. prawd ponadczasowych, typu: „Nie ma demonicznych kobiet, są tylko słabi mężczyźni”²¹. Na początku *Trującego kwiatu* słowa te, jako tezę, wypowiada Zamorski, a potwierdza ją fabuła powieści. To na jasności tezy i dowodu między innymi polega dydaktyzm literatury popularnej i urok, jaki posiada dla czytelnika.

²¹ Tamże, s. 27.

Helena Mniszek

Trędowata (1909*)

T. I i II



Ilustracja nr 5. Okładka powieści *Trędowata* H. Mniszek. Autor ilustracji i edytor nieznani.

Źródło: Fot. M. Bujnicka.

* Rok pierwszego wydania powieści.

Dniało. Wstawał świt.

Jasna smuga na wschodzie rozszerzała się dalej i dalej. Z różowej wpadała w tony blade, coraz świetlistsze, prawie przejrzyste, haftowane na tle złotogłowiu.

Powietrze, pełne surowych powiewów nocnych, wchłaniało słoneczne smugi, wilgocią mgły opadając na dół, z każdą chwilą było rzeświejsze, jak brylantowe.

Zbudzone ptaki dzwoniły niezliczoną ilością świergotów. Drzewa, otulone puchami zieleni majowej, szemrały na powitanie jutrzeńki – przedniej straży słońca.

Pałac w Słodkowcach stał cichy, błyszcząc w różowych topielach wschodu białymi murami ścian i jaskrawą zielonością strzyżonych lip, które wieńcem stroiły fasadę.

Za ogrodem i parkiem przedźwiewał już dzwonek gospodarski. W ciszy poranku brzmiał donośnie, kołatał, roznosząc echo po izbach mieszkań folwarcznych. Ostрым głosem zrywał czeladź z pościeli do roboty.

Mieszkańców pałacu dźwięk ten nie obudził.

Po chwili jednak na lewym skrzydle parterowym otworzono weneckie okno. Świeży oddech wiosny dmuchnął na delikatne zasłony szyb, muskając puszyste sobolowozłote włosy Stefci Rudeckiej, ciekawie wychylonej na świat.

Była w białiznie, z warkoczem trochę roztarganym. Obudził ją odgłos dzwonka i kukułki wołającej w parku.

Dziewczyna podskoczyła do okna.

Ranek zachwycił ją, powietrze orzeźwiło, wciągała je w piersi z lubością.

Widok kwiatów, pokrytych blaskiem rosy, świergot ptaków oczarował ją, rozmarzył trochę.

Pąsowe usta uśmiechały się majowo jak poranek, ale w dużych fiołkowych oczach pozostał smutek, niezgodny z młodzieńczą postacią i wesołym głosem, jakim zawołała:

— Cudny świat! Już nie zasnę, pójdę do lasu!

Odbiegła od okna i zaczęła się ubierać.

Włosy splotła w warkocz i zwinęła w ciężki węzeł z tyłu głowy; z natury falowały puszysto, osłaniając miękkimi zwojami drobne uszy i kąty ładnie zarysowanego czoła. Narzuciła na siebie skromną suknię z szarego batystu, ozdabiając ją sznurem różowych koralików, błyszczących jak duże czereśnie.

Ubrana, zajrzała do sąsiedniego pokoju. Ciemny od zapuszczonych firanek, wyglądał, jakby sam spał.

Stefcia szepnęła:

— Lucia śpi smacznie. Sama pójde.

Na palcach przeszła parę pokoi bogato i gustownie urządzonych. W ogromnej sieni pałacowej zatrzymała się bezradnie, ujrawszy ciężkie oszklone drzwi zamknięte na klucz.

Pomógł jej służący, który właśnie szedł po schodach ze szczotkami w rękę. Szeroko otworzył zaspane oczy na jej widok, ale uprzejmie pospieszył odkręcić zamek.

Po chwili wbiegła do parku.

Chodząc po zwirowanych uliczkach, zrywała białe smukłe narcyzy. Liliowy bez w bujnych kiściach opadał z krzaków, rozkołysany, pachnący. Kielichy narcyzów, przezczysto białe, wonne, pełne były chłodnej rosy; żółte oczy kwiatów w czerwonej rzęsie wyglądały jak załzawione.

Dziewczyna przychyliła do ust białe czarki i piła te łyżę ze swawolnym uśmiechem.

Pierwsza młodość jej życia i pierwsze poranne blaski słońca łożyły się w potężny hejnał szczęścia, spłynęły do duszy stubarną tęczą.

Podskakiwała do większych bukietów bzu, strząsając z pachnących pióropuszków kroplisty deszcz na swe lśniące włosy. W świetle słonecznych jaśni głowa jej migotała niby w srebrzystej rosie.

Z więzią kwiatów wyszła z parku do ogrodu owocowego i tu krzyknęła z zachwytem. Wspaniale przystrojone kwieciami drzewa stały uroczyste. Jabłonie, w różowych pękach, miały wygląd młody, pieszczący wzrok. Wiśnie stały osypane białą kwiatów, niby szeregi dziewcząt idących do ślubu w białych welonach.

Zapach płynął duszący, gałęzie sypały potoki woni. Słońce malowało złotem kwiaty, wiatr niósł szumy, brzęczały pszczoły. Czasem, oderwany z drzewa, biały motyl unosił się w górę jak strząśnięty kwiat.

Stefcia, upojona zapachem, odłamała parę gałązek wiśniowych, przypinając je do włosów, do paska, i tak ukwiecona, szła wąską uliczką, wysadzoną krzewami porzeczek.

Uliczka wiodła do lasu za ogrodem, zwanego borkiem.

Stefcia odchyłała zroszone gałęzie, okryte nikłym, jakby spłowiałym kwiatem; mnóstwo tych seledynowych liszek zwisało na ciemniejsze liście, tworząc malowniczą grę kolorów. Szary batyst pokrywała błyszcząca mgiełka rosy, przyskała na twarz i ręce dziewczyny, lecz ją to bawiło¹.

[...]

Z pękiem zroszonych kwiatów zawróciła do ogrodu.

Słońce, wzniesione już wysoko, wsiąkało w szczelinki pomiędzy liśćmi, zrzucając na puszystą trawę olbrzymi złoty niewód.

Wtem na drodze środkowej w borku Stefcia ujrzała sunącego wolno jeźdźcę.

Aż drgnęła z gniewu.

Był to Waldemar Michorowski.

Jechał na pysznym, czarnym jak lawa wierzchowcu. Ładnie wyglądało na nim zamszowe siodło, żółty czaprak i uzdeczka.

Koń arabski szedł z fantazją, nogi stawiał klasycznie, z wdziękiem przegiętą szyją niespokojnie gryzł wędzidło.

Ordynat siedział jak przymurowany, opięty w elegancki strój do konnych wycieczek, w długich botfortach. Wyglądał zgrabnie i postawnie.

Jadąc stępą, młody pan, widocznie zamyślony, patrzył przed siebie, uderzając pejcem po końcach butów. Słońce nieciło iskierki na błyszczących ostrogach.

Stefcia cofnęła się za drzewo, lecz nagłym ruchem spłoszyła z gałęzi kraskę. Ptak zatrzepotał skrzydłami, kwiląc głośno.

Michorowski spojrzał w tę stronę.

¹ H. Mniszek, *Trędowata*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1972, s. 5–7.

Stefci krew uderzyła do głowy.

– Zobaczyl mnie!... Boze!... Ze tez ja go zawsze spotkac musze!

Przyklekla po rozsypane kwiaty, udajac, ze go nie widzi.

Ale on juz podjechał blisko, zdjął czapkę i zawołał żartobliwie:

– Dzień dobry pani! Co pani tu robi tak rano? Gdzie pani zdobyła tyle kwiatów? Pośród tych drzew jest pani jak rusalka.

– Toteż spotkałam wilkołaka – odparła z gniewem bez namysłu.

On podniósł brwi i złośliwie uśmiechnięty odrzekł:

– Owszem, chcę być wilkołakiem przy pani jako rusalka.

Stefcia poczerwieniała gwałtownie.

– Czy pan jedzie do Słodkowic? – zapytała chłodno.

– Tak. Mam zamiar panią tam odprowadzić.

– Ja sama trafię do domu.

– Bardzo wątpię! Przede wszystkim nie udźwignie pani tego ziel-ska. To waży cały pud. Muszę pani ulżyć.

Zeskoczył z konia i z wytwornym ukłonem czekał na podanie ręki.

Stefcia zawahała się, lecz podała mu ją wzburzona i prędko cofnęła.

– Ależ nie objąłem palców pani... Nie! Stanowczo jestem zadżumiony! – zawołał, rozkładając ręce komicznym ruchem.

Miała go ochotę bić.

Michorowski patrzył na nią z ironicznym uśmiechem. Ona drżała z gniewu pod spojrzeniem jego szarych oczu.

Zebrawszy kwiaty, kiwnęła mu dumnie głową i rzekła, odchodząc:

– Żegnam pana.

– Hm, pani jest energiczna, ale i ja muszę jechać do Słodkowic. Inna droga nie istnieje.

Stefcia skrzyła w las, wskazując na bielejący pas drogi.

– Proszę, niech pan jedzie.

– A pani?

– Ja idę lasem...

– Nie mogę pani zostawić w tej puszczy. Pani jest dziś tak nerwowa, że zabłądziłaby łatwo.

Postępował obok niej, prowadząc konia za uzdę.

Stefcia zacięła wargi. Szła prędko, milcząc.

On mówił wciąż głosem przesiąkniętym złośliwością:

— Wie pani co? Niech pani siądzie na mego konia, a ja będę iść obok jak paż. Albo jeszcze lepiej: siądźmy razem. Na rusałkę i wilkołaka tak stosownie.

Stefcia nie odpowiedziała, przyspieszając kroku.

— Pani ode mnie ucieka jak od straszydła leśnego. Przecie ze mnie wcale ładny chłopczyk, co? Nie uważa pani?

Żadnej odpowiedzi.

— Aha! Milczenie jest znakiem potwierdzenia. Bardzo mnie to cieszy! Oddała mi pani nareszcie sprawiedliwość.

Skłonił się głową żartobliwie, z umyślną uniżonością.

— Przede wszystkim jest pan źle wychowany — wybuchnęła Stefcia.

— Doprawdy? Pierwszy raz słyszę! Zawsze uchodziłem za gentlemana.

— Pan gentleman?! — zawołała ze śmiechem.

Gniew zaświecił w jego oczach. Zmarszczył brwi i szarpiąc konia, przeszył ją oczyma. Ale trwało to chwilkę. Odparł z ironią:

— W takim razie możemy sobie po koleżeńsku podać ręce, gdyż i pani nieuprzejma.

— Panie ordynacie, czy pan uwolni mnie dziś od swego towarzystwa?

— O tak, pani: w Słodkowcach.

— Boże, za co mnie karzesz! — szeptała do siebie.

Ordynat wybuchnął śmiechem.

— Z czego się pan śmieje? Czy ze swej niedelikatności?

— O nie, pani! Ale pierwszy raz widzę młodą pannę, którą widocznie przerażam. Jak mi Bóg miły, tak to dla mnie nowy objaw.

— Pierwszy raz jest pan tak niegrzeczny dla młodej panny. Za wiele pan sobie pozwala.

— Eee! Pozwalałem sobie często więcej, ale w żadnej nie wzbudzałem tak panicznego strachu jak w pani.

— Ja się pana boję? Pyszny pan jest! Ja pana...

– Nie cierpię – dokończył.

– Tak!

– Dziękuję! Przynajmniej szczerze! Nikt na spowiedzi większej prawdy nie powiedział. Pani utopiłaby mnie w łyżce wody. Kto by pomyślał, że w tak delikatnym stworzeniu tyle siedzi złości. Skandal! Pani mnie nie cierpi... Ha! Cóż robić! Możemy się pomordować w tym lesie, wolę odjechać samotnie. Gdyby mi pani wydrapała oczy, co powiedziałby na to cały świat kobiecy? Zabrakłoby krepy żałobnej w sklepach, liczba samobójczyń wzrosłaby zastraszająco, a panią skazałyby moje wielbicielki na gilotynę.

Wskoczył na konia i wznosząc do góry czapkę, zawołał:

– Do widzenia! Umykam!

Zawrócił do drogi, uderzył konia ostrogami i pocałował, roznosząc głośny tętent po lesie.

Stefcia odetchnęła.

– Nareszcie!... Pojechał... obrzydły cynik! Obraziłam go... Tym lepiej, nie będzie mi dokuczał.

Spiesznie podążyła w stronę pałacu.

Waldemar zrywał konia munsztukiem, smagał szpicróżgą i przez zaciśnięte wargi wyrzucał słowa ostre:

– Romantyczka... przybiera pozy królowny. Poczekaj! Zdejmę ja twoją koronę!... Wolę diablice niż mniszki, ale nie mogę cierpieć, gdy diablica pozuje na westalkę.

Wzruszył ramionami.

– Ona podobna do księżniczki, a ja do szatana. W tym wypadku jestem szatanem... No... zobaczmy!

I spiał konia ostrogami².

Zacytowany prawie w całości rozdział I *Trędowatej* zawiera wszystkie elementy charakterystyczne dla tzw. wiktoriańskiej, sentymentalno-obyczajowej powieści (czystość i skromność heroiny, nierówność społeczna bohaterów, motyw zagrożonej cnoty). Bujna, świeża, majowa przyroda, która budzi się

² Tamże, s. 10–12.

do życia, jest metaforycznym prologiem do romansowej fabuły. Pojawiająca się na tym tle Stefcia – piękna jak poranek, delikatna jak polny kwiat, spotyka Jego, bogatego pana, przyzwyczajonego do hołdów i posłuszeństwa, który zapragnie zdobyć tę dumną pannę. Różnica pozycji społecznej ukazana jest tu w układzie gestów i zachowań: on siedzi na koniu i z góry spogląda na dziewczynę. Potem decyduje się „dostosować” i iść obok niej. Scena ta jest zapowiedzią dalszych losów bohaterów.

Sposób zawiązania dramaturgicznego węzła akcji (przypadkowe spotkanie na drodze) oraz wyrazista charakterystyka postaci, ich społeczna i psychologiczna kontrastowość, to schemat znany nie tylko z melodramatów, lecz także z bajek (np. o Kopciuszku) i mitów. W ten bardzo szeroki kontekst kulturowy wpisała Mniszkówna romans Stefci Rudeckiej i ordynata Waldemara Michorowskiego.

Otwarcie powieści, poza wskazanymi już treściami, informuje czytelnika także o przeszłości bohaterki. Dowiadujemy się, że przeżyła niedawno głęboki zawód miłosny. Człowiek, którego kochała, Edmund Prątnicki, okazał się „jak ów kwiat krwiożerczy, który urodą i silnym zapachem zwabia ku sobie łatwowierne owady, a gdy złudzone poddadzą się magnetycznej sile, wówczas zamyka nad nimi kielich i bezwstydnie odkrywa prawdziwą wartość wewnętrzną”³.

Po tym rozczarowaniu Stefcia chciała na pewien czas opuścić rodzinne strony, aby o wszystkim zapomnieć. Dlatego właśnie postanowiła zostać nauczycielką. Baronowa Idalia, ciotka Waldemara i matka Luci, której edukacją zajęła się Stefcia, traktuje ją z pogardliwą wyniosłością, w przeciwieństwie do dziadka ordynata, osiemdziesięcioletniego Macieja Michorowskiego, darzącego ją serdecznością i sympatią. Również Waldemar w oficjalnych kontaktach odnosi się do niej nader uprzejmie, a nawet szarmancko. (Ten jego „demokratyzm” bardzo drażni baronową Idalię, która nie zajmuje się niczym innym poza czytaniem francuskich romansów).

Przytoczona wcześniej scena spotkania o świcie pokazuje, że Stefcia spodobała się Waldemarowi. Często przyjeżdża on do Słodkowic, co szybko dostrzega jego dziadek. Przyjmuje ten fakt z zadowoleniem, ale i pewnym niepokojem, wspominając własną młodość.

³ Tamże, s. 8.

Stefcia szybko daje się poznać jako taktowna i kulturalna panna, bywa więc zapraszana do udziału w towarzyskich spotkaniach. Pilnuje tego Lucia, która uwielbia swoją nową, młodą nauczycielkę; dyskretnie czuwa nad tym także Waldemar.

Duży stół, przykryty obrusem holenderskim, z wytkanym na środku herbem Michorowskich, zastawiony był do kolacji. Po brzegach stały talerze z pysznej porcelany, malowanej w nikiel wzory, jak żołnierze w galowych mundurach. Obok na podstawkach spoczywały z godnością srebrne noże, widelce i wydatne kształty łyżek deserowych. Po drugiej stronie sterczały sztywne serwety, niby budki szyldwachów, z ciemniejszymi plasterkami chleba wewnątrz. Kryształowe kosze z owocami, szklanki, kieliszki, parę wspaniałych bukietów uzupełniało zastawę. Przy każdym nakryciu leżały wiązanki kwiatów. Kwiaty rozrzucone po stole nadawały mu wygląd majowy⁴.

[...]

Stefcia spojrzała na wiązanek kwiatów, leżącą przed jej talerzem.

Dziwnym trafem były to kwiaty polne: pierzasta brązowa trawka i białe margerytki z żółtymi środkami. Wzięła bukiet do ręki, myśląc, że to jej symbol: polne, wątłe roślinki, rzucone między srebra i kryształy. Choć je olśnił blask i przepych, zwiędłą i świat zginie dla nich. Podniosła głowę i nagle drgnęła.

Patrzało na nią kilka par martwych oczu z rzeźbionych ram portretów, zdobiących salę.

Oczy przodków Michorowskich, szare jak u Waldemara, przenikliwe, groźne, zdawały się wpijać w jej twarz, pytając: „Skąd się tu wzięłaś, plebejuszko, w tym gnieździe senatorów i hetmanów? Czego tu chcesz?”. Stefcię przejmował dreszcz. Surowe spojrzenia, spoczywające na niej ze wszystkich stron, męczyły ją... Spojrzenia nieprzyjazne, odpychające.

— Co mnie od nich dzieli tak potężnie? Owi sławni rycerze-przodkowie? — myślała. — Odgradzają mnie od nich korony dziewięciopalkowe, mitry książęce i nazwa arystokracji, uświęcona przez tradycję,

4 Tamże, s. 37.

rozpościerająca się zawsze na szczycie gmachu społeczeństwa. I czy ten szczyt tonął w słońcu, czy w chmurach, nigdy nie przestawał być najwyższy. Oni przywykli spoglądać z góry na ludzi zajmujących niższe piętra, chociażby równie sławnych, często więcej zasłużonych. Uważali ich za podwalinę, na której mogli roztaczać swą magnacką świetność i wywieszać chorągwie z herbami. A ci mniejsi niech śpiewają hymny na ich cześć.

Jednak w tej uprzywilejowanej rasie jest jakiś urok nieuchwytny, działający na wytworne natury. Stefcia pomyślała, że powodem tego może być majestat ich wiekowego możnowładztwa. Choć nie widać na nich znaków podnioslejszych ani bujnych polotów, jednak otacza ich jakiś urok piękna zewnętrznego, są oni w społeczeństwie jakby dekoracją. Niektórzy z nich, jak staruszka księżna, pociągają ku sobie siłą nieprzepartą. W księżnej przebija wyższość rasy; widać, że to magnatka w każdej kropli krwi, prawnuczka karmazynów. Jest w całej pełni wielką panią, rozumiejącą swe zadanie. Stefcia słyszała o jej działalności i wielkim sercu. Pan Maciej, do niej podobny, ma duszę subtelnego arystokraty, ale jest znacznie starszy, trochę ociężały.

Stefcia spojrzała na Waldemara.

A ten?... Jest wielkim panem, rodowym karmazynem. Nie robi ujmy swoim przodkom. Przeciwnie, mogą się nim szczyścić. Czynny, energiczny, prawdziwy pan, magnat, i milioner, pojmował poważnie swe zadanie w społeczeństwie. Pan Maciej, wielki gaduła, opowiadał Stefci, że nie sądził nigdy, aby Waldemar potrafił tak się zmienić. Dawniej żył inaczej. Po skończeniu uniwersytetu w Bonn i szkoły rolniczej w Halli wpadł w wir życia, szalał. Przesiadywał za granicą, podróżował. Znał całą Europę. Zwiedzał Algier i Egipt. Polował w Indiach i stepach amerykańskich, wdrapywał się na szczyt gór, marzył na fiordach norweskich. Zwiedzał kliniki, miewał dysputy z uczonymi, ciekawie zaglądał do wielkich laboratoriów chemicznych, w obserwatoriach meteorologicznych robił doświadczenia. Pociągały go fabryki, w dokach nowojorskich wtajemniczał się drobiazgowo w pracę robotników. Jego stosunki i miliony otwierały mu wszelkie instytucje. Miał wstęp do zakładów Kruppa w Essen, w odlewniach armat pracował

kilka dni, powodowany nieprzepartą chęcią poznania wszystkiego. Robił próby ze sławnym młotem „Frycem”, miał rewolwer zmielony na proch przez olbrzyma fabryk esseńskich i złoty pierścień z brylantem, na który „Fryc” spuścił się i dotknął go, nie uszkodziwszy zupełnie. Na Wezuwiuszu zapalał cygaro, zwiedzał dom Napoleona I na Wyspie Św. Heleny, w galeriach Louvre'u i w dreźnieńskich przesiadywał godzinami, wpatrzony w dzieła sztuki. Rozrzucał pieniądze, miewał awantury i skandaliki przeważnie na tle erotycznym, był ulubieńcem najwykwintniejszych kół towarzyskich. Obracał się w sferach dworskich w Wiedniu, gdzie wśród magnaterii węgierskiej zyskał wielką popularność, będąc spokrewniony z kilkoma najpotężniejszymi domami przez swą prababkę. Tracił na kobiety, nawet trochę grał w karty, lecz to nie wchodziło w zakres jego namiętności. Odbił kilka pojedynków, zakończonych zwycięstwem, zawdzięczając to swej odwadze i ćwiczeniom w fechtunku i strzelaniu. W Jockey Clubie wiedeńskim zrobił raz awanturę jednemu z arcyksiążąt za to, że ten nazwał Polskę krajem podgolonych łbów i grzmiących języków. Sprawa oparła się o dwór i arcyksiążę jak niepyszny musiał przeprosić polskiego magnata. Kobiety szalały za nim: jedne olśniewał blask milionów i świetna partia, inne kochały go prawdziwie. Lecz on, choć wiedział, że jest wszędzie pożądany, jednak nie znalazł sobie żony. Po pięciu latach hulanki nastąpił przesył, znudziły go triumfy, miłości, nawet podróże, powrócił na stałe do kraju.

Pan Maciej opowiadał Stefci, że Waldemar ma trzy namiętności: konie, polowanie i kobiety, choć te już mu trochę zubożyły. Polowania urządzał wspaniale, nawet w czasach swych podróży; zjeżdżali wówczas do Głębowicz magnaci z całego świata. On sam wyjeżdżał często na polowania do swych przyjaciół, prawie do wszystkich domów arystokratycznych, gdzie go zawsze mile widziano. W koniach lubował się, lecz nie puszczał na wyścigi, mówiąc, że nazbyt je lubi, aby oddać w ręce dżokejów i patrzeć, jak nogi łamią.

Stefcia wiedziała to wszystko od pana Macieja, trochę od pana Ksawerego i sama już miała parę przykładów szlachetności i dobroci serca ordynata. Dwoistość jego charakteru przebijała wyraźnie; miał

dobrze serce i jednocześnie dużo złośliwości; w gniewie gwałtowny, najczęściej ironiczny, miał delikatny i subtelnie rozwinięty dobry smak. Nie wahał się jednak drażnić jej zawsze. Przy swej szlachetności był trochę egoistą, nie pozwalał nikomu dotknąć jej niestosownym żartem, ale sam gniewał ją stale i lubował się tym. Stefcia nie lubiła go, jednakże spostrzegła, że jest on więcej wart od innych i od pani Idalii w pierwszym rzędzie. Zrozumiała jego wyższość nad Edmundem.

Tamten zapewniał, że ją kocha, przysięgał jej przecież, a opuścił tak lekko, jakby nie wiedząc, że i ona ma serce, które mogłoby cierpieć.

Waldemar nie lubił jej, może nawet nienawidził, jednak wyratował ją z przykrej chwili w salonie, a uczynił to naturalnie i wykwintnie.

Stefcia spojrzała na niego po raz drugi.

Rozmawiał z paniami ze zwykłą swobodą i pewnym zaniedbaniem, czasem kpiąco. Ruchy miał cokolwiek rozrzucone, lecz to nadawało właściwy jemu wdzięk. W zaniedbaniu jego przebiegał szyk i dystynkcja zupełnie odrębna, jego własna. Nie był piękny, ale miał w sobie coś nieokreślonego, co robiło wrażenie. Smukły i bardzo zgrabny, posiadał rysy wyraziste i pleć smagłąwą, włosy ciemnoblonde, ładnie rozdzielone z boku głowy; małe wypukłości nad pysznie zagiętymi brwiami zdawały się skupiać w sobie energię, siłę woli i zdolności. Oczy miał szare, przenikliwe, o rozumnym i stanowczym wyrazie, zawsze prawie drwiące, często figlarne; niesłychanie piękne usta, wydętne, pąsowe, ocienione eleganckim, w miarę bujnym, złotawoblonde wąsem, trochę najeżonym i rozczesanym na końcach. Na twarzy widniała głęboka myśl w połączeniu z odrobiną nudy; w oczach gwałtowność, czasem duma, lub też błyskały w nich iskry żartu. Z ust poznawało się epikurejczyka, uśmiech, jeśli nie był ironiczny, miał w sobie dużo łagodności. [...]

Waldemar, rozlewając wino, podszedł do niej. Podniosła na niego oczy i odsunęła kieliszek. We wzroku Waldemara dostrzegła wyraźny błysk życzliwości, do uszu jej doleciał leciuchny szept: „Biedne dziecko!”.

Stefcia zdumiała się.

Jak to? On jej nie wyśmiewa, on nie krytykuje?

– Widocznie bardzo biednie wyglądam, skoro wzbudziłam jego litość – pomyślała z żalem.

Po lodach pani Elzonowska powstała. Zrobił się ruch ogólny.

W pierwszej parze odszedł od stołu pan Maciej, prowadząc pod rękę księżnę, w drugiej Waldemar z hrabiną Ćwilecką, dalej księżę Podhorecki z panną Żyżemską. Ćwilecki z panią Idalią, Trestka z panną Ritą, Stefcia chwyciła pod rękę Lucię i szły na końcu tej wielkopańskiej procesji. Pan Ksawery korowód zamykał.

I znowu w salonie płynęły rozmowy, przeplatane wesołymi śmiechami. W końcu młodsze towarzystwo zaczęło dokazywać. Panna Rita i Waldemar wiedli rej, dowcipkowali, pletli głupstwa, pobudzając do ciągłej wesołości.

Pannie Ricie towarzyszył Trestka, co ją widocznie drażniło. Waldemar natomiast, w niesłychanym humorze, bawił Stefcie, prawiając jej grzeczne słówka, potem zaczęli się po swojemu kłócić. Gdy jednak ktoś inny podszedł do nich, Waldemar zmienił ton i przedmiot rozmowy tak zręcznie, że Stefcia nie mogła powstrzymać uśmiechu, ubawiona, ale wdzięczna za jego taktykę. Po raz drugi prosił ją o muzykę.

– Proszę, niech mnie pan uwolni od tego – szepnęła.

– Jak pani każe – odrzekł, skłaniając głowę – ale w zamian proszę, aby pani zagrała kiedy wyłącznie dla mnie, czy dobrze?

– Owszem – odparła ujęta jego ustępstwem.

– Przepadam za Beethovenem, a pani podobno wykonywa go po mistrzowsku. Mówił mi o tym dziadek.

– Jednak pańskiemu dziadkowi grywam najczęściej Chopina. Najbardziej lubi jego nokturny.

– Bo dziadek mój jest marzycielem, a ja przeciwnie – odrzekł Waldemar.

Dochodziła druga po północy, jak się goście zaczęli rozjeżdżać. Noc była jasna, ciepła, pełna woni i rozkosznych prądów. Nie wiał silniejszy podmuch, panowała cisza głęboka, upajająca i czarowna w swych matowych blaskach, jakimi obsypywała świat, spowijając go w srebrzystą tkaninę, usianą diamentami.

Po gwarnych pożegnaniach wolanty i powozy ruszyły, za nimi posunął brek.

Po chwili ciemne sylwetki koni i zaprzęgów znikły w przeczystej jasnej topieli, zalewającej pola i oparami otulone łąki.

Stefcia na ganku oddawała dobranoc pani Idalii i Waldemarowi. On mocno ścisnął jej rękę i przytrzymał w swej gorącej dłoni.

Spojrzała zdziwiona, ale widząc jego palące oczy utkwione w siebie, prędko wysunęła rękę; szła jeszcze oddać dobranoc panu Maciejowi, pozostałemu w salonie. Waldemar zauważył, że przy bladym świetle księżyca jest ładniejsza niż zwykle i bardzo ponętna. Zagrała w nim krew. Odchodząc do swych pokoi, zaciskał zęby z wściekłością i mrucał do siebie:

— Muszę ją mieć, muszę! Drażni mnie, działa jak haszysz. Chcę się nią upić.

I długo chodząc po sypialni, układał plany obłącznicze⁵.

Waldemar poszukuje wciąż nowych pretekstów, aby widywać Stefcię. Pożycza jej książki ze swojej wspaniałej biblioteki (lista lektur jest bogata: *Korynna* i *Delphina* pani de Staël, Byron w oryginale, Horacy, Jan Lam, Maurycy Mochnacki itd.) i przyjeżdża, by słuchać, jak gra. Pewnego wieczoru, obserwując ją, gdy wykonuje na jego specjalne życzenie sonatę *As-dur* Beethovena, dochodzi do wniosku, że nie jest to zwykle zauroczenie, jakich wiele przeżył.

Stefcia zaczęła grać z pamięci. Ordynat usiadł. Chwilę patrzył na grającą, oparł czoło na dłoni i zagłębiał się w fotelu, znieruchomiał.

Stefcia początkowe andante grała z roztargnieniem. Obecność Waldemara niepokoiła ją. Nogi miał założone jedną na drugą. Widziała eleganckie jego buty z ostrogami, opinające prawdziwie arystokratyczne stopy, i drażniły ją w dziwny sposób. Pierwszą wariację przegrała bezdźwięcznie.

5 Tamże, s. 40–44.

Waldemar poruszył się, odjął rękę od czoła i palcami najeżając wąsy w sposób sobie właściwy, z podniesieniem ust w górę, patrzył na nią badawczo.

Dziewczyna dojrzała jego ruch, odczuła wzrok i zrozumiała, że spostrzegł jej roztargnienie. Następną wariację wykonała dobrze, trzecią i czwartą z brawurą i znakomitą techniką, piątą artystycznie, z pełnią uczucia, jakby grając, mówiła zarazem... Waldemar, wsparty na dłoni, słuchał w skupieniu.

A Stefcia cieniowała piątą wariację, jakby haftując na klawiszach perłami i cudną pelą. Wdzięczne, lekkie nuty płynęły z tęsknotą, namiętnie, pieszcząc i unosząc się w błękity. Ostatnie akordy jęknęły rozpacznie i nagle posypało się rzęsiste, jak złote kropelki, scherzo.

Zadrgały szybkie nuty na klawiszach, niby łopot skrzydełek ptasich, zaszumiały gradem srebra, spływając hucznie w spokojniejsze trio. Przebrzmiały błyskotliwe nuty, zgasły. Chwila ciszy i zabrzmiał tragiczny, pełen majestatu marsz żałobny.

Powaga, groza, potęga szły z grzmiących nut. Stefcia z wypiekami na twarzy, z błyszczącymi oczyma kładła w tony siłę i energię duchową, cały zasób swych zdolności dramatycznych. Marsz porywał, wzbudzał grę nerwów. Gdy w drugiej części zawarczały bębny, groza wzmogła się, krew zatrzymując w żyłach. Stefci tętna waliły w skroniach, grając, oddychała szybko, przejęta do głębi duszy.

Waldemar powstał, podszedł krok naprzód i oparty o konsolę kominka, z dreszczem w żyłach przepalał Stefcię gorejącymi oczyma.

— Co za temperament, jaki zapal! — myślał, widząc ruch jej palców i ognie na twarzy.

Olbrzymia siła namiętności, jakiej dawno już nie doznawał, pchała go do niej. Uczuł, że pożąda tej dziewczyny, że ona przepala mu krew, szarpie nerwy.

— Ogień, ogień — mrucał przez zaciśnięte zęby. I skurcz szalonej, namiętnej fali ściągnął jego brwi, poruszył nozdrza, drżał na ustach. Miał wygląd orła gotowego do zadania ciosu, szeptał już wściekły:

— Ona musi być moja... Kobieta, która tak porywa mężczyznę, musi ulec. Zdobywałem wiele mniej pożądanых, więc i ją mieć będę...

To ogień!... wulkan... Ale dwa ognie poparzyć się nie mogą... i tyle rozkoszy!...

Nagły prąd pchnął go naprzód.

Stefcia rzucała na klawisze ostatnie akordy marsza. Ordynat rozgorączkowany stanął tuż za nią, pochylił się. Ostatnią siłą woli pawał nad sobą, by nie porwać jej w ramiona. Czuł rozkosz, lecz i dziwną niemożebność tego czynu. Szatan namiętności zapalał go, a biały, czyisty duch owiewał Stefcie iluzję, jakiej nawet jego demon rozedrzyć nie śmiał.

Waldemar walczył... Płomienie buchnęły mu na twarz, oczy gorzały piekłem pożądania. Nim zdołał wytrwać, pochylił głowę niżej, oddech jego palący, przepojony ogniem wewnętrznym sparzył szyję Stefci, jego ramiona były o włos od jej ramion. Dziewczyna drgnęła, odwróciła głowę, jej oczy ogromne, tęskne, spojrzały na Waldemara zdumione. Patrzyli na siebie. Stefcia, blada, z dreszczem przestachu zerwała się z krzesła.

Ale on ją zatrzymał.

— Niech pani gra... Błagam!...

Usiadła zniewolona siłą jego głosu. On przetarł czoło i odsunął się. Stefcia rozsnuła piątą wariację tak lekko, że mniejszego szmeru nie wydaje motyl, trącając skrzydełkami o kwiaty. Jak w osłupieniu przebrała wariację do połowy, prędko wstała i zamykając fortepian, szybko podbiegła do drzwi.

Od okna wzburzony ordynat skłonił się jej grzecznie.

— Zakończyła pani ślicznie. Całość wspaniała. Dziękuję.

Dziewczyna wybiegła.

Waldemar popatrzał za nią i rzekł głośno:

— Ogień zamknięty w kielichu białej lilii⁶.

Okazało się, że po raz pierwszy Waldemar ma godnego siebie „przeciwnika”. Przyznaje się do tego, cytując Nietzschego i żartobliwie przekomarzając się ze Stefcia: „Dwóch rzeczy pragnie prawdziwy mężczyzna: niebezpieczeństwa

⁶ Tamże, s. 50–52.

i igraszki, przeto pożąda kobiety, jako najniebezpieczniejszej igraszki”⁷. Ordynat obiecuje sobie, że musi zdobyć dziewczynę. W Słodkowcach tymczasem pojawia się nowy praktykant – agronom. Jest to Edmund Prątnicki, dawny narzeczony Stefci. Pozwala sobie na niewybredne aluzje i aroganckie zachowanie wobec dziewczyny, lecz Waldemar natychmiast daje mu do zrozumienia, iż nie jest to mile widziane. Przy tej okazji Stefcia jasno uświadamia sobie, jak niezwykle różnią się od siebie ci dwaj mężczyźni. Waldemar imponuje jej nie tylko pozycją, męstwem, dojrzałością, lecz i delikatnością. Jego czuła i opiekuńcza, szlachetna postawa połączona z siłą i gorącym temperamentem jest tym, co w nim najbardziej pociągające i godne podziwu.

Nadeszło upalne lato. Michorowski wciąż wytrwale towarzyszy Stefci na spacerach, wycieczkach, przejażdżkach. Uczy ją również jeździć konno. Wszystkie te sytuacje zbliżają ich do siebie. Panna Rudecka poznaje także inne oblicze ordynata – znakomitego gospodarza, organizatora i dobrego pana. Na koniec, gdy przywozi ją do siedziby rodu Michorowskich – Głębowicz, widzi go w całym splendorze magnackiej fortuny. Jest równocześnie oczarowana i nieco przerażona.

Dojeżdżali do kamiennego mostu nad bystrą rzeką. Poza nią wśród mnóstwa drzew, na górze, widniały potężne mury zamku, najeżone basztami i wieżyczkami. Na głównej baszcie w stylu staroświeckim powiewała chorągiew z herbem Michorowskich. Olbrzymie drzewa parku, otaczające zwartą masą zamek, ciągnęły się wzdłuż rzeki. Brek zahuczał na moście jak bęben, głucho zastukały kopyta i konie z kamiennej grobli wpadły w mroczną świerkową aleję. Na końcu wznosiła się wielka murowana brama, wyłożona kamiennymi płytami, z żelazną kratą, z herbem na szczycie, szeroko rozwartą. Przed bramą był drugi most kamienny, który zwisał nad fosą, biegnącą wzdłuż wału i muru okalającego park. Głęboki kanał napełniała świeża woda, przeprowadzona z rzeki. Miało to wygląd forteczny, ale malowniczy, bo drzewa parku i mur z żelazną sztachetką na wierzchu cudownie odbijały w wodzie. Na moście stały słupy z matowymi balonami lamp elektrycznych. Takież wysokie

7 Tamże, s. 38.

żelazne słupy stróżowały obok bramy i koło budki odźwiernego, która była właściwie piękną grotą z płyt kamiennych, tonącą w zwojach bluszczu.

Gdy brek wtoczył się w aleję świerkową, Waldemar usiadł i powstrzymał konie. Jechali wolno. Wszyscy umilkli. Powaga i majestat wiały od ciemnych, strzelistych świerków, stojących podwójnym rzędem jak stróże odwiecznego zamku ordynacji.

Odczuwało się tu wielkość i potęgę — coś, co zmuszało do pochylenia głowy. Wszyscy doznali podobnego wrażenia. Tylko Waldemar miał wzniesioną głowę. On witał stróżujące świerki jak swych poddanych.

A one szumiały poważnie i chyliły czuby w powitalnym ukłonie, widząc w nim pana i dziedzica starożytnej siedziby.

Baron Weyher ciekawie patrzył dokoła. Nie widział jeszcze zamku, ale zaimponowała mu już aleja.

Hrabia Trestka spoglądał na wierzchołki świerków, podtrzymując ręką kapelusz.

— Tytany!... Tytany! — mówił szeptem. — Nigdy nie mogę się im napatrzeć.

Panna Rita i hrabianka siedziały zamyślane, może usiłując odgadnąć, kiedy tu wjedzie ordynat w poszóstnej karecie, mając obok siebie młodą żonę, kto będzie tą wybraną. A myśląc tak, może obie w najgłębszej komórce duszy siebie widziały w tej roli.

Waldemar jechał poważny. Czuł, że jego własność imponuje wszystkim. Doznawał różnych uczuć: dumy i pewnej melancholii.

Mówił sobie w duchu:

— Co mi z tego?

I nagle uczuł tęsknotę... Pierwszy raz pomyślał, że w tym przepychu, w tej wspaniałej rezydencji jest sam, zupełnie sam.

Uśmiechnął się.

— No, przynajmniej nie w tej chwili.

Spojrzał nieznacznie na Stefcię.

Siedziała cicha, jakby przytłoczona majestatem olbrzymich świerków, rzucających na nią cienie.

Trochę przybladła. Ogarniał ją chłód, nurtował w niej nieokreślony niepokój.

— Co ja tu robię?... Ja... obok tego magnata... Zabłąkałam się... bławatek w ciepłarni — szeptało w jej duszy.

Jak Waldemarowi przed chwilą, tak i jej przyszło na myśl, że w tym przepychu, w tej wspaniałej magnackiej rezydencji jest sama, zupełnie sama.

Wzdrygnęła się.

Waldemar spostrzegł to i pochylony do niej, patrzył na nią długo, uważnie.

— Jaka pani wrażliwa — rzekł ze wzruszeniem.

Uśmiechnęła się: zrozumiał ją. Zrobiło jej to przyjemność.

On szepnął:

— Bławatek!

Podniosła na niego zdziwione oczy.

— Czy odgadłem?

— Tak.

[...]

Stefcia pod wrażeniem potężnych murów i ich tradycji czuła się dziwnie mała. Bujna wyobraźnia przedstawiała jej przeszłość jak na jawie. Widziała rycerstwo, walczące o pierścień na turniejach, i wojewodzianki Michorowskie w kontusikach i wieńcach na głowie, z długimi kosami, rozdające nagrody zwycięzcom. Widziała hetmanów, sprawujących skrzydlate chorągwie, i wymarsz wojsk na obronę ojczyzny. Słyszała dźwięk kopii husarskich, szum skrzydeł i buńczuków i nabożną pieśń żołnierską:

Bogurodzica-dziewica,
Bogiem sławiona Maryja!
Twego Syna gospodzina
Matko zwolena Maryja,
Zyszczy nam, spuści nam!

Stefcia przymknęła oczy pod wpływem wizji z przeszłości. Ocucił ją turkot kół na kamiennej posadzce. Akustyka sklepiionych murów bramy potęgowała grzmot jadącego breku.

Konie szły stępą. Cała czwórka, pochylając głowy i wygięte szyje, uderzała z góry kopytami, jakby drażniąc się i lubując stukiem o tafle kamienne.

Stefcia na widok wewnętrznego dziedzińca wydała okrzyk zdumienia.

Waldemar zatoczył ręką koło i wskazując jej środkowy gmach zamku z tarasem, dywanem kwiatów i srebrnym pióropuszem wodotrysku, rzekł serdecznie zniżonym głosem:

— Jestem szczęśliwy, że przywiozłem panią, symbol pól i łąk, do tego gniazda, nie sfery i przesądów, nie do egzotycznego trephauzu, lecz pod ojczystą strzechę Michorowskich, gdzie bławatek będzie się czuł swobodny i wesoły.

Tyle brzmiało pocziwych nut w jego głosie, tak serdecznie płynęły jego słowa, że Stefcia spojrzała mu w oczy z wdzięcznością.

— Pan jest bardzo dobry — szepnęła.

— Chciałbym nim być — odrzekł równie cicho.

Jechali obok klombów dywanowych i piramidalnych krzewów. Wionęło na nich zapachem róż i charakterystyczną wonią wykwiutnych roślin i kwiatów cieplarnianych.

Wyniosłe mury zamku, wspaniała gra kolorów otoczenia, słoneczne blaski, rozsiewane hojnie dokoła, składały się na całość imponującą.

Wszyscy się rozweselili. Z szumem i gwarnie brek podjechał pod marmurowe filary ganku. Kilku służących w czarnej liberii z pąsowym zbiegło ze schodów. Kamerdyner wysoki, postawny, z siwymi bokobrodami na wygolonej twarzy, w liberii od innych wspanialszej, schodził powoli, jakby czując swą godność starego sługi, który obecnego ordynata widział jeszcze w kolebce⁸.

⁸ Tamże, s. 104–107.

Stefcia, błędząc po ogromnym zamku, wszędzie dostrzega niezwykle bogactwo i przepych, który ją oszałamia. Gubi się w niezliczonych salach, gabinetach, długich korytarzach. Jej skromna postać najwyraźniej odstaje od pysznych wnętrz z portretami przodków. Zdaje jej się, że ci antenaci patrzą na nią groźnie i ostrzegają przed nierozważnym krokiem.

Autorka w tej scenie posługuje się przejrzystą symboliką (zamknięta przestrzeń zamku – labiryntu, wroga bohaterce; wielkość tradycji i „małość” postaci; naruszenie ciszy i spokoju; „gniewne” spojrzenia z góry, z portretów miazdzą heroinę). Pełni ona funkcję antycypującą dalszy rozwój wydarzeń.

Głębowicze to dla Stefci istna kraina czarów: gry i zabawy, spacerów po niezwykle pięknym parku, przejażdżki łódką, zwiedzanie zwierzyńca. Do tego orkiestra, obiad w cieniu dębów, lampiony w ogrodach itd. Rozmarzona dziewczyna odkrywa, że ten uprzykrzony dawniej magnat, dziś wesoły towarzysz, imponuje jej. Faktem jest, że nieustannie zabiega o jej względy i choć bardzo dyskretne są to starania, Rita Szelizanka, która od dawna kocha Waldemara, zaraz to spostrzega. Zauważa też, że służba ze szczególną atencją traktuje Stefcię, być może domyślając się w niej swojej przyszłej pani. Podobnie myśli Waldemar – kiedy późną nocą odwozi Stefcię, szepnie jej: „To Twoje!”, lecz słowa te zagłuszy odgłos kopyt końskich.

Nadchodzi wrzesień. Stefcia nie może zapomnieć tego, co przeżyła, nie potrafi też nie myśleć o Waldemarze. On za każdym razem znajduje ją piękniejszą i bardziej godną miłości.

Wyjazd Stefci wraz z całą rodziną Michorowskich na wielką doroczną wystawę stwarza nową sytuację. Tu publicznie pojawia się obok ordynata, co wzbudza uzasadnione zainteresowanie, plotki i komentarze. Oczami bohaterki oglądamy „ogromne lokomobile i motory”, rolnicze i hodowlane pawilony, konie i psy, kwiaty, piękne tkaniny, hafty itd. Uczestniczymy w wyścigach hippicznych, na których oczywiście Waldemar i jego wspianiały koń Apollo zdobywają puchar.

Tu także poznajemy znaną z wcześniejszych wzmianek, najbogatszą i piękną hrabiankę Melanię Barską, która zgodnie z planami baronowej Idalii ma zostać żoną ordynata. Pojawia się i inna dama – dawna kochanka Waldemara, demoniczna margrabina Wera. Na próżno jednak wabi go i wspomina wspólne szaleństwa, „poruszając miękko ciałem jak zaspana tygrysica”⁹.

⁹ Tamże, s. 197.

Chociaż jest niezwykle piękna, pysznie zbudowana, a Waldemarowi „zmysły wypęły na usta” (!) – odtrąca ją z gniewem.

Na zakończenie wystawy odbywa się uroczysty koncert, a potem wielki bal. Są wszyscy, cała arystokracja. Waldemar bardzo szybko zatańczywszy kilka obowiązkowych tańców, „porwał Stefcię w zaklęty wir. I wówczas zrozumiał czar tańca”¹⁰. Szczęśliwi i zapatrzeni w siebie, nie widzą gniewnych, nienawistnych spojrzeń hrabianki Barskiej, która nie może znieść tego, że Stefcia króluje na parkiecie. Na dodatek Waldemar w połowie balu przynosi ogromną ilość świeżych kwiatów i obsypuje ją nimi, mówiąc: „Kwiaty składają pani hołd w moim imieniu”¹¹. Wszyscy rozumieją to jednoznacznie. Barski z furią obserwuje sukces Stefci, który jest klęską jego córki.

Po powrocie z wystawy zaczyna się sezon polowań. I tu znowu w Głębowiczach widzimy Barskiego z córką. Po raz kolejny wszczyna on dyskusję o niestosowności dopuszczania Stefci do tzw. towarzystwa. Na tym tle dochodzi do ostrej scysji między nim a Waldemarem, podczas której hrabia Barski wypowiada słynną kwestię: „ona jest niewłaściwym elementem, *elle n'est pas pour nous!* Nie trzeba się z nią zbliżać i poufalić. Panna Rudecka jest dla nas – trędowata”¹².

Polowania, zabawy, turnieje konne trwały dziesięć dni. Wielki bal kostiumowy, od dawna będący w programie, zakończył sezon głębowicki. Biała sala balowa w zamku, podtrzymywana przez marmurowe filary, owinięte bluszczem, tonęła w świetle lamp elektrycznych, w blasku kryształowych żyrandoli, w masie kwiatów i zieleni. Sala pomieściła miejscowe towarzystwo i mnóstwo osób przyjezdnych. Kostiumy były kosztowne i oryginalne. [...] Stefcia była damą z czasów Dyrektoriatu, w różowej powłóczystej sukni z lekkiej wełny, z jedwabną szarfą i w czarnym kapeluszu z wielkimi strusimi piórami. Włosy miała zaczesane wytwornie: bujna fala loków spływała na jej plecy. Szyję ozdobiła sznurkiem pereł dosyć cennych. W tym stroju, z wachlarzem z czarnych strusich piór, pękami różowych kamelii przy gorsie i we

¹⁰ Tamże, s. 204.

¹¹ Tamże, s. 210.

¹² Tamże, s. 224.

włosach, była poważniejsza niż zwykle, ale tak ładna i dystygowana, że więcej biegło oczu męskich za nią niż za wspaniałą Żydówką. Waldemar i większość panów nie mieli kostiumów.

Tańce szły z wielkim ożywieniem. Dwie orkiestry zmieniały się z sobą. Bal ten miał już odmienny styl niż podczas wystawy. Składała się na to przepyszna sala, dobór towarzystwa, bogate stroje i duch inny niż na balu publicznym. Ramy magnackiego zamku różniły się od hotelowych. Tu ordynat występował w roli gospodarza zabawy i właściciela.

W czasie figury mazurowej do młodego Michorowskiego podbiegł Brochwicz, trzymając pod rękę hrabiankę Melanię i Stefcie.

— Elektryczność i ogień *au nature!* — zawołał.

— Wolę ogień. Elektryczności mam dosyć — odparł Waldemar.

Brochwicz oddał mu Stefcie.

Hrabianka zaśmiała się przykrym, szyderczym śmiechem.

— *Les extrêmes se touchent!* — rzuciła z ironią.

Ordynat tańczył mazura klasycznie, z dystynkcją i junakierią zarazem, Stefcia płynęła: wyglądali niesłychanie. W tańcu spoglądał jej często w oczy. Ona swych nie spuszczała. W zawrotach przygarniał ją silnie, lecz bez zapału. Jego taniec, pomimo zręczności i zuchwałej brawury, układał się jednak trochę posągowo, co nadawało mu wyłączny wyraz. Twarz miał prawie poważną, Stefcia, pomimo zorzy w oczach – zamyśloną. Oboje byli szlachetni w ruchach. Wiał od nich urok. Musiano ich podziwiać¹³.

[...]

Nazajutrz umyślnie sprowadzony fotograf zdejmował grupę towarzystwa w kostiumach. Stefcia stała w drugim szeregu, trochę z boku. Waldemar nadszedł, kiedy już grupę ustawiono. Stanął za Stefcie. Przewyższał ją, ale musiał się nieco przesunąć w bok, gdyż jej duży kapelusz zasłaniał mu dół twarzy. Hrabianka w pierwszym rzędzie nie zauważyła tego. Rita przeciwnie, szepnęła cichutko do Trestki:

— Pierwsze publiczne *tête-à-tête*.

Trestka kiwnął głową twierdząco.

¹³ Tamże, s. 250–251.

Oprócz zbiorowej grupy wszystkie panie zdejmowały się osobno, w kostiumach i w balowych strojach, Stefcia w swym kostiumie z czasów Dyrektoriatu, a na prośby Luci – w codziennej szarej sukience i w koralach.

Była grupa myśliwska w zwierzyńcu, grupy na łodziach; zdejmowano konne kawalkady, partię tenisa i grę w bilard. Cały dzień zeszedł na zdjęciach. Niektórzy goście przed wieczorem wyjechali na kolej, inni mieli opuścić Głębowicze na drugi dzień rano. Odjeżdżające panie otrzymywały od ordynata bukiety, orkiestra grała na krużganku.

Ostatni wieczór zgromadził w sali jadalnej znacznie szczuplejsze towarzystwo i dziwnym trafem najsympatyczniejsze. Wyjechali Barscy i kilka osób ich pokroju. Zaraz inny duch powiał. Wyjazd hrabianki nie był triumfalny. Dostała bardzo piękny bukiet, orkiestra grzmiała jak dla innych, wiozła ją wspaniała karetą i cztery siwe araby, ale hrabianka miała złość na twarzy. Spotkał ją zawód. Nie została narzeczoną ordynata i żadnej nadziei mieć nie mogła. Najwięcej ją gniewała świadomość, kto jest winien jej porażce.

Hrabia jechał posępny jak chmura. Wymarzona godność teścia w Głębowiczach uciekła przed nim, w jej doścignięcie już nie wierzył. Miał głuchy żal do córki, wyrzucał jej obojętność dla ojca i dla własnego herbu, nie myśląc, że jej ambicja cierpi również dotkliwie, nawet więcej. Hrabia patrzył na pyszną urodę córki, przymykał oczy, haftował ją sobie na tle olbrzymiego posagu i dziewięciopalkowej korony z herbem na żółtym polu. Ogarniało go zdumienie. „I to wszystko nie podziało pana ordynata? Ależ to idiota, głupiec!” Ilekroć przed oczyma dumnego pana przesunęła się delikatna, wdzięczna postać Stefci, zaciskał pięści.

Uosobienie rozgoryczonej pary hrabiowskiej zdawało się rozsadzać karete. Ale ogiery arabskie pędziły do stacji kolejowej wyciągniętym klusem, oddalając się od niewdzięcznych Głębowicz, co jak złoty sen hrabianki zachodziły w mgłę.

W zamku nie było smutno, lecz trochę odmiennie. Wszystkich ogarniał melancholijny spokój po gwałtownych dniach. Chodzili po wąskich uliczkach zimowego ogrodu, zaglądali do winnicy, do ananasarni, do uroczej doliny róż.

Każdy myślał z żalem, że jutro trzeba opuścić zaczarowany zamek. I niejedno westchnienie wionęło, niejedne oczy szukały tego, który stanowił oś minionych zabaw, środkowy punkt zamku.

Stefcia nie wzdychała, nie oglądała się za Waldemarem, cicha i milcząca. Doznawała dziwnych uczuć: że chce się stąd wyrwać i nie może, chce uciekać – coś ją trzyma, chce się bronić – coś woła na nią: „Za późno!”. Było jej tak ciężko, jakby ten ogromny zamek walił się na nią. Przepych, wspaniałość znowu zaczęły ją dławić. Żal niesłyszany rozrywał piersi łkaniem. Tłoczyły ją uczucia i paliły ogniem¹⁴.

W drugim tomie *Trędowatej* zmienia się dotychczasowy nastrój, a także pejzaż. Jest zima, „Dnie wloką się [...] nieskończenie mętne, bezświatłne”¹⁵. Stefcia bardzo tęskni za ordynatem, który na pewien czas wyjechał z Głębowicz. Samotnie błądzi po chłodnej bieli pól, marząc o miłości. Nagle widzi jakiś zbliżający się punkt:

[...] niby rażona gromem, zadrżała. [...] szczęście bezmierne wrzało w jej duszy, kipiało we krwi. [...]. Michorowski stanął przy niej, w milczeniu wziął w swe dłonie jej zlodowaciałe ręce. Wpatrzeni w siebie, nie mogli przemówić. Jego oczy były granatowe, fale przelatowały mu przez twarz. A Stefcia, choć niewyraźnie, czuła, że to przełom, że mgły błękitne pierzchają, otwierając złote wrota, aby ukazać jej prawdę niesłyszana a cudowną¹⁶.

Mimo wielkiej radości dziewczyna odczuwa dziwny niepokój. Boi się. Przeczucie jej nie myli. Otrzymuje telegram zawiadamiający o śmierci ukochanej babci. Na tę wiadomość gwałtownie reaguje także dziadek Waldemara, pan Maciej. Pyta, jakie nazwisko panięńskie nosiła jej babcia. Gdy słyszy

¹⁴ Tamże, s. 256–257.

¹⁵ Tamże, s. 265.

¹⁶ Tamże, s. 265–266.

odpowiedź – mdleje. Okazuje się, że Stefcia to wnuczka dawnej ukochanej Macieja, której wyrzekł się, by nie popełnić mezaliansu.

Bohaterka po przyjeździe do domu otrzymuje najdroższą pamiątkę babci, którą przed śmiercią poleciła jej przekazać. Jest to pamiętnik, „dokument wieczny nigdy niewygasłych uczuć, stałej i obopólnej względem siebie wiary”¹⁷ – pisany przez jej babcię i Macieja Michorowskiego. Jest wstrząśnięta. Czyżby powtórzyła się przeszłość? Czytając go z zapartym tchem i łzami, ma wrażenie, że czyta własną historię. Pamiętnik, w miarę upływu lat coraz bardziej gorzki, kończy się słowami: „To się mści, to się zemścić musi!”¹⁸. Poznana prawda przeraża ją. Postanawia nieodwołalnie zerwać z Waldemarem i wrócić do domu. Chce uniknąć nieszczęścia.

Tymczasem Waldemar, nieświadomy jej planów, rozmyśla i śni o niej stale. Nie wątpi już, nie waha się. Kocha Stefcie i chce ją poślubić. Nie pozwoli odebrać sobie szczęścia. Będzie o nie walczył („Czuł w sobie wulkan siły”¹⁹). Ona zaś wraca, ale tylko po to, aby pożegnać się i na zawsze opuścić Słodkowce. W ostatniej chwili przed jej wyjazdem przyjeżdża ordynat.

– Pan ordynat pragnie się widzieć z panią. Jest w białym salonie.

Stefcia uczuła bolesny kurcz w krtani.

– Dobrze, idę zaraz.

Chwilę siedziała nieruchomo. Potem zbliżyła się do okna, przyciskając rozpalone czoło do szyby, otarła oczy i podbiegła do drzwi.

– Czego on chce ode mnie?

Cofnęła się, policzki ją paliły jak ogniem. Parę razy przeszła pokój, załamując dłonie.

– Boże! Boże! Spokoju!

Otworzyła drzwi i nie oglądając się już, nie zatrzymując, biegła w stronę białego salonu. Na progu, w cieniu adamaszkowych zasłon stanęła zdyszana, z bijącym sercem.

¹⁷ Tamże, s. 275.

¹⁸ Tamże, s. 281.

¹⁹ Tamże, s. 293.

Waldemar zbliżył się do niej, wziął ręce i gorąco je uściśnął. Wymowne oczy wpił w jej spuszczone powieki. Rzekł pewnym głosem:

– Przejdźmy do oranżerii, tu obok. Tam spokojniej. Chcę panią o coś zapytać.

Puścił jedną jej rękę, drugą delikatnie wsunął sobie pod ramię i z pieszczotą przykrył ją dłonią. Stefcia oniemiała, drżąca, dała się prowadzić bez oporu.

Czuła, że traci przytomność. Jego bliskość i uściski upajały ją aż do zawrotu głowy. Weszli do strojnej oranżerii, przytykającej do salonu.

Kwitnące kamelie, rododendrony, wspaniałe mirty i cedry rzucały ruchome siatki na terakotowe uliczki. Słońce oświeślało szyby okien jaskrawym blaskiem.

Waldemar zamknął drzwi salonowe i wszedł w boczną uliczkę, obsadzoną kameliami. Szli w milczeniu, po czym on przemówił serdecznym, pieściwym tonem, pochylając do niej głowę:

– Czy pani istotnie chce wyjechać? Czy to zamiar prawdziwy, stanowczy?

Stefcia odzyskała mowę.

– Najzupełniej stanowczy.

– Kiedy powzięty?

– Powróciłam już z tą myślą.

– Więc w domu zamiar powstał, w Ruczajewie?

Silniej przycisnął jej rękę.

– Domyślałem się, że wypadki ostatnie źle na panią wpłyną, ale... czy pani sądziła, że ja pozwolę na jej wyjazd?... na taki wyjazd?...

Stefcia osłupiała. Odrzekła drżącym głosem:

– Wzbronić mogłaby mi pani Elzonowska, pan... nie.

Waldemar zwolnił kroku.

– Ciotka? Zapewne, z innych względów. Ale ja panią kocham... i wyjechać stąd może pani tylko... moją narzeczoną.

Powiedział to z energią, w sposób trochę nerwowy.

Stefcia zmartwiała. Płomień gorący ogarnął jej mózg. Ukwiecone kamelie zaczęły jej wirować w oczach. Rękę przesunęła po skroni.

– Jak to... pan... mnie?

On pochylił się nad nią. Jego niski głos brzmiał teraz miękko, tkliwie:

— Kocham cię, jedyna. Czyś ty tego nie wiedziała? Chcę cię mieć, zostaniesz moją żoną... I ty mnie kochasz, dlatego uciekasz... ale tyś moja, moja!...

Wielkie szczęście bywa czasem tak potężne, że staje się cierpieniem. Uczucie Stefci w tej chwili było niemal bólem. Odurzenie trwało. Niespodziewane słowa Waldemara wlały do jej duszy tyle bezmiernej szczęśliwości, tyle światła, że dziewczyna straciła władzę nad sobą. Stała ogluszona, jak wykuta z alabastru, tak białą powłoką zastygła jej twarz. Tylko oczy wielkie, pysznie ocienione, mieniające się ciemnym fioletem, patrzyły w rozognione źrenice Waldemara z niemą prośbą, z bolesnym błaganiem, jakby mówiła nimi:

— Nie męcz mnie! Nie wódź na pokuszenie!...

Pałający wzrok Waldemara pochłaniał ją, pieścił, całował. Ordynat mocno ścisnął jej rękę i nachylony szeptał rozpalonymi ustami:

— Szaleję za tobą!... Słyszysz? Musisz być moją i będziesz... Kochasz mnie, ja wiem!...

Stefcia nagłym ruchem wyrwała rękę z jego dłoni.

Olbrzymia fala szczęścia, szalony wir radości porwał ją huraganem. Ognisty rumieniec oblał policzki. Chwyciła się za skronie i łapiąc szybko powietrze w rozchylone wargi, wyrzuciła z piersi wielki, potężny krzyk serca, niby hejnał dziękczynny:

— Boże! Boże! Boże!...

Waldemar porwał ją w ramiona, z ogniem w oczach, oszalały, wściekły.

Lecz w tej samej chwili błyskawicą stanęła w oczach Stefci biała postać jej babki w objęciach ułana, w ogrodzie śniażewskim, przed laty. Rozpacзлиwa siła oderwała ją od piersi Waldemara, zanim zdążyła złożyć na niej głowę zwichrzoną szczęściem, bezmiarem radości.

Wyrwała mu się, cofnęła gwałtownie, przerażona, oślepla z nagłej trwogi. Wysunęła naprzód ramiona, jakby się broniąc przed nim.

Waldemar, zdumiony, znowu chwycił jej rękę i ścisnął jak w kajdanach.

— Co tobie?

— Ja pana... nie kocham... nie kochałam nigdy... nie! nie! — krzyknęła Stefcia głuchym, zmienionym głosem.

— Co tobie?... uspokój się!... co mówisz?...

— Nie kocham pana!... nie chcę!...

— To kłamstwo! — wybuchnął Waldemar. — Kochasz mnie i będziesz moją!

— Nigdy! Nigdy!...

Drżała wzburzona bez granic, piersi jej gwałtownie falowały, oczy ciskały iskry.

Waldemar był straszny. Gniótł jej ręce powyżej dłoni, aż kurczyły się z bólu. Źrenice prawie czarne, pałające jak wulkan, wpił w jej oczy i mówił chrapliwie:

— Musisz! Musisz... bo ja tak chcę!

Nerwowo, podniecony śmiech wybiegł z ust Stefci niby jęk męczeński. Spojrzała mu w oczy jak zraniona i zawołała:

— Teraz... tak... a potem?

W pytaniu jej był cały dramat zmarłej babki.

Stefcia gwałtownym szarpnięciem wyrwała ręce z rąk ordynata i odskoczyła od niego. Zatrzymała się w dumna, pewna swego zwycięstwa, ale wstrząśnięta do głębi duszy. Szalonym wysiłkiem woli uspokoiła głos i wyraz twarzy. Poważnie, wolno i dobitnie rzekła, nie patrząc na Waldemara:

— Nie kocham pana i... proszę zapomnieć o mnie.

Odwróciła się, podążając w stronę drzwi, zmieniona, ze zroszonym czołem od męki, jaką sobie zadała, ale z dumnie podniesioną głową. Dopiero w białym salonie załamała ręce strasznym ruchem rozpacz i pędem pobiegła do siebie. Przed łóżkiem runęła na kolana.

Przeraźliwy płacz buchnął z jej piersi.

— Skończone! Skończone! — jęknęła wśród łkań.

Waldemar pozostał jak wbity w ziemię. Jej okrzyk wypowiedział mu wszystko. Miała na myśli babkę i Macieja. Ostatnim słowem Stefci nie uwierzył. Przeciwnie — sposób, w jaki były wypowiedziane, utwierdził go w pewności, że ona go kocha. Ale patrzył

na nią osłupiały z podziwu, gdy odchodziła. W oczach błysnął mu triumf.

— Dzielna i dumna! — szepnął z uznaniem.

Stał, patrząc na rozhuśtane gałęzie kamelii, poruszone przez Stefcię, i z wolna twarz jego uspokoiła się, wzburzenie minęło.

Łagodny wyraz okolił jego wydatne usta, w oczach zadrgała tkliwość.

— Kocham ją nad wszystko... zostanie moją...

Przeszedł się parę razy po ulicę, mając pełne oczy, pełną duszę obrazu Stefci.

— A gdyby?...

Przyszła mu na myśl rodzina. Odmówią mu stanowczo. Co wówczas?...

Dziki ogień błysnął mu w oczach. Brwi ściągnął groźnie.

— Zobaczymy! — syknął z wściekłością²⁰.

Kolejny rozdział tej oszałamiającej eksplozjami uczuć historii miłosnej zaczyna Mniszkówna iście Konradowską sceną walki rozumu z miłością.

Po strasznym wybuchu płaczu Stefcia z klęczek osunęła się na podłogę i skulona wlepiła oczy w jasny, drgający promień, co jak rakietą wypadł z okna i szerokim pasem przerznął pokój, rozświetlając delikatne pyły. Oczy Stefci pomimo łzawej mętni gorzały. Buchała z nich szalona miłością dusza, obudzony a palący żar młodej natury. Na ustach jej zakrzepły ból zmalał; rozchyłał je teraz dziki krzyk wewnętrznej nawałnicy. Wrzała w niej męka i krew rozkipiała, bijąca ogniem na twarz. Dłonie łamały się w żywiołowej walce. Wszystkie siły duchowe Stefci wezwała na pomoc. Za słabe były, nie mogły zwyciężyć. Miłość jej tragiczna, głęboka a poważna przez swą ciszę, gwałtownie, jak pożar od iskry piorunu, targnęła jej sercem, porywając w bezkresny wir zmysły i duszę. Pożoga olbrzymich uczuć zatrzęsała

²⁰ Tamże, s. 308–310.

istotą Stefci, waląc w mózg niezmierną potęgą, płomieniem, niosąc z rozpędem huraganu gorące zarzewia do jej żył.

Krótką chwilą uścisku Waldemara pozostała w nerwach. Stefcia czuła się opasana żelaznymi okowami jego namiętnych ramion, czuła rozpalony oddech jego ust obok swej skroni przez jeden błysk oka.

Skąd przyszła ta siła, ta moc nieludzka, co ją wyrwała z tytanicznej władzy ukochanego? To rozpacz, to wizja przeszłości.

Stefcia wyjęczała rozdzierającą serce skargę:

— Kocham go do szaleństwa, bez pamięci! Jego być chcę, jego niewolnicą!

Wpychała chusteczkę w usta, aby nie skowyczeć z bólu, z pragnień słodkich, niosących ją w zawrotną przepaść tęsknoty.

— Kocham go! Waldy! Waldy! Mój panie!

Dygotała, leżąc na ziemi, ale obuch groźnej prawdy uderzył w jej umysł brutalnie i otrzeźwił. Z rękoma przy skroniach dźwignęła się, uklękła. Oparta na krawędzi łóżka, odczuwała, jak wielka konieczność miażdży w niej wybuch szału, jak lodem ścina gotującą się krew i wolno, boleśnie, niby gradem ostrych kamyków pada jej na mózg.

— Nie mogę, nie wolno mi!... muszę stąd jechać!...

— Muszę! — krzyknęła, powstając. Ale zachwiała się i padła na łóżko, twarz zanurzyła w poduszce.

— A on? On kocha... on szaleje! A on?!... Uciec, uciec!... on zapomni!... wszystko runie!...

Wiedziała, że nie, znając już potęgę jego miłości, nosiła ją w sobie, dopełniała własną. Ale uciekać trzeba, zejść z oczu tych ludzi, zatrzeć ślad po sobie, uciec przed ukochanym, byle go więcej nie widzieć, byle nie czuć go blisko siebie. On ją chce mieć za żonę, ofiarował jej nazwisko z zupełną świadomością swych pragnień i uczuć, ale ona przyjąć go nie może.

Stefcia rozumiała, że piękny gmach szczęścia z Waldemarem nie dla niej, że powinna go odsunąć dobrowolnie, choćby duszę swą miała rozszarpać na strzępy. Bała się ponownej rozmowy z nim, jego oczu, głosu, słów, dotknięcia ręki. Samo wspomnienie jego zmysłowych ust parzyło ją. Zamykała oczy, by odpędzić rozkoszną wizję jego

drapieżnych żrenic. Stefcia miała wrażenie, że gdyby on zatrzymał ją w swych ramionach, byłaby już jego... że gdyby jego usta dotknęły jej ust, omdlałaby ze słodkiej, upajającej niemocy...

I ten błękitny sen własnoręcznie rozproszy – wszystko się skończy bezpowrotnie, zatarasowane barbarzyńskim murem niemożebności.

Potworne macki nieszczęścia wypełzały do Stefci groźne i nieubłagane, zabijając w niej życie. Sfera ordynata jak hydra złośliwa wciągnęła ją w siebie i piła jej krew ssawkami czaru aż do zatrucia. Uratuje się, wyrwie z tej przemocy, lecz poraniona, prawie martwa, ociekła potem gorzkiej niedoli, w zupełnej nędzy duchowej, z zanikiem wszelkich sił do życia. Drewnem zostanie, materią bez ducha i zmysłów; hydra zniweczyła w niej najistotniejsze atomy bytu, wchłaniając samoistne popędy i młodą moc natury. Wyznanie Waldemara było ostatnią macką hydry, wypijającą krew z serca. Odejdzie stąd włókmem, moralną ofiarą, w tragiczną otchłań tęsknot, w grzęzawiska rozpacz. Byle od tych blasków, byle od uroków, które zabijają! W świat! W świat czarny, okropny... Rzucić tę Ikarię świetlistą, bo się stała piekłem, bo rozbrzmiewa szatańskim chichotem ironii... Zamknąć oczy i gnać na przepadłe bez oglądania się, bez myśli, bez westchnień.

— Czy potrafię?...

Dziewczyna wiła się jak na torturach, ale szare oczy Waldemara patrzyły na nią przejmująco, usta piekły żarem, budząc dreszcz namiętny, głos jego, nabrzmiały miłością, chrapliwe rzucał słowa:

— Szaleję za tobą!... Słyszysz? Musisz być moją i będziesz... Kochasz mnie, ja wiem!...

Och, wiedział! Wiedział wszystko i nie puści jej: straszny jest! Orzeł!... Lew! Gromy miał w oczach, sztylety na ustach, gdy mówił ostatnie słowa:

— Musisz, musisz, bo ja tak chcę!

To potęga, cyklon rwący, wszechmocny.

— Jego być, do niego należeć! Boże, zabij mnie za te pragnienia! — skarżyła się Stefcia.

Chwilami słabła. Wówczas ciche pasemka nadziei wsuwały się w jej dramat, słodko szemrząc. Jakby we śnie, doznawała złudzenia

nad wyraz błęgiego, że on jest obok niej, że kładzie dłoń na jej skroni i przemawia łagodnie. Ona opiera głowę na jego piersiach z ufnością, z nieziemskim uczuciem szczęścia; uczuwa na ustach pocałunek; palące dotknięcie jego pożądliwych warg niby słodka trucizna odurza ją... W upojeniu bez granic mdleje, pada w promienisty krąg niewysłowionej błogości.

Czy to już śmierć?... Stefcia drży, nie śmie podnieść głowy, otworzyć oczu, trwa w niepamięci, owiana wonią zaczarowanych kwiatów marzeń.

Ciche pukanie do drzwi.

Świat! Świat ją woła.

— Nie otworzę! — myśli Stefcia — nikt nie ma prawa deptać złoty rojeń o nim, nikt!

Cicha nuta w jej duszy wpada znowu w szloch. Dziewczyna spazmatycznie łka. Rozklębia się na nowo piekielny gad nędzy i przesuwają przed Stefcia ohydne cielsko. Przyciszony muzyką anielskich harf odżył nikczemny, jak upiór straszny.

Zdruzgotał marzenia.

Placz, płacz... popiół w duszy... pogorzel nadziei... klęska!

Pukanie do drzwi powtarza się. Rzeczywistość czuwa i nadchodzi, by wyrwać ofiarę. Zasłona cudnych widoków zapada ze złowrogim szelilem. Ginie czar.

Stefcia nie otwiera drzwi.

— Boże! Boże! Daj siły, daj wytrwanie! — szepnęła, gniotąc konwulsyjnie czoło w dłoniach.

I zapadła w odrętwienie, z załamanymi rękoma skamieniała. Łzy się w niej zapiekły cierpieniem, przenikliwy mróz ścinał krew w jej arteriach, pokrywał szronem zapalne wyskoki krwi, dusił ją chłodną, bezwzględą prawdą. Jakby muśnięte powiewem śmierci, stężały w niej uczucia, zlodowaciał mózg. Stefcia była głazem.

Oczy Waldemara, uporczywe, silne wolą, niemiłosierne w wyrazie, stały wciąż przed nią jak zaporę odgradzająca zmęczone przestrzenie i ponure groby, dokąd bezwiednie szła jej dusza.

Postać Waldemara olbrzymiała w jej podnieconej wyobraźni, głos jego grzmiał niby wzburzone wody oceanu. Ramiona potężne, ramiona mogące skruszyć wulkan, otwierały się do niej, aby ją unieść z ziemi, do wyżyn rozświetlonych, do apoteozy boskiej szczęśliwości.

Stefcia majaczyła z jego ideałem w całej swej istocie.

Po paru godzinach stukanie do drzwi ponowiło się i cichy, łzawy głos szeptał błagalnie. Gdy współprzypadła Stefcia otworzyła, Lucia wpadła, z głośnym spazmem rzucając się w jej objęcia²¹.

Mimo wszystko Stefcia jest nieugięta. Nazajutrz chce wyjechać. Wszyscy żegnają ją z prawdziwym żalem. Waldemar, wbrew jej sprzeciwom, postanawia odwiedzić ją na stację. Raz jeszcze musi z nią pomówić.

Stefcia poruszyła się. Jego serdeczny, łagodny głos, jego słowa i sposób mówienia działały na nią zabójczo. Zrozumiała, że on zaczyna mieć władzę nad nią. Dłoń jej pieścił, całował; to ją onieśmieliło, ale chciała się jeszcze bronić. Szepnęła błagalnie:

— Niech mnie pan zostawi w spokoju. Ja wyjadę i wszystko się skończy. Tak być powinno. Niech mi pan zrobi tę łaskę.

— Stefciu, mówmy poważnie, a nade wszystko spokojnie. Ja wiem, o co głównie idzie. Ty zawsze masz na myśli zmarłą babkę i jej dramat. Nie przeczę, to może nasuwać bardzo bolesne porównania. Ale nie masz jeszcze do nich prawa, gdyż dramat miniony w naszych rodzinach nie może się powtórzyć. Ja cię kocham od dawna i głęboko. Nie jest to chwilowy szal ani kaprys — znam swe uczucia. Nie mam lat dwudziestu, żeby się unosić chwilą. Poważnie analizowałem siebie i doszedłem do wniosku, że kocham cię uczuciem prawdziwym i bardzo potężnym. Kochałem się wiele razy, lecz to co innego! Tamto właśnie były chwilowe szale, zrodzone z lekkich romansów, jakie każdy z nas liczy na tuziny. Ale nie spotkałem kobiety, której typ nosiłem w sobie, ani jedna nie weszła mi do duszy. W uprawianych przeze

²¹ Tamże, s. 310–313.

mnie flirtach głównym czynnikiem były zawsze zmysły. Ty pierwsza wzbudziłaś we mnie uczucia inne. Ciebie nie tylko pragnę, ale cię kocham niezmiennie. Z początku miałem złe myśli. Zachwyciłaś mnie od pierwszej chwili spotkania, bo w samej powierzchowności odnalazłem mój typ i chciałem cię mieć, ale... inaczej. Chciałem cię rozkochar, chciałem, abys mi się oddała sama. Byłem niegodziwy, rozbałamucony życiem. Widziałem, że mi się nie udaje, i jakiś czas mściłem się na tobie, nawet arogancko. Chwilami nienawidziłem cię, doprowadzałaś mnie do wściekłości. Widzisz! Widzisz! Jedyna!...

Wziął drugą jej rękę i gorąco przycisnął obie do ust. Stefcia siedziała jakby śniąc. On mówił dalej cichym, przepojonym namiętnością głosem:

— I uśpiłaś we mnie lamparta, zacząłem patrzeć na ciebie inaczej. Ogarniało mnie zdumienie, widząc twą nieprzystępność i taką szlachetną dumę. Szanowałem cię, czciłem. A przy tym byłaś zawsze taka śliczna, taka wdzięczna w każdym ruchu, tyle odnajdywałem w tobie ponęt, umiałaś mnie porwać nieświadomie, a tak uroczo. I pokochałem cię nad wszystko, zdobyłem! Nareszcie jesteś moją, bo i ty mnie kochasz. Nie broń się, nie zapieraj! Wiem wszystko... Walczyłaś! Ale to się zwalczyć nie da, to silniejsze, zwycięża zawsze! Podziwiałem twój hart, z jakim rzuciłaś mi wczoraj zaprzeczenie swych uczuć, ale tym bardziej wiem, że mnie kochasz. I ja miałem poprzestać na twej wczorajszej odpowiedzi? Więc zdobyłem cię po to, by pożegnać?... Po jednym słowie, które podyktowała ci duma, obawa, gorycz, wywołana obrazem przeszłości? Gdybym ci był zupełnie obojętny, jeszcze szedłbym do celu z nadzieją, że cię zdobędę. Ale wiedząc, że posiadam twą wzajemność, ja miałbym ustąpić?... Nie znasz mnie, jedyna. Będziesz moją żoną, bo mam pragnienie szczęścia, bo tobie chcę je ofiarować.

Stefcia słuchała z upojeniem, z nieznaną dotąd rozkoszą. On ją kochał i mówił to nie w jakimś szale, ale spokojnie, poważnie. Patrzył na nią tak przejmująco. Czuła ten wzrok, przepalał jej krew, niweczył wolę. Ordynat przyciągnął ją do siebie i pochylony szeptał nagle:

— Jedyna moja, złota, najdroższa, nie zaprzeczaj, nie wypieraj się... kochasz mnie... powiedz, chcę, byś mi to powiedziała!...

Stefcia słabła. Nazbyt silnie kochała, by móc się oprzeć. Świadomość jego uczuć, niski, nabrzmiwały miłością głos odurzył ją. Przytknęła powieki oczarowana, uniesiona szczęściem w jakieś nieznane krainy. Otaczała ją przestrzeń jasna, ze złotych gwiazd utkana, pełna woni i cichej a świetnej muzyki. Nie umiała się bronić nawet wtedy, gdy on energicznym ramieniem otaczał ją delikatnie, pieszcząco. Przygarnął ją do siebie i cicho złożył jej głowę na swej piersi.

Stefcia trwała w odrętwieniu.

Waldemar odsunął jej czapeczkę z czoła i zanurzył usta w jej włosach.

— Szczęście moje! Ptaszyno moja! — mówił w uniesieniu — powiedz, że kochasz.

Nagłym ruchem przytuliła się do niego, szczęśliwa, niemal nieprzytomna z rozkoszy.

— Kocham!... Tak... kocham! — wyszeptała z głębi udręczonej duszy.

— Moja ty! Moja!...

Cisnął ją do siebie, jej usta, oczy, włosy okrywał bezpamiętnymi pocałunkami²².

Waldemar, który oświadcza się Stefci w tak niekonwencjonalnym miejscu, przysięga, że jej nie zawiedzie, że może mu ufać. Dziewczyna odjeżdża, a on zaczyna walkę. Rzuca wyzwanie wszystkim, którzy chcą go zatrzymać w drodze do szczęścia. Księżna Podhorecka – jego babka i głowa rodu – kategorycznie odmawia swojej zgody. Rozmowa księżnej z Waldemarem jest niezmiernie burzliwa i rozstają się w gniewie. Cała rodzina jest wzburzona. Zostaje zwołany zjazd rodzinny. Znowu pada słowo: „Trędowata”. Ordynat godnie występuje w obronie Stefci, zbija śmiało wszystkie domniemane zarzuty. Jest imponujący. Wszyscy jednak są przeciwko temu małżeństwu. Wreszcie głos zabiera Maciej Michorowski:

²² Tamże, s. 316–318.

Ja, Michorowski, jego dziad, uznaję jego wolę, zgadzam się na jego małżeństwo... i błogosławię! Uczynź to samo, księżno, proszę cię o to. Nie zachmurzaj jego szczęścia, nie zabijaj tej dziewczyny: ona go kocha prawdziwie i bardzo głęboko — wiem o tym. Ona, powodowana prawością charakteru i ambicją, odmówiła mu ręki, uciekła, nie chcąc dla niego walki z rodziną...

Pan Maciej wyprostował dumnie starczą pierś. Czoło magnata rozjaśniło szczere uniesienie. Głos potężniał.

— Więc ona poświęca własne szczęście, życie niemal, a my nie możemy poświęcić naszych przekonań, opartych być może na przestarzałych przesądach? Mamy się okazać mniej szlachetnymi od tej wątpliwej dziewczyny szlacheckiej? My, magnaci?!²³

Księżna Podhorecka pozostaje nieugięta. Przez dwa miesiące milczy, zanim zdecyduje się pobłogosławić wnuka.

Teraz już nic nie stoi na przeszkodzie miłości Stefci Rudeckiej i ordynata Waldemara Michorowskiego. Po oficjalnych oświadczeniach zostaje wyznaczona data ślubu. Szczęścia, które przepelnia serca zakochanych, nie daje się z niczym porównać.

Znowu nadchodzi wiosna. Przygotowania do uroczystości są na ukończeniu, kiedy Stefcia otrzymuje drugi już od czasu zaręczyn anonimowy list.

Stefcia gorączkowo rozcięła kopertę.

Spojrzała na podpis — nie było go. Zamiast nazwiska stało wyraźnie:

„Jeden za wszystkich”.

Anonim.

Stefcia ścisnęła dłońmi skronie, zagryzła usta i zaczęła czytać z mocno bijącym sercem:

„Łaskawa pani! Niesłychanie zdziwieni jesteśmy, że pani pomimo tylokratnych ostrzeżeń decyduje się zostać żoną ordynata

²³ Tamże, s. 342.

Michorowskiego. Pomijamy egoizm, który pozwala pani na ten krok zbyt śmiały. Dla własnych butnych dążeń, dla zadowolenia wygórowanych ambicji nie waha się pani unieszczęśliwić ordynata. Pod wszelkimi pozorami szczęścia ordynat stanie się człowiekiem zdruzgotanym. Zabierze mu pani swobodę, zmniejszy do minimum jego stanowisko społeczne, bo w kursie światowym straci ono swój blask. Ordynat nie rozumie, na co się naraża, za wielką czyni ofiarę dla powetowania przerwanej miłości swego dziada. Z takimi skandalikami ani pan Maciej Michorowski, ani obecny ordynat nie liczyli się nigdy. Ordynat jest zaślepiony, uroda pani podnieca go, nie mógł pani zdobyć na kochankę, więc zdobywa w ten sposób, nie rachując się z następstwami. Przyjdzie czas opamiętania i wtedy przeklnie chwilę, w której zgodził się na ten krok szalony. Sfera mści się za naruszenie jej praw. Nie wolno targać się na jej tradycję uświęconą przez wieki! Kto z nią walczy, poniesie porażkę!... Niech pani nie liczy na uprzejmość naszą dla niej jako ordynatowej. *Ce ressemble un peu mal!*... Pierwsze miesiące będziecie wystarczać sobie – zwykły szal *du mois de miel!* – ale gdy upojenie ordynata minie, prędko zrozumie, że wpadł w pułapkę. Jeśli by chciał bezczelnie wprowadzić panią w nasze sfery, proszę być pewną, że my jej nie przyjmimy. Na gruncie neutralnym spotykaliśmy się, i to było możliwe, ale bliższe stosunki łączyć nas nie mogą. Ordynat przekona się o tym za późno! Jego dzisiejszą energię złamie fakt, który da mu w całej pełni odczuć popełniony absurd. A wówczas i pani położenie będzie smutne. Pani dla arystokracji jest i pozostanie trędowata, pomimo swej piękności. Ostrzegamy ostatni raz.

Jeden za wszystkich”.

Stefcia wyprostowała się.

Ciężary waliły jej w mózg, gorąco i dreszcze przebiegały jej członki. List włożyła do koperty, zmięła gorączkowo, wsuwając go do biurka prawie machinalnie. Przeciągnęła ręką po czole. Dłoń była zupełnie mokra. Zaczęło jej mącić się w oczach, poczuła lekkie mdłości, w głowie huczały gromy.

Podeszła chwiejnie do okna i mętym wzrokiem popatrzyła na ukwiecony ogród.

— Trędowata! — szepnęła z bólem.

Nagle zaczęła się śmiać, strasznie śmiać... Głuchy jęk i śmiech razem wybuchał z jej piersi.

— Oni kłamią! Kłamią! — wołała, zanosząc się od śmiechu. — Oni się go boją!... Oni jemu ustąpić muszą!... Muszą! Muszą!... On nie dopuści... On ich zmoże... Boją się go! Boją!... Och!... Och!...

Usiadła na łóżku, uspokoiła się i umilkła. Twarz jej poczęła się krzywić kurczowo, jak u dzieci przed płaczem; oczy zupełnie mętne, nieprzytomne utkwiała w dużej fotografii narzeczonego, stojącej na biurku wśród kwiatów, i szeptała coraz ciszej pieściwym głosem:

— Waldy... Waldy mój... czy ja cię unieszczęśliwię?... ty dzielny!... ty mnie kochasz! Ty! ty!...

Brwi jej podniosły się na zroszonym czole i skupiły, tworząc bolesny łuk, usta drgały, opadając na dół.

— Waldy... Wal... dy — wyjąknęła i nagle zaniosła się spazmatycznym płaczem.

Głowę rozpaloną, w której krew buchała zbitym wałem, wtuliła w poduszki, a płacz straszny, rozpaczliwy płacz, idący z każdej kropli krwi, z każdego włókna nerwów, płacz z duszy, płacz z serca, wstrząsał nią jak orkan rozwścieczony.

To był płacz całej istoty, olbrzymi! Siłą swą mogący rozdzierać kamienie, najtwardsze skały!

W mózgu miała tysiące młotów.

Ogarniał ją ogień²⁴.

Telegraficznie wezwany Waldemar przyjeżdża z Warszawy, gdzie pojechał kupić sznur brylantów (wielkości laskowych orzechów!) dla swojej przyszłej żony. Stefcia leży w malignie. Ordynat dowiaduje się o przyczynie choroby. Czyta anonimy i rozpoznaje autorów. Cóż z tego? Wezwani z zagranicy lekarze nie mogą już uratować ukochanej. Jej stan jest beznadziejny.

Przepiękna majowa przyroda dyszy pragnieniem szczęścia, gdy Stefcia umiera. Umiera w dniu swojego ślubu.

²⁴ Tamże, s. 420–422.

Poranek rozbłysnął bogactwem barw.

Zakołysały się akacje, cichym szeptem wionęły jaśminy. Strojne jasnozielone brzozy, spowite w białe cętkowane atłasy, zatrzęsły mnóstwem listków drobnych, błyszczących jak z emalii. Kwiaty, krzewy, umajone drzewa witały dzień radosnym poszumem.

Rozjaśnił się czysty błękit i kryształ powietrzny. Słońce wstawało za jutrzrenką, rozradowane, szczęśliwe.

A ziemia cała i wszystko, co na niej żyło, rosło, kwitło, pachniało, wszystko, co umiało śpiewać, odczuwać, świergotać — wszystko wzносиło w górę uroczysty hymn: „Kiedy ranne wstają zorze...”.

Okno w pokoiku Stefci szeroko otwarte. Muślinowe firanki, białe w lila irysy, poruszał lekki oddech rosnących pod oknem brzoź. Smukłe, seledynowe, zwieszały wiotkie baldachimy gałązek, drząc listkami, jakby żałośnie spływające łzy. Brzozy zaczęły wdmuchiwać do pokoju moc odurzających zapachów, całą woń z ogrodu, skrzątnie zebraną z kielichów kwiatowych; posyłały tam szmery; rozszeptany ogród rzucał w okno najpiękniejsze symfonie. Jutrzrenka stroiła różem białe muśliny firanek, niosła purpurę aż do łóżka w głąb pokoju, gdzie leżała wiotka postać dziewczyny, delikatnej niby świtem zaróżowiony obłoczek.

Czoło miała Stefcia odkryte, jasne, przezrocze i mocno zarumienione policzki. Nieco obnażona szyja pulsowała widocznie, aż koronka bielizny unosiła się leciuchno.

W pokoju pełno światła i powietrza. Dokoła chorej leżały kwiaty zniesione tu przez Jurka. Pan Rudecki chciał je wyrzucić, bojąc się, że zbyt ni zapach może szkodzić Stefci, lecz jeden z profesorów wstrzymał go.

— Panie, to już nie szkodzi — rzekł ze smutną powagą w głosie.

Pan Rudecki wybiegł z pokoju, upadł na kolana obok żony; szlochała skulona na ziemi przed obrazem Bogarodzicy.

Waldemar, klęcząc przy łóżku Stefci, targany szaloną rozpaczą, porywającą go w bezkresy, ścisnął drobne ręce dziewczyny, a z piersi jego wychodził jęk zdławiony, do ryku podobny:

— Żyj!... Żyj!... Na Boga! Zostań! Nie odchodź!

I trzęsące się usta przycisnął do gorącego ramienia Stefci. Czoło nabrzmiałe żyłami, spocone, ściągnięte bezgranicznym bólem oparł na kołdrze i modlił się, i łkał suchym płaczem, trawiącym wszystko. Wstrząsała nim gorączka, szarpał go żal tak olbrzymi, że pomieścić się nie mógł nawet w tej żelaznej piersi.

A Stefcia otworzyła oczy zmęczone jak zagasłe gwiazdy, kręciła głowę po poduszce, jedną ręką poruszała koło czoła, niby coś odpędzając. Z ust jej wybiegały bezładne słowa:

— Tam... strach!... Ocalejesz!... Waldy... Ile kwiatów... To ja winna!... Nie odchodź!...

— Droga moja! Przebudź się... miej litość! — szeptał Waldemar głucho, sam prawie nieprzytomny.

— Nie karz... ich... Wal... dy...

Chwyciły ją konwulsje. Dwaj obecni w pokoju doktorzy podbiegli, ale Waldemara nie odsunęli. Klęczał ciągle z jej ręką w swych dłoniach, z czołem przy jej piersiach.

Po chwili konwulsje ustały. Stefcia leżała bezwładnie ze zwieszoną główką. Włosy jej opadały na czoło Waldemara.

Oddychała bardzo słabo, skroń i szyja pulsowały gwałtownie, lecz tempo zwalniało się stopniowo.

Doktorzy spojrzeli na siebie. Obaj spuścili oczy, cofnęli się od łóżka i w pewnym oddaleniu poklękali.

Widząc to, pan Maciej i panna Rita uklękli również, kryjąc twarze w dłoniach.

Cisza wielka, cisza jakaś mistyczna spłynęła na jasny, wonny pokój.

Nagle w tę ciszę uroczystą posypały się delikatne rytmy, jak trele na flecie ze złota i pereł.

W brzozie pod oknem, w otoczeniu gęstych krzaków białego jaśminu, zaśpiewał słowik.

I muzykę swą posyłał wysoko aż do różowych zórz na niebie, aż do roztoczy słońca. Król dnia wyrzał już spoza seledynowej wstążki, ostatniej z bogactw jutrzeńki. Ptaszek flecikiem swym wzywał blaski, harmonijnym świstem tonów przywabił jasne duchy z błękitów aż

do stóp Wszechmocnego, aby spłynęły na tę brzozę, w to okno otwarte a ciche jak w kaplicy.

I tyle uczuć płynęło wysnutych z piersi słowika, i tyle prośby, i tyle modlitwy, że pierwsze różane zorze zaczęły dążyć w tę stronę, zabierając z sobą wszystkie barwy niebieskie.

Szło słońce młode, pyszne i niosło z sobą ciepło i blask... Szły zapachy kwiatów... Szły upajające wonie łąk... Szły wiewy ptasich lotów... Szły ciche szmery powietrzne.

I od stóp Boga zerwały się jasne duchy piękne, natchnione, wysnute z mgieł srebrnych bieli obłoków.

Cały hufiec niebieski z szelestem sfrunął w powodzi jaskrawych pasm na bujną brzozę, gdzie sygnalizował ptaszek.

I razem ze światłością poranku, razem z zapachami kwiatów i cudną melodią wiośnianą, jasne duchy dotarły do Stefci, otaczając śliczną głowę dziewczyny cichym, dobrym tchnieniem.

Słowik trylował, cieniując pojedyncze nuty, jakby przygrywkę jakąś tęskną do rapsodu Aniołów.

Gdy łóżko Stefci zapłonęło ogniem słońca w całej świetni jego potęgi, hufiec niebieski zaszumiał skrzydłami, uniósł się i na złotym szlaku wyfrunął z pokoju, powiększony o jedną przeczystą duszyczkę – Stefci.

Błękitni wysłańcy nieśli ją niepokalaną, jak ich pióra, snując nad nią czarowną glorię nieuchwytnych blasków. I lecąc ku błękitom, dążąc do stóp Boga, cały chór anielski i ta jasna nowa duszyczka dziewczyny wzniesli hejnał pobożny:

— *Salve Regina...*

— — — — —
Dreszcz przebiegł obecnych, jakby odlatujące duchy dotknęły wszystkich rąbkiem swych szat.

Kłęczący Waldemar usłyszał cichy głos doktora:

— Już... po wszystkim...

Zerwał się przerażony, okryty potem, straszny.

Błędne źrenice wpił w nieruchomą postać dziewczyny z zamkniętymi oczyma, leżącą bezwładnie w ramce złotych włosów, jak zabity biały motyl.

Waldemar bez jęku, bez słowa, tylko z dzikim wyrazem w oczach zachwiał się i ciężko runął na brzeg łóżka.

Podbiegli do niego. Zgroza zawisła nad ludźmi.

Na umajonej brzozie słowik śpiewał dalej²⁵.

Ogłuszony rozpaczą ordynat postanawia popełnić samobójstwo, wstrzymany w ostatniej chwili błaganiem starego Michorowskiego i błyskawiczną reakcją Rity. Przygotowaniem pogrzebu Stefci w Ruczajewie osobiście zajmuje się pan Maciej, z pomocą Rity i Rudeckiego, ojca Stefci. Waldemar „jak bez duszy, nie mógł płakać, nie mógł się żalić. Tylko w skroniach paliło mu ogniem, w sercu czuł mróz przejmujący, jakby cała rozpacz, cały ogrom żalu skrzepł się w lód w jego żyłach. Stan jego budził obawy”²⁶.

W rocznicę śmierci, tak jak podczas pogrzebu, cała rodzina ordynata przybywa do Ruczajewa na poświęcenie nagrobnego pomnika, wzniesionego przez Waldemara. Rodowe perły Michorowskich, ongiś ofiarowane Stefci, zgodnie z jego wolą zawisną jako wota w ruczajewskim kościele.

Po powrocie do Głębowicz odbyła się uroczystość założenia fundamentów pod szpital i ochronę imienia Stefanii – w Słodkowcach.

Okolica patrzyła na to z niemym podziwem.

Parę dni potem w zamku głębowickim zawrzał ruch niepowседневni, rozbijano jakąś pakę, po czym kilku służących i olbrzymi Jur nieśli po schodach wielki przedmiot okryty pąsową makatą. Ordynat szedł naprzód i otworzył salę portretową.

Zdjęto aksamitną zasłonę z prawej strony od portretu Gabrieli Michorowskiej. Wyjrzała dębowa ściana, co niegdyś tak Niemile dotknęła Waldemara swą pustką. Zaczęło się stukanie, huk młotów rozbrzmiał echem po sali.

Wstrząsnęły się portrety.

²⁵ Tamże, s. 432-434.

²⁶ Tamże, s. 435-436.

Antenaci Michorowskich zadrżeli w swych ramach. Zbudzili się! Surową stałą martwych oczu spoglądali na niezwykle widok. Krzątania lokajów, huk młotów stolarskich i sztywna postać młodego ordynata, który wydawał suchym głosem rozkazy, przeraziły portrety. Duży przedmiot, pokryty makatą, zastanawiał je.

Szmer poszedł po sali – szmer cichy a groźny, niby pomruk zbudzonych magnatów w odwiecznym przybytku ich pośmiertnej chwały.

– Przybył do nas ktoś nowy! – szła wieść, podawali ją sobie od ramy do ramy.

– Ale kto?

Pytanie zawisło nad portretami dawnych ordynatów głębowickich, dawnych wojewodów i hetmanów.

A huk rozlegał się ostro, młoty waliły w dębowe ściany potężnie. Po szybach okien biegł lekki brzęk, dźwięczały brązy pajaków.

Nagle ucichło. Głos ordynata zabrzmiał parę razy i duży wąski przedmiot zawisnął na ścianie, dotykając posadzki.

Portrety oczekiwały w skupieniu.

Ordynat ruchem ręki oddalił służbę.

Zabrali narzędzia i wyszli cicho.

Wówczas ordynat przetarł ręką czoło, blady, zmieniony. Rozejrzał się po sali ze zmarszczoną brwią, jakby nakazując coś, jakby wołając: – Patrzcie!

Martwe oczy wszystkich portretów wpijały się w mroczną twarz prawnuka.

Oczekiwaniem czegoś wielkiego dyszała sala, dyszały postacie w ramach.

Ordynat zbliżył się do ściany, gwałtownym ruchem zerwał pąsową makatę, odrzucając ją daleko.

Gluchy wybuch, krzyk idący z samego serca wypadł z jego piersi. Z rękoma przy skroniach przyklęknął przed portretem narzeczonej.

Antenaci Michorowskich zadygotali.

Szmer wśród nich wzmógł się:

– Kto to?! Kto to?!

Stefcia na portrecie była w kostiumie damy z czasów Dyrektoriatu, artystycznie odtworzona, tym bardziej że tylko z fotografii. Malował ją jeden z najslawniejszych mistrzów sztuki malarskiej w kraju. Na tle ciemnych materii Stefcia stała w naturalnej wysokości. Wdzięczny jej ruch miał w sobie wyrazistość i harmonię. Bładoróżowa stylowa suknia posągowo stroiła jej smukłą postać. Na matowej gładkiej tkaninie wytwornie odbijała jedwabna szarfa. Krótki staniczek wycięty, obramowany gazą, lekko odsłaniał śliczne kontury ramion i szyi, ozdobionej perłami. Powódź ciemnozłotych włosów, o połyskach soboli, spływała na kark i plecy, rozsypując się falisto na ramionach. Pęki różowych kamelii ozdabiały gors i włosy z boku głowy. Fantazyjny kapelusz czarny o dużych rondach i wielkie strusie pióra tworzyły wykwintne tło dla tej patrycjuszowskiej, szlachetnie pięknej twarzy.

Jedną ręką w koronkowej mitynce Stefcia podtrzymywała długą falę sukni, z drugiej zwieszał się na pół rozłożony wachlarz z czarnych strusich piór. Odsłonięte delikatne palce były czysto arystokratyczne w konturach.

Na czwartym palcu prawej dłoni błyszczał pierścionek z perłą uriańską. Spod miękkich fałd sukni wysuwał się brzeżek różowego pantofelka.

Wyraz twarzy miała zamyślony, dziwnie uroczy. Usta pąsowe, złożone lekko, zdawały się coś szeptać.

Wielkie gwiaździste oczy, lśniące fioletem, w ciemnej przepysznej oprawie, patrzyły przed siebie marząco, lecz z iskrami wesołości, pełne życia. Zarysowane ładnie brwi, podgięte nieco w górę, i niesłychanie długie rzęsy drgały w swawolnym uśmiechu.

Powaga, zamyślenie i ta jakaś dojrzałość duchowa, wyzierająca z głębin jej oczu, stanowiła zachwycający kontrast z młodą wesołością, widną z każdego ruchu postaci.

Na jasnym czole, okolonym łagodnie lśniącą masą włosów, świeciła inteligencja. Subtelność natury przebijała się w rysach i w kątach drobnych ust. W zagięciu brwi znać bujność temperamentu.

Słodczyą nęciły śliczne wargi tej dziewczyny i urok jej spojrzenia pociągał nieprzeparcie. I wiosna śpiewała w niej. Czar jakiś upajający i prostota, i szczerłość dziecięca.

A zarazem tyle było w niej szlachetnej dumy, tyle klasycznej pańskości, takie bogactwo uduchowienia w połączeniu z gorącą krwią.

Postać Stefci, wystylizowana genialnie, z wielką siłą i techniką wykonania, była ponadto wybornie odczuta.

Artysta znał Stefcię z Warszawy: szkicował jej portret w zaręczynowej sukni. Interesowała go wykwinтна postać dziewczyny, w tece swej posiadał kilka rysunków jej głowy, zrobionych naprędce. To mu ułatwiło wzorowe odtworzenie dosyć trudnego w charakterze wyrazu i stylu jej wewnętrznej istoty.

Stefcia stała na portrecie wypukło odcieniowana, ze śmiałością linii i niezwykłą swobodą.

Stefcia żyła.

Jej jasna postać, rzucając na salę niby podmuch zorzy porannej, odbijała rażąco od surowej w tonie Gabrieli de Bourbon.

Rozświećlała salę, jak ukwiecona gałąź białej akacji rozświećla zmurzone modrzewie.

Przodkowie Michorowskich zdumieli się.

— Kto to?... Kto to?... — snuły się szmery.

Martwe oczy portretów patrzyły na cudną postać dziewczyny i na brzeg płótna, blisko szerokiej ramy rzeźbionej z mahoni z brązowym okuciem.

Tam widniał napis:

„Śp. Stefania Rudecka, narzeczoną Waldemara Michorowskiego 12. ordynata Głębowicz.

Zgasała przedwcześnie, zatruta fanatyzmem pewnych członków jego sfery.

Żyć będzie wśród niej wiecznie”.

Zgroza wiała z tych słów pełnych tragizmu.

Portrety wstrząsnęły się. Dreszcz wstydu za żyjące pokolenia przeleciał po nich.

Znieruchomiały w swej martwocie.

Ordynat wstał, wyprostował się, cofnął i długo patrzył na Stefcię zmatowionym wzrokiem. Po czym zawołał głośno:

– Pozostaniesz wśród nas wiecznie!

Odpowiedziało mu głucho milczenie.

Waldemar usiadł ciężko na kanapce. Bezbrzeżnie smutny wzrok utkwiał w różowej Stefci, rozbierając każdy szczegół osobno. Spoglądał i na swą rękę: błyszczały na niej obok siebie razem dwa pierścionki zaręczynowe – uriańska perła Stefci i wielki brylant Michorowskich.

W zamku panowała głucha, tragiczna cisza, jakby ostatnie zamarło w nim szczęście.

K O N I E C²⁷

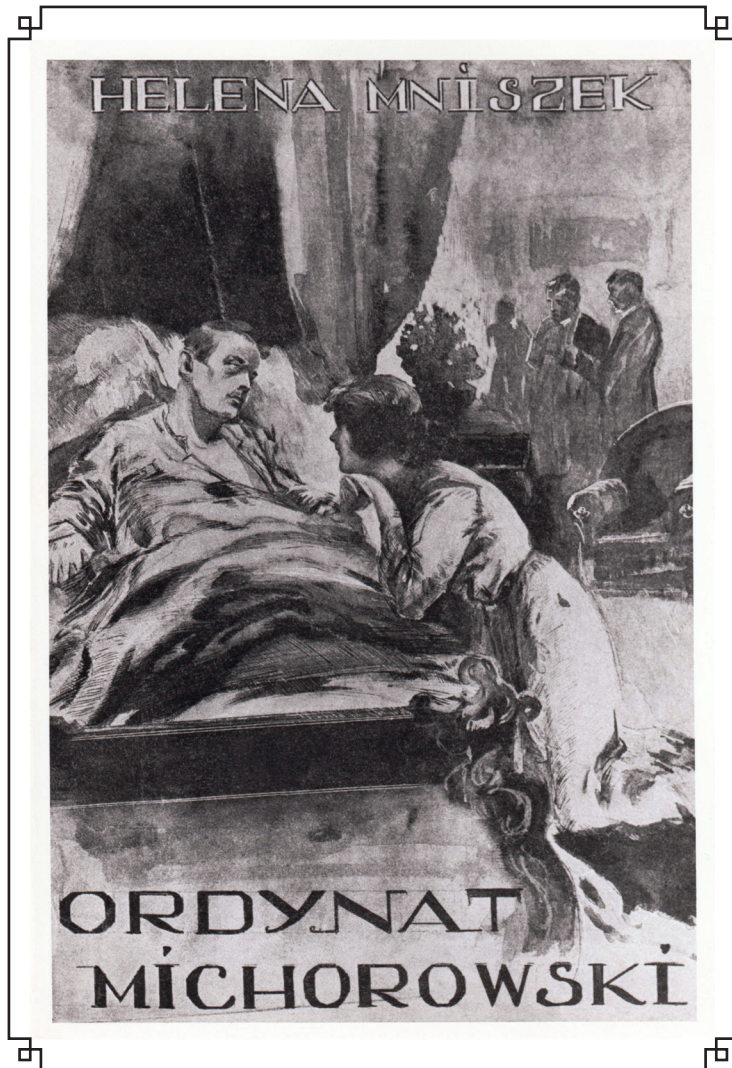
To ostatnie, zamykające romans zdanie ostatecznie zanegowało baśniową konwencję, którą zapowiadał początek powieści. W miejsce „żyli długo i szczęśliwie” Mniszkówna daje obraz zamku – grobowca, w którym dobrowolnie zamknie się ordynat wraz ze wspomnieniem o narzeczonej. Ta ponura przestrzeń jest także wyrazistym kontrastem wobec rozświetlonej przyrody z pierwszej sceny. Nastąpiło ponadto odwrócenie ról – teraz Stefcia patrzy spokojnie z góry na smutnego u jej stóp ordynata.

Melodramat triumfu i klęski, jakim była niewątpliwie *Trędowata*, zaspokajał najgłębsze potrzeby projekcji i identyfikacji odbiorców rodzącej się kultury masowej. Powieść wkrótce stała się kanonicznym tekstem dla rozwijającego się bujnie romansu popularnego. W 1922 roku doczekała się nawet swego „antywzoru”, parodii autorstwa Magdaleny Samozwaniec pt. *Na ustach grzechu*, co niewątpliwie stanowiło potwierdzenie jej powszechnej znajomości i powodzenia w dwudziestoleciu międzywojennym.

²⁷ Tamże, s. 452–454.

Helena Mniszek

Ordynat Michorowski (1910*)



Ilustracja nr 6. Okładka powieści *Ordynat Michorowski* H. Mniszek. Autor ilustracji i edytor nieznani.

Źródło: Fot. M. Bujnicka.

* Rok pierwszego wydania powieści.

Płomień rósł, potężniał. Jaskrawe języki, wymykając się zdradziecko z szarych mas budowli, strzelały w górę śmiałym pędem. Jak żmieje kurczą się i prostują swe śliskie cielska do skoku, tak rozżarte bicze ognia, skotłowane w kłębek, rozwijały się gwałtownie i parły z wściekłą zajądłością coraz wyżej do szczytów.

Wark i świst złowrogi brała w siebie noc marcowa; szare masy fabryczne, spiętrzone kominy – rysowały się nikle w czarnych przestworzach. Teraz otaczał je u dołu krwawy wieniec, niby z krzewów koralu, ale ruchomy, szarpiący się w żądzę niszczenia. Straszliwe zyg-zaki pełżyły węzowym skretem, prężyły się, buchając grzywą purpury i złota. I rosły jak tytany, i szalonym tańcem rozchichotanych demonów goniły za sobą, łącząc w piekielnych uściskach rozwielenione, żarłoczne cielska.

Już nie krzewy koralu, lecz rozpasane fontanny ognia otaczały budowle. Zapaliło się niebo, różowe płachty na chmurach wchłaniały czerwień. Pożoga nabrała rozpędu, waliła w czeluść nocy hukiem, przerażającym gwizdem ognistych batów; niosła w czerwone obłoki olbrzymy dymów. Rozjaśniła się okolica, morelowy odbłask lunął na śniegi. Pożar sypał potokami iskier. Deszcz z gwiazd purpurowych i złotych, ciskanych z żywiołową furją, zarażał inne dachy, opalał drzewa. Wulkan wybuchał za wulkanem. Kilka ich ziało potężnie, rozlewając się w bezmierny ocean fal.

Sadza dymów rosła w bór, zbity, huczący, ziemia wydała głuchy jęk, siedł po niej grzmot, niby dreszcz przerażenia.

Żywioł szalał. Ostre gwizdawki sygnałów umilkły, mrowisko ludzkie cofnęło się w popłochu. Wielki dzwon alarmowy wydawał krótki urywany krzyk.

Gore! Gore!

Kaski strażaków migały w tłumie jak pochodnie. Wiły się nad głowami przerażonych ludzi grube węże sikawek, warczały cienkie tasiemki wody, ginąc w otchłaniach ognistych.

Trzask tryskających pomp zagłuszały ryczące kłębiska szatanów.

Okropność bezmierna ogarnęła ludzi. Szalony strach skuwał ich na miejscu. Paliły się niebo i ziemia.

I coraz słabiej, ciszej, boleśniej wołał dzwon resztkami sił: Gore! Gore!

Nagle niebem, powietrzem, ziemią szarpnął gwałtownie straszliwy huk. Ludziom zdawało się, że ziemię wysadzono dynamitem.

Ze środka rozpalonego muru wielkiego budynku wybuchnął niebieskofioletowy słup ognia, znów się skurczył, rozwalił mur i jak lawa z wulkanu runął po stoku góry niebieską rzeką palącego się spirytusu.

Pękł zbiornik w gorzelni.

Pożar przy błękitnej szarfie płynącego alkoholu stał się żółty i jakby zmalął. Wykwitły z pożogi bukiet płomieni odmiennej barwy zaćmił go na chwilę. Lecz nie zmniejszył, żądza niszczenia rwała z siłą naprzód¹.

Na tle szalejącego pożaru, który rozświecła ognistą łuną zimową noc, pojawia się Waldemar Michorowski. Niczym tajemniczy jeździec znikąd, pędzi na czarnym koniu z rozwianą „gęstwą ogona i grzywy”. Jego wewnętrzna moc, siła i opanowanie każą ludziom podporządkować się rozkazom, przezwyciężyć paraliżujący strach i walczyć z żywiołem. Ordynat jest nieustraszony. Opanowawszy pożar ordynackiej gorzelni i młynów w Romnach, śmiało stawia czoło tym, którzy go wzniecają – agitatorom. Wierny służący Jur nie odstępował swego pana na krok.

Jur, ukryty przed wzrokiem ordynata, czuwał jednak, z dłonią nieznacznie umieszczoną na kolbie rewolweru. Słyszał gorące mowy agitatorów, którzy wygrażali na panów i milionerów; widział wzburzony tłum, zaciśnięte pięści i bał się o ukochanego pana.

Bali się również naczelnicy straży ogniowej i cała inteligencja administracji, zgromadzona przy ratunku.

Najspokojniejszym był ordynat. Na swym groźnym wierzchowcu jechał poważny, dumny, rozsuwając piersią końską zbite gromady robotników i służby folwarcznej. Spotykanym strażakom dawał

¹ H. Mniszek, *Ordynat Michorowski*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1989, s. 5–7.

krótkie, donośne rozkazy i wolno mijał tłumy, nie zwracając na nie najmniejszej uwagi. Całą akcję ratunkową skierował na domy zamieszkane; od fabryk odstąpili wszyscy.

A ludzie oniemieli na jego widok.

Spokój i powaga ordynata wywołały podziw ogólny. Zaczęto ustępować mu z drogi z pośpiechem. Tu i tam jakaś ręka, rozwijając zaciśniętą pięść, nieśmiało zdejmowała czapkę z głowy. I ukłonów takich było coraz więcej. Przekleństwa cichły, w oczach gasły żary wściekłości. Tłum zakolysał się, wydając już z siebie zaledwie głuchy pomruk zdziwienia.

Nie spodziewano się tu ordynata.

Na widok jego wyniosłej postaci na koniu, jego twarzy jak z lodu wykutej, bez cienia lęku w oczach, przeciwnie, z szyderstwem widocznym nawet dla ogółu, agitatorowie umilkli. Jakiś majestat ich zagłuszył. Setki oczu wpiło się w jadącego pana ze strachem, z nagle obudzoną pokorą. Wydał im się karcącym duchem, który ich zgniecie do ziemi. Widny dla tłumów, górował nad nimi oświetlony pożogą, pewny siebie, drwiący. Nawet trochę zawiedziony zachowaniem się wyjących przed chwilą groźnych mas.

Wtem z oddalonej gromady robotniczej odezwał się zachrypły głos i począł wołać tubalnie:

— Burzuj! Burzuj! Milioner! Nie dajcie się, bracia!... Okradacz biednego narodu!... Pączek w maśle!... Spalić go, zrabować!... Kto mu się kłania, temu kula w łeb... bracia, to burzuj... Niech żyje komuna!... Zgładzić panów!...

Głos agitatora zmienił się w ryk; odpowiedziało mu kilka pojedynczych okrzyków z tłumy i głucha cisza. Tylko palące się swobodnie fabryki huczały rozszalałym płomieniem.

Ordynat ani drgnął. Jechał dalej, lecz na jego ustach uśmieszek ironiczny wzmógł się, w oczach błysnął humor.

Zalęknione gromady ludzi, podbudzone nowym krzykiem agitatora, zaczęły się tłoczyć, popychać. Niektórzy wpadali w ogień; rozległy się wrzaski duszonych. Na kilku zapaliło się ubranie.

Powstała panika, którą spotęgowało jeszcze walenie się przepalonych murów.

— Burżuj!... Burżuj! Wyzyskiwacz biednych! Truteń!... — ryczał rozjuszony głos w oddali.

Gromady, zewsząd popychane, otoczyły Apolla zwartą ciężką bryłą ciał ludzkich. Koń wyrzucał głową, zaczął bić kopytami.

Coraz więcej duszonych głosów wychodziło z tłumu. Wielki komin gorzelni, czerwony jak rubin, chwiał się u podstawy. Groza straszliwa wleciała tu wichrem i rozniosła trwogę.

Ordynat stanął w strzemionach, podniósł rękę i wskazując błyszczącą, błotną przestrzeń poza ogniem, zawołał donośnie:

— Kto nie ratuje... tam!... marsz!... Wolno... wolno... Ustępować... nie tłoczyć się... Wolno!...

Głos ponury nie milknął:

— Burżuj... Śmierć mu!...

W okropnym gwarze ludzkim, w szumie fali ognia — rozległy się dwa suche trzaski rewolwerowe, jeden po drugim: traf! traf! — odczu-te raczej instynktem niż słyszane. Dwie kule świsnęły powyżej ordynata. On lekko przybladł, lecz nie tracąc spokoju, wołał dalej, stojąc w strzemionach:

— Wolno... wolno... W tył... wolno!

Posłuszne gromady szły w porządku, ale w oddali, skąd strzelano, rozległ się mrozący krew wrzask ludzki. Krzyki przeszły w ryk, w wycie dzikich zwierząt. To rozjuzzone tłumy robotników goniły uciekającego agitatora, pragnąc zemścić się za strzały.

Te dwa trzaski rewolwerowe były przesileniem na korzyść ordynata. Oburzenie graniczące z obłędem ogarnęło lud. Żądza zemsty za ukochanego pana zagłuszyła wszelkie uczucie ludzkie. Bo w tym tłumie obalamuconym, ogłupiałym miłość do ordynata buchnęła na nowo, jakby odrodzona.

W tej chwili wszyscy w najwyższym przerażeniu zrozumieli, że nad uciekającym przybyszem może się spełnić sąd doraźny. Ale ordynat runął z koniem naprzód; wyprostował się na siodle i przeraźliwie gwizdnął.

Dopadło go kilku strażaków.

– Nie pozwolić na rozlew krwi... Żywo tam! Wyrwać go z tłumu! – krzyknął z płomieniami w oczach.

Gdy strażacy skoczyli co tchu spełnić to polecenie, ordynat znów jął wolno wypuszczać zdumione gromady z pogorzeliska.

Prawie wszyscy już byli poza pożarem, gdy z łoskotem zawalił się przepalony komin. Stęknęła ziemia pod nowym obuchem. Komin rozsypał dokoła mnóstwo rubinowych cegieł i olbrzymie łomy gruzów. Cały pusty plac wśród płomieni zajaśniał żarem. Teraz już ogień, dym siwoczarny, skołtuniony, gryzący, zamieć sypek iskiei: wszystko zbiło się w masę, w ogniste cielsko, miażdżyło się wzajem, pożerało.

Do ordynata przycwałował naczelnik straży głębowickiej, wołając:

– Ocalony od mordu, ale ciężko ranny. Wzburzenie ogromne. Pilnują go strażacy. Co robić?...

– Jak się zachowuje? Czy chce zbiec?

– Nie może: pokaleczone ma nogi i zbity.

Ordynat pomyślał chwilę.

– Odnieść go do naszego szpitala.

– Jak to, panie ordynacie?! Do... naszego?

– Tak!²

Dalsze sceny komponowane są na zasadzie metaforycznej analogii: wzburzenie, płomień buntu rozprzestrzeniający się w niezwykłym tempie. Ordynat znów jest wszędzie: spieszy na pomoc sąsiadom, by stłumić pożogę, by przemówić do wzburzonych mas chłopskich. Budzi szacunek i strach. Jego autoritet studzi nienawiść chłopów do swoich panów. („Twarze spokorniały [...]. Gnieciono w rękach czapki, przestępując z nogi na nogę”³).

Wkrótce po raz trzeci widzimy Michorowskiego – poskromiciela. Straszna wieść gna go nocą do lasu: prymitywni i mściwi chłopci ukraińscy wycinają stary bór.

² Tamże, s. 10–13.

³ Tamże, s. 29.

Bór stał jak okręt na niezmierzonych przestrzeniach wietrznych, borykał się i zmagał. Przepastna zwała gałęzi ryczała na podobieństwo rozhukanych bałwanów morskich, roznosząc dokoła tytanicznego cielska oddech surowy i ostry jak sztylety. Porywała od swych stóp suche liście i rzucała je, rozpraszała, ciskała na swe bary, by natychmiast znowu zrzucać, a porywać nowe. Drzewa biły się wściekle, gryzły wzajemnie z trzaskiem, z łomotem. Jedne zarażały drugie impetem, wyzywały się czubami i bodły się z łoskotem i niosły wojnę w głąb zbitej masy konarów, coraz grubszych, okropniejszych.

Wicher walił z góry i z boków. Lecz i nisko na ziemi pełzali wrogowie. Szła jakaś ciemna, wydłużona poczwara krokiem zdradzieckim, jakby lisim. Sunęła dość prędko, chwilami, gdy wrzask gałęzi wywoływał jakby tętent koni, poczwara zatrzymywała się, słuchała, znowu pełzła. Czasem jęk drzew wydawał się wyciem upiórów, niby skowyt potępieńców przebiegał puszcę, mroząc szpik w kościach. Wówczas mnogość rąk poczwary robiła znak krzyża. To szli ludzie. Tłum chłopów z siekierami rąbać „kniaziowy” las. Cała gromada wyciągniętym węzem wrzynała się w bór: szare świty, łapcie z łyka na nogach, w pomroce nocnej słabo widniejące siekiery.

Weszli. Bór przyjął ich szumem żalonym, sypnął gradem mokrych kropli, wiązał im stopy gąszczem traw splątanych i korzeni. Ale chłopci, zwinni jak koty, brnęli śmiało, skacząc raźnie, bełkocąc z zadowolenia. Niedźwiedzie pomruki rozwlekły swe echa po uroczysku czarnych dębów i posępnie zwiastowały im śmierć.

Gdy pierwszy grom toporu buchnął groźnie, zadrżały nerwy drzew. Przerazenie szarpnęło członkami dębów; siekiery rozpoczęły kośbę. Warczało żelazo:

Buch! Buch!

Dwustu chłopów przegięło się żarłocznym ruchem, dwieście twarzy bezmyślnych wykrzywił dziki śmiech triumfu i chciwości, dwieście toporów wzniosło się w górę i ugrzęzło w twardym żyłastym ciele dębów.

Bór stęknął. Groza i zdumienie ujarzmiły wojnę gałęzi, nawet wicher umilkł. Trwoga, nieznana tu, a nagła i ogromna, zatrzymała

w miejscu oddech drzew. Jądra ich, serca, kipiące sokami ożywczymi, zastygły w niemym strachu.

Wicher z wroga od razu stał się przyjacielem napadniętych. Szemrał łagodnie i od czuba do czuba niósł podzwon grobowej wieści.

Zabijają was, dęby! Giniecie, dęby!

Ratunku! Ratunku!

Barbarzyńskie topory w rękach bestii ludzkich grzmiały już donośnie, śmiało, z rozmachem piekielnych cepów. Chłopstwo czuło się panami boru i darło mu wnętrzności, zabierając wszechpotężnych magnatów puszczy. Siekiery niweczyły butne istnienia, druzgocąc je kawałem żelaza.

Bór szedł na pastwę, bór z jękiem konającego pomocy wzywał, bór płakał nad zgubą swych wodzów. A dęby toczyły krew, ciała ich pokryły się ranami, czuby trzęsły ostatnie dreszcze.

Ale stały, jeszcze stały wielkie, choć już słabnące, jeszcze czoła do góry pną. Krzywda się im dzieje, lecz mężne, trwają w chwale do końca.

Gdy kilkadziesiąt olbrzymich trupów legło z głuchym łomotem ostatnich tchnień, i gdy nad nimi rozszlochał się bór, i zwierzęcym wizgiem tłuszcza chłopska ogłosiła swój triumf, w Biało-Czerkasach powstał zamęt.

Do sypialni ordynata zastukano gwałtownie.

— Co tam?!

Zdyszany głos za drzwiami wyrzucił krótko:

— Chłopi rąbią las!

Ordynat zerwał się jak ugodzony.

— Który! Gdzie?!

— Uroczysko czarnych dębów!

— Konia podawać! Prędko! Strażacy na koń! Cała służba!

Kamerdynier biegł spełnić rozkaz.

Ordynat ubierał się gorączkowo.

On kochał te dęby, przeniósłby je do Głębowicz, gdyby mógł.

Jego dęby tną! Dęby giną... Chryste!!!

Nie upłynęło kilkanaście minut, kiedy ordynat, na nic niepamiętny, w ubraniu do konnej jazdy i w lekkiej burce gnał do boru na

czele zastępu strażaków, kilku strzelców i służby. Tuż za nim, leżąc na koniu, cwałował wierny Jur i kłął w duszy, zły, że nie miał pod ręką swoich chłopców, strzelców zwierzyńskich, dla obrony pana i jego boru.

Wiatr gwizdał w uszach, ćwiczył ordynata, ostrym zgrzeblem wbił mu się w piersi. Rwali w pomroce, lecąc jak orły drapieżne niesione zemstą. Dziesięciu strażaków z pochodniami naprzód krwawą szarfą znaczili przybycie pomocy nieszczęsnej puszczy.

Wpadli w bór jak szalony, rozżarty płomień i wzniecili popłoch. Pochodnie rozlały się na wszystkie strony. Każda goniła kilku chłopów. Wrzaski uciekających ogłuszały. Chłopstwo zmykało bez tchu, gonione tętentem koni, blaskiem smolnych zarzewi. Biało-Czerkascy nie bili, mieli wyraźny rozkaz jedynie rozpędzić tłum. Ale przeklinali „mużyków”, jak kto umiał, bo to rozsiewało strach. Chłopi ogromni, zarośnięci kudłami, rzucali topory i oślepli z trwogi rozbiegali się jak szakale, skacząc i przewracając się przez powalone dęby. Gdy pomiędzy dwoma pochodniami ujrzeli pędzącego ordynata, krzyk wzmógł się. Pojedyncze głosy chrypały:

— Książ! Książ! Michorowski! Baczysz? Ratujcie ludy!

Chłopi stale nazywali ordynata „kniaziem”, nawet nie ze względu na mitrę, lecz na miliony. Takiego bogacza bez tytułu „kniazia” nie pojbowali.

Teraz był on dla nich antychrystem. Spadł tak nagle w ognistych smugach, dyszący gniewem, jakim go nigdy nie widzieli. Chłopi zwątpili nawet, czy to „Michorowski”, a może upiór z mogiły? Donośny głos jego ścinał ich lękiem.

Nie było możliwości wytłumaczyć im nic, ani spytać, dlaczego rąbią dworski las. Ordynat zwoływał ich, bez skutku. Rozpierzchli się tak szybko, że ujęto tylko kilku najzjadlejszych przewodników. Ale i ci, prócz drapania się w głowę i niezrozumiałego bełkotu, nie dawali wyjaśnień. Przestrasz zniszczył ich odwagę, zdusił triumf i żądzę zaboru. Ordynat, patrząc na nich, litośnie kręcił głową. Ta dzicz mogła ulec złym wpływom tym łatwiej, że brakło im szczypty cywilizacji, główną zaś ich cechą była chciwość.

Michorowski oglądał szkodę. Z żalem patrzył na potężne pnie dębów leżących ciężko na ziemi. Na odkryte rany, błyszczące świeżymi słojami, na mnóstwo rozłupanych drzazg, sterczących jak noże. Ordynat stał na tym cmentarzysku, niemal głowę chciał odkryć przed zwłokami moczarów boru. A dęby nieścięte mruczały cicho, rade z ocalenia, wdzięczne za ratunek, ale smutne, ale łzy roniące na ciała towarzyszków poległych.

Cały bór był jeszcze w osłupieniu, niemy, pod wrażeniem odegranej tu tragedii, głuchy, stroskany.

Ordynat wracał do pałacu wolno, z głową zwieszoną, jak po pogrzebie. Drogę oświecały mu pochodnie; dokoła niego człapali konni; chłód przenikał go aż bolesny. W piersiach uczuł przebicie jakby dzidą, miecze miał w płucach. Brakło mu oddechu nawet do prędkiej jazdy.

Ale myślą był ciągle przy dębach.

Na szczęście niewiele umarło. Takie kolosy i już bez życia, bez duszy. Nie zaszumią już, umilkły na wieki.

Ordynat westchnął.

Uczuł silne ukłucie w boku.

— Czym ranny? – pomyślał⁴.

Wreszcie na całej wołyńskiej ziemi burza buntów przycichła. Wieśniacy sami rozprawili się z agitatorami, ale ordynat swoje nocne akcje ratunkowe przypłacił zdrowiem. Ciężkie, prawie śmiertelne zapalenie płuc – to ich cena. Kuzynka Waldemara, baronówna Lucia Elzonowska (dawna uczennica Stefy Rudeckiej), pólżywa z lęku i zmęczenia, nie odstępowała jego łóżka. Pielęguje go z czułością i poświęceniem. Bardzo go kocha, lecz jest to, niestety, miłość bez wzajemności. Teraz właśnie uświadamia sobie: nigdy nie zajmie miejsca Stefci!

Przyjście do przytomności nastąpiło prędko. Przez parę dni po przesileniu ordynat jeszcze chwilami majaczył, rozmawiał ze zmarłą Stefią w osobie Luci, tulił ją do siebie. Ale chwilami marszczył się,

4 Tamże, s. 51–55.

patrząc na nią, nawet raz odepchnął ją brutalnie. A gdy ona, nie rozumiejąc, przemówiła do niego łagodnie, prawie pokornie, i zapytała, czemu ją odpycha, odpowiedział szorstko:

— Jesteś podobna do Luci! Nie chcę cię taką; bądź sobą!

Dziewczynie łzy gorzkie bezwiednie spadły z oczu. Zanim je otarła, on je zobaczył. Wzruszył się. Wyciągnął do niej rękę.

— Ale ja cię kocham... Stefcu moja... Kocham!... Tylko... czemuś ty taka do Luci podobna?...

Resztki maligny walczyły w nim z przytomnością, wywołując wizje męczące i opóźniające rekonwalescencję. Lucia prawie go nie odstępowała, ale jednocześnie pragnęła zupełnej przytomności Waldemara, a zarazem się jej obawiała. Chory zżył się z gorączkową pewnością, że jest z narzeczoną; rzeczywistość mogła mu zaszkodzić. Lucia siedziała tuż przy nim tylko w czasie jego snu; gdy się budził, trzymała się z daleka. Kiedy ją wołał imieniem Stefci, zakrywała twarz rękoma i klękając przy łóżku, odpowiadała mu szeptem, bojąc się własnego głosu.

Gdy w pewnej chwili Waldemar pieścił się jej włosami i spytał, czemu się nie czesze jak dawniej, Lucia natychmiast ułożyła włosy tak, jak nosiła Stefcia. Ale to wszystko mogło tylko pogorszyć jego przebudzenie.

Nastąpiło ono wkrótce.

Waldemar spał — snem ciężkim, odradzającym organizm. Lucia trzymała jego dłoń. Zmęczona była czuwaniem, wyczerpana doszczętnie. Ale nie pozwoliła sobie nawet na zdrzemnięcie. Przygasły wzrok swój z mizernej, wychudłej twarzy Waldemara skierowała na okno zalane szarym dniem i zamyśliła się smutnie. Niebezpieczeństwo minęło. Radość niesłychana wypełniła jej serce, ale jednak kłuło w nim, boleśnie kłuło. Teraz jest z nim, pieszczona przez niego nieświadomie; ale potem... musi odejść, może odtrącona? Znowu męka, znowu żal! To nic — byle on był zdrow. Byle on...

Ręka chorego zadrżała w jej dłoni. Lucia uczuła na sobie jego oczy. Z przestрахem odwróciła głowę i spojrzała prosto w jego źrenice szeroko rozwarte, błyszczące, przytomne już i... zdumione.

— Lucia! — krzyknął z niewiarą w głosie.

Zerwała się, chcąc uciekać, jak na zbrodni złapana. Lecz opamiętała się. Stanęła.

— Luciu!?! Co tu robisz?

— Jestem przy tobie, Waldy — szepnęła z niemym przerażeniem.

— Gdzie?...

— W Biało-Czerkasach. Byłeś chory.

— Byłem chory!... Aha! A powiedz mi... kto tu jest więcej...

— Są doktorzy... Jest Jurek Brochwicz...

— A jeszcze?...

— Jest łowczy i rządcą z Głębowicz.

Waldemar rozejrzał się niecierpliwie po pokoju. Gniew osiadł mu pomiędzy brwiami.

— Ale... ale... kto tu jest... kto tu był... więcej?... mów!

— Nikt, Waldy.

Lucia zrozumiała, kogo on szuka, i spazm zaciął jej gardło.

On rzucił się nerwowo.

— Jak to nikt?... Mów! Była ona...

Zachłysnął się.

— Kto jeszcze z kobiet?... Ty jedna?...

— Ja jedna, Waldy.

Wpił w nią oczy tragiczne, niewierzące. Rozpacz w nich mignęła, nawet raptowny błysk wściekłości. Rękę Luci zgniótł jakby nienawistnie i cisnął przez zęby:

— Ty jedna?... Lucia?!

W okrzyku tym był zawód, była apatia i śmiertelna rezygnacja. A dla Luci upokorzenie, raniący policzek.

Łzy zalały jej twarz, padły na ręce i kołdrę Waldemara. Chciała odejść, ale przemogła obrazę duszy, stała cierpliwie ze spuszczoneymi powiekami, jak martwa.

On puścił ją. Patrzył na łzy, znowu na nią, jeszcze raz nieufnie spojrzął dokoła, po czym zamknął oczy i pochylił głowę na bok.

— Będę spał, zostawcie mnie.

Ten szmer jego ust Lucia więcej odczuła, niż słyszała. Odeszła cicho, jak cień, blada, znękana, a przed nią padały duże krople łez zaprawionych trucizną.

Gdy znikła, Waldemar otworzył oczy.

– To była... Lucia... ale... dlaczego ona tu przyjechała?... – pomyślał.

Dlaczego?⁵

Po powrocie do zdrowia Waldemar w myśl zaleceń lekarzy wyjeżdża na południe Europy. W kasynie w Nicei, obserwując grających i wspominając swoją młodość, dostrzega przypadkiem młodzieńca bez reszty zafascynowanego ruletką. Jego głos, sylwetka, sposób bycia są mu skądś znane. Ordynat staje się mimowolnym świadkiem całkowitej przegranej nieznanego, który, nie widząc innego wyjścia, chce popełnić samobójstwo. W tym momencie Waldemar rozpoznaje niefortunnego gracza: „Słuchaj! Jesteś Bohdan Michorowski z linii czerczyńskiej i... z Czerczyna”⁶. Spłaca długi krewniaka i zabiera go do kraju. Chce go ratować, pokierować jego losem, chociaż wie, że nie będzie to łatwe. („To będzie człowiek, tylko trudny do prowadzenia, jak młody żrebiec arabski”⁷). Nareszcie znalazł jakiś ważny cel do realizacji, „znalazł coś, co go jeszcze porywa” w jego pustym życiu.

Ordynat, dobrze znając naturę Michorowskich, nieomylnie przewiduje trudności. Wielkopańska duma Bohdana, złe przyzwyczajenia, brak wytrwałości, niesystematyczność w pracy, porywczność – wszystkie te cechy charakteru nie rokują dobrze. Jednakże po pewnym czasie chłopak sam zaczyna walczyć z wadami. Chce się wydzwignąć, spłacić długi i odzyskać majątek, chce być kimś wartościowym. Jego metamorfozę przedstawiła Mniszkówna w romantyczno-symbolicznej konwencji i młodopolskiej stylistyce. W jesienią księżycową noc zagubiony Bodzio grzęźnie w leśnych mokradłach, co nieoczekiwanie budzi w nim refleksje nad sensem życia. Błądząc w „chmurze mgieł”, uparcie poszukuje drogi. Realna i metaforyczna sytuacja wzajemnie się przenikają i dopełniają. Tak mija noc. Dopiero świt przynosi nadzieję.

⁵ Tamże, s. 59–61.

⁶ Tamże, s. 71.

⁷ Tamże, s. 88.

Bohdan już wie, że tylko praca, wyraz prawdziwego człowieczeństwa, może być „narzędziem powrotu do świetności istnienia”⁸.

Tę przełomową chwilę zamyka jeszcze jeden symboliczny motyw. Młodzieniec, odnalazłszy drogę, chce jak najszybciej powrócić do domu. Wtedy pojawia się nieoczekiwana przeszkoda – zbita z bierwion, wysoka palisada, rodzaj płotu. Ufny w swą siłę i zręczność, decyduje się sforsować tę zaporę, by nie obchodzić jej wokół. Jest to niezmiernie trudne zadanie, lecz on nie ustępuje. Złość i wściekłość, potem zniechęcenie, zwątpienie i rozpacz – to kolejne etapy, które przechodzi, zanim zwycięży. Na koniec „ruszył szerokimi krokami naprzód, gwiżdżąc kuplety z operetki”⁹. Nie chce, by ktokolwiek wiedział, że zabłądził w ordynackim zwierzyńcu, „miał minę, nie wzbudzającą podejrzeń, jedynie przez czoło szła rysa długa od ostatniego upadku, zakryta szczelnie czapeczką angielską”¹⁰. Wierzy, że od tej chwili poradzi sobie już z każdą trudnością.

Czas mija. Bohdan z coraz większą odpowiedzialnością podchodzi do życia, miłość Luci do Waldemara rośnie. Wszyscy ją dostrzegają, nawet sam ordynat. „Błagające żrenice” prześladowają go i napawają głębokim smutkiem. Wciąż kochając Stefcię, nie potrafi odwzajemnić tego uczucia, a Lucia – coraz smutniejsza, wyniosła zimna i obojętna dla licznych adoratorów – cierpi.

Gdy Waldemar przyjechał do Słodkowic przed podróżą do Rusłocka, pan Maciej spał. Lucia malowała na tarasie. Przywitali się serdecznie i siedli oboje przy sztalugach, w cieniu drzewa pomarańczowego. Waldemar zapalił cygaro, Lucia rozcierała farby na palecie. Na sukni miała obszerny fartuch malarski z czarnej satyny, warkocz spuszczony na plecy.

Waldemar patrzył na jej profil owalny, obrzucał ją całą miękkim wzrokiem.

— Czemu ty, Luciu, ubierasz się zawsze tak żałobnie? — spytał.

Milczała chwilę.

— Taki już mam gust. Zresztą...

⁸ Tamże, s. 97.

⁹ Tamże, s. 101.

¹⁰ Tamże.

– Dokończ.

– Zresztą to mimowolne. Wewnętrzny stan duszy odbija się na formie zewnętrznej.

– Więc zawsze tak ci smutno?

Spojrzała na niego ze zdziwieniem i wymówką.

– Zawsze.

– I... dlaczego?...

– Żartujesz ze mnie, Waldy?! – odrzekła sucho.

On rzucił cygaro.

– Nie żartuję, lecz uważam, że Słodkowce są dla ciebie zabójcze. Powinnaś wyjechać.

Spojrzała na niego wystraszonym wzrokiem.

– Dokąd?

– Aby ze Słodkowic! Ja zaopiekuję się dziadkiem, ty zaś pojedziesz z babką Podhorecką do Paryża. Lubisz ją, prawda? Ona bardzo tego pragnie. Wyjeżdża na całą zimę.

– Ja nie pojedę – stanowczo rzekła Lucia.

– Nawet gdyby cię o to prosił dziadzio?...

– Nawet wtedy. Dziadzio mnie przed rokiem z mamą wysyłał za granicę, jednak nie pojechałam.

– A gdybym... ja cię o to prosił?...

Lucia przybladła. Zaczęła prędko mrugać powiekami, ale łzy nie dały się zatamować. Zaszklily na rzęsach bujnymi kroplami.

Waldemar pochylił się do niej, delikatnie otoczył ją ramieniem i trochę przygarnął do siebie. Lucia omdlewała.

– Czy wtedy pojechałabyś?... – spytał szeptem.

– Chcesz się mnie pozbyć?... – jęknęła i łzy spadły na farby.

– Ale... pojechałabyś?...

– Tak...

Paleta z brzękiem upadła na posadzkę tarasu. Lucia siedziała sztywna z oczyma przymkniętymi i ze zwieszoną głową.

Niewypowiedziane uczucie radości i słodczy ogarnęło Waldemara. Przyciągnął ją bliżej, przechylił jej głowę na swe ramię i wpił się ustami w jej zapłakane oczy. Upojenie, równe chyba nieziemskim

wizjom, wzięło Lucię w swój szlak promienny. Zamierała w cudnym pół śnie, pół jawie. Rzęsiste a palące iskierki szczęścia obsypały ją całą. Zachwyt dosięgnął zenitu, gdy usta Waldemara przycisnęły rozchyłone wargi Luci.

Błogość i szal runął na nią potężnie, zatracając ją w niepamięci, w ekstazie bez wyjścia. Tylko te gorące usta ukochanego były dla niej wszystkim. Cały świat zmierzchnął jej i upadł w nicość. Czuła w sobie boskość.

Gwałtowna, niepojęta siła oderwała nagle Waldemara od ust Luci. Zatrząsł się i blady, nienaturalny ucałował jej rękę, nie patrząc w oczy.

– Wybacz mi! – szepnął niespodziewanie.

Lucia, rozjaśniona jak majowe słońce, przytuliła się do niego z ufnością dziecka. Głowę swą jasną złożyła na jego piersiach i spytała:

– Waldy... Dlaczego ty mi każesz jechać?

Waldemar pogładził dłonią jej lśniące włosy. Był zmieniony na twarzy.

– Zapomnij o tym i... zostań – wyszeptał.

Ona rozkosznie objęła ramionami jego szyję.

– Dobry, jedyny... ukochany! – mówiła bezpamiętnie, z głębi kipiącej miłością duszy.

Ucałował ją w czoło, ale już inaczej, po dawnemu. Chwila minęła, szal uleciał w poszumie nieprzyjaznej fali myśli.

Łagodnie odsunął ją od siebie i powstał. Brwi miał zsunięte, w oczach niepewność i jakby żal.

– Może się przejdiesz? – zaproponował Luci.

Odpowiedziała mu rozmiłowanym spojrzeniem.

Długo chodzili po parku, rozmawiając niby poufnie, ale z trudem, o rzeczach zwykłych.

I męczyli się oboje¹¹.

Spotkanie to pozwoliło Luci znowu mieć nadzieję. Wyjeżdża do Paryża, by pielęgnować chorą księżną Podhorecką, i liczy, że wkrótce Waldemar

¹¹ Tamże, s. 142–145.

jakimś gestem przywoła ją do siebie, pokocha, poślubi... Gdy zrozumie, że jest w błędzie, pełna rozpacz i determinacji decyduje się wyjść za mąż za hrabiego Jerzego Brochwicza, od dawna uwielbiającego ją młodzieńca. Przed ślubem, po raz ostatni karmiąc się złudną nadzieją, idzie porozmawiać z Waldemarem.

Brochwicz kochał narzeczoną i bał się ją utracić. Do Głębowicz jechał niechętnie, przeczuwając, że będą one dla Luci powodem nowych walk, odświeżeniem niezaschłej zresztą męki uczuć. Młody hrabia nieufnie patrzył na ordynata, wstydził się tego wrażenia sam przed sobą i był skrzepowany.

Lucia pod pozorną odwagą, nawet brawurą, drżała wewnątrz.

Chciała wyjaśnień z Waldemarem i szukała odpowiedniej chwili.

Gdy cały zamek zapadł w głuchą ciszę nocy, Lucia śmiało weszła do gabinetu Waldemara. Była blada, lecz spokojna.

On powstał na jej widok. Serce biło mu żalem, dramat miał w piersi.

Stanęła tuż przy nim. W ostatniej chwili zabrakło jej odwagi. Słowa przemówić nie mogła. Przestrach mignął w jej oczach. Trzęsła się okropnie.

Waldemar wziął jej dłonie zimne, jak umarłej.

— Luciu... droga, dziecko, więcej... spokoju... — szepnął.

— Waldy... Ty wiesz, że... idę za Jerzego.

— Wiem — odparł zdziwiony.

— Ja jego... nie kocham! — wybuchnęła.

Ostatnia kropla krwi uciekła z serca Waldemara.

— Nie kocham, i ty wiesz o tym! Waldy!

Szalonym rzutem załamała ręce, zakrywając nimi oczy. Z ust jej wybiegł straszliwy krzyk.

— Ciebie jednego kocham! Miłuję! Tylko ciebie! Słyszysz?! Tyś mój, w duszy zaryty! Za tamtego... jedynie z rozpacz. Waldy! Czyś ty bez serca?!

Spazm okrutnego płaczu targnął nią przeraźliwie.

Waldemar czuł, że leci w otchłań.

— Luciu! Na miłość Boga!...

Załamiał mu się głos bezradnie.

Upadł na fotel i schował twarz w dłoniach. Ona płakała.

Ponura cisza smutnych przeznaczeń omotała ich tragicznie.

On pierwszy ocknął się z bolesnej wrzawy duchowej.

Wstał i ręce jej przytulił do piersi.

— Cicho, dziecko... nie płacz. Wiedziałem... o twych uczuciach i... walczyłem. Na tarasie wówczas postanowiłem cię ostrzec. Pamiętasz?...

Lucia wyrwała rękę z jego uścisku i zakryła mu usta.

— Nie mów! Nie mów więcej. Niech ta złuda zostanie, ten jedyny błysk.

— Luciu, źle mnie wtedy zrozumiałaś.

— Milcz, milcz Waldy! Powiedz: tyś mnie nigdy nie kochał? Och! Nie miłością braterską! Ale tą inną, tą... dawną swoją... Czy nigdy?...

Starli się wzrokiem. Jej był drapieżny, jego zbołały, lecz stanowczy.

— Nie, Luciu.

— Boże mój! A ja myślałam, a ja!... tak cię strasznie kochałam!

Rzuciła się znowu do niego.

— Waldy... Były chwile... pamiętasz?...

— Wiem. I przepraszam cię za nie, Luciu. Byłem nieuważny, może — bezczelny, ale nie mogę być niesumiennym. Tamto były chwile krótkiego szału... nerwów. Jestem mężczyzną... działałaś na mnie, przyznaję. Jednak to nie... miłość.

— Więc nic dla mnie w twym sercu nie ma, nic?!...

— Jest głęboka miłość braterska, i żal, i boleść, i współczucie, i wielkie pragnienie, abyś była szczęśliwa, Luciu. I dlatego...

— Odradzisz mi pewno iść za Jurka? — syknęła ze strasznym śmiechem.

— Nie, tylko się lękam o ciebie.

— Więc uratuj! Zechciej, żądaj, rozkaż, abym była twoją żoną! Zostanę. Bądź pewny: niewolnicą będę!

Waldemar milczał.

— Nie powiesz tego — prawda?

Nie dał odpowiedzi.

Lucia po chwili znów zbliżyła się do ordynata. Ręce oparła na biurku i, pochylona całą postacią naprzód, mówiła urywanie:

— Wybrałam Jurka... bo on mnie kocha. Wie wszystko, co ja cierpię, i chce mi dać ukojenie. Matki nie mam! Ona już Barska. Przy dziadziu, obok ciebie, nie będę!... Cóż pocznę?... A Jurek mnie kocha. Będę żyła dla innych... Może wytrzymam...

Łzy spadły jej z oczu.

— Czemu nie mogę dać ci szczęścia, czemu?! — zawołał Waldemar głosem tak wzruszonym i tak szczerze żalonym, że Lucia rozrzewniła się, ale smutno.

W milczeniu podała mu rękę.

— Roz... chodzimy się... bo los... — szepnęła i nie mogła dokończyć. Płacz zdusił ją znowu.

Ordynat dłoń jej ucałował gorąco.

Dziewczyna wolno wyszła z pokoju.

Przebiegła szeregi salonów i korytarzy, błędząc trochę po ciemku. Łkanie jej budziło żalosne skargi w głuchych komnatach.

W sali portretowej rozjaśniła elektryczne światło.

Stała przed portretem narzeczonej ordynata. Nienawistny wzrok wpiła w jej twarz.

— To przez ciebie — wyrzuciły zsiniałe usta dziewczyny.

Patrzała długo. Ostre źrenice miały w sobie jad, piołun i bojaźń.

Patrzała z zapartym tchnieniem, czując w sercu napływ czarnej krwi.

Patrzała jak obłąkana, bo wzrok jej gasł, tępiał, łagodniał.

Podsunęła się bliżej obrazu. Oczy jej zmiękły w wyrazie. Pozostał w nich tylko smutek bezdenny.

Szept jej warg wionął cichutko.

— On twój... Zawsze twój!

I Lucia zwiesiła głowę.

Światło ją opromieniało. Z portretu spływała na nią słodycz — tamtej. Postać schodziła do niej ze smugą gwiazd w oczach.

Wtem Lucia uczuła przerażenie. Do sali zmierzały kroki męskie. Poznała je.

Ukryć się nie było sposobu.

Baronówna, wyprostowana, odważnie podeszła do drzwi.

Otworzyła. Na wprost niej stał Waldemar.

Zmierzyli się oczyma. Zawstydzona, spuściła powieki. Minęli się w milczeniu. Waldemar wszedł do sali. Lucia wpadła w ciemną głęb korytarza.

Gdy dobiegła już do przeciwległego wyjścia, cichutko, na palcach powróciła i lekko uchyliła drzwi od sali, ocienione aksamitną kotarą.

Waldemar na portret zmarłej Stefci patrzył z takim wyrazem w oczach, jak gdyby oddawał jej całą swą przyszłość lub składał przysięgę wierności.

Lucia zatamowała jęk w piersiach i znikła bez szmeru w przestrzeni korytarza¹².

Przeplatające się z historią miłości Luci losy Bohdana Michorowskiego, które od połowy powieści wysuwają się na pierwszy plan, przedstawione są żywo i zabawnie. Jego kolejne praktyki w majątkach ziemskich, mające przygotować go w przyszłości do zarządzania, są pełne zaskakujących przygód i perypetii. Ilustrują także rosnącą dojrzałość i samodzielność Bohdana. Warszawskie i wiedeńskie wojaże pokazują wciąż postać złotego młodzieńca, niemniej są to już zdarzenia epizodyczne w jego życiu. Zawadiaka, nieco w sienkiewiczowskim stylu, zmienił się nie do poznania. Wytrwale pracuje i realizuje swe plany. Jego marzeniem jest ... Lucia. By powstrzymać ją przed bezsensownym małżeństwem i ofiarować swoją miłość, jedzie za nią do Paryża, gdzie ma się odbyć jej ślub z niekochanym Brochwiczem.

Do ślubu pozostało tylko kilka dni ostatnich.

Lucia zachowywała się tak, jakby ją miano żywcem zamurować. Jej niepokój, jej lęk okrutny dosięgnął największego napięcia. Lucia była prawie niepo czytalna i trawiona przez gorączkę. Myślała o chwili ślubu jak suchotnica o śmierci przewidzianej niemal co do godziny.

¹² Tamże, s. 181–185.

Czuła, że ginie, i czuła, że od niej samej zależy ocalenie własne, ale śmiech nieludzki, jakiś śmiech targający nerwy wybuchał z jej piersi i tłumił akcję ratunkową. Przerazliwie jasno widziała swój grób otwarty i zbliżała się doń z całą świadomością, ale zarazem z szarpaliną wewnętrzną, która pozornie wydawała się brakiem przytomności i lekceważeniem.

Gdy pewnego dnia Brochwicz ujrzał ją w podnieceniu niebywale drażliwym, zląkł się. Po raz pierwszy od czasu zaręczyn zadał sobie pytanie, co on robi.

Upiór nieszczęścia ukazał mu się groźny, szyderczy i bezlitosny. Jerzy ścierpl. Sumienie i etyka wzburzyły całą jego istotę, ale zamknąć tej ciemnej pieczary złej przyszłości, usunąć jej — nie miał sił. Grzął i pociągał Lucię nieszczęsną, będącą jak w agonii.

Brochwicz odszedł zraniony moralnie, Lucia zaś powróciła do swego półzycia, wkraczającego w newrozę.

Siedziała w buduarze skurczona, z głową wtuloną w poręcz wysokiego fotela. Oczy smutne, o niezmierzonej głębinie, wpatrywały się w wysokie szyby okien, poza którymi jaśniał dzień styczniowy, kipiało wrzątkiem bujne życie Paryża. I oto nagle spadło na Lucię jasne przeżucie. Ujrzała w przestrzeni genialną moc swych przeznaczeń, dalekich od otwartego grobu, skąd wiało na nią pustką i chłodem. Ukazanie się tej zjawy niespodziewanej było silne i plastyczne; wrażenie olbrzymie.

Mara, gniotąca ją niemiłosiernie, zginęła na sekundę, oślepiona piorunowym zygżakiem objawienia cudownego, co w glorię swą potężną porwało umysł Luci.

Wtem ona zamarła ze zdumienia, podniosła się szybko.

Naprzeciw niej, w drzwiach, stał Bohdan Michorowski.

Poważny, spokojny, inny niż zwykle.

W oczach miał stanowczość, usta lekko uśmiechnięte, pewne siebie.

Tchnął zuchwałością i dziwną siłą.

Lucia pozostała bez ruchu. On podszedł i wziął jej rękę.

— Bodziu! Skąd ty... tu?!... — spytała z przerażeniem.

— Przyjechałem, aby ratować ciebie, kuzynko...

— Mnie... ratować?

— Tak.

Lucia patrzyła, jakby nie rozumiejąc.

Przerażenie jej rosło.

Spazmatyczny śmiech runął z jej piersi.

— Mnie ratować?! Ha! Ha! Za późno! Mój ślub za kilka dni.

— Otrzymałem zaproszenie i na szczęście zdążyłem, aby zerwać to małżeństwo. Nie wierzyłem do ostatniej chwili, że popełnisz taką... niegodziwość.

— Bohdanie!

— Tak, niegodziwość. Ale ja na ślub nie pozwalałam! Ślub się wasz nie odbędzie, bo to byłoby zbrodnią.

Baronówna wyrwała ręce z jego uścisku. Brwi jej się zbiegły.

— Jakim prawem to robisz?! Kto cię upoważnił? — zawołała wzburzona.

Bodzio zapłonął.

— Prawem jest mi moja własna pewność, że czynię dobrze, że cię zatrzymuję w tym szalonym, nieprzytomnym pędzie do zatury, że pragnę twego szczęścia. A na twą zgubę nie pozwolę!

— Jeśli chcę jednak zatraceria?

— Kłamiesz!

— Chcę! I dopnę celu.

— To nie cel, to upór, to kaprys. To... zemsta.

— Bodziu! Jak śmiesz?!...

Michorowski delikatnie objął palcami jej dłonie, zajrzał głęboko w oczy dziewczyny. Ona znierruchomiła. Usiadła na fotelu, Bohdan zajął sąsiednie miejsce.

Oboje milczeli.

W duszy Luci rozsnuwał się niepokój, owładnęła nią nagle trwoga, jakby chęć do ucieczki. Bała się spojrzeć na Bohdana, by w oczach jego nie odczytać wyroku na siebie. Ten Bodzio, wesół kuzynek, od razu w umyśle jej spotężniał, stał się nowym i ciekawym.

Nawet zastrasającym.

— Po co on przyjechał... Co znaczą jego słowa?..

Pytania wirowały w mózgu baronówny, uparte, domagające się wyjawienia prawdy.

Bohdan ją zainteresował, lecz jednocześnie jakby ogłuszył. Wrażenia, wręcz przeciwne sobie, gromadziły się natarczywie. Serce Luci uderzyło parę razy wielką wdzięcznością dla Bohdana, aż oto znowu Brochwicz wypłynął na serdecznych falach jej uczuć. Obudziła się śpiąca etyka i myśl głęboka, owiane apatią, lenistwem, beczynne, szarpnęły się, oburzone za spokój zmaczony do dna. Senne majaki moralności zostały przez Bodzia targnięte zbyt gwałtownie. Więc dominowała niechęć.

— Po co on mnie otrzeźwia? Chcę spać, nawet w udręce snów tragicznych.

Idąc na przepadłe, nie chcę otwierać oczu. Po co on mi je otwiera?

Czy dlatego, aby ból uczynić nieznośniejszym?

Czy dlatego, aby zeń drwić?

Wtem, jak meteor osłepiający, wpadł do duszy Luci błysk nadziei:

Bodzio chce zerwać małżeństwo, upoważniony przez ordynata.

Myśl ta wydała się Luci jedynie motywującą postępowanie Bodzia. Nie śmiała wyjawić jej głośno, tchu zabrakło piersiom dziewczyny. Bohdan, odgadnięty już, zmalął w pojęciu baronówny. Stał się nędznym pośrednikiem ordynata; ordynat — tchórzem ukrywającym się za plecami kuzyna.

Obaj spodleli w wyobraźni Luci, a ponad nimi wykwitła delikatna płonka współczucia dla Brochwicza. On posiadał chwilowo wszystkie uderzenia serca Luci, całą jej dobroć i uznanie. On był ofiarą spisku Michorowskich. Narzeczona zapragnęła być mu wierną. Szyderstwem chciała zasypać Bohdana. Dać mu odczuć swą pogardę. Śmiech pełzał po nerwach, drażnił dziewczynę. Za chwilę wybuchnie okropnie zły i... nieszczery.

Bodzio uprzedził go; ściskając Luci ręce, rzekł głosem miękkim, ale stanowczo, jak gdyby stwierdzając fakt:

— Nie kochasz Brochwicza...

— Nie kocham! — odrzekła jak echo.

– Więc popełniasz... niegodziwość. I to z powodu zranionej ambicji; przez upór i znęcanie się nad sobą; rozmyślne, bezlitośne znęcanie się.

Milczała, cała drżąca. Sugestionował ją władzą niepojętą, niweczył jej wolę.

Bohdan mówił nieubłagane:

– Z rozpaczcy można się zabić, ale nie wychodzić za mąż. To nie zabójstwo, to tylko kalectwo na całe życie. Luciu, ty ordynata nie kochasz.

Wstrząsnęła się.

W jej głosie zabrzmiały gniew, zdumienie niesłychane nad zuchwałością Bohdana¹³.

[...]

– Drażnisz mnie, mój drogi! Proszę, abyś nie interesował się mną. Co robię, to robię z rozmysłem.

– Ale ratunku pragniesz – rzekł Bodzio.

Lucia zrozumiała, że się wikła niepotrzebnie. Lęk się wzmógł.

– Czekaaś ocalenia. Lecz kto cię miał ratować?

– Nikt do tego nie ma prawa! – wybuchnęła nieszczerze, ale z rozpaczą.

Bohdan chwycił ją za dłonie, rozpalone jak płomienie.

– Ja mam prawo i wyzyskam je – rzekł z energią.

– Jakie... prawo?

– Bo cię kocham!

– Ty... mnie?!

– Tak.

Patrzyli na siebie prawie bez tchu. Bodzio był zmieszany i wzruszony. Fale uczuć przelatywały przez jego twarz szczupłą, lecz męską.

– Czy to litość, czy sposób na zatrzymanie mnie od... fałszywego kroku? – spytała Lucia cała drżąca.

Michorowski ręce jej ucałował. Głos mu się gwałtownie gwałtownie, gdy zaczął mówić:

– Luciu, wybac mi nagłość wyznania. Kochałem cię od dawna, lecz nie było to jeszcze uczucie uwypuklone; nie pojmowałem sam siebie. Szczęście, któreś widziała w małżeństwie z ordynatem, chciałem

13 Tamże, s. 187–191.

ci uczynić realnym. Cierpiałem, że się łudzisz, ubolewałem nad tobą i nad nim. Bo widzisz – Waldemar Stefcie kochał prawdziwie, to była miłość wyjątkowa i trwała. Pozostała świętą. Ty tak nie kochałaś. Prawda?...

Lucia zaczęła mrugać powiekami.

W duszy jej coś się łamało, coś zapadało w przestrzeń, z której spływał ciepły strumień ukojenia. Otucha wielka; nadzieja wszechwładna zakwitła nagle, owiała ją przepięknym ogniem szczęścia, niepojętego jeszcze, lecz już świtającego.

Szczęścia, że ocalenie przyszło.

Szczęścia, że kwiat życia nie zwiędł, ale może się rozwinąć.

Szczęścia, że przestraszająca ją mara nędzy przyszłego bytowania nicości moralnej runęła zabita odwagą Bohdana.

Bodzio Luci imponował. Poddawała się pod jego władzę; w sercu jej wdzięczność dla niego rosła w uwielbienie¹⁴.

Jerzy Brochwicz przeżywa straszny wstrząs z powodu zerwania, niemal w przededniu ślubnych uroczystości. Ma wielki żal do Bohdana Michorowskiego, chce się z nim nawet pojedynkować, lecz gdy uświadamia sobie egoizm swych pragnień, zawstydzony odchodzi.

Bohdan wraca do kraju z Lucią. Jest szczęśliwy, że ma ją blisko siebie. Jej przyjaźń i serdeczność dodają mu zapału i energii do pracy. Ona również znajduje w nim wciąż nowe zalety, aż wreszcie czuje, że tym razem kocha naprawdę!

Zaręczyny baronówny z Brochwiczem upewniły Bodzia w jego uczuciach, i zarazem stały się zachętą do ryzykownej walki. Podjęta w celu ratowania Luci od zguby, z głęboko ukrytą w sercu młodzieńczą samolubną myślą, walka skończyła się dla niego zwycięstwem.

Teraz marzył o szerokich zakresach w życiu dla siebie i dla Luci. Posada administratora w Biało-Czerkasach była dla Michorowskiego

¹⁴ Tamże, s. 195–196.

na razie wystarczająca; dobra wołyńskie bardzo rozległe, ale mniej kulturalne niż Głębowicze, przedstawiały duży teren pracy. Bodzio tworzył obszerne widoki swej działalności, pragnął iść w ślady Waldemara i ufał w swoje siły. Lecz jego bujna fantazja, sięgając w przyszłość, unosiła go ponad Biało-Czerkasy; lotem sokolim rwał się do nieznanych jeszcze obszarów marzeń. Odczuwszy w sobie hart i wolę, doznawał gorączkowych żądz, aby je uczynić niezłomnymi.

Szczupła twarz młodziana i wydatne rysy odtwarzały wiernie wszystkie prądy wirujące w jego duszy. Ciemne oczy gorzały zapalem i myślą, cała postać odznaczała się czystością linii odrębnych, śmiałych, nie tracąc wytworności. Ruchy były zdecydowane, głos dźwięczny nabrał tonów niskich i brzmiał swobodnie, wyrzucany z piersi bogatą skalą.

Bohdan kipiał niezmiernie żywym temperamentem.

Ordynat wyczuwał przełomy wewnętrzne swego ulubieńca, sprawiały mu one wielkie zadowolenie. Mimo woli nasuwały się mu pytania, co by się stało z Bodziem, gdyby go był nie spotkał w Nicei.

I Waldemar doszedł do wniosku, że, tą czy inną drogą, Bohdan zawsze by się wydzwignął, bo nosił w swej istocie zarodek męstwa, nie mogący być zdławionym przez nędzę bytu, i nawet brnąc po nizinach moralnych, wspiąłby się z czasem na ich wyżyny. Waldemar nie czuł się dumny, jedynie szczęśliwy, że odrodzenie kuzyna stało się za jego pośrednictwem.

Już teraz ordynat nie obawiał się o przyszłość młodzieńca. Wierzył w jego siły do zdobywania życia.

.
.

Zbliżał się termin wyjazdu Bohdana do Biało-Czerkas.

Baronówna szeptowała.

Ogarnął ją przestach, co pocznie bez niego. Stał się dla niej koniecznym. Już umiała zdać sobie sprawę z uczuć nurtujących ją, chciała Bohdana zatrzymać bezwarunkowo.

Kilka tygodni żyła nadzieją, że on nie wyjedzie. Nieznacznie nadmieniła o tym ordynatowi, że Bohdan powinien być dłużej

praktykantem w Głębowiczach. Mówiła to samo Bodziowi, jednocześnie karcąc się za swój egoizm.

Chłopak odkładał wyjazd z dnia na dzień. Ale Waldemar, pomijając wszystko, był stanowczy. Oznajmił swojemu faworytowi, że powinien jechać zaraz albo wcale.

W przeddzień wyjazdu młodzieniec zjawił się w Obronnem późnym wieczorem. Po kolacji pożegnał się oficjalnie z księżną i z Lucią. Ściskając rękę dziewczyny, popatrzył w jej oczy z taką siłą i wymową, że zarumieniła się gwałtownie, ale zrozumiała.

Odrzekła szeptem:

— Czekaj na mnie: będę.

Bohdan pocałował obie jej dłonie.

Gdy pałac pogrążył się w ciszy nocnej, młody człowiek zgasił światło, otworzył okno w swoim pokoju i czekał z drżeniem w sercu.

— Tylko tu przyjsz może, skoro zrozumiała — myślał.

Niepokój szarpał mu nerwy.

Przez okno wpływały szумы wiosennej nocy i zapachy wilgotne a delikatne z krzewów i sypiących się traw. Gdzieś w oddali rechotały żaby, księżyc majaczył słabo, blady, jakby powleczone srebrem. Cisza trwała poetyczna, rozpinająca na swych krosnach pajęczyny marzeń, tajemne westchnienia tęsknoty.

Rzewność sączyła się z mętnej pomroki nocnej, okadzonej wonią świeżej ziemi.

Przed północą zaszemrały w pokoju ciche kroki Luci.

Bohdan przyciągnął ją do otwartego okna.

— Przyszłaś?... Jesteś u mnie! Jakaś ty dobra! — szeptał szczęśliwy i całował jej rękę.

Lucia zawisała mu na ramieniu.

Bodzio, pomimo szarości w pokoju, ujrzał blisko siebie duże oczy dziewczyny, pałające i smutne.

— Luciu, ja wyjadę do Biało-Czerkas, ale... z tobą — szepnął poruszony do głębi.

Ona potrząsnęła głową.

— To niemożliwe.

— Teraz będziesz ze mną duchem, w sercu cię powiozę, ale... ja przyjadę, by zabrać cię całą, swoją własność, już na zawsze. Boś ty moja. Wiódł nas do siebie taki bożek, którego nikt nie spostrzegął. Dotyk jego skrzydełek czułem dawno, teraz już i ty odczuwasz ten urok wszechpotężny. Bożek naszego przeznaczenia złączył nas i odkrywa przed nami szerokie horoskopy. Idźmy, Luciu, w ten wszechświat! Tyś moja, więc pójdziesz, iść musisz! Pragniemy tego wspólnie.

Lucia drżała, ale nie przeczyła. Cisza nieznana a poważna zapełniła całą jej istotę, unosząc w przestworza dobre i melodyjne. Z ustami blisko ust Bodzia przemówiła cichutko:

— Więc babcia nam wywróżyła: zaczynamy żyć; przeszłość była tylko prologiem. Więc my we dwoje...

— Będziemy wreszcie szczęśliwi — dokończył Bohdan. — Tobie, ukochana, chcę ofiarować to, czegoś w życiu nie zaznała. Idziesz ze mną: czy tak?

— Na całe życie! — odrzekła Lucia ze szczerą, spokojną pewnością siebie.

Bohdan z uczuciem przedziwnej rzewności ogarnął ją ramionami. Rozpalone jego usta sparzyły jej szyję mocnym pocałunkiem. Przysunęli się do okna i pili razem upojenie serc własnych, pili nektar nocy wiosennej. Dobrze im było z sobą i zacisznie. Szmer słów miłosnych potwierdzał tę przeuroczystą chwilę najistotniejszych i najtrwalszych zaślubin.

Pieszczota spojrzeń płomiennych wystarczała im. Byli spleceni z sobą duchem, serca ich pulsowały razem, myśl łączyła się w jedną smugę świetlistą.

Czynili sobie szczerze wyznania początku swej miłości, rozwój tych uczuć analizowali wspólnie. Upojeni czarem, widzieli przed sobą łąki usiane kwiatem lotosu.

— Luciu — szepnął Bohdan — patrz! Świta na niebie! Wstaje ranek.

— To jest nasz wschód — odszepnęła przytulona do narzeczonego, pełna ufności, że szczęście obecne nie jest złudą.

Różowe źrenice jutrzeńki spoczęły łagodnie na twarzach zakochanych i zabarwiły je kolorem delikatnym jak pączki kwiatu jabłoni.

Świergot ptaków zadzwonił perliście, szepty poranne rozniosły się w parku, budząc wszystko, co jeszcze spało.

Jaskółka w chybkim locie frunęła do otwartego okna i zatrzepotała z kwileniem radosnym nad pochylonymi ku sobie głowami narzeczonych.

— To nasze pierwsze błogosławieństwo — rzekł Bohdan.

A ptaszyna śpiewała nad nimi hymn weselny. Po czym uniosła się w powietrze, lecąc wprost na łono jutrzeńki.

Bohdan i Lucia zamienili z sobą słowa pożegnalne¹⁵.

Zaręczyny Luci Elzonowskiej i Bohdana niezmiernie cieszą Waldemara. Teraz może już być spokojny o los bliskich mu osób. Z tej okazji ofiaruje Bohdanowi jedną ze swych posiadłości, Biało-Czerkasy, aby krewniak czuł się prawdziwie niezależny i samodzielny. Ponadto publicznie oznajmia, że w przyszłości będzie on dziedziczył po nim tytuł i majątek.

Oto końcowa scena powieści o dwu właściwie ordynatach: Waldemarze i Bohdanie Michorowskich.

W dniu zaręczyn młodej pary zamek głębowicki, głuchy i jakby ciemniejszy od zgonu narzeczonej Waldemara, zajaśniał dawnym przepychem i życiem. Wielka chorągiew na baszcie rozwinęła swe błękitne skrzydło. Igrał z nim wiatr majowy, pieściło słońce.

Bohdan szczupłemu gronu zebranej rodziny, sąsiadom, administracji i tłumowi służby miejscowej przedstawiony został jako przyszły ordynat głębowicki.

Ponieważ był ogólnie lubiany, więc wiadomość przyjęto serdecznie, chociaż ze zdumieniem. Ale na Waldemara spoglądano smutnie.

On zaś po dniu skończonym, przy zorzach wieczornych myśli swe tęskne z promiennej przeszłości, w której się nurzały, skierował na przyszłość.

¹⁵ Tamże, s. 217–220.

Pozostała mu już tylko akcja czynów społecznych, z jej hasłem pójdzie dalej, ona mu będzie wskazówką przewodnią bytu.

Ordynat, stojąc na marmurowych schodach przystani, patrzył na szumiącą rzekę, przetkaną zachodem słońca, patrzył na skłon nieba i na świetne korony drzew zwierzyńca, patrzył i myślą łowił minione Ikarye swej szczęśliwości. Radość miał w duszy, że oto najdroższych obrazów swego życia nie zatarł, że utopia urocza, ideału pełna, pozostanie z nim na zawsze.

Zaślubił ją mocą uczuć swych i wiernym jej pozostanie, stopi się z nią, zjednoczy nierozdzielnie.

Zrenice ordynata uchwyciły na obłokach cudną wizję spływającą ku niemu. Wiotka, śliczna, sunęła niby ptak mistyczny, w przelocie muskając wierchy drzew, że pod dotknięciem jej stóp szemrały śpiewnie. Sfrunęła na białą pianę wód i szła cicho, urokiem natchniona, zda się anielska. Niosła do duszy ukochanego miłość nieskończoną, niezmierne otchłanie tęsknot i marzący szept wdzięczności, i ukojenie, i otuchę na pracę życia.

Niosła mu wszystkie skarby, które on czcił i w sercu swym ukrywał, które wielbił stale i pieścił wyobraźnią wzmocnionego uczuciem ducha. Szła po fali rozświetlonej — jego wieszczka, bóstwo uświęcone w jego jestestwie, ta jedyna, jasna postać, która odleciała od niego... by trwać wiecznie. Duch jego był tam, z nią, i teraz, gdy ona idzie po szeleszczących wodach, jest jakby odbiciem wnętrza jego ducha. Serce, nerwy witały ją jak swoją mieszkankę stałą, jak dziecko najdroższe, wzrok pochłaniał ją z uszczęśliwieniem, z religijną czcią.

Już jest blisko. Waldemar czuje ją przy sobie; jakiś delikatny wiew słów, nieziemski pocałunek, jej tchnienie.

Usta ordynata szepcą z zachwytem:

— Ty... moja!...

Patrzy na nią w ekstazie bezpamiętnej, złożony ogniskami zorzy.

KONIEC¹⁶

¹⁶ Tamże, s. 222–224.

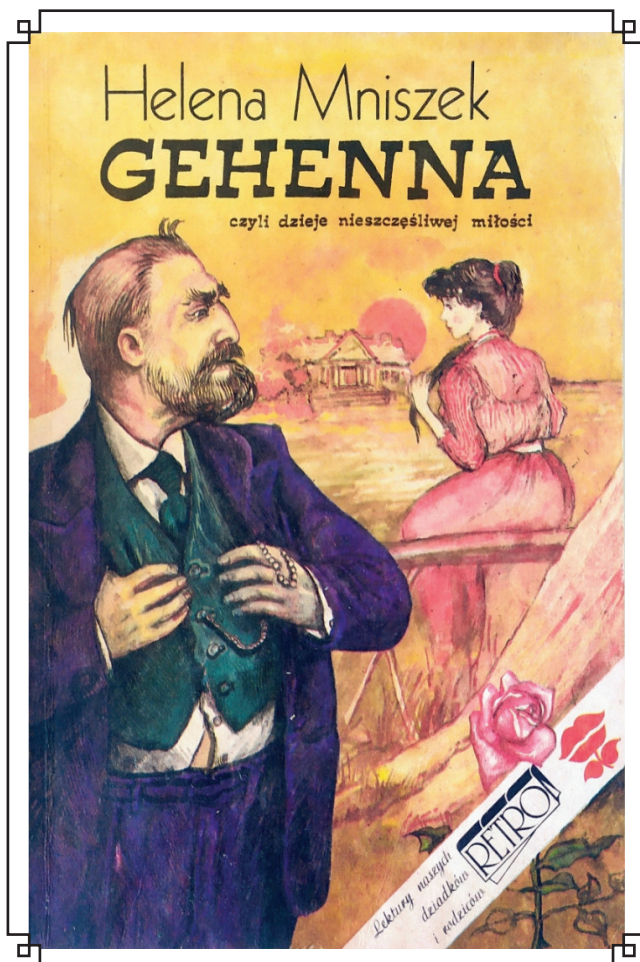
Ordynat Michorowski, czyli dalszy ciąg *Trędowatej*, należy, moim zdaniem, do słabszych powieści Heleny Mniszek. Miłosne cierpienia i radości bohaterów nie są szczególnie przekonujące, autorka zresztą nie poświęca im zbyt wiele uwagi. Pierwszoplanowy jest wątek społeczno-obyczajowy o wyraźnie tendencyjnym odcieniu. Obowiązek pracy dla dobra innych, samodoskonalenie się, posłannictwo arystokracji w szerzeniu oświaty i wychowaniu – to najważniejsze hasła, które propaguje utwór. Nie są one zresztą nowe. W *Ordynacie Michorowskim* pobrzmiewają tony *Nad Niemnem*, idee socjalistyczne Judyma z *Ludzi bezdomnych*, nie mówiąc już o zakończeniu, które jest prawie plagiatem *Nie-boskiej komedii*. Wizja Stefanii ukazującej się Waldemarowi przypomina wizję zwyciężającej wszystko miłości Chrystusa. Czyżby Mniszkówna uznała Głębowicze za ostatnią twierdzę arystokracji?!

W powieści odnaleźć można jeszcze wiele innych śladów lektury klasyków, np. scena forsowania palisady przez Bohdana Michorowskiego podobna jest do wydostawania się Wokulskiego z piwnicy u Hopfera (sens ideowy w obu tekstach też jest podobny); epizod w kasynie przypomina *24 godziny z życia kobiety* Zweiga. Podobnych zapożyczeń jest więcej. I choć tytuł mistrzów pióra „patronuje” powieści, jest ona nieciekawa, chwilami natrętnie dydaktyczna, a nawet po prostu nudna.

Helena Mniszek

Gehenna (1914*)

T. I i II



Ilustracja nr 7. Okładka powieści *Gehenna, czyli dzieje nieszczęśliwej miłości* H. Mniszek, Promotor SA, Warszawa 1989. Autor ilustracji nieznany.

Źródło: <https://allegro.pl/produkt/gehenna-helena-mniszek-dd733797-96e7-473f-b3b5-bo291d8a7a78> [dostęp: 11.08.2024].

* Rok pierwszego wydania powieści.

Jeden ze swych najbardziej bulwersujących romansów – *Gehennę*, rozpoczął Mniszkówna malarskim, z epickim rozmachem nakreślonym obrazem wołyńskiej przyrody, w czerwcowym przepychu barw i woni, oświetlonej promieniami zachodzącego słońca. Na tym tle pojawia się śliczna dziewczyna („Włosy jej zdobił wieniec z gorąco purpurowych maków, czarne warkoczem lśniące jedwabie opadały na ramiona”¹) i towarzysz jej dziecięcych zabaw, kuzyn Janek Smoczyński. Ich temperament i uroda zdają się harmonizować z bujną naturą. W poszukiwaniu niezwykłych emocji przyszli na leśną porębę, gdzie biegną tory kolejowe. Andzia, chcąc odwagą dorównać Jasiowi, kładzie się pomiędzy szynami wprost pod koła pędzącego pociągu.

Ta pierwsza scena powieści ważna jest nie tylko ze względów kompozycyjnych; charakterystyka postaci ma głębszy, symboliczny sens (motyw ów znajdzie swe dopełnienie w drugim tomie powieści).

Dzieje siedemnastoletniej Anny Tarłówny, sieroty zdanej na despotyzm ojczyma Teodora Kościeszy, jego pożądanie i kazirodczą miłość, stanowią oś konstrukcyjną pierwszego tomu *Gehenny*.

Do gabinetu pana Teodora Kościeszy w Turzerogach wsunęła się cicho wiotka postać jego pasierbicy. Stała na progu, zasłonięta ciężką kotarą adamaszkową, i spojrzawszy na ojczyma, zalekła się trochę. Siedział w wysokim fotelu przy biurku, pisząc coś szybko. Wyraz jego rysów był twardy, niemal złowrogi, brwi zmarszczone. Andzia nie lubiła u niego takiej twarzy, przestraszała ją dziwnie, nasuwając wspomnienie mętne, z dzieciństwa zapamiętane. Żyła jeszcze wówczas jej matka. Andzia niechcący stała się świadkiem jakiejś przykrej sceny między matką i ojczymem. Co mówili, nie rozumiała, majaczy jej się tylko jak przez sen, że matka o coś prosiła, czy się za kimś wstawiała; pamięta, że w pewnej chwili zalana łzami i bardzo błada pocałowała męża w rękę i rzekła te słowa: „Błagam cię, Teodorze, zaklinam, nie rób tego, do nóg ci się rzucę” i Andzia drżąca ze strachu, za jakąś szafą, ujrzała śliczną postać matki, chylącą się kornie przed ojczymem. Wówczas on szarpnął ją z gniewem, wyprostował i trzymając za ramiona, jak się Andzi zdawało, nazbyt silnie, wołał głosem ochryplym z takim samym

1 H. Mniszek, *Gehenna, czyli dzieje nieszczęśliwej miłości*, Promotor SA, Warszawa 1989, s. 12

twardym wyrazem twarzy i zmarszczeniem brwi złowrogim: „Musisz mnie słuchać, bo ja tak każę, rozumiesz!”. Ośmioletnia wtedy Andzia zlekła się o matkę, wybiegłszy zza szafy, skoczyła do jej kolan, słyszała jeszcze jakieś straszne przekleństwa ojczyma, ale matka, płacząc, odeszła z nią, uciekała prawie pędem, zasłaniając dziecku uszy. Dziewczynka potem bała się ojczyma przez długi czas, i teraz ta jego groźna mina, taka sama jak we wspomnieniu tamtej chwili, onieśmieliła Tarłównę.

Bo wszak i ona szła z prośbą.

Kościesz podniósł głowę, Andzia wysunęła się zza kotary. Ujrzał ją, odłożył pióro i uśmiechnął się łaskawie. Wyciągnął do niej rękę, mówiąc:

– Handzius przyszła do mnie?... Jakże się cieszę. Chodź, dzieciно. Otoczył ją wpół ramionami i ucałował w czoło.

– Cóż takie tęskne oczki, Aneczko, tak się mnie bacznie przypatrujesz?... Powiedz, co myślisz pod tym ślicznym czółkiem, jakie tam myślątka fruują. Co?...

Andzia rzuciła mu się na szyję. Rumieniec jasny, dziewiczy zapłonął na policzkach, oczy błyszczały.

– Ojczymku, ja dziś skończyłam siedemnaście lat – szepnęła cichutko.

Odsunął ją lekko i z uśmiechem popatrzył na nią.

– Ogromnie stara jesteś, dzieciно, prawda?... Oj, ty wiosno moja! Wiem, wiem, że to dziś urodziny twoje. Chciałem ci sam powinszować, ale cieszę się tym bardziej, żeś do mnie przyszła, właśnie dziś, to dowód, że mnie kochasz. Moja pieśczocho!...

Posadził ją nagle na swych kolanach.

– Ojczymku, tak nie, ja już jestem za duża – broniła się niechętnie, z dziwnie przykrym uczuciem.

– Siedź, maleńka moja – zatrzymał ją mocno i zaczął całować.

Odchyliła głowę, zasłaniając twarz od pieśczoł, i znowu szepnęła już śmieiej, ujęta jego serdecznością:

– Mam prośbę do ojczymka.

– Mów, Hańdzius mój, mów wszystko, czego tylko pragniesz. Więc o cóż to chodzi?...

– Ojczymku, ja chcę się uczyć.

– Uczyć?... A wszakże od dziecka nic innego nie robisz... Masz pannę Ewelinę, bardzo zdolną nauczycielkę, kilka przedmiotów wyklada ci korepetytor Januszek, zdajesz co rok egzaminy w Warszawie, zatem uczysz się zupełnie prawidłowo, według kursów pensjonarskich. Kujesz po całych dniach.

– Tak, ale już w ten sposób przeszłam siedem klas. Teraz mam inne pragnienia.

– Jakież to na przykład?...

Andzia odczuła w tych słowach pewien chłód. Przytuliła się do ojczyma pieszczotliwie.

– Chciałam prosić ojczymka, aby mi pozwolił pojechać do Krakowa, na kursy przyrodnicze. Ogromnie tej nauki ciekawam i tak bym się serdecznie uczyła. Niech mi ojczymek pozwoli, mój złoty, dobry...

Kościesz sposępniał i zamknął oczy, zsunął brwi aż na powieki.

Andzia, ujrzawszy go takim, zerwała się z jego kolan.

– Ej, ojczymek robi straszną minę...

Zmitygował się od razu, wziął ją za ręce i posadził obok na krześle. Uśmiech obłudny wystąpił na jego wargach.

– Zmartwiłaś mnie, Aneczko, bardzo poważnie, nigdy nie myślałem, że ci jest źle w domu i... ze mną...

– Ależ...

– Bo gdyby ci było dobrze, to byś nie miała takich myśli. Zasmuca mnie to, Andziu. Kocham cię z całej duszy, pragnąłbym ci nieba przychylić, a ty mi się tak odpłacasz?...

Dziewczyna stropiła się.

– Ojczymek mnie nie chce zrozumieć, przecież jest mi w domu dobrze i miło i doceniam to, ale chcę się uczyć. Czy to grzech? Myślałam, że ojczymek, jako dobry ojciec, nie będzie mi tego bronił, myślałam, że mi dopomoże w urzeczywistnieniu mych zamiarów, tak na to liczyłam.

W głosie jej zabrzmiała skarga. Kościesz patrzył na nią spod zmrużonych powiek².

² Tamże, s. 20–22.

[...]

— Z takim zaś usposobieniem i z twoją powierzchownością ruszać w świat, to lepiej od razu nurknąć w głębinę. Twoja matka doskonale to rozumiała.

— Czyż... temperament to coś złego — wyszeptała zgnębiona.

— Nic złego, ale nie dla świata, i nie w siedemnastym roku życia. Gdy będziesz pełnoletnia, wówczas zobaczymy, lecz do tej pory...

— Tak jeszcze długo czekać? Ojej!...

— Cztery lata to niewiele, a przez ten czas... przez ten czas... może...

Nie dokończył, tylko oczy mu błysnęły pożądliwie, twarz się rozjaśniła, jakby na złom granitu padł blask matowy księżyca. Zagarnął ją ramieniem i patrzył przenikliwie w jej zapłakane źrenice. Oczy jego nakazywały, niewoliły.

— Wola mamy i moja... prośba musi być spełniona — rzekł stanowczo. — Teraz żądaj, czego chcesz w Turzerogach. Chciałyście kiedyś z panną Ewelina założyć tu szkołkę i ochronkę, otóż zrobię to dla ciebie, moja mała filozofko, założę te instytucje, będą się bachory chamskie uczyły, skoro tak chcesz, i będzie owa społeczna robota, o której marzysz. A teraz chodź.

Zaprowadził spłakaną do kasy ogniotrwałej, otworzył ją i wyjął spore, podłużne pudełko z czerwonego safianu. Gdy nacisnął sprężynkę, Andzia ujrzała na białym aksamicie cudny sznurek dużych pereł, zapiętych klamerką staroświecką, sadzoną krwawymi rubinami. Perły lśniły mlecznym, lekko złotawym połyskiem, czasem lśnienie to różem subtelnym tchnęło lub przepyszna, bladą karnacją perłowca.

Andzia patrzyła zdumiona³.

Dramatyzm fabuły wzbogacany jest o stałe pulsowanie napięć, gdyż do akcji autorka wprowadza jeszcze dwu młodzieńców gorąco w pannie zakonanych. Jednym z nich jest wspomniany już kuzyn Janek. Początkowo nie uświadamia sobie swego uczucia, lecz czujne oko zazdrosnego Koście-szy szybko dostrzega niebezpieczeństwo. Zgodnie z jego wolą chłopak musi

3 Tamże, s. 25–26.

natychmiast wyjechać, by nie przeszkadzać ojczymowi Andzi w jego planach poślubienia pasierbicy i zagarnięcia jej majątku.

Pojawia się też poważniejszy konkurent, dwudziestoośmioletni, bogaty, ze świetnego rodu Andrzej Olelkowicz, który od pierwszego wejrzenia rozпали serce Andzi. Scena spotkania w lesie stanowi okazję do wnikliwej prezentacji głównej bohaterki powieści i jej kuzynki – Lory. Jest ona zupełnym przeciwieństwem subtelnej i biernej Andzi. Niezwykle nowoczesna w poglądach na życie, ekspansywna, wręcz prowokująca, uwodzi niemal każdego mężczyznę. Należy do tych kobiet, z którymi panowie chętnie flirtują, nawet mają tzw. przygody, lecz przezornie żenią się z innymi. Swoje życiowe credo: „Ja chcę, aby kobieta żąda swych nie kryła pod korcem moralności, etyki, niewinności”⁴ realizować będzie mimo bardzo zmiennych kolei losu.

Oto obie dziewczyny w kontrastowym ujęciu:

Grzeško zbliżał się w towarzystwie młodego pana w sportowym ubraniu, lecz w postołach z łyka, jakie noszą chłopci. Wysoko łykiem omotane nogi, jak zresztą i całe prawie ubranie myśliwego, zamazane były błotem i schlapane wodą. Z tej zabłoconej, a jednak eleganckiej figury, zbrojnej w piękną strzelbę na ramieniu, wykwitowała głowa młoda, energiczna, przystojnego szatyna, przykryta kapeluszem z piórkiem.

Szedł rażno uśmiechnięty i rozmawiał swobodnie z Grześkiem, który z uszanowaniem odnosił się do niego. Obok biegł śliczny wyżeł czystej rasy. Zbliżyli się. Andzia podniosła się z pnia, Jaś stał trochę zdziwiony. Grzeško przemówił pierwszy:

— Ot, paniuńciu, sztuka! Ja myślał, że to jaki pohany muzyk, albo telegrafist, a to, Boże chorony, sam jasny pan z Prokopyszcz. Ot, mnie i bida.

— Dowiedziałem się już od Grzegorza o szczęśliwym spotkaniu z właścicielką tego lasu i podążyłem powitać ją — odezwał się pełnym barytonem niespodziewany przybysz. — Jestem Andrzej Olelkowicz z Prokopyszcz, z upoważnienia pana Kościeszy poluję tu na podloty, kacze oczywiście — dodał z figlarnym uśmiechem, przypatrując się

4 Tamże, s. 120.

krótkim sukienkom panienek. — Ponieważ to nie jest rewir Grześka, więc mnie tu spotyka pierwszy raz i chciał zaarrestować.

— Gdzież tam, Boże chorony! Jaż od razu poznał, że to kniaź⁵.

[...]

Zaczęli sobie opowiadać różne wrażenia z wycieczek leśnych. Olelkowicz mówił dużo o swych trofeach myśliwskich i zapraszał młode towarzystwo do odwiedzenia własnych lasów, sąsiadujących z Wilczarskimi. Podczas rozmowy najczęściej śmiała się i trzepotała Lorcja Smoczyńska, rówieśnica Tarłówny, bardzo ładna. Zupełnie odrębny typ niż tamta. Andzia smukła, wysoka, ale raczej drobna w budowie ciała, z czarnymi, lśniącymi włosami i oczami tegoż koloru, mieniącymi się w złote refleksy, o fiołkowych połyskach białek; oczami czasem tęsknymi, czasem pełnymi bujnego życia, zawsze za lekko łzawą powłoką, głębokie jak toń jeziora. Rysy Handzi nie klasyczne, lecz regularne, miały w sobie wdzięk i charakter wybitny; cera aksamitna, świeża z nikłym odbłyśkiem smagławym, przypominającym jakiś wytworny i soczysty owoc, usta w miarę pełne, wykrojone, miały silną barwę, skupiając na sobie główny czar tej dziewczyny. Lecz może najwybitniejszą charakterystyką jej były brwi gęste, czarne, zaczynając się nisko od nosa i w oryginalnym załomie wzniesione przy końcach w górę; długie, aż nadto obfite rzęsy zdawały się ciężać powiekom, które jakby dlatego często opadały, tłumiąc lśnienie oczu i dziwnie zdrabniając twarz. Była to uroda nie tyle piękna, ile niezwykła i wymagająca znawcy.

Lorcja przeciwnie, od razu każdemu rzucała się w oczy; była wysoka, zgrabna, klasyczna, z włosami rudawymi o nadzwyczaj jasnych tonach i oczami koloru pysznego błękitu, twarz jednolicie biała, matowa bez cienia rumieńca, wypukłe krwawe usta i nos garbaty wykuintnego kształtu. Zawsze roześmiana, wrzaskliwa, przypominała nakręconego i huczącego bąka lub ptaka wierzącego się jak na sprężynie. Nie potrafiła usiedzieć jednej chwili spokojnie, tym właśnie zwróciła na siebie uwagę Olelkowicza. Badał ją jakiś czas, wreszcie rzekł śmiało:

5 Tamże, s. 41–41.

— Ale z panią to bym nie poszedł na polowanie, wszystką zwierzynę z całego lasu mogłaby pani wystraszyć. Dziwię się, że łosie spokojnie spożywały siano, skoro pani była w pobliżu.

— Ale ja myślę, że panu przy mnie zwierzyna nie byłaby w głowie — rzekła rezolutnie⁶.

Losy bohaterów tak zaprezentowanych na powieściowej scenie udrامatyczni dodatkowo wróżba starej Cyganki – Woróżychy. Przepowiada ona dziwne i tragiczne wydarzenia w życiu Andzi. Sceneria, która towarzyszy dalszej akcji, staje się coraz bardziej niezwykła i nastrojowa: stary bór, uroczyska, moczary, ruiny zamku. Oto w lesie cygański obóz:

Tarlówna podała dłoń starej z lekkim drżeniem wewnętrznym. Wszyscy skupili się ciasno, ogień trzaskał, sypiąc iskrami. Cisza zaległa i dziwna powaga. Woróżycha miała w obozie opinię wielkiej znawczyni swej sztuki, miano ją niemal za jasnowidzącą. Król i królowa zataili oddech w piersiach, twarze były ciekawe, przejęte chwilą, trochę zalęknione. Woróżycha nie zawsze chętnie dawała się uprosić do wróżby, więc jej uwaga, skierowana tak wyraźnie na „ciemną panienkę”, zainteresowała obecnych Cyganów.

Stara długo i ściśle badała dłoń dziewczyny, kręciła głowę, cmokała ustami; zaczęła mówić gardłowo łamanym językiem:

— Dziwy, dziwy, rączka mała a duża księga... Znaki... znaki... trudne są tu te znaki — a ważne. Mościa damulka śmiała jest w sobie, a strachliwa, zdaje się; śmiała, bo młoda, urodna, bogata, idzie w świat niby złoty dla niej, ale chmury suną czarne... od nich płynie strach... O... o... i nieszczęście o... o...

Andzia szarpnęła się, Cyganka ją przytrzymała.

— A ot tu linijki cienińkie, ale one grube w znaczeniu; dwie dusze one ciągną za sobą w przepaść, dwie niedole przez nie, a trzecia własna, własna niedola o... i ciężka. Nad sokolicą bujną czarny kruk kracze,

⁶ Tamże, s. 43.

wywłóczy dolę z niej, pióra poszarpie... O... smutek... Sokolica już słaba, omdlewająca padnie na pierś sępa dzikiego, co się za orła przedstawi... o... ten resztę krwi puści... obedrze... o... o... prawie nagą ostawi... A tu!... Ach!... O!... O!...

Worożycha gwałtownie puściła rękę Andzi i palcami zacisnęła sobie oczy z taką boleścią i zgrozą, jakby zobaczyła zbrodnię.

Wszystkich ogarnął przestrach paniczny. Tarłówna siedziała jakby we śnie pogrążona, nad nią stał blady, przerażony Jaś i Olelkowicz.

Cyganka, po długiej chwili ciężkiej zadumy, ocknęła się, wyjęła z zanadru plik kart. Brudne były, ale niezwykle. Zaczęła je rozkładać na kolanach, siedząc po turecku, tuż przed Andzią. Karty sypały się jak barwne motyle, ona je tasowała, znowu rozsypywała, dała je Annie pomieszać i wreszcie ułożyła odpowiednio. Palcem szarym jęła wodzić po nich, straszne źrenice wpiły się w barwną mozaikę, zaczęła mówić:

— I tu... i tu... tak samo, burza tam, gdzie zdaje się pogoda... chmury, chłód. Jeden łańcuch twardy na was troje. Łańcuch trzyma w dziobie krwawym kruk czarny. O... o... tu wy, mościa damulko, sokolica... O!... a tu młode dwa sokoły; jednego serce bujne zabite, drugiego ranne... ciężko krwawi, nie ścierpi niedoli, nie! Zatrata nad nim wisi... A ot tu sęp!... Dzikie on i nie dziki... ważka osoba... trudna!... on jeszcze we świetle. Jeszcze chowa go świat... i nad nim zagłada... o!... o...

— Kto są te dwa sokoły? — spytał Jaś drżącym głosem.

Cyganka milczała.

Po długiej chwili dopiero wolno podniosła wzrok ponury na Jasia i na Olelkowicza, spuściła go potem znacząco na Andzię i rzekła dobitnie:

— Jeden łańcuch was skuwa i dola jedna...

Zaległa cisza. Płomień podsycony na nowo huczał, syczał, wrzał. Zerwał się wiatr, kłęby dymu gnając wprost na grupę wróży. Słońce zaszło za obłok, cień szary, niemiły zaległ jasną przedtem polanę. Dreszcz wstrząsnął Andzią, ale dreszcz ten od niej przeszedł na młodzieńców, tak jakby istotnie wiązało ich jedno ogniwo, jeden prąd.

Cyganka gorączkowo składała karty, była jakaś zła i groźna, a tajemnicza⁷.

Młodzi wkrótce zapominają o mrocznej przepowiedni i radują się swoim szczęściem. Andrzej – stylizowany przez Mniszkównę na Sienkiewiczowskiego Kmicica – obdarzony ognistym temperamentem, odwagą i fantazją, coraz śmielej zabiega o względy Andzi.

Rozełkały się jęklawie przytłumione śniegiem janczary.

— Wio, kasztan! Wio! — powtarzał Daniłó swój okrzyk. — Kołyb tuju zaspu trastia mordowała! Wieho!...

Panny stały w sankach, całe zasypane śniegiem. Andrzej podał rękę Handzi, bojąc się, że upadnie, w drugiej trzymał lejce mechanicznie, zdając kierunek kozakowi. Patrzył na Andzię z chciwością, tęsknymi oczyma. Była mocno zaróżowiona, usta jej płonęły świeżą krasą, oczy gorzały młodością i zaciekawieniem. Cała twarz ujęta w ramkę fokowego kołpaczka i takiegoż kołnierza wydawała się szczupłą, delikatniejszą niż zwykle i jeszcze dzieciinną. Czarne promyki włosów opadły aż na aksamitne brwi, przypylone śniegiem tworzyły cudne obramowanie jej ogromnych oczu. Odczuła jego wzrok, spojrzała i zatonęły w sobie ich źrenice we wspólnym uroczym zachwyceniu. Wypowiadali oczyma słowa tajemne, na dnie ich dusz wylęgłe, słowa upojne. Zwierzali sercom swym uczucia tęskne i rwące się do siebie jak dwa ptaki białe w pogodny ranek majowy, jak rozkoszne, miłosnym powiewem chylące się ku sobie dwa kwiaty. Oczy jej stawały się coraz bardziej świadome uczuć, dotąd nieuplastycznionych, nabierały w głębinie czarne tyle marzeń, tyle rozkosznych obietnic, że omdlewały pod natłokiem zwierzeń serdecznych. Wówczas żarem paliły źrenice Andrzeja, pełne zaborczej a słodkiej pieczyoty, niewoliły ją ku sobie, brały ją we władanie, hipnotyzując magiczną, wszechwładną mocą męskiej woli, pragnień pożądliwych.

7 Tamże, s. 50–51.

Jej rzęsy zaczęły drżeć leciuchno, niby skrzydła jaskółki spłoszonej, opadały z wolna, kryjąc urok poddańczy jej oczu, omglonych z nadmiaru cichej, lecz tak wymownej rozkoszy. Andrzej czuł, że ona jest już jego, że staje się duchową jego własnością, wsiąka mu w serce gorącym płomieniem i przepala je, bierze jego duszę na własność, oddając mu się całą istotą dziewiczą; dreszczem szczęścia ust niewinnych, rozchylających się dla niego, jak różowa kruża, wonna jak kwiat, słodyczą nieziemską przepełniona; z dziecinną jeszcze ufnością i wiarą, z wejrzeniem źródłano-czystym, w którym kobiecość zapala już płomień przyszłych namiętności, szalów, wskrzeszonych potęgą pierwszej miłosnej ekstazy. W pewnej chwili Andrzej, niebaczny już na nic, uniesiony prądem bezpamiętnym kochania wielkiego, pochylił się do niej gwałtownie z szeptem gorącym:

— Moja ty, moja rozkoszy!...

Męska dłoń jego ścisnęła mocno ukrytą w niej rękę dziewczyny.

Owiały ją te słowa wichrem rozpalonym, bezwiednie pochyliła się także ku niemu słodka, cicha, mrużąc przepaściste, olśnione oczy.

Wargi jej rozwinęły się uśmiechem, różowe ich pąki, przygotowane do pocałunku, drżały leciutko, jakby miały zaraz zaszemrać słowa pieściwe.

Olelkowicz, natchniony jej urokiem, pochylił się jeszcze bliżej, oddechem drżącym musnął jej twarz, rękę wgarnął zupełnie, schował w swojej...

Nagle konie stanęły. Jednocześnie rozległ się okrzyk Daniła:

— Ne peredremsia, jasny pane, zaspą hłuboka i ważka jak smetana.

Lora bluznęła śmiechem cynicznym, upadła na siedzenie, zanosząc się spazmatycznie:

— A toście się państwo zaciętrzewili! Podziwiam Ankę!... Ja bym już pana wycalowała. Ha! Ha! A ci tylko patrzą i patrzą. Dopiero mi wielka rozkosz!...

Tarłówna oblała się rumieńcem purpurowym i usiadła w milczeniu. Olelkowicz, stropiony, omotał lejce o poręcz kozła i skoczył w zaspę. Zniknął w niej na chwilę.

— Jezus, Maria! — krzyknęła Andzia. Lora zawołała, śmiejąc się:

– Wybornie! Znakomita kąpiel po miłosnych zapalach. To pana ochłodzi i wówczas może wyratujemy się z tej toni śniegowej⁸.

Lora z zazdrością patrzy na miłość Andzi i Andrzeja. Znacznie bardziej dojrzała od swojej kuzynki, obdarzona żywiołową naturą, chce „nie marzyć, lecz szaleć [...] chciwie zaspokajać wszystkie pragnienia”⁹. Wiosenna przyroda obudziła w niej nieoczekiwanie spragnioną rozkoszy kobietę.

Pewnego dnia Andzia z Lorą biegły we dwie do lasu. Dzień był jasny, wonny, rozbulgotany wrzątkiem ciepłych prądów wiosennych. Andzia śpiewała pełną piersią jakąś pieśń o nieznanej melodii i słowach, pieśń w wyobraźni własnej skomponowaną, będącą jakby oddźwiękiem jej uczuć, echem duszy stęsknionej, i jak ona młoda, pełną nut rzewnych i szumnej werwy, buńczuczną trochę.

Lora inaczej odczuwała bujność przyrody, mówiła gorączkowo:

– Patrz, Andziu, jak kuropatwy parami już spacerują, wszystko się kocha na zabój i aż drży do miłości. Wczoraj widziałam bociana na topoli za stodołą. Muskał bocianicę dziobem i czochrał jej pióra; tak ją całował, a potem klekotali, klekotali razem; może to taki ich ślub?... Motyle tłuką się na świeżej trawie, żaby skrzeczą, bo także się kochają, ptaki, żuki, owady, wszystko romansuje, gzi się, szaleje! Gdzie spojrzysz, tam wesele i miłość! Oj, Andziu! I mnie tak coś rozpiera, jakby jakieś soki we mnie wzbierały, niby w roślinie, co ma zakwitnąć. Tak mi gra we krwi, że rzuciłabym się na ciebie bodaj i... całowała do zapamiętania. Daj usta, Aniu!

Przypadła do Tarłówny i nagle wpiła się w jej wargi z pożądliwością niesłychaną, gwałtowną, drapieżną niemal. Żywym ogniem sparzył Andzię ten pocałunek, chciała się cofnąć, lecz Lora porwała jej głowę w obie silne dłonie i piekła usta dziewczyny coraz namiętniejszymi pocałunkami.

⁸ Tamże, s. 80–81.

⁹ Tamże, s. 157.

— Puść mnie... ty!... Puść!

Odepcnęła towarzyszkę i odskoczyła od niej.

— Tyś się chyba wściekła? Lorka, co tobie jest?

Smoczyńska blada, dysząca, miała oczy pokryte dziwną mgłą i rysy ściągnięte kurczowo, niby bólem fizycznym. Splotła drżące z podniecenia palce rąk i, przytknąwszy do ust, zaczęła je gryźć białymi zębami. Głuchy jęk czy skowyt wydobywał się z jej piersi.

— Ja się naprawdę... wścieknę, już nie mogę... nie mogę!...

Pobiegła pędem w głąb lasu.

Innym razem w nocy Andzia, obudziwszy się, ujrzała światło w pokoju.

Przed wysokim lustrem bieliźniarki stała Lora, lecz wydała się Andzi sennym widziadłem. Była zupełnie obnażona, tylko biodra jej opasywał suty, gazowy, niebieski welon i związany na środku w fantastyczny węzeł, opadał nisko. Na szyi wisiały bladoróżowe korale i wielkie mleczone bursztyny, ramiona ściskało parę złotych bransolet i opaski ze złotej wstążki. Włosy Lora miała rozpuszczone falą jasnorudą, przepyszną jak płynne złoto, ujęte nad czołem w taką samą przepaskę. Przegięta w tył ruchem bachanckim, ręce miała wzniesione i założone za również odrzuconą głowę. Usta uśmiechały się lubieżnie, źrenice lśniły ogniem. Cała różowocielista w świetle błękitnej ampli, zdawała się być posągiem. Ciało miała silne i rozrośnięte; szeroka w biodrach, o wypukłych, twardych piersiach, prężna była i, pomimo nadmiernie rozwiniętych kształtów, powabna pierwszą młodością, lecz namiętą i pragnącą.

Tarłówna usiadła na łóżku zdumiona, myśląc, że śni.

— Lora!

A tamta przegięła się jeszcze silniej w tył i drgnąwszy lekko, wolnym, leniwym ruchem, bezwiednie może wyuzdanym, odwróciła do Anny owianą złotem głowę.

— Zbudziłaś się?... Patrz! Prawda, żem piękna?... Ja nawet sama nie wiedziałam, że jestem taka, bo... to, co najpiękniejsze, to się szmatami zakrywa... to niby nieprzyzwoite. Barbarzyństwo! Nos, który się wyciera nieestetycznie, i usta ładowane pieczeniem mają być przyzwoitsze?!

Patrz, jaką ja mam skórę, karnacja marmuru, a w dotyku atlas, miętka, ciepła... a moje piersi — widzisz? Jakie jędrne, pełne młodości i siły, a różowe jak czary pełne wina rubinowego. Cóż tak, Andziu, takie zdziwione masz oczy?

— Piękna jesteś istotnie, Loro, ale... sama nie wiem... może to robi wstyd... jednakże... gdybyś się nie obnażała...

— Byłabym piękniejsza, prawda?... Ha! ha!... Cóż za biblijne przekonanie! Piękne nagie ciało to nie jest wstyd, moja Andziu, to nie jest też zasługa, lecz sztuka. Gdybym podziwiała własne cnoty lub jakikolwiek swój wytwór, mogłoby to być niesmaczne, jako przechwałka, ale patrząc na swoje kształty, podziwiam w nich naturę, artyzm.

Podeszła od Tarłówny i stanęła w całej pełni światła i swej wyzywającej postawy.

— Ty tak mówisz, bo jeszcze sama siebie nie znasz, zdejm bieliznę, a zobaczysz. Ja cię kiedyś podglądałam w kąpiele, ale i bez tego wiem, żeś cudownie zbudowana. Tylko jesteś bardziej wiotka ode mnie, masz płynniejszą linię bioder i mniejsze od moich, lecz wyniosłe i krągłe piersi. Przy tym ja jestem rozrośnięta, a tyś drobna, mnie zakuć w marmur, ciebie rzeźbić z alabastru. Rozbierz się, Andziu.

— Za nic na świecie! — zawołała dziewczyna, płonąc na samą propozycję.

— Dziecko jesteś! Wszak nas nikt nie widzi, a choćby zresztą?... Mnie się nie wstydz, ja będę cię tylko podziwiała. Wyobrażam sobie, jak by wyglądały twoje czarne warkocze, rozplecione na plecach różowych, ścisłałybyś pewno kolana i rzęsy, których ci zawsze zazdroszczę, opuściłybyś na zarumienione policzki. Wystąpiłaby ci na brzaskwinio-we ciało lekka, gęsia skóra wstydu i drżałabyś taka śliczna. Ubiorę cię, Andziu, w ten koralowy woal, ustroję cię jak grecką Kirke lub dziewczę niewinne, wybrane dla sułtana, ja zaś będę heterą. Chodź!... Urządzimy żywy obraz.

Andzia zawinęła się szczelnie w kołdrę, lecz oczy jej rozpały się. Ciekawość porwała ją nagle, jak by też wyglądała w takim stroju i czy byłaby piękna jak Lora. Dreszcz ją przenikał, chciwe pragnienie tego widoku ogarnęło ją burzą. Zbudziła się w niej zalotność i przeczucie

własnej piękności, i niezmierna ochota, aby pokazać się w całym blasku urody Lorce, pyszniącej się bogactwem własnych wdzięków. Niepokojący dreszcz zmienił się w dygot namiętny, w pragnienie ujżenia nagości swego ciała plastycznie, w dziewiczym rozkwicie. Czy też ona jest także tak piękna?...

Lora kusiła.

— Chodź, Handziu! Ten twój wstyd dodaje ci tylko uroku. Jesteś jak muszla, w której tętni życie, a ty myślisz, że jesteś chłodna. Jak się ujrzysz bez tych tam powijków, rozkochasz się w kształtach i zapomnisz o niemądrej pruderii, rozpali ci się krew, rozkwitniesz niby róża pąsowa, wydobyta na światło spod klosza. Chodź do... lustra...

Chwyliła Andzię za obie ręce i szarpnęła w górę.

Jednym rzutem podniesiona sprężyste, dziką mocą nerwów rozhuśtanych, z ogniem w żyłach, Andzia wyskoczyła z łóżka.

Lora błyskawicznie zdarła z niej koszulę, wołając:

— Ach! Gdyby cię tak ujrział Olelkowicz...

— Nie! Nie! Za nic! Za nic!

Z okrzykiem Andzia nurknęła pod kołdrę, zanim ją Lora zdążyła zobaczyć.

Tarłowna zwinęła się jak ptak biały w gnieździe i wysunąwszy rękę do Lory stojącej przed łóżkiem z koszulą w ręku, wyszeptała trzęsącymi się ustami:

— Daj mi to!... Daj!...

Smoczyńska rzuciła jej bieliznę bez słowa, odeszła do swego łóżka, wzruszając ramionami.

— Może to i ładne... — myślała — ale ja taką być nie potrafię¹⁰.

Gorąca krew pcha Lorę w ryzykowną przygodę. Andrzej od początku bardzo się jej podoba, niestety, wybrał już Andzię. Mimo to Lora nie chce z niego zrezygnować, a ponadto zdaje sobie sprawę, że nie jest mu całkiem obojętna. Postanawia wypróbować siłę swych wdzięków.

¹⁰ Tamże, s. 87–89.

Obnażonymi stopami klepała po trawie, aż zaróżowiły się ogniecie. Andrzej patrzył na to zarumieniwszy się.

— Ja wiem, co pan myśli! — zawołała Lorka.

Podniósł na nią ciekawy wzrok.

— Myśli pan, że ja jestem kwiatem, ale w pokrowcu, i że...

— Niech pani nie kończy — szepnął przez zaciśnięte zęby i posunął się do niej o krok bliżej. Zmysłowy kurcz skrzywił mu usta, błyskał zębami łakomie, paląc Lorkę wzrokiem swych głębokich ciemnych oczu.

— Czy powinnam się pana bać?... — spytała słodko, z wabiącym uśmiechem.

— Jak pani uważa. Zdaje mi się jednak, że oboje wkraczamy nieco na bezdroża...

— Jesteśmy przecie na moczarach i w puszczy, nawet w lepszych warunkach niż Adam i Ewa, bo nikt nas stąd nie wypędzi.

— No i nie ma węża kusiciela — rzucił Olelkowicz trochę ironicznie.

— Oo! To zbytrocne! Świat się już na tyle zreformował, że kusiciel byłby tylko przeszkodą.

Olelkowicz zaśmiał się krótko, nerwowo i nagle usiadł tuż obok nóg Lory, na trawie, chyląc głowę do jej kolan.

— Wolno oglądać, nie wolno dotykać — szepnęła zadyszana.

— Więc znowu obostrzenia takie jak w raj? Owoc zakazany?

— Tak.

Patrzyli sobie w oczy, on już złowrogo, ona trochę niby spłoszona. Czuła, że jej dobrze w tej metamorfozie. Po wyzywającej odwadze nagły lęk, jakby skrucha poddańcza, jakby błaganie go o litość. Była świeża, mocno zaróżowiona, nęcąca powabem ślicznych oczu, jędrnego ciała, które z nóg obnażonych i odkrytej głęboko szyi i rąk tryskało młodością i gorącą krwią.

— Ma pani usta jak jagody — rzekł głosem cichym, wzburzonym.

Uśmiechnęła się, odsłaniając zęby białe i barwne dziąsła.

— Jak maliny czy wiśnie?...

— Nie, jak młodziutkie borówki, krzepkie, pełne słodkiego miąższu; malina, wiśnia, to takie miękkie, pani usta jak borówka.

– Lubi pan chrupać borówki, tak je rozgryzać... Wie pan, aż do bólu.

– Panno Loro!...

– To musi być bajeczne.

Olelkowicz zerwał się, stanął nad nią jak jastrząb, krew w nim grała, drżał. Ale Lora już się nie zlekła, wyprężyła się w tył całą swą figurą, położyła głowę na torbie myśliwskiej Andrzeja, którą miał przy boku, ponad ramionami wyciągnęła do niego ręce i powtórzyła cicho przez półotwarte usta:

– To musi być bajeczne...

Krzyknęła przestraszona gwałtownym jego ruchem, pochylił się nad nią łakomie i usta gorące wpił w jej krwawe wargi. Przeginał ją w tył coraz bardziej, aż zwiśla mu zupełnie w pozie prawie leżącej na jego rękach. Wówczas wykręciła się wężowym ruchem, powstała i pierś wypukłą rzuciła w niego, oplótłszy mu ramionami szyję. Usta swe wgniatała w jego wargi z pożądliwością doświadczonej, bardzo namiętnej kobiety.

To właśnie ocuciło Andrzeja, oderwał się od niej prawie przemocą i trąc dłonią sfalowane czoło, szepnął z lekką wymówką:

– Ach, panno Loro!

Ona, przechylona w tył, zakryła oczy dłonią, z ust jej rozpalonych jak płonące żelazo wybiegał krzyk stłumiony.

– Szaleć! Szaleć! Szaleć!

– Nie ze mną – burknął zły.

Powstała z impetem, gniewna i dysząca jeszcze rozkoszą, ukuła go oczyma strasznymi, których błękit zamienił się w chmurę groźną, piorunami siejącą.

– Dla kogo się rezerwujesz? – krzyknęła.

Olelkowicz pomyślał, że oszalała.

– Panno Loro, myśmy się oboje zapomnieli, proszę mi wybaczyć, posunąłem się za daleko, pani zbyt śmiało zagrała mi na nerwach.

– Dość tych deklamacji, nie jestem z tego rodzaju panien, które po spełnionym fackie robią z siebie ofiarę. Wykradłam się umyślnie z leśniczówki, przyjechałam do tartaku na jakiejś furze desek, a stamtąd

parę wiorst przebrnęłam sama, wszystko w celu spotkania pana tu, gdzie pan myśli chyba o tych starych ruinach lub... marzy o czymś nie-dościgłym. Ja nie jestem utopia, tylko... słodka rzeczywistość — (zalogotny uśmieszek). Chcę szалу sama i tobie chcę go dać.

— To zbyt ryzykowne, panno Loro — szepnął pomieszany, nie umiejąc wybrnąć z przykrej dlań sytuacji.

Jednocześnie doznawał dwóch rozbieżnych z sobą uczuć: porywu zmysłowego do Lory i odrazy. Czuł jednak, że ten poryw jest tak silny, tak przeszywający go na wskroś, że obawiał się sam, by ten wichur, rozhułany we krwi, nie zniweczył słabego już pulsu szlachetniejszych uczuć. Gdyby Lora nie była Lorą Smoczyńską, koleżanką Andzi i tak bliską tej! Gdyby była obca...

Stała przed nim wyzywająca i piękna w gniewie, każdy nerw drgał w niej, krew przelewała się po jej żyłach wzburzoną kaskadą płomieni. Patrzała w oczy Andrzeja pragnąca, usta jej drżały.

[...]

Panno Loro, proszę nie igrąć ze mną — ryknął przez kurczowo zacisnięte usta — pani widzi sama, co się ze mną dzieje, proszę nie wyzywać nieszczęścia.

— Jakiego nieszczęścia? Czyś pan zwariował?..

— Jestem młodym mężczyzną i w tych warunkach mogę się zapomnieć, mogę naprawdę zwariować, to byłoby dla mnie nieszczęście.

— Ach, jakież paradny! Trzymaj cnotę na uwięzi.

— O panią mi chodzi! — wybuchnął Olelkowicz, tracąc władzę nad sobą.

Chwycił Lorkę za rękę powyżej łokci i szarpnął nią silnie. Straszny był, twarz miał zmienioną, wściekłą, niemal dygotał jak w konwulsjach.

— Odejdź stąd natychmiast! Uciekaj, bo cię mogę dogonić! Jestem zwier, uciekaj na Boga! Błagam cię o to.

Oczy jego rzeczywiście wyrażały przy całej swej grozie niemą prośbę.

Znieruchomiał z nowego zdumienia, gdy Lora ruchem tygrysim zarzuciła mu rękę na szyję i tuląc się do niego, wołała z zapalem:

— O tak! Tak! Takim cię lubię, jesteś pyszny! Lew mój, pan mój! Jesteś wspaniały! Szaleję za tobą! Porwij mnie w swe szpony, szalejmy razem!... Jędrek!...

Uniosła się na palcach i usta swe przytknęła do jego warg z żądzą zaraźliwą, aż straszną. Olelkowicz warknął zduszonym głosem i zgniótł ją w swych barach potężnie. Lora wyprężona ciągnęła go za sobą w tył, mocniej, mocniej.

Andrzejowi świat zakręcił się w oczach, skała zaczęła skakać i tańczyć przed oczyma. Lora wydała mu się nagle furią ciągnącą przepaść.

Szarpnął się mocno.

— Jędrek mój... Jędrek! — szeptała nieprzytomnie¹¹.

Olelkowicz nie ulega całkiem pokusom Lory, co nie oznacza, że jest z siebie zadowolony. Może to zaskakujące i niezgodne z powieściową konwencją, lecz żałuje, iż pochopnie odepchnął tę ponętą dziewczynę. Analizując swoje uczucia, zastanawia się, dlaczego tak postąpił: „Skrupuły, etyka, lęk przed zobowiązaniami, dobre wychowanie... Ach, głupstwo! Taka rozkosz i dobre wychowanie! Ha, ha, ha!”¹². Teraz i czysta miłość do Andzi nabiera rumieńców. Wpływa na to również pośrednio sam Kościeszka, który wszelkimi sposobami chce rozdzielić zakochanych. Młodzi spotykają się więc w tajemnicy, w miejscach odosobnionych, po kryjomu. Niekiedy korzystają z życzliwości starego leśniczego, który ze wzruszeniem i niepokojem śledzi losy Andzi.

Andzia, ogarnięta niespodziewanym a słodkim przecuciem, skoczyła naprzód, ale zatrzymał ją głos znany, za drzwiami mówiący:

— Ciekawym tej niespodzianki... pewno Grześko coś zmyśla...

Gwałtownie otworzone drzwi ukazały w swych niskich ramach wyniosłą postać Olelkowicza w sportowym ubraniu, ze strzelbą na ramieniu. Stał olśniony widokiem Anny, twarz mu się zmieniła żywym kolorytem, oczy błysnęły.

¹¹ Tamże, s. 97–100.

¹² Tamże, s. 124.

Tarłówna z opuszczonymi ramionami wzdłuż ciała, spłoniona i drżąca, nie mogła słowa przemówić, oczy jej tylko płonęły wpatrzone w Andrzeja. On oprzytomniał, szybko podsunął się do niej, nic nie mówiąc, wziął obie jej ręce i zgniótł w swych męskich dłoniach. Bez słowa, tylko z oczyma w jej oczach, całował te ręce, tulił do swych ust pragnących, pieścił, oblewał gorącym oddechem, rozkoszował się nimi.

— Panno Anno, Handziu! Skąd się tu wzięłaś, jakim sposobem? To chyba cud? — wyszeptał pierwsze słowa.

Opowiedziała mu krótko o swoim spacerze, spotkaniu z Grześkiem i jego zaprosinach.

— Chytry stary, ale złoty człowiek, niech mu Bóg nagrodzi. I nic nie mówił, że ja tu dziś będę u niego?

— Ani słowa.

— Handziu!

Uczuł tak silny przypływ miłości do tej dziewczyny, że całą wolą panował nad sobą, by nie wziąć zaraz jej ust dziewiczych, by nie zgnieść w swych ramionach tej wiotkiej postaci. Czuł to pragnienie i aż drżał, ale zarazem czar potężny, wiejący od niej czar przemożny, jakiś nietykalny nimb trzymał go niby na uroczych więzach. Zerwać ich nie można, trzeba, aby same opadły, spić słodycz z tych ust niewinnych, to barbarzyństwo! Gdy one same purpurowe swe listki rozchyłą dla niego, gdy dobrowolnie zapachną jak leśna malina na jego wargach, wówczas rozkosz stanie się przeogromną, może umysł zatopić w sobie, do obłędu doprowadzić. Taka rozkosz to już szaleństwo, to obłęd.

I stali tak blisko siebie wtuleni oczyma w oczy, duchem sobie oddani, szczytni wielkim uczuciem. On trzymał w dłoniach jej drobne, zgrabne, nieco opalone ramionka i odczuwał drżenie jej skóry aksamitnej, widział iskry złote zapalające się i gasnące w oczach jej czarnych, słyszał, jak tętniło w niej serce i puls, przeczuwał w niej ogień tlejący, który potrafi wybuchnąć szalonym promieniem; temperament ukryty, lecz bujny, stepową fantazją nasiąkły, samoistny, wartki niby strumień leśny i wierny. Odgadywał, że gdy ta dziewczyna rzuci mu się w ramiona, wówczas już może się świat zawalić, ale ona kochać go nie przestanie.

Minuty niebiańskiej rozkoszy, tej ekstazy zapatrzenia się w siebie, trwały za długo dla Grzeška. Umyślnie dał im czas na powitanie, marudził z umieszczeniem konia w stajence, ale wreszcie i to się wyczerpało.

Co oni tam robią?...

Ciekawie zajrzał przez szybkę w bocznym oknie. Stoją naprzeciw siebie, trzymają się za ręce i patrzą sobie w oczy, nic nie mówiąc...

Grzeško uśmiechnął się słodko i pokiwał głową.

— Oj, detyny, detyny!... Aby Bóg dał... bo to... Boże chorony...

Wzniósł mętne oczy w górę, z westchnieniem, jakby z prośbą, by myśl wstrętną a przykrą Bóg usunąć raczył... Zaskrobał delikatnie w drzwi i otworzył je cichutko.

Olelkowicz i Tarłówna odsunęli się od siebie, że zaś uczucia obojga były czyste, więc niez miesza ni wtargnięciem starego, zagadali do niego wesoło¹³.

Temperatura uczuć rośnie, erotyczne napięcie wzma ga się. Bohaterowie działają w dysharmonii ze sobą i swymi pragnieniami, pomiędzy miłością idealną a zmysłową; są coraz bardziej ludzcy i wiarygodni psychologicznie. Mniszkówna sceny te malarsko podbarwia i literacko stylizuje, są one bowiem kompozycyjnie szczególnie ważne. (Znów widoczny wpływ Sienkiewicza).

Puścił konia i pochylił głowę nad czarną główką Andzi.

Spojrzała na niego wielkimi oczyma, w których błąkała się jeszcze chmura przerażenia. Patrzyli sobie w oczy bez słów. Andrzej mocniej zacisnął ogarniające ją ramię, prawą zaś dłonią przykrył lekko jej skroń i tulił do siebie. Głowę upojoną schylał niżej i niżej.

Żrenice Handzi zmieniły szybko wyraz, chmura znikła, przybywała słodycz, złote iskry szczęścia posypały się z czarnych otchłani. Rzewność napłynęła do jej cudnych oczu, aż trysnęły takim snopem zachwytu, że zdawały się głośno szeptać... kocham...

¹³ Tamże, s. 128–129.

Mrużyć się zaczęły pod naporem oczu Andrzeja, długie zasłony czarne opadały z wolna, z melancholijną, uroczą zadumą.

Dziewczynę spłonioną, aż pałającą, oblewał wrzątek oddechu Andrzeja, dłoń jego z jej skroni przesunęła się pieszczotliwie na owal profilu, uniósł jej drobną twarz ku sobie i usta przycisnął – przykleił niemal do rozchylonych ust dziewczyny. Trwali w pocałunku długim, świętym, do bezmiaru upojnym. Zatracili pamięć o wszystkim. Skupili się tylko w ustach swych, pijąc z nich najwyższą rozkosz. Ramiona swe zacisnął mocniej, twarz jej tulił jak jaskółkę w gniazdku, utworzonym z własnej piersi i dłoni gorącej, wyczuwał drżenie całej jej postaci, a z ust pił i pił szczęście, aż do utraty tchu. Omdlewali z miłosnego szału, co płomienną zawieją wicherzył w nich. Żrenice Andrzeja zasnuły się mgłą, czuł wzburzone tętno krwi, ale uczucia jego były przy tym tak słodkie i dobre, że nie skalał ich nawet cień zmysłowego pożądania. Pragnienia jego, by tę dziewczynę swoją wtulić w serce gorące, osnuwały ją niby błękitna przędza i czarem, i mocą hipnotyzującą wsiąkały w jej serce, utrwalając w nim ufność i wiarę bezkresną...

Niesłuchanie wzniosła chwila, uroczy hejnał, dwuśpiew serc spojonych – nie miał zda się końca.

Bez tchu w piersiach zachłysnęli się własnym upojeniem i odezwali od siebie usta zdyszani, bladzi. Na krótką tylko sekundę. Andzia przypadła mu do piersi twarzą, przylgnęła do niego, ręce zarzuciła mu na szyję. On porwał ją całą w ramiona. Całował bezpamiętnie oczy zamknięte i ze szczęścia łzami zroszone, całował brwi, czoło jasne i puchy czarnych zwichrzonych włosów. Odsunął ją lekko od siebie, zajrzał w głębiny jej źrenic przyćmionych bujną rzęsą i znowu szalał:

– Hanulko moja, Handziuś jedyna... dziewczyno złoto, najcenniejsza moja... moja żona, moja na wieki, podnieś rzęsy, spójrz mi w oczy, nazwij po imieniu... Handziu ukochana!...

– Chcę być twoją, Jędreku, tylko twoją, już... na zawsze...

Zduśił ją w uścisku gwałtownym, podniecony jej słowami i wyrazem rozmiłowanych jej oczu.

– Będiesz moja, dziewczyno... zabiorę cię do siebie, do Prokopyszcz, Hańdziu, Hańdziu!... Ile szczęścia!...

Zatonęli znowu w porywającej pieszczocie ust rozpalonych, łaknących i sycili się ich słodyczą.

Ocucił ich kasztan, który mokre chrapy przysunął do głów spojonych w pocałunku i głośno, wciągając powietrze, musnął ich rozwartymi nozdrzami.

Tarlówna pierwsza oderwała się od Andrzeja, twarz zaognioną przytuliła do grzywy bachmata, ogarnęła szyję konia ramionami.

— Śliczny, kochany kosiu, mój!... Złota kosia, dobry, nosił pana do Turzerogów, do mnie nosił, będę kochała, hołubiła...

— Patrz, Hańdziuś, Watażka cię rozumie! O, jak wacha twoje włosy, jeszcze cię poślini... — mówił Olelkowicz rozpromieniony i trącił lekko w nozdrza rozdęte swego faworyta.

— Przepadałem zawsze za tym źrebce, to z mojego stada, własnego chowu, i właśnie on mnie nosił do ciebie, przy nim nastąpiła ta chwila nasza urocza, tak oczekiwana. Trzeba go nagrodzić za to.

Mówiąc to, młody pan porwał nagle Andzię pod ramiona i uniósłszy błyskawicznie, posadził ją na siodle. Zaśmiała się figlarnie, ogarniając suknie. On skłonił się przed nią nisko i zawołał z tryskającą radością w głosie:

— Pani Andrzejowa Olelkowiczowa na Prokopyszczach i Dubowie. Jasna pani, świetlista moja pani...

Przytulił głowę do jej kolan, ucałował stopy, po czym wyprostował się jak struna.

— Daj mi łapięta swoje, jeszcze ich dzisiaj nie całował; chłonałbym ciebie! Ja chyba oszaleję!

Przypiął się do jej rąk, ona oparła czoło na jego głowie i usłyszał jej cichutki szep:

— Czy prędko będę... twoją... w Prokopyszczach?...

— Dziś, zaraz porwałbym cię na mego Watażkę i zawiózł pod mój, pod nasz dach... Hej... Handziu!...

Ogarnął go wściekły huragan szale, jednym susem skoczył na konia i zanim się ona spostrzegła, siedział już na siodle, trzymając ją jak dziecko przed sobą.

— O tak!... Tak bym cię wioził do siebie, jak Tatar brankę, jak dzi-ki sokół gołębia, i gnałbym przez stepy i bory, tratowałbym kurhany, z moją zdobyczą, z moją świętą, złotą dziewczyną!

— Jędre!... Jędrku... mój! — krzyknęła Andzia pochwycona przez niego jakby w drapieżne szpony orła.

Przycisnął ją do siebie tak mocno, że prawie znikła w jego objęciu. Spod ramion jego spływały jej rozplecione warkocze, a nad sztylpami jego butów zwisały drobne stopy opięte w brązowe buciki. Była wtulona w niego, przygarnięta do jego piersi na jednym siodle, okryta jego uściskiem, chłonięta pocałunkami. Watażka zrywał się do biegu, przysiadł na tylnych nogach, rzucał łbem, chrapał, parskał rozgłosnie i nogą kopał z fantazją.

Kołysał ich na sobie, jak w rytmicznym kłusie, wreszcie wstrząsnął grzywą i zarżał z brawurą, z temperamentem, niby surmy triumfalne, pobudkę na szczęście dla swego pana i jego wybranej. Ale Olelkowicz zląkł się trochę tego hołdu konia, odsunął Handzię, zeskoczył i zniósł ją z siodła¹⁴.

Liczne przeszkody, które piętrzą się na drodze ku szczęściu, próby uczuć i charakterów, przyspieszają decyzję połączenia się węzłem małżeńskim. Olelkowicz przyjeżdża, aby oficjalnie prosić o rękę Andzi, jednak Kościesza kategorycznie odmawia.

— Tłumaczyć się panu nie będę, lecz powtarzam, że mężem Andzi nie zostaniesz pan nigdy, przenigdy!...

W głosie Kościeszy drżały gromy.

— Dlaczego?! — wybuchnął Andrzej wzburzony do najwyższych granic — żądam odpowiedzi. Żądam jej od pana.

— Lecz jej nie dostaniesz... gdyż tak mi się podoba!

Andrzej zwrócił się do Andzi.

— Słyszysz pani wyrok na nas?... — spytał głucho.

¹⁴ Tamże, s. 133–135.

Lecz w tej chwili drżąca, półprzytomna i śmiertelnie blada Tarłówna zmieniła się nagle; wyprostowała smukłą swą postać, policzki trysnęły rumieńcem, w oczach czarnych błysnął zapal, zamigotały w nich ognie bohaterstwa. Wzięła Andrzeja za rękę i stanęła z podaną naprzód piersią, jakby gotowa do walki.

Rosły w moc przedziwną jej słowa, gdy mówiła:

— Kocham pana Andrzeja nie dziecinnym uczuciem, lecz miłością głęboką i stałą, nie zrzeknę się tej miłości nigdy, za nic! Pragnę zostać jego żoną i ojczym mi tego nie może zabronić. Dusza moja i serce zrobiły dobry wybór, jak najlepszy, żadna siła nie zdoła nas rozłączyć. Opieka ojczyma nade mną nie rozciąga się aż do mej duchowej istoty.

— Czy to pańskie dzieło, ta jej retoryka? — spytał Kościesz z ironią.

Ale Olelkowicz patrzył nań tak pogardliwie, że tamten mimowolnie odwrócił oczy.

— Proszę cię, Anno, wyjdź z pokoju, nie przystoi jeszcze tobie wdawać się w takie dysputy. Bardzo się dziwię zmianie, jaką w tobie widzę... Panicza proszę o łaskawe opuszczenie mego domu bez prawa powrotu. Wszelkie głupstwa trzeba sobie wyperswadować, gdyż stać się nie mogą. To są moje w tej sprawie ostatnie słowa.

Olelkowicz walczył resztkami sił, panując nad sobą.

— Ja zaś daję panu słowo honoru, że nigdy miłości tej nie zapomnę i że zrobię wszystko, co leży w ludzkiej władzy, aby zdobyć Annę za żonę. Pańskich dąsów i gróźb nie obawiam się, gdyż sojusznikiem moim jest jej serce.

— I na wieki pozostanie! — zawołała dziewczyna, podając mu obie ręce. Ucałował je w milczeniu, z wymownym spojrzeniem skłonił się chłodno zdumionemu Kościeszy i wyszedł.

Andzia podążyła w ślad za nim, odprowadzając go aż na ganek.

Kościesz zaśmiał się jak diabeł, wyrzekł twardo i głośno, sam do siebie:

— Złamię cię, zgniotę jak robaka, lecz... jej nie dostaniesz¹⁵.

¹⁵ Tamże, s. 149–150.

Powtórna wizyta Andrzeja, tym razem w towarzystwie stryja (zastępującego mu zmarłego ojca), także nie przynosi rezultatów. Uporu i gniewu ojczy-
ma Andzi nie są w stanie przełamać żadne argumenty czy prośby. Kościeszka
nie chce ujawnić powodów swego sprzeciwu. Próby porozumienia okazują się
bezskuteczne. Dopiero w rozmowie z pasierbicą, uniesiony gniewem, zdradza
swoje odrażające plany.

Kościeszka wyprostował się dumnie.

— Ach, więc mu wierz, ale żoną jego nie zostaniesz! Był u mnie,
był ze swym stryjem, obaj parlamentowali zawzięcie, stary prosił, żądał
argumentów, dlaczego nie pozwalam, młody rzucał się jak lew, chcia-
łem chwytać za rewolwer przed tym twoim ukochanym... Ha, ha, ha!...
Cóż się stało?... Odjechali z kwitkiem, nie dałem żadnych wyjaśnień,
nie wyjawiłem powodów.

— Bo ich nie ma! — krzyknęła Andzia przez łzy.

Kościeszka z wykrzywioną zwierzęcą twarzą chwycił ją za rękę
i ścisnął jak w kajdanach. Zasyczał tuż nad nią.

— Tak, tak... bo ich nie ma! Żadnych nie ma, a pomimo to ja nie
pozwalam. Rozumiesz mnie teraz?!

Tarłówna rozplakała się.

— Nic... nic nie pomoże... — łkała — nie wydrze mi ojczym ser-
ca, zawsze kochać Andrzeja będę całą duszą, całym... całym sercem...
i choćby mnie więzili... choćbym umierała, tylko on... tylko Andrzej...
mój... mój...

Wyrwała rękę z uścisku Kościeszki i zakryła oczy. Szlochając pod-
niosła głowę do góry, usta jej mokre, paliły się żarem i rozwarte lekko
dyszały namiętą rozpaczą. Przegięta w tył jak dziecko płaczące, uka-
zywała w całej świetności smukłą, a toczoną jakby ręką snycerza figu-
rę dziewczęcą, uwypukliła się w tym ruchu drobna a kształtna pierś
jej i z szybkiego oddechu falowała ślicznie. Czar bił od niej potężny,
nawet płacz jej miał urok wyłączny. Świeżość, krasa niewysłowiona
cudnej płaczki podziałała na Kościeszę. Skoczył jak ugodzony. Zaha-
mował się, ręce mu drżały, twarz zesześcił konwulsyjny skurcz. Posu-
nął się do niej ze zniżoną na dół głową, z oczyma zbielełymi i jakby we

mgle, usta dziwnie rozsunięte bydlęcy miały wyraz. Był jak potworny tur zbliżający się złowrogo do swej ofiary. Drżał cały, podniecony bez granic, wargi mu zsiniały, czoło osiadły gęsto sinoczerwone sznury żył, policzki skłębiły się w jeden wstrętny węzeł. Bładoszary jak glina, lśnił potem, przerażał wyglądem. Zmagał się z sobą demonicznie, trzymał samego siebie na mocnym łańcuchu, ale szarpał go, gryzł z wściekłości, topił tę zaporę w ogniu własnej krwi, gigantycznie rozkipiałej, rozbestwionej do okrucieństwa. Drażniły go pęta.

I... zerwał hamulec. Z pomrukiem zdławionym rzucił się na Andzię jak wąż boa dusiciel, zamknął ją silnie w swych ramionach, zgniótł, ogarnął całą, że nie mogła krzyknąć ani oddychać. W pierwszej sekundzie straciła jakby przytomność, lecz wnet myśl obłądna zawirowała w jej głowie, że on ją chce dusić, że ginie... Szarpnęła ramiona, bez skutku, ścisnęła ją jakby żelazne klamry.

Jęknęła boleśnie. A wtem twarz jej sparzył rozpłomieniony oddech jego i spadły na nią gwałtowne pocałunki dyszących warg. Spadały na oczy jej, na policzki, czoło i porwały z dziką pasją usta jej dziewicze.

Wówczas pełna wstrętu z całej siły pchnęła go, ale nawet się nie zachwiał, zdusił ją ponownie i usłyszała jego szatański świszczący szept:

— Nie dam cię nikomu... zostaniesz ze mną na zawsze. Jutro jedziemy za granicę, czy chcesz, czy nie chcesz, wszystko jedno! Tyś moja i dla mnie!... Tylko dla mnie!... Nikt mi cię nie wydrze!...

Tarłówna krzyknęła przeraźliwie. Słowa Lory Smoczyńskiej wypowiedziane w Wilczarach zahuczały w jej mózgu huraganem. Z niebywałą zręcznością wyslizgnęła się dołem z jego ramion jak węgorz i umknęła z pokoju.

Kościesza stał półmartwy, nagle opamiętanie skalpowało mu głowę zimnym nożem przerażenia, poczuł bezmierne osłabienie, ból przemożny rozsadał mu skronie, zachwiał się w kolanach. Zrobił parę kroków i ciężko padł na jakiś fotel. Przedmioty latały mu przed oczyma.

— Czy ja jestem chory?... Ja... chory?...

Rękę podniósł do czoła, ale i ramię zwisło mu bezradnie.

Złożył dłonie na kolanach i siedział cicho, czekając, aż minie odrętwienie. Pogrążył się w przykrej kontemplacji własnej, brutalnej nieostrożności.

— Za wcześnie wybuchłem... to źle... — kołatała myśl głucha¹⁶.

W tym momencie Andzia nie ma wątpliwości. Zna już przerażającą prawdę. Decyduje się uciec z domu, aby więcej nie narażać się na równie koszmarnie przeżycia. Do chwili ślubu zamieszka w swoim majątku, który odziedziczyła po matce, wśród życzliwych, oddanych jej ludzi.

Teodor Kościesza i teraz nie kapitułuje. Widząc, że przemocą nie osiągnie upragnionego celu, postanawia zmienić taktykę. Pozornie godzi się na ślub młodych, skoro aż tak bardzo się kochają, a ukradkiem przygotowuje zbrodnię. Autorka w psychologicznym rysunku tej postaci kumuluje teraz patologiczne rysy, co czyni nastrój powieści coraz bardziej dramatycznym: „Zły demon jego szeptał mu coraz nowe, potworniejsze pomysły. [...] Był już jak posąg kamienny, chłodny i straszny”¹⁷.

Na polowaniu, które organizuje, aby uświetnić przyjęcie zaręczynowe, pada zdradziecki strzał. Konający Andrzej wskazuje, skąd do niego mierzą, i umiera w ramionach narzeczonej. Wszyscy obecni zdają sobie sprawę, że byli świadkami morderstwa. Bez odpowiedzi natomiast pozostaje pytanie: kto jest winien?

Ojczym Andzi szybko i skrupulatnie zaciera ślady, sam likwidując niepotrzebny już wykonawcę swych rozkazów – Chwedkę. Zimowa śnieżna noc, leśna głusza, milczenie całej żyjącej przyrody – oto upiorny sztafaż kolejnego zabójstwa. Fragment ów mógłby z powodzeniem znaleźć się w powieści grozy.

Andzia Tarłówna po stracie ukochanego nie widzi dla siebie żadnego celu w życiu. Po ucieczce Lory z Adrianem Okszą, przypadkowo poznanym „złotym młodzieńcem”, chętnie poświęca swój czas na pielęgnowanie ciotki Malwiny – matki Lory i Janka. Daremnie Kościesza próbuje oderwać ją od łóżka chorej. Mija półtora roku oddanej i troskliwej opieki, lecz stan

¹⁶ Tamże, s. 181–182.

¹⁷ Tamże, s. 154.

cioci pogarsza się. Przyjeżdża wezwana telegraficznie Lora, strojna i światowa, podobna do „hetery Żmurki”. Na jej widok matka doznaje wstrząsu, co przyspiesza agonię. Na łóżu śmierci wymusza na Andzi przyrzeczenie, że zostanie żoną Janka. Dziewczyna zgadza się wbrew sobie, nie mogąc w takiej chwili odmówić.

— Chcę, pragnę w chwili zgonu... tego samego, o czym marzyłam długie lata. Chcę i proszę, aby Anna Tarłówna, tu obecna, i mój syn, Jan, połączyli się węzłem małżeńskim.

Słowa te spadły jak grom.

Andzia oderwała się od pościeli i skamieniała, przerażenie, rozpacz mignęła jej w oczach. Jan rzucił się do łóżka matki, padł na kolana i załkał:

— Mamo, nie żądaj tego od niej, nie żądaj... zaklinam!...

Chora gwałtownie zadrżała i uniosła się z okropnym wysiłkiem. Oczy jak dwa płomienie wyświdrowały się w Andzię, bładą jak zjawisko; rzekła z mocą w głosie wprost do dziewczyny:

— Pragnę tego i chcę. Ostatnią wolę umierającej spełnić trzeba, Jan kocha ciebie od dawna, miłością wielką, jest zacny, ma złote serce. Były przeszkody... Milczałam. Wola Boża. Teraz ich nie ma. Ciągłe po tamtym biedaku płakać nie będziesz. Życie i młodość ma swoje prawa. Szczęścia w domu nie zaznasz u ojczyma... już wiesz... jaki on jest. A... Jan cię kocha.

— Mamo... matko... na Boga! Nie zmuszajcie jej, nie żądajcie... — szeptał młody człowiek, trzęsąc się cały.

— Daj mi, Andziu, słowo, tu... zaraz... niech ja was pobłogosławię, niech wam związę ręce... niech się moje marzenie, choć jedno w życiu, spełni.

Umilkła, oddychając szybko. W pokoju panowała cisza grobowa, jakby wszyscy wymarli.

Po dłuższej przerwie chora znowu przemówiła.

— Testament mój wiadomy: Smoczew dla Jana, spłatę Lory w jego ręce powierzam. Chociaż nie jest godna miana córki, chociaż przyspieszyła moją obłożną chorobę i śmierć, ale jej przebaczam. Gdy

sama zostanie matką, wtedy zrozumie lepiej, jaką mi krzywdę zrobiła. Andzi, mej prawdziwej córce, oddaję to, co mam najdroższego... syna.

Znowu cisza.

Chora jakby się spieszyła. Dźwignęła się z męką widoczną i zawołała z rozpaczą:

– Dzieci moje, to... ostatnie chwile... Chciecie mnie dobić... milczeniem?... O Boże! Daj minutę jeszcze, niech usłyszę ich słowo... przed skonem. Łaski, Boże Wszchemocny!

W okrzyku umierającej, w jej głosie, w twarzy i w oczach wznie-sionych w górę była groza. Wszystkim zrobiło się straszno.

Jan wstał.

Spojrzał na Andzię. Była już spokojna, tylko martwo blada, rzęsy spuszczone rzuciły długie, sine cienie na policzki, usta zwarte mocno stłumiły otchłań jej uczuć. Gdyby umarła, nie wyglądałaby inaczej.

Smoczyńska gwałtownie chwyciła rękę Jana i wyciągnęła dłoń do Andzi ruchem stanowczym.

Dziewczyna podniosła rzęsy. Spotkała wzrok starej kobiety nakazujący, wszechmocny; jedynie może skon daje oczom taką siłę niezwalczoną.

– Podaj rękę – rozkazała.

Dziewczyna podała ją posłusznie. Była już bierna, oddana obojętnie swemu losowi.

Chora złączyła ich ręce.

– Przysięgnijcie mi, że uszanujecie moją wolę ostatnią.

Milczeli głucho. Wtem odezwał się Jan, głosem wzruszonym do głębi.

– Kocham Andzię więcej niż życie, wiedziałas o tym, matko, alem nie żądał od niej takiej ofiary, nigdy! Szanowałem jej miłość... potem żałobę. Jeśli ona podała mi teraz rękę pod przymusem... zwolnij ją, mamu, niech cię błogosławi... zamiast przeklinać. Zanadto ją kocham, by ją skuwać z sobą... bez woli...

Słowa jego, pełne powagi i tragedii, poruszyły Andzię.

Ktoś zapłakał w pokoju, to Butkowska szlochała skulona w kącie.

Chora upadła na poduszki, wyczerpana, ale trzymała ich ręce złęczone w uścisku jak w kleszczach, przesywała Andzię wzrokiem, który już nie nakazywał, lecz błagał, żebrał litości, o łaskę prosił:

...Zgódź się... zrób nawet ofiarę... niech ja umrę spokojna, bo już... już konam.

Tarlówna czytała to w oczach ciotki, widziała skupioną twarz Jana, jego duszę odgadła, oczekującą wyroku.

I oto w sercu jej przełamał się egoizm, coś wyszarpnęło zeń jakby ostatnią żyłą tętniącą. Zmogła w sobie wszystko, co krzyczało protestem... zwalczała już resztę swej jaźni!...

Konająca ostatkiem sił badała ją uważnie. Wzrok słabnął, lecz błagał.

— Andziu... córko... zostaniesz żoną... Jana? — wyszeptały usta stygnące.

— Zostanę.

Wydała wyrok na siebie¹⁸.

Tom I powieści kończy się obrazem podobnym, choć kontrastowym w nastroju, do sceny pierwszej. Ta sama para w świetle zachodzącego słońca, lecz jakże inna sytuacja... Nie jest to już otwarta przestrzeń przyrody, ale zamknięty krąg (wnętrze domu), w którym została „uwięziona” heroina romansu.

Słońce, zachodząc, rzuciło w okna dworku krwawe spojrzenia, gdy Andzia i Jan wychodzili z pokoju zmarłej... zaręczeni.

On nie śmiał na nią patrzeć, lecz serce mu rozsadzało uczucie niezgodne z żałobą po matce.

Stał niby przed otwartym skarbem, zapatrzonego w jego cud, ale jak złodziej, drżąc ze szczęścia i z obawy, że ten skarb nie dla niego, że on to straci, że ten blask się przed nim zaćmi, że prawa do tego cudu nie ma.

A jednak... był szczęśliwy...

¹⁸ Tamże, s. 231–233.

Tarłówna pustkę miała w sobie bezdenną i jakąś, nie jej własną,
poddającą rezygnację.

...Tak czy owak... wszystko jedno...

...Życ trzeba...

Słońce zapalało na niebie coraz jaskrawsze łuny, gorącą purpurą
buchające.

Koniec tomu I¹⁹

Akcja tomu II powieści przenosi się na francuską Riwierę, dokąd na zaproszenie Lory Andzia udaje się z panną Ewelina Niemojką, swą nauczycielką. Wyjazd ma być antidotum na apatię i melancholię, która od tragicznej śmierci Andrzeja nie opuszcza bohaterki. Podczas podróży pociągiem dostrzega ona mężczyznę, którego wygląd i zachowanie zdają się świadczyć o angielskim pochodzeniu. On również ją obserwuje, lecz czyni to bardzo dyskretnie i chłodno.

Pierwsze dni pobytu w Monte Carlo przynoszą moc wrażeń, nie zawsze pozytywnych. Andzia powoli oswaja się ze światem, w którym żyje Lora i jej mąż, Rumun Robert von Bredov Nordica, z nowymi znajomymi, ich rozrywkami, hotelami, kasynem. Wszystko to, całkowicie obce jej naturze, budzi niepokój, a nawet wstręt. Nachalność i obcesowość mężczyzn, swoboda życia kobiet, nieustanny gwar ludzi spragnionych wynaturzonych uciech, ekscytacji, schlebiających swym namiętnościom – oto obraz kosmopolitycznego świata, który poznajemy oczami bohaterki. W tej sytuacji ponowne spotkanie powściągliwego, chłodnego Anglika cieszy dziewczynę. Oskar Horski – bo tak się nazywa – okazuje się półkrwi Polakiem; urodzony i wychowany z dala od kraju, ma dość mglistą wiedzę o ojczyźnie swego ojca i odmienne od Andzi poglądy, lecz jej to nie razi, nawet tego nie dostrzega. Przeciwnie, nowy znajomy wzbudza jej ciekawość i odrobinę próżności, gdy wyznaje, że od chwili, gdy ujrzał ją pierwszy raz, wciąż jej poszukuje. Ofiarowuje się jako towarzysz, cicerone i opiekun w tym dobrze sobie znanym terenie. Tarłówna z ochotą przyjmuje jego propozycję, zastanawiając się zarazem, co ją w tym nieznanym

¹⁹ Tamże, s. 233–234.

człowieku tak mocno pociąga: „Rasowiec... twarz zwracająca uwagę; dziwny chłód, obojętność, uśmiech zagadkowy i oryginalny nie rozjaśnia całej twarzy ani oczu, skupia się tylko w ustach wąskich, nieco szyderczych? Głos niski, przytłumiony i dość suchy”²⁰.

Wkrótce wszyscy bywalcy domu Lory zauważają, że Horski nie odstępuje na krok „dumnej Polki”, jak powszechnie określa się Andzię, w stylu całkowicie odmienną od tutejszych, łatwych kobiet. Jej „dzikość” i chłód panowie z towarzystwa komentują rozmaicie i jednoznacznie są zainteresowani chwilą, gdy przebudzi się, zapłonie namiętnością, rzuci się w wir cielesnych uciech.

Horski tymczasem nie próżnuje. Stopniowo zdobywa zaufanie Andzi, zyskuje sympatię panny Eweliny i powoli, bardzo kunsztownie rozciąga się. Andzia, nieświadoma jego prawdziwych planów i charakteru, spragniona oparcia, zwierza mu się ze swych nieszczęść i bólów. Dzięki tym rozmowom mężczyzna poznaje subtelność i wrażliwą psychikę dziewczyny oraz dowiaduje się, że perspektywa poślubienia Janka napawa ją głęboką niechęcią, wręcz wstrętem i przerażeniem. Namawia ją do zerwania narzeczeństwa, szydząc z jej skrupułów i poczucia obowiązku. Postanawia także zacząć działać na własną rękę, gdy dowiaduje się, że jest bardzo bogata.

Patrzył na nią spod nasuniętych powiek. Szarozielonkawę oczy, jak fale, które kusiły ją w swe zimne objęcia. Czego on tak patrzy?

— Nie pojedziemy dziś do Villefranche. Panna Niemojska miała rację; pani jest cierpiąca, nie fizycznie, lecz duchowo. Każda choroba miewa przesilenie, pani przechodzi je obecnie. Rezultat powinien być wyborny.

Andzię ogarnęła żądza jątżenia samej siebie. Zaśmiała się dziko, nienaturalnie.

— Rezultatem będzie przyspieszony powrót do kraju i... ślub.

— Przeciwnie! Zerwie pani ze Smoczyńskim i pozostanie tu jeszcze.

— Pan mi dyktuje, co mam robić? A, to rzeczywiście oryginalne!... Ha, ha, ha!

²⁰ Tamże, s. 259.

— Nic nadzwyczajnego. Gdyby pani była dla mnie zupełnie obojętną, zachowałbym się inaczej. Ale ja chcę mieć panią dla siebie, zatem nie dopuszczę do ślubu ze Smoczyńskim. Zwróci mu pani słowo jak najprędzej.

Andzia nie zrozumiała dokładnie jego intencji.

— Złamać przysięgę, unieszczęśliwić tamtego, zostać tu — wszystko dla dogodzenia pańskiej fantazji?... Tak? Dlatego, żeby pan miał z kim odbywać wycieczki po morzu?

— Nie dla fantazji, ale dla moich pragnień. Pani zerwie z tamtym, bo to niedorzeczność i... zostanie moją. Nie do wycieczek morskich i lądowych, ale moją w całym tego słowa znaczeniu.

— Pan jest chyba nieprzytomny?! — zawołała głucho, czując, że serce i wszystkie jej odczucia zastygły nagle, jakby przestały żyć. Czy już skoczyła w zielone fale?... Czy objęły ją chłodne, a jednak palące ogniem, niezgłębione otchłanie wód?

Nie, bo oto znowu jego głos:

— Nigdy nie bywam nieprzytomny, okrzyk pani zadziwił mnie. Powtarzam, że pragnę mieć panią za żonę. Czy to jest coś tak bardzo nieprawdopodobnego?

Tarłówna źrenice szeroko otwarte wlepiła w jego twarz, jak zawsze spokojną, poważną, którą rozjaśniał teraz lekki uśmiech na ustach, trochę drwiący, czy może zmysłowy? Nie było na nim znać ani wzruszenia, ani zakłopotania.

— Och, no! Patrzy pani na mnie z takim wyrazem, że gdybym był mniej zrównoważony i... pewny siebie, mógłbym sam wątpić w trzeźwość mego umysłu. Ale mi to nie grozi. Wiem doskonale, czego chcę od życia. Obecne żądanie moje: mieć panią dla siebie, zdobyć ją. Jest to żądanie silne niezmiennie. Proszę wierzyć, panno Anno.

Ostatnie słowa wypowiedział miękko i łagodnie, zamigotał mu w oczach cieplejszy promień, na twarzy drgnęły mięśnie.

Andzia była wciąż ogłuszona. Nie mogła przyjść do siebie. Spodziewałaby się prędzej wszelkich ewentualności niż takiej sytuacji. On nie spuszczał z niej oczu.

— Nadużyłem niesłuchanie zaufania pani. Co?... Nie tylko że uwielbiam ją od dawna, ale chcę być mężem. Hm!...

— Nigdy bym nie przeczuła... że pan?...

— Że się stanę epuzerem. Co?... Ja sam jestem zdumiony tym objawem.

— Że pan o mnie... wiedząc wszakże...

— O panu Smoczyńskim?... Że się odważyłem z nim rywalizować?... Nic prostszego. Widziałem wybornie, z jakimi uczuciami patrzyła pani w perspektywę tego związku. Wysoki altruizm pani, lub też chwilowa abnegacja życia, wywołana wypadkami poprzednimi, sprawiła, że przy łożu tej... ciotki wydała pani na siebie wyrok, tyżący się całej przyszłości i to tylko *par mègarde*. Nikt nie myślał, aby sprostować ten nieuważny krok. Pani tym bardziej. Brnęła z rozpaczą w duszy, lecz bez instynktu samoobrony. Nawet instynkt budził się, ale zawsze zabijało go drakońskie prawo pod nazwą „Muszę”. Ta przysięga złożona przed ołtarzem konającej, zatem wątpliwie, czy zupełnie poczytalnej ciotki. I zabrnęłaby pani. Pan Smoczyński nie dałby jej rozgrzeszenia. W takim razie szlachetne kapłaństwo idzie na bok. Przeważa własny egoizm.

— Jan kocha mnie... bardzo i nie wie o... moich walkach — szepnęła.

— Powinien wiedzieć. Wie na pewno. Pani obłudna nie jest. On tylko nie reaguje na to. Ja mu się nawet nie dziwię, sam nie byłbym lepszy.

— A jednak pomimo to... — zawahała się.

— Kopię pod nim dołki? Tak?... To rzecz ludzka, zresztą pograżając jego, chcę ratować panią i uszczęśliwić siebie. Mielicie oboje runąć w przepaść, ale ja pani nie puszczę. Egoizm mój w tym wypadku lepszy jest od najwznioślejszego altruizmu pani przy łożu ciotki. Nie mam żadnych skrupułów wobec pana Smoczyńskiego, bo i on na moim miejscu zrobiłby to samo.

— Nie, on by tego nie zrobił.

— Więc poświęciłby panią dwukrotnie. Przez jakie niewytłumaczone wątpliwości sumienia pchnąłby panią na całopalną ofiarę i zadał gwałt własnym pragnieniom posiadania dla siebie... To absurd! Nie można być *plus Pape que le Pape*, bo najwięcej uduchowiony

i wyczulony w rzeczach sumienia klerykał jeszcze by tego nie potrafił. Co zaś do mnie, walczyłbym o panią nawet wtedy, gdyby pani kochała Smoczyńskiego. Czy taka batalia byłaby wygrana, to inna rzecz, ale starałbym się o szanse pierwszorzędne nie myśląc o kapitulacji.

Andzia patrzyła na niego w ciągłym zdumieniu. Zaimponował jej znowu.

Jan ze swoją miłością i marzeniami w listach wydał jej się mdłym mazgajem.

Długi moment Andzia i Horski badali się wzajemnie oczyma. Wreszcie ona opuszczała rzęsy wolno, wolno. Ogarnęła ją niewypowiedziana trwoga i męka. Nagle myśl wyłowiła z pamięci i nasunęła jej określenie Horskiego przez Nordicę... „Głowonóg”... „Trudno mu się oprzeć, gdy już zarzuci macki”.

Oto jedna macka dosięgła już jej i owija... owija. Co za lęk niezwykle.

— Wracajmy do domu! — zawołała.

— Pani ma rzęsy zupełnie bajeczne i przedziwnie umie pani nimi władać. Gdy je pani spuszcza tak... jak teraz — per Bacco! Diabli biorą człowieka. Jakaś miłosierna fala, że do tej pory nie toniemy. Przyznaję, że nawet przy mej zimnej krwi zapomniałem o wiosłach.

— Niech pan zawróci zaraz.

— Jak pani każe. Odplynęliśmy bardzo daleko od lądu i... trochę pomijamy właściwą treść naszej rozmowy.

Tarłówna nic nie odrzekła.

Płynęli długo w milczeniu, on borykał się ze zwiększonymi bałwanami, które podrzucały łódź do góry, biły w jej burty, pochylając niekiedy gwałtownie.

Andzia zapatrzona w morze nie czuła kołysania, nie widziała podniesionych fal. W umyśle jej panował gorszy chaos, huczała burza uczuć, wrażeń. Fala za falą, fala za falą uderzały w mózg, oblewając go jedynym odmętym skłębionych z sobą myśli. Dobijali do brzegu, gdy Horski spytał:

— Panno Anno, czy przekonałem panią?

— O czym? — spytała odruchowo.

- Że zerwanie ze Smoczyńskim jest konieczne?
- Niech mnie pan nie dręczy!
- I... że nie ma najmniejszych przeszkód, aby pani została moją żoną?...

Ostatni udar fali wparł łódkę na piasek.

Andzia nie odpowiedziała.

Podbiegł rybak i zgraża dzieciaków.

Słońce zachodziło krwawym pożarem, czyniąc morze rozlaną purpurą, piasek złotem, cyprisy ogrodu czarnymi jak kir kolumnami.

Horski wysiadł i podał rękę Andzi. Zaczęła iść prędko w stronę willi, jakby uciekała. Ale on się z nią zrównał. Odgradzony od ławicy piaszczystej żelazną sztachetką i krzewami caprifolium, cały czerwony jak demon w ogniu zachodu, zatrzymał ją pod cyprysem.

Ujął jej rękę i ucałował. Nabrzmiałym jakimś głosem rzekł stanowczo:

– Napisze pani dziś do Smoczyńskiego. Ja zaś jutro przyjdę po odpowiedź, której jeszcze nie otrzymałem.

– Panie Horski...

– Tak trzeba, droga pani, tak trzeba²¹.

Tymczasem Janek Smoczyński przygotowuje dom na przyjęcie wymarzonej, wyśnionej żony. Głęboko i szczerze zakochany, ponownie pełen wiary i radości, nie może doczekać się ślubu. Nieliczne i dość oficjalne listy Andzi smuca go, a enigmatyczny list od towarzyszki podróży, panny Eweliny, w którym tłumaczy mu ona niejasno, by nie nalegał na szybki powrót ukochanej, poważnie niepokoi. Rozdarty między niepewnością, rozpaczą i gniewem, żyje w nieustannej męce. W tym nastroju zastaje go Kościeszka; jak zawsze mściwy i zawzięty w stosunku do każdego, kto odbiera mu Andzię i jej posag, nie ustaje w intrygach. Z satysfakcją informuje Janka, że zaręczyny muszą zostać zerwane, gdyż dowiedział się, iż jego siostra to znana na Riwierze kokota, zatem nie jest odpowiednim towarzystwem dla Andzi. Plany, które ponoć Smoczyński ułożył wraz z Lorą, by poprzez małżeństwo zawładnąć

²¹ Tamże, s. 341–343.

pieniężmi Andzi, spełzną na niczym! Niby od niechcenia nadmienia, że ich zamiary są już właściwie pokrzyżowane przez światowego mężczyznę, który adoruje Andzię za jej aprobatą!

Pogłoski te – przerażająca wizja utraty szczęścia, poniżające, straszne pomówienia, kompromitująca profesja siostry – zostają wkrótce uwiarygodnione. Janek dowiaduje się, że Kościeszka posłał swojego człowieka – Wereźbę, na przeszpiegi za pasierbicą. Nie chcąc uwierzyć w okrutną prawdę, udaje się do niego i tu po raz wtóry, w brutalnej, wulgarnej formie słyszy te same nowiny. „Szalony, z huraganem rozpacz w mózgu”, widząc klęskę swych marzeń i honoru, rzuca się pod pociąg w tym samym miejscu, gdzie jako młody, szczęśliwy chłopiec wraz z Andzią bawił się na łące. Z jej obrazem w oczach umiera. Wiadomość o śmierci Janka dociera do Andzi wkrótce po nieoficjalnych oświadczeniach Horskiego.

Wtem usłyszeli ryk automobilu. Tuż obok nich, na ogrodowym podjeździe willi przemknął samochód Nordiców. Siedziała w nim tylko Lora. Dojrzała ich i machnęła na nich ręką.

Andzia doznała wrażenia, że ktoś ją żgnął w serce. Pobiegła przędko, Horski podążył za nią.

Samochód stanął przed willą, Lora wyskoczyła. Była blada, widocznie poruszona, w rękę trzymała zmięty papier.

– No i wyobraź sobie, Andziu, co ten dureń zrobił?... Ten hipochondryk!

– Kto taki?

– Jaś. Oto telegram. Otrzymałam przed kwadransem.

Rozwinęła papier i podała zdrętwiałej Andzi.

...„Jan nie żyje, samobójstwo pod pociągiem w Wilczarach”.

Jęk zamarł na zbolących ustach Andzi. Z bezwładnych jej rąk papier upadł na ziemię²².

[...]

Usiadł przy niej i długo milczał. Andzia uspokoiła się znacznie.

– Panna Ewelina wszystko mi powiedziała. Niemiłe listy z kraju. Prawda? – przemówił nareszcie.

²² Tamże, s. 343.

– Tak. Ojcym mnie wzywa do powrotu.

– Słyszałem. Pani chce sama wziąć się do pracy, stać się kultur-trägerką Wołynia i żyć w tych ciasnych ramach. Za młoda pani na to.

– To lepiej. Od razu zaprząć się do wózka przeznaczenia, bez mrzonek, które, jak Lora mówi, psują życie. Może to i prawda?...

– Panno Anno, pani gra ze mną w chowanego. Przeznaczenie pani jest inne.

Horski wziął jej ręce w swe dłonie. Widziała blisko siebie jego magnetyzujące oczy.

– Przeznaczeniem pani jest być kobietą, nie cywilizatorką i administratorką.

– Czy pan nie kojarzy tych pojęć z sobą?...

– Nie. Mam wstręt do wszelkiego rodzaju emancypantek i do... ekonomów w spółnicach. Lubię kobiety w kostiumach sportowych, ale nie cierpię kobiet przywłaszczających sobie role męskie. To je psuje. Zwłaszcza kobiety w pani typie. Pani jest przede wszystkim stworzona, aby... dawać szczęście i rozkosz mężczyźnie.

Andzia zdrętwiała. On pochylony blisko jej twarzy rzekł mocno:

– Tym mężczyzną ja pragnę zostać.

Słowa i głos jego przeniknęły ją na wskroś. Dreszcz zapomniany od bardzo dawna, ale już zrozumiała, już wyraźny, ją płynąć rozpalonym prądem po żyłach.

Zatrzepotały się jej powieki. Nie chciała spuszczać oczu, ale je spuściła, chciała wyrwać ręce z uścisków i pozostawiła w jego dłoniach.

A oto szept zdławiony nad nią:

– Znowu różowe łuny. Jakiż czar!...

Oprzytomniała.

– Niech pan puści moje ręce.

– A jeśli powiem... nie? A jeśli nie puszczę, aż dokończymy rozmowy z łódki w Beaulieu?...

– To... sama je wyrwę.

Zdawało się Andzi, że leci w siny odmęt morski, że woda ją ogarnia i wlecze wprost na dno.

...Ku przeznaczeniu!... Ku przeznaczeniu!... ryczą spienione otchłanie.

Horski obrócił rękę dziewczyny i do dłoni jej przykładając usta, z lekka ją całując.

Tarłówna poczuła nad sobą przedziwną moc, rozkazującą, władczą.

Nie oprze się jej. Nie ma, nie ma sił...

Podniosła rzęsy. Wilgotne czarne oczy z fioletowym odcieniem białek spoczęły w źrenicach Horskiego...

On rzekł stanowczo:

— Ręki tej już nie puszcze, ten drobiazg jest mój. Biorę sobie panią na własność, panno Anno.

— Niech pan bierze — wypowiedziały jej usta i jej zdecydowane oczy.

Okrył głowę i spojrzał w jej źrenice... poważnie.

— Dziękuję pani. Pragnąłem tej chwili bardzo gorąco.

Całował jej ręce jak zwykle, z nieco łaskotliwą pożądliwością, ale spokojnie.

Po długim milczeniu z obu stron Horski powiódł wzrokiem po Andzi, poprawił na niej osunięte trochę, własne palto i rzekł z uśmiechem:

— Mam jeszcze drugie pragnienie, równie silne jak było pierwsze.

— Jakie?

— Aby ślub nasz odbył się jak najprędzej.

Andzia miała wrażenie, że to wszystko sen. Jej ślub z Horskim? Ona żoną Horskiego? Stało się!...

— A pani, panno Anno? Po co odkładać. Prawda?... Przyspieszimy.

— Dobrze. Jak pan chce.

— Ja?... Ach, no, ja uważam, że my już poślubieni sobie jesteśmy.

Własna zgoda i własne słowa są ważniejsze niż wszelkie narzucone formuły. Wpiszą nas w księgę u mera i od razu mogą zabrać panią jako żonę do Buckingham palace, osierocając panną Ewelinę.

Anna drgnęła i chciała cofnąć rękę.

On nie puścił. Zaśmiał się szczerze.

— Cóż za oburzenie w oczach! Nie zrobię tego, nie. Ludożercą nie jestem. Wiem, niestety, że muszę stanąć przed jakimś ołtarzem i co gorzej — księdzem. Jest to smutne, ale prawdziwe. Chciałbym tylko te ceremonie skrócić do minimum i odbyć je prędko, bez zwłoki.

Burza na morzu wzmaczała się. Bałwany olbrzymich rozmiarów spiętrzone pędziły na skałę jak stada rozhukanych bawołów z najeżonymi grzywami.

Chmury rosły, kilka kropel deszczu spadło na rozchwiane rośliny dokoła.

...Stało się, stało się... — powtarzała Andzia w myślach swych tak samo rozchwianych. Ale nie czuła lęku, całą jej istotę przenikał dziwny dreszcz i zdziwienie, że się to już stało, tak prędko...

— Niezwykła chwila, co? — mówił Oskar. — Burza na morzu, my na zrębie skały, w dodatku w takiej sytuacji, kiedy podobno ludzie tracą przytomność. Myśmy ją zachowali, co prawda. Może instynkt nas ostrzeża? Lecz nie ufajmy sobie zbyt, burza podnieca.

Andzia wstała. On również, trzymał ją silnie za rękę. Oddała mu palto.

— Czy pan wie, że my się znamy dopiero od trzech miesięcy?

— A tak. Po co dłużej? Rozwałkowana znajomość, długie narzeczeństwo, to wielka masa cieplej wody, w której tonie prawdziwa rozkosz. Im krótsza data poznania się dwojga ludzi z sobą, im mniej przyzwyczajania do siebie, tym rozkoszniejsza pieśszczota i szal.

Andzia uczuła zawrót głowy.

Jego uścisk ręki, głos niski, nabrzmiały, i oczy spod rzęs patrzące wprawiały ją w stan niepojętego rozdrażnienia nerwów i wszystkich fibr żywotnych.

— Jest pani teraz w mojej władzy... Przepaść, burza i ja... Mógłbym panią wycalaować, ile bym chciał, moja Anni... Wszak już mogę tak nazwać? Ale nie uważam za przyjemne całowanie przerażonych kobiet. Czy pani mnie się boi, czy burzy?

— Pan mnie męczy! — krzyknęła prawie.

Wziął jej rękę pod ramię i odprowadził z cypla w głąb parku.

Szli prędko długi czas w milczeniu.

— Czy pani pamięta nasz pierwszy powrót z krawędzi tej skały? Inaczej było niż dziś. Co?...

— Pamiętam. O... tak.

— Była pogoda. Dziś jest w naturze pełno grozy, ale to wytwarza nastrój.

— Pan wierzy w nastroje? Odczuwa je?

— Nie zawsze, lecz dzisiaj tak. Podnieca mnie wściekle wyjące morze i nasze *tête-à-tête* z panią, którą już uważam za swoją. Akord ciekawy i drażniący.

— Harmonizuje mnie pan z burzą? To nietrafne. Ja się już burzyć przestałam, jestem teraz jakby we mgle.

— Także chybione porównanie. Otaczały panią mgły, gdy ją poznał, przed trzema miesiącami. Ale teraz...

— Cóż teraz?...

— Jest pani zarzewie ognia. Już gorejesz, bojaźliwie trochę, ale zapłoniesz jaskrawiej.

Andzia odwróciła głowę, nie chcąc, by dostrzegł wyraz jej oczu i opływający jej twarz rumieniec.

Lecz on to zauważył.

— Przyznaje mi pani rację?... Czy tak?...

Po chwilowym wahaniu spojrzała nagle i śmiało w jego chłodne źrenice.

— Niech się pan nie dziwi. Bywają i takie przełomy. Czuję, że jestem przede wszystkim kobietą. Odgadł pan we mnie ten pierwiastek wybornie, mówiąc tam, na skale, o mym przeznaczeniu — zaśmiała się nerwowo. — Wstydy mi, żem taka słaba...

— Nie, panno Anno, to nie wstyd i ja się nie dziwię. Ja tylko panią podziwiam, ja to w pani szanuję. Twoja szczerość może imponować. Ach, nie spotykałem tego objawu wśród mnóstwa kobiet.

Ścisnął silnie dłoń Tarłówny i pochyliwszy się ku niej, zajrzał w jej spaloną twarz.

— Ale teraz tym bardziej pragnę być dla ciebie Prometeuszem²³.

²³ Tamże, s. 373–376.

Mimo zgody na małżeństwo z Horskim Andzia wciąż jest pełna wątpliwości, w czym utwierdzają ją też obawy panny Eweliny o czystość intencji nowego narzeczonego oraz rzucane od niechcenia opinie lepiej znającej go Lory. Podąża jednak ku niemu jak ćma ku świecy, podczas gdy ten konsekwentnie rozgrywa swoją grę.

Gdy minęli Monako i powóz wtoczył się na śliczną górską drogę, Oskar wziął rękę Andzi i patrząc na narzeczoną wzrokiem matowym, który jednak działał na nią jak prąd elektryczny, rzekł z mocą, chociaż zdławionym głosem:

– Ufaj mi zawsze, Anni... i przestań się dreńczyć. Co? Wierzysz mi? Podniosła na niego źrenice.

– Wierzę nieograniczenie.

– To dobrze. Ja zaś cały płonę, patrząc w twoje gwiazdziste oczy. To objaw niezwykły. Pragnę cię mieć jak najprędzej. Upajasz mnie jak narkotyk.

Zabarwiła się rumieńcem twarz Andzi, wolno, ociężale spuściła długie rzęsy.

– Widzę i rozumiem... i powtarzam to, co wczoraj. Ocknęła się już w tobie gorąca fala życia i płynie wartko... Anni...

Drażniąco muskał ustami jej dłoń.

Tegoż dnia wieczorem, po odejściu Horskiego, Andzia, przytulona do Eweliny, szepnęła jej do ucha:

– Nie obawiaj się o mnie, Lińciu. Pod opieką Oskara będzie mi dobrze. To moje przeznaczenie...

W tym samym momencie Horski, wracając od narzeczonej, myślał:

...Jest całkowicie pod moim wpływem, tego chciałem i to osiągnąłem...

...Nieodzowna „Lińcia”, cerber w spódnicy, mniej mi ufa... patrzy na mnie miłosiernym wzrokiem... boi się, że zadławię pupilkę... Och, to się może zdarzyć. Anni – to ostrzyżka wzbudzająca apetyt... byłbym w ambarasie, gdyby nie miała posagu. Och, och, to byłoby smutne, nawet tragiczne... Tak ponętna jak ona, cnotliwa i biedna... Straszna komplikacja! Ale szczęśliwie... jest bogata, kwestia rozplątana...

Horski uderzył laską w kamienny mur bulwaru Condamine, przy którym stał blisko portu. Uśmiech szyderczy zadrgał na jego ustach.

...*O, the allmighty dolar!* Kto by się spodziewał, że dla zdobycia jego prowadzi niekiedy droga przez ołtarz. Phi! To nadzwyczajne!

Patrzył na morze, czarne w cieniu nocy, połyskujące na brzegach pasmami światełek rzuconych przez latarnie uliczne i smugi oświetlonych okien.

...Hm... Ruleta i kobiety rujnowały mnie niepomieranie, Anni za to wszystko odplaci, wynagrodzi sownie, pod każdym względem... Barbarzyńskie są nazwy jej majątków: Toporzys...ka... Draków, Wilczary. Hm! Bajeczne! Ale to nic, aby dawały duże dochody... Czy dają?... *That is the question!*...

Uśmiechnął się do swych myśli i odstąpił od muru, idąc w stronę Monako.

...Fortuna mi sprzyja, podaje mi rękę zbawczą, już niedaleko krawędzi. Per Bacco! Anni osobiście także dużo warta, diabelnie wdzięczna, sama kobiecość...

...Coś jak w bajce; królewna zaklęta, której skarbu strzeże dziwotwór Kościesza. Musi być miły numer! Och, spróbujemy się z sobą.

...Drugi smok.

...Jednego już zwalczyłem samą sugestią.

...Słabe smoczątko było i zdaje się, że zawadzało nie tylko mnie, lecz i staremu smokowi.

...Tego pomijam!

Horski machnął laską w powietrzu, jakby coś przekreślał.

Naprzeciw niego pędził samochód, świecąc latarniami. Gdy się z nim zrównał, palacz gwałtownie zatrzymał maszynę.

— Panie Horski, czy to pan, czy jego duch?

— A... pani Lora!

— Więc to pan istotnie? Proszę siadać ze mną. Pojedziemy.

Oskar zajął miejsce obok strojnej kobiety, rozkosznie rozpartej na siedzeniu. Samochód ruszył pędem.

— Wracam z Nizzy. Prawda, jaka noc cudowna?... Co pan tu robił o tej porze?... Chyba pan nie marzył?

- Owszem... marzyłem.
- O rulecie?
- Przeciwnie, o kobiecie.
- Nie, to niesłychane! Więc o Andzi? Widziano was dziś w powozie na route de la Corniche. Byliście podobno bardzo sobą zajęci. Tak pan Andzię otacza, że mogę być zazdrosną.
- Pani?... A to zabawne!
- Cóż pan chce! Byłeś pan jedynym mężczyzną, który szalenie i naprawdę na mnie działał. Wycofałeś się *en pleine chance*... z honorem!...
- Czyli mam rozumieć, że... przedwcześnie?...
- O tak, to było nawet brutalne! Gdyby to się stało teraz, myślałabym, że Andzia pana odciągnęła. Ale to było dużo wcześniej. Nie zrozumiałam tej ucieczki.
- Za silne określenie, pani Loro. Ja się tylko usunąłem, jak jeden z graczy otaczających ruletę.
- Bezczelny! Czy to ma znaczyć, że... możesz powrócić?...
- Hm! Gdybym chciał... – zaśmiał się cynicznie. – Ale mi już to nie grozi. Z kompanii tej wycofałem się niezupełnie *en pleine chance*, jak pani mówi. Nie byłem sam; spostrzegłszy to... czmychnąłem. W żadnych wypadkach, a szczególnie w takich, tłumu nie znoszę.
- Lora zacięła usta²⁴.

Termin ślubu już wyznaczono. Andzia, aby zagłuszyć głos rozsądku lub zerwać, póki czas, chce dowiedzieć się od Oskara czegoś więcej o jego dawnym życiu. Także o jego wcześniejszym związku z Lorą. Rozmowa, którą postanawia przeprowadzić, bardzo szybko zmienia swój bieg. Horski jak zawsze bez trudu podporządkowuje dziewczynę swoim zamiarom: miejsce dialogu wypełnia scena miłosna.

Andzia zerwała się z ławki.
– Chodźmy już!...

²⁴ Tamże, s. 384–385.

— Cóż znowu?! Proszę siadać... ot tak... Zauważyłem, że pani nie znosi niektórych wyrażań, jednakże one nazywają po imieniu prawdę życiową. Przeto wstydzic się ich jest nawet dziwne. Nordicowa odegrała ze mną rolę taką, jak wiele kobiet innych jej pokroju, które wplątują się w życie mężczyzn.

— Nie wszystkich w każdym razie.

— Ale w przeważnej ilości. Niech pani nie sądzi, że jest wielu mężczyzn ascetów lub abstynentów. Ja również nie należałem do tej kategorii, przyznaję się śmiało. Dzieciaku mój, nie patrz na mnie tak srogo i z przestachem. Jestem mężczyzną, żyłem w świecie, ten zaś dostarcza pokus nader licznych, każdy je chwyta łakomie, tylko jeden jest więcej, drugi mniej... wybredny. Ja jestem tym pierwszym i bardzo przeczulonym na tym punkcie, pomimo to nie brakło mi zabawy. Stałem się cynikiem względem kobiet, lecz nie przesądzam, jak inni, że wszystkie kobiety są jednakowe. Przeczuwałem i odgadywałem zawsze różnice.

— I szanował pan te... inne?...

— Och, naturalnie, chyba że same starały się zrobić mi zawód co do siebie. Wówczas bywałem jeszcze bezwzględniejszy. Ale zwykle obserwacja moja, spostrzegawczość i intuicja odczuwała na pewno w kobietach... Nordicowe i... Tarłówny.

— Więc i mnie pan odgadł od razu.

— Chyba dawałem i daję dowody. Chcę, abyś mi była żoną, czyli szanuję cię wyjątkowo.

Andzia podniosła na niego oczy trochę tęskne. Oskar usiadł bliżej i rękę z poręczy zsunął dyskretnie za jej plecy, ogarniając ją ramieniem delikatnie. Prawą dłonią przykrył jej rękę leżącą na kolanach. Patrzył na nią długo, w niemym skupieniu. Ona pod mocą jego wzroku czuła, że słabnie.

— Anni, ponawiam moją prośbę; pocałuj mnie... Cofasz się? To daremnie, ja nie ustąpię, nazbyt pragnę i pożądam...

Odchyliła w tył głowę ruchem wdzięcznym, oczy, przysłonięte z lekka rzęsami, zalotną migotały trochę przekorą. Wargi świeże drżały ponętnie, strwożone grożącym niebezpieczeństwem. Ogarniała

ją z wolna śpiąca długo, ale zbudzona już, bujna, nieprzewyciężona niczym namiętność. On był bardzo blisko, czuła już jego ramię zaborcze, pociągające ją energicznie. Jeszcze się broniła instynktownie, wiedzona jakąś bojaźnią i wstydlivością. Oskar wzburzony i blady mówił półgłosem:

— Nie uchylaj się, drażnisz mnie, żądam twych ust i ty mi nie odmówisz. Wszak rozkosz pocałunku jest chyba wtedy największa, gdy kobieta sama dobrowolnie odda usta ustom mężczyzny. Co?... Anni?...

— Może właśnie... przeciwnie.

Szept jej podziałał na Horskiego jak prąd elektryczny. Nagle z mocą zacisnął ramię otaczające ją, ręką podtrzymał jej głowę i wargi swe pożądliwe położył na jej roztrzęsionych ustach. Cisnął je władczo, łakomie. Oderwał na chwilę i wpatrzony w jej oczy zamknięte, w trzepoczące powieki i rozpłomienioną twarz, jął mówić głosem zdławionym, jakby nie własnym:

— Urokiem tchniesz... ile w tobie jest potężnego powabu kobiecości. Upajasz mnie, Anni, zdolna jesteś poruszyć głaz. Diabeł by się dla ciebie nawrócił, anioł mógłby zgrzeszyć, człowiek musi oszaleć. Nosisz w sobie przepych urody i przepych wdzięku. I... tak ślicznie płoniesz, drżysz w moim uścisku, taka piękna jest twoja namiętność... Chciałaś, abym sam porwał twe usta, abym je posiadał po męsku, bez prośby? Anni, ty nawet nie wiesz, ile było czaru, jakie bogactwo czaru niewieściego w twoich słowach! Ale... ja jestem nienasycony, ja cię pochłonę samym pragnieniem... Ty... wspaniała...

Nowy pocałunek, parzący jak węgiel rozżarzony, spalił usta Andzi... Poczowała, że traci zmysły.

Działo się z nią coś niesłychanego.

Gwałtownie wymknęła się z jego ramion i pędem skoczyła na wyższe schodki. Uciekała przed nim i od tej mocy dziwnej, która we krwi jej wirując, sprawiała ból nieznośny.

W parku już Horski ją dopędził i nic nie mówiąc, rękę jej wsunął pod swoje ramię. Poszli w milczeniu. Andzia nie śmiała na niego spojrzeć, on nie nalegał. Widząc jej wzburzenie, podniecał się coraz silniej. Andzi zaś w miarę uspokojenia krwi rósł dziwny ciężar

w duszy. Przygniatał ją, dręczył. Czuła jeszcze na ustach piekące pocałunki Oskara i one to wywołały ów niepokój, jakby wyrzuty sumienia. Znowu załopotał w myśli rój wspomnień złotych... Andrzej z nią na Watażce, w stajence Grzeška, pierwszy, niezapomniany, ideału pełen i mocy świętej pocałunek Jędrusia, dany jej ustom dziewiczym, nieskalanym. Inny był, inne wywołał uczucia, całkiem różne wrażenia, niebiańskie jakieś. Ten dzisiejszy, jakież odmienny, nie tylko zupełnie ziemski, ale może nawet szatański?... Przy tamtym, z Jędrusiem, dusza śpiewała anielski rapsod, przy tym zagrała krew szaloną fugę zmysłów. Tamten pocałunek ukoił ją, ten rozdrażnił, tamten namaścił jej wargi nektarem upojnym, ten sparzył je boleśnie, czuła niby ranę na ustach.

...A jednak?... A jednak?...

Andzia wzdrygnęła się.

Wstyd, wstręt do samej siebie, upokorzenie jakieś przykre, wyrzut gorzki za sponiewieranie wspomnień drogich, żal, że to się już spełniło, zgrzyt ironii, a jednocześnie dreszcz przejmujący warem, dotąd w żyłach niewygasły, wszystko to razem zgnębiło Tarłównę, zdeprawowało jej duszę niesłuchanie. Zapięły źrenice Handzi, łzy bezwiedne, kropliste zsunęły się po jej policzkach. Odwróciła głowę, chcąc je ukryć przed Oskarem, lecz on je spostrzegł. Bez słowa pochylił się i przytulił jej rękę do ust, na twarzy drgnęły mu nerwowo muskuły.

Ona, ujęta niezmiernie, przysunęła się bliżej do jego boku, jakby szukając w nim opieki przed swą udręką.

— Może chcesz, wróćmy w głąb parku?

— Nie, lepiej chodźmy do ludzi — odszepnęła.

Uderzyła ją myśl — jak on sobie wytłumaczył jej łzy?

On zaś po długiej chwili rzekł przeciągle, z odcieniem niecierpliwości:

— Jednym z pierwszych warunków spokoju w życiu jest żyć teraz-niejszością. Wszelką przeszłość zaliczyć do historii i traktować jak historię, czyli na chłodno. Ciągłe odkopywać przeszłość i opłacać się mrzonkami wspomnień, nigdy się nie zazna, już nie mówię szczęścia, ale nawet zwykłego spokoju ani zadowolenia.

Zawstydzona tym, że ją odgadł, spuściła oczy i rumieniec krwawy padł na jej delikatną twarz²⁵.

Andzia ostatecznie ulega namowom Oskara. Zgadza się na cichy, pośpieszny ślub, chociaż przykro jej, że tak bardzo różni się on od jej dziewczęcych marzeń. Oskar jednak ponagla, a pozbawiona mądrych i życzliwych doradców dziewczyna pragnie nareszcie mieć kogoś bliskiego. Natychmiast po ceremonii małżonkowie wyjeżdżają do Anglii. Tutaj, w domu matki Horskigo spędzają noc poślubną. Scena ta, chociaż ograniczona do „migawkowego” ujęcia, jest o tyle niezwykła, że temat ów na kartach romansów pojawiał się bardzo rzadko. Mniszkówna wprowadza go, aby w retrospektywnym ujęciu raz jeszcze przypomnieć smutny los bohaterki powieści.

W obszernej sypialni panował dyskretny półmrok. Lampa wisząca, ogromna jak balon, rzucała mieniące się, srebrzystozielone światła na stare, lecz jeszcze cenne makaty na ścianach, na plafon malowany w sceny mitologiczne erotycznej treści, na miękkie, niziutkie meble, na kobierzec jasny, jakby zarzucony pastelowymi kwiatami, wreszcie na postać białą Andzi, siedzącą przed kominem. Za żelazną kratką palił się ogień wesoły, ciskał w górę jaskrawe języki płomienia. Kominiek ten był fragmentem odróżniającym się od całości świetnej niegdyś komnaty, z królującymi przy głównej ścianie łózkami, zdobnymi w bogate rzeźby i inkrustacje. Makaty perłowliliowe, stare i miejscami spłowiałe, opadały z wysoka po bokach łóżek, tworząc kopulasty baldachim. Na gzymsie kominka wędły fiołki w majolikowych wazach i ze słoików wykwitwały smukłe białe irysy.

Andzia była zapatrzona w płomień. Opływały ją białe koronki szlafrocza, z których wysunięta ręka do łokcia podpierająca głowę miała kształt przepysznego, rzeźbionego, i koloru ciepłego, świadczącego o młodej, wartkiej krwi pod skórą delikatną i białą.

²⁵ Tamże, s. 392–394.

Przez okna przysłonięte ciężkimi storami przebijał się huk monotonny morza, słychać było łoskot pojedynczych fal rzucanych na skały. Zdawało się, że pałacyk drży od naporu wichrów.

Andzię trwożne opadły pytania.

...Gdzie ją los rzucił?... Co ją tu zagnało na obcy ląd, na skały nadmorskie, do tego zameczku, jak gniazdo mew nad falami. Z cichych Turzerogów, z pokoiku na pięterku, gdzie pelargonie kwitły na balkonie, a gołębie zlatywały się chmurą nad jej głową, z lesistych puszczy wilczarskich los rzucił ją oto na brzegi Anglii. Jak to się stało i dlaczego?... Więc przeznaczenie wiodło ją na Riwierę, więc śmierć Jasia była dziełem jej przeznaczenia? Więc wszystko, co zaszło przedtem i zgon Andrzeja to były szczeble wiodące do szczytu jej przeznaczeń? A czy to już szczyt? Czy w tej mgłę, która otacza jej małżeństwo z Oskarem, jest coś jeszcze, jakaś odpowiedź na znak zapytania wiszący nad nią od chwili, gdy przyrzekła Oskarowi zostać jego żoną? Czy ten pociąg dziwny i niezrozumiały do niego, wpływ jego woli na nią ma jakiś cel ukryty, dobry czy zły? Może to jest początek lepszej doli, a może nowy żart jej fatum?

Po ilu wypadkach szła ona do obecnego losu i do małżeństwa swego. Katastrofa kolejowa w Wilczarach. Oksza, ucieczka Lory, śmierć Andrzeja, wreszcie śmierć ciotki Smoczyńskiej i zaręczenie się z Jasiem. Ucieczka od niego na Riwierę do Lory i ostatecznie śmierć Jana, fakt epilogowy, który zaprowadził ją do ołtarza z Oskarem.

Przez trzy groby szła do ustalenia swego losu, odmiennego od jej marzeń i nieoczekiwanego. Czy w warunkach takich może być szczęście i czy w ogóle znajdzie je ona w pożyciu z Oskarem?...

Huk groźny za oknem wzmagął się i przenikał ją strachem. Tak samo huczało na cyplu skalnym w Monako, gdy dała słowo Oskarowi. Zawsze burza towarzyszy jej w decydujących momentach z Oskarem. Czy to przepowiednia burzy całego życia?... Nie, nie! Nie spotka ją nic złego. Dość już nieszczęść i niedoli²⁶.

[...]

Andzia ruchem nagłym oderwała dłonie od twarzy i śmiało spojrzała przed siebie. Ogień palił się jasno, było ciepło i miło.

²⁶ Tamże, s. 413–414.

Usłyszała szmer jakiś. Bystro spojrzała w tę stronę.
Wizje znikły, tylko huk za oknem, ten sam co na cyplu.
Oskar podchodził do niej. Zerwała się z kozetki.

— Gdzie ja jestem?!

Stanął obok i ujął jej rękę.

— W Hurlestone-House, w naszej sypialni. Anni, co tobie? Spałaś?
To niemożliwe, bawiłem u mamy niecałe trzy kwadranse.

— Tylko?...

Zdawało jej się, że w wizjach swych przeżyła nieskończone godziny.

— Co tobie, dzieciaku?... Takaś urocza z tym półsnem w oczkach.
Siądźmy tu razem na kozetce. Tak, przytul się do mnie. Dość wstydu,
jesteśmy w naszej alkwie, zaświecisz mi tu jak gwiazda jasna. Daj mi
pić rozkosz, bo pragnę... i ty pragniesz.

Delikatnie, wytwornym gestem uniósł jej głowę ze swej piersi.
Wpatrzył się w jej oczy. Andzia drżała, opływał ją dreszcz namięt-
ny, źrenice Oskara owładnęły ją swą mocą i brały, brały nieprze-
partą siłą rozkazu. Tchnęły w nią otuchę, spokój, słodkie uczucie
bezwładu.

Wizje runęły, odpadły od niej marzenia przeszłości, wszystko
uciekło w popłochu, zostały tylko nad nią władne oczy Oskara i woła
w nich zawarta.

On w wyrazie jej oczu wyczytał, że ma ją całą dla siebie. Uśmiech-
nął się. Zaszemrały nad nią jego słowa:

— Burza na morzu, wicher, ale nam tu ciepło i dobrze; moja Anni
pełna słodyczy, pełna uroku, moja Anni promienieje... Będę pieścił,
pieścił, całował, zapieszczę chyba mego cudnego dzieciaka. Co?... Zaca-
łuję tę kroplę ustek jak krwawe winne grono. Patrz na mnie, upa-
jam się tobą, pragnę się upoić aż do zapamiętania. Noc burzy i szału...
Morze ryczy, a we mnie każdy nerw drży... Każda żyła. Nie pamiętam,
kiedym tak pragnął...

Andzi pod mocą jego źrenic wolno opadały długie rzęsy. Ostatecz-
nie brał ją pod swą władzę, przelewał w nią niepokojący dygot zmysło-
wej rozkoszy.

Horski powściągliwie, lecz drżącą ręką rozplatał jej ciemne, długie warkocze²⁷.

W domu teściowej, dziwnej, obcującej głównie z duchami damy, Andzia nie czuje się dobrze. Także z Katy, siostrą Oskara, brzydką i oschłą emancypantką, mimo najszczerzych chęci nie może znaleźć porozumienia. Z ulgą opuszcza zimny i nieprzyjemny pałac. Towarzyszy jej mąż.

Podróż po Europie kończy się powrotem w ukochane rodzinne strony Andzi. Horski, po krótkim okresie zainteresowania nieznanym środowiskiem, a przede wszystkim po spenetrowaniu majątku pod kątem możliwych korzyści, jest znudzony monotonią wiejskiego życia. Nie rozumie społeczno-patriotycznych planów swej żony; drwiąc z jej marzeń niesienia pomocy biednym i gardząc podobnymi ideami, decyduje się wyjechać pod pretekstem odwiedzin u matki. Wkrótce Andzia zaczyna otrzymywać telegramy z apodyktycznymi żądaniem gotówki. Oskar nie tylko utrzymuje teraz z jej majątku swą matkę i jej podupadły pałac, ale głównie znów gra w Monte Carlo.

Kiedy po ponownym przybyciu na Wołyń usiłuje wziąć ją przemocą w świętym dla niej miejscu śmierci Andrzeja, zrywając przy tym krucyfiks zawieszony ongiś jej ręką, dla Anny staje jasne to, co zresztą, ostudziwszy żądze, wygłasza sam Horski:

— Milcz! Jesteś moją żoną, nie masz prawa rozmyślać o tamtym, wytwarzać sobie świątynie, odgrzebywać przeszłość. Niewolnicą moją jesteś! Rozumiesz! Musisz mi być powolna zawsze i wszędzie, gdzie zapragnę cię mieć. Dość wizji przeszłości, nie pozwalam na żadne marzenia. Skończyło się! Jesteś moją wyłącznie i o tym pamiętaj²⁸.

Oznajmia jej również, że podjął decyzję o ich stałym pobycie w Anglii, wtedy jednak...

²⁷ Tamże, s. 415–416.

²⁸ Tamże, s. 444.

Gorycz i żal przeistoczyły się w niej w gardłowy wybuch oburzenia i oporu. Nie ustąpi, nie ma prawa ustąpić z miejsca, które w spuściznie po ojcu otrzymała. Tu jej święty cel jedyny. Tu pozostanie.

Wyprostowała się jak niewolnica, która zrywa więzy.

– [...] Ja stąd nie wyjadę!

Rzuciwszy to śmiało wyzwanie, odwróciła się i odeszła spiesźnie. Słyszała za sobą szyderczy, straszny śmiech męża²⁹.

Poczucie obowiązku skłania ją jednak do uległości, choć więz z Oskarem zostaje głęboko nadwyrężona. Dostrzega to nawet sam Horski, który:

[...] był przede wszystkim zmysłowcem. Piękność Anny, jej wdzięk i ponęty kobiece podniecały go zawsze jednakowo, wywołując nieodmiennie ten sam skutek. Nie pojmował pieszczot w innym kierunku, tylko dla zmysłowego zadowolenia, duchowe oddanie się było dla niego mrzonką, ideałami bez wartości. Nie odczuwał tych pragnień u żony, ironizował z nich, gdy je objawiła. I czasem udawało mu się wdroić Andzię w swój styl. Był mistrzem w tego rodzaju grze. Anna porywała go naturalnie, żywiołowo i szczerze, tym klasyczniej występował jego talent, tym zaraźliwiej działał na Andzię. Wówczas z triumfem, z męską dumą napawał się widokiem jej oczu zamglonych rozkoszą, jej ust palających żarem krwi, wartkiej jak potok; lubował się temperamentem tej ślicznej istoty i drzeniem jej w jego samczych uściskach. Gniótł ją w swych szponach jak sęp dziki, wargi łakome i wiecznie głodne wgryzał w jej ciało rzeźbione, białe i pachnące, z żądzą tak zachłanną, że zdawał się pożerać ten swój cud kobiecy, oddany mu na łaskę i niełaskę.

Ale szwały Andzi, pobudzone przez Oskara, trwały teraz krótko, niby błysk pożaru stłumionego w poczęciu. Potem następowała albo bierność, która go drażniła niesłuchanie, lub też nagły niesmak wywołujący w niej silny opór, u niego zaś tym pożądlwsze pragnienie. Horski widział i czuł zmianę w usposobieniu Andzi. Przedtem szwał jej był

²⁹ Tamże, s. 446.

młody, impetyczny, bez analogicznych dociekań, bez wahań. Wypływał jako bezwzględna konieczność jej bujnej natury, która oddawała mu się dobrowolnie, z rozkoszą tego poddaństwa, z pragnieniem przynależności do pożądanego mężczyzny.

Tak było aż do chwili, w której Anna spostrzegła, że zmysły nie są u Oskara wybuchami szału, lecz celem głównym, że w kobiecie szuka tego samego, uważając zmysły i namiętność za jedyne atrybuty kobiece. Ten pewnik zraził Andzię i odsunął ją od męża.

Zobojętnienie żony Oskar rozumiał inaczej, oto że odżyły w niej wspomnienia Andrzeja i że Drohobycki uplastycznia je jako przyjaciel i kolega tamtego. Scena w Temnym Hradzie, upewniając Oskara w tym przekonaniu, zmieniła stosunek jego do niej.

Stał się względem niej podejrzliwy, nieufny, ale raz zauważywszy, że brutalną gwałtownością nic z nią nie robi, używał innej taktyki. Spryt wskazał mu właściwą drogę do niej. Jakkolwiek skłaniał ją do wyjazdu do Anglii zawsze stanowczo, lecz teraz był dla żony serdeczny, nawet czuły, i tym ją zjednywał. Uważał, że zyskuje sobie w ten sposób pewniejsze gwarancje dla swych planów na przyszłość, na których mu niezmiernie zależało. W momentach takich dyplomatycznych zabiegów Andzia witała swoją złudę, opartą na nadziei głębszego uczucia Oskara do siebie niż popęd fizyczny.

Myśl wyjazdu dręczyła jej duszę, fakt ten uważała za kryzys przełomowy swego życia, jednakże z każdym dniem spływało na nią coraz jaśniejsze zrozumienie sytuacji, że nie ma innego wyjścia, że fakt przerażający ją musi się spełnić. Czuła nad sobą przewagę Oskara i walka z nim była dla niej coraz trudniejsza. Nie chciała doprowadzić do ostateczności, aby wyjechał bez niej, odgadła intuicyjnie, że to nie jest wykluczone, i zlekła się. Znowu porwie go jego żywioł, wielki wir świata, i odciągnie go od niej, zanurzy w otchłaniach niebezpiecznych swych powabów, żądz i zamiłowań Oskara. Anna ujrzała go w imaginerii przy stole rulety, w Monte Carlo, ciskającego na złowrogie numery grube sumy, z chłodną twarzą wyrafinowanego rozrzutnika.

Nie, nie może go opuścić; jeśli on nie chce zostać, powinna z nim jechać, aby ustrzec jego i siebie od niechybnej ruiny.

Znowu byłyby listy, telegramy, żądające pieniędzy, znowu wyrzuty sumienia, wstyd, żal i gorycz. Skoro by wyjechał w gniewie... czyby już powrócił?...

Może jednak... jej wpływ?... Ona go z czasem przekona, ubłaga, powróci z nią na Wołyń, jej cele, jej umiłowania polubi, niechby tylko tolerował.

Więc z wiarą w przyszłość... „Miej Boga w sercu”.

Pojedzie z nadzieją, że to odlot chwilowy, że nastaną lata błogosławionego spokoju, niezmałconej harmonii. Walka trwała w niej długa i uporczywa, ale w końcu Andzia zgodziła się jechać. Nastąpi to już za parę godzin. Oskar obiecuje, że przyjadą tu dopiero na lato. Tyle czasu na obczyźnie.

Anna przypomina sobie zdumienie i żal Eweliny i Hadziewiczza, oburzenie całego sąsiedztwa, surowy wyrok marszałka Zawiejskiego, weterana okolicy.

„Nie opuszcza się rodzinnej skiby i ojczyzny dla zamorskich ambicji” – słowa te stosował do zapewnień Oskara o wielkich zyskach domu komisowego, który będzie prowadził interesy ze Stanami Zjednoczonymi i Argentyną.

Andzię zawstydziła uwaga starca, lecz Oskar odrzekł z żartobliwym przekąsem:

– Nie przypuszczałem, że marszałek wystąpi przeciw solidarności małżeńskiej, która powinna być pierwszą przede wszystkim, i że mi będzie buntował żonę.

Na chwilę przed wymknięciem się Andzi do kapliczki odjechał Drohobycki. Nie lękał się oczu i czujności Horskiego, śmiało wyrażał swe zdanie co do ich wyjazdu, był tak wyraźnie oburzony, że naraził się Oskarowi. Pożegnali się chłodno, ze słabo ukrywaną nienawiścią ze strony Drohobyckiego i dystygowaną ironią Horskiego. Gdy się rozstali, Anna odetchnęła, lękała się jakiegoś wybuchu. Uciekła do parku, chciała uspokoić nerwy wzburzone i nabrać hartu do przetrwania chwili wyjazdu. Przeczynała, że będzie straszna. A oto zamiast uspokojenia żal jej wybuchnął gwałtownie, nerwy trzymane na wodzy nie wytrzymały.

Gdy spłynęło na nią chwilowe ukojenie, usłyszała kroki za sobą.

Zamarła z obawy, że Oskar słyszał jej płacz i zobaczy jej oczy. Powstała z kolan i nie odwracając się, zamykała kapliczkę.

Wtem ciche słowa:

— Pani Anno...

Podchodził do niej Drohobycki. Zmieniony, z jarzącym wzrokiem utkwionym w niej.

— Pani Anno, proszę wybaczyć, że przerywam... Słyszałem, podglądałem panią... ja...

— Skąd pan tu, jak pan śmiał?...

— Jadąc koło rzeki, dostrzegłem panią idącą... i nie mogłem odjechać... bez ujrzenia jeszcze raz... bez przekonania się... to jedyna sposobność...

— Czego pan sobie życzy? — spytała dumnie.

— Na miłość Bożą, niech pani nie jedzie! — wybuchnął, rozpaczliwie załamując ręce.

— Ależ... panie!

Drohobycki przypadł do jej rąk, nim zdążyła się cofnąć, wołał stłumionym głosem:

— Zaklinam panią na wszystko, co ci jest święte, na miłość dla kraju, na... prochy Andrzeja, zostań... nie wyjeżdżaj! Nie idź na zgubę. Tam twoja zatrata.

— Panie Drohobycki, co panu?...

— Błagam, nie jedź... z nim... on cię wlecze na stos ofiarny, broń się, póki czas. Zostań... on wróci... on cię nie opuści, boś mu potrzebna... konieczna do egzystencji. Wróci tu... po... pieniądze...

Anna wyszarpnęła ręce wzburzona. Drohobycki runął na kolana i objął jej nogi.

— Pani... Anno, zlituj się nad sobą i... i... nade mną. Kocham panią bez pamięci... jak szalony, od bardzo dawna. Chcę cię bronić, wyrwać cię z jego szponów... ocalić.

— Dosyć! Panie Drohobycki, proszę wstać! — zawołała Andzia z przedziwną mocą i godnością.

Gdy zaś powstał, zmieszany jej tonem, spojrzała mu śmiało w oczy i rzekła łagodnie, hamując wzburzenie:

– Wybaczam panu jego wybuch niewczesny. Wiem, że jest mi pan życzliwy i wdzięczność zachowam. Ale... proszę nie obrażać mego męża. Żegnam pana.

– Pani Anno! Nigdy bym się nie ośmielił... Mnie idzie o panią, o szczęście pani, o przyszłość.

– Przyszłość moja należy do mnie.

– I do tych, dla których jesteś droga. Rozpacz mam w duszy, że sama, dobrowolnie zabijasz swój los... Twój wyjazd... to twoje zatrącenie.

– Anni! Anni! – zabrzmiał w oddali głos Oskara.

Andzia cofnęła się w tył i bardzo zbladła. Drohobycki przyskoczył błyskawicznie, rękę jej przycisnął do ust z szeptem gwałtownym:

– Nie zapominaj ostrzeżenia... i czuwaj...

Po czym rzucił się w bok pomiędzy dwa olbrzymie głazów, w gąszcz parkową³⁰.

Wyjazd z mężem niewiele zmienia. Andzia jest bardzo nieszczęśliwa i samotna. Powoli wyzbywa się resztek złudzeń i nadziei. Mimo to nie umie wyzwolić się, zbuntować, odejść. Autorka ten rozdział zatytułowała dramatycznie *Via doloris*.

Wiara Andzi gasła, nikła, jak pochodnia gorejąca, której zabrakło paliwa, a wiatr dmie ze wszystkich stron i tłumi resztkę płomienia. Nie było dla niej ochrony ani ratunku, same przeciwności popychające ją do zatrącenia jedyne już blasku w życiu. Dopóki musiała i mogła, modliła się Andzia gorąco o dziecko. Pragnienie zostania matką było dla niej najsilniejszym. W tym celu poddawała się badaniom lekarskim w Londynie w sekrecie przed mężem, który nie podzielał jej pragnień, zasięgała rady specjalistów i z myślą o dziecku leczyła się w tym kierunku. Wszystko na próżno.

Wreszcie dowiedziała się od sławnego doktora w Paryżu, że brak macierzyństwa nie jest jej winą, że zatem wszelkie zabiegi osobiste

³⁰ Tamże, s. 448–450.

pożądanego skutku nie odniosą. To ją zgnębiło ostatecznie. Wpadła w apatię, ogarnęła ją nuda i kompletna bezcelowość życiowa. Pustka w jej duszy spotęgowała się, żal ustąpił miejsca krańcowemu zniechęceniu. Męką było teraz dla niej pożycie małżeńskie, przejmowało ją wstrętem i już nie potrafiła się zwalczyć. Przywiązanie do Oskara trwało, inne jednakże zawierając w sobie pierwiastki.

Dominował niezrozumiały magnetyczny wpływ Oskara, przykuwał on ją do niego mocą silniejszą niż miłość. Nawet gdy poryw zmysłowy Andzi do męża zanikał, tamto pozostało i było zawsze władcze. Wpływ ten rozciągał się szeroko; niweczył indywidualność Andzi, zabijał jej wolę. Oskar umiejętnie, stopniowo tłumił w niej wszelkie ideały i odzierał z marzeń. Jednego tylko uczucia zniszczyć w niej nie potrafił – to jest tęsknoty. Anna tęskniła za niedościągłą nigdy dla niej utopią szczęścia. Tęskniła również namiętnie do Toporzysk i w ogóle do kraju. Dobiegało trzy lata, jak opuściła Wołyń, od tej pory ani razu nie mogła się tam wyrwać. Zimę spędzali w Anglii. W lecie zamiast obiecanych Toporzysk Anna podróżowała z mężem tam, gdzie on chciał. Byli w Egipcie i w Indiach, w Nowym Jorku i Filadelfii, wszędzie po kilka miesięcy. Jeździł z nimi zawsze kolega Oskara i wspólnik Wiliam Brown, człowiek zimny, lecz rozwiązłych obyczajów, cynik i satyryk, przewyższający w tym nawet Horskiego.

Pomimo wszelkiej różnorodności wrażeń podróże te bywały ciężkie dla Andzi. Wymawiała się od nich zawsze – na próżno. Oskar był arbitralny. Anna musiała mu ulegać³¹.

Pozbawiona kontaktu z krajem bohaterka przypadkowo dowiaduje się o zmianach, jakie w jej dobrach samowolnie wprowadza mąż. (Zwolnił oddanego Andzi administratora, Hadziewiczza, gdyż ten przeciwstawiał się wyprzedazy ziemi, wycinaniu starych dębów, postępującej ruinie majątku). Próbuje z nim o tym porozmawiać, ale kończy się to jak zawsze. „Lasciate ogni speranza” – cytat z Dantego umieszczony na bramie piekła stanowi myśl przewodnią tej części powieści. Istotnie, udręczona Andzia wątpi całkiem w jakąkolwiek odmianę.

³¹ Tamże, s. 453.

— No, dosyć na tym! Idź spać, Anni, godzina jest późna... Czekaj na mnie. Przejrzę jeszcze dzienniki.

Annę wstrząsnął dreszcz obrzydzenia i zgrozy.

— Czy nie dasz mi, Oskarze, żadnych wyjaśnień co do Hadziewicza? Chyba mam prawo pytać i wiedzieć, dlaczego się to stało.

— Tak chciałem i koniec! Proszę cię, nie nudź. Przeglądałem już te dzienniki dziś rano. Pójdźmy do sypialni. No, no, bez dąsów... Wszelkie nadużycia nie sprawiają efektu, więc i gniew w kobiecie bawi do czasu. Jesteś piękna w gniewie, ale nie przesadzaj. Pójdź, Anni, i zmięknij, nie byliśmy z sobą parę tygodni... Co?... Mam nadzieję, że się na tobie nie zawiodę, moja ty Junono...

Obejmował i ciągnął ją do siebie lubieżnie. Usta jego szukały jej ust, twarz była uosobieniem zmysłowości.

Anna cofnęła się ze wstrętem, zakryła ręką usta.

— Zawsze to samo! — zawołała oburzona. — Uważasz mnie tylko za swoją nałożnicę. To okropne, okropne, mnie to oburza, upokarza, to mnie upadla!

Oskar wściekły porwał ją w ramiona i zgniótł strasznie, głos jego miał głuche, groźne tony:

— Musisz mi być powolną, kiedy chcę, kiedy rozkażę, żądam i ulegniesz. Podnieciłaś mnie do szaleństwa. Pójdź!

Włókł Andzię, niosąc ją prawie w ramionach.

— Precz! — krzyknęła w pasji najwyższej.

Odrzuciła go od siebie i wysunęła się z jego objęć.

— Precz! Nie dotkniesz mnie dzisiaj. Idź spać, ja tu zostanę.

Oskar śmiał się cicho, demonicznym chichotem.

Tej samej nocy jeszcze Anna musiała mu być posłuszną. Mękę jej fizyczną zaćmił tragizm duchowy, pokrył czarnym kirem znękaną duszę młodej kobiety³².

Horski już nie dba o smutną i chorą żonę: ma pieniądze, a więc może szukać wciąż nowych podniet i uciech. Podróżuje, ją natomiast pozostawia

³² Tamże, s. 459.

z lekturami, które, zręcznie dobrane, mają zbeczczyć jej wiarę w moralność, sens pracy, uczciwość i religię.

Samotną, chorą i nieszczęśliwą, zamkniętą w wielkim zimnym pałacu nad brzegiem morza, odszuka Drohobycki, dawny przyjaciel Andrzeja, szlachetny człowiek, który od dawna ją kocha i szanuje. Od niego Andzia dowie się, że jej mąż przehułał cały majątek. Dlatego też między innymi nie otrzymywała listów, a te od niej nie były wysyłane – lokaj na polecenie Horskiego przejmował całą korespondencję.

Andzia decyduje się natychmiast wracać do kraju. Niestety, właściwie nie ma już do czego. Swe ostatnie klejnoty (sznur pereł odziedziczony po matce) przeznacza na spłatę długów męża. I jakby tych wszystkich nieszczęść nie było dosyć, Drohobycki, jedyny przyjaciel i opiekun, występując w obronie jej czci, zostaje ciężko ranny w pojedynku z Horskim. Czy przeżyje?

Udręczona, tragicznie samotna heroina romansu dostrzega wokół tylko nieszczęścia, pustkę, śmierć. Utraciła wszystko, co kochała; nawet najdroższe drzewa, pod którymi zawsze mogła się schronić, wycięto. Święty dąb z kapliczką Andrzeja padł powalony. I ona chce umrzeć.

Mniszkówna nie aprobuje jednak takiej postawy. Ustami starego, wiernego sługi borowego (nie gajowego!) wypowiada słowa, w których jest nakaz pracy i walki z przeciwnościami losu.

— Nie umierać, ale żyć, da pracować, żeby więcej takich mogił oczy nie widziały.

— Nic poza mną... i nic przede mną... Wieczna gehenna!... Po co życie?... Dla kogo?... Pustka w duszy... w... sercu... — skarżyła się boleśnie.

— Bojarzynko... a ziemia?... Toż ona została, ona wierna, da miłowana, dla niej trza silną być, ten ostatni kawałek szanować, żeby już nikt i tknąć nie śmiał, jak sakrament... To teraz wasze prawo, hołubko nasza.

Kobieta łkała, spazm tragicznego bólu wydierał serce z piersi, lecz nie szumiały już nad nią, jak dawniej, królewskie korony temnohradskich dębów.

K O N I E C³³

³³ Tamże, s. 484.

Ten program pracy organicznej i niepoddawanie się nastrojom zwątpienia żywo przypomina program Rodziewiczówny. Można go też odczytać jako polemikę z dekadencją postawą wobec życia.

Gehenna to jedna z najciekawszych powieści Mniszkówny: sensacyjna akcja, tło rodzajowe i analiza psychologiczna tworzą spójną całość. Wyraźnie eksponowana jest tu problematyka obyczajowa. Pytania na temat roli kobiety i mężczyzny w rodzinie i społeczeństwie oraz praw i obowiązków małżeńskich znajdują jednoznaczne odpowiedzi.

Opowieść o losach Andzi i Oskara ryzykownie przekracza granice stereotypowej formuły: „żyli długo i szczęśliwie”. Analiza uczuć młodej dziewczyny, a później kobiety, którą wręcz z hipnotyczną siłą uwodzi niekochany, a nawet pogardzany mężczyzna, jest niewątpliwie dość śmiała jak na ówczesną epokę (pierwsze wydanie w 1914 roku). Prawie połowę drugiego tomu powieści stanowią opisy erotycznej fascynacji i udręki partnerów. Mniszkówna szuka odpowiedzi na pytanie, dlaczego tak się stało – i poniekąd je znajduje. Andzia dokonała fałszywego wyboru. Związała się z człowiekiem, który ją tylko zmysłowo pociągał (miał inne zainteresowania, wychowanie, ideały), a na dodatek drwił z religii i Boga. *Gehenna* zaślubionej mu kobiety jest nieuniknionym następstwem tego kroku.

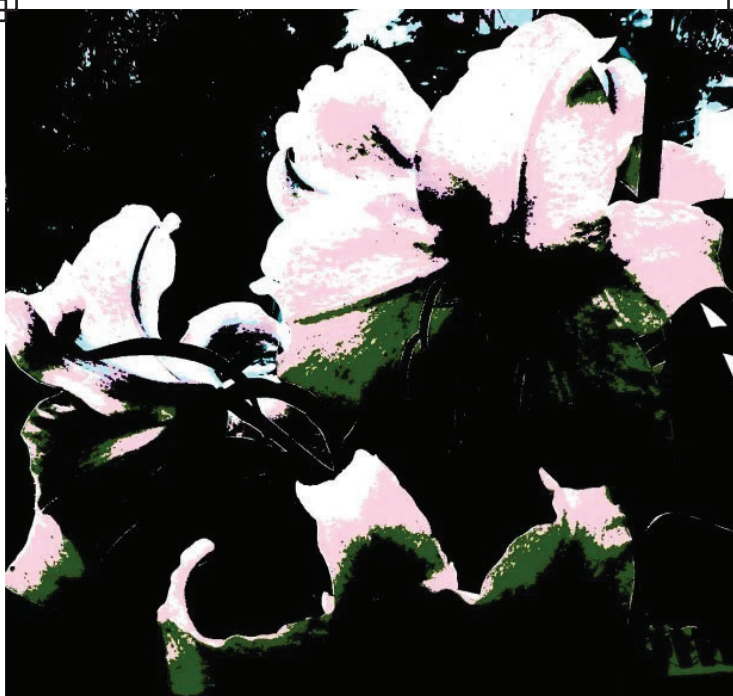
Także dzieje kuzynki Andzi, Lory, mają swój moralny wydźwięk. Żyjąc na przekór przyjętym normom obyczajowym i etycznym, szybko zostaje ukarana. Porzucona i okradziona przez męża, w wieku dwudziestu ośmiu lat jest zniszczoną, wynędzniałą prostytutką. Widzimy ją w końcowych rozdziałach powieści na podrzędnym dworcu kolejowym, gdzie szuka przygodnych klientów. Co ciekawe, ona w przeciwieństwie do Andzi chce żyć. Żywiołowa natura każe jej nie poddawać się, nie rezygnować, wierzyć w uroki życia. Jest to niebanalne ujęcie motywu dziewczyny upadłej, ładacznicy.

W powieści Mniszkówna perfekcyjnie nakreśliła cztery męskie portrety (Janek Smoczyński, Andrzej Olelkowicz, Oskar Horski, Teodor Kościeszka) i prezentowane (uosobione) w nich cztery odmienne twarze miłości (uczucia wszystkich ogniskują się wokół postaci głównej bohaterki). Prócz tego doskonale różnicuje środowiska społeczne i eksponuje kulturowe odmienności, czego sposobem jest indywidualizacja języka. Ukraiński chłop mówi u niej gwarą, stara Cyganka językiem obrazów i symboli, a światowiec Horski i kosmopolityczna arystokracja polska wplata w swe wypowiedzi francusko- i anglojęzyczne zwroty, co doskonale oddaje jej styl bycia.

Powieść, jak większość utworów Mniszkówny, jest skomponowana bardzo precyzyjnie. Oba tomy zawierają jednakową liczbę rozdziałów, dzięki czemu proporcje pomiędzy erotyką, sensacją i tezą romansu są właściwie wyważone, a czytelnik ma poczucie komfortu, wynikającego z harmonijnego uporządkowania świata przedstawionego, pozorującego rzeczywisty.

Helena Mniszek

Czciciele szatana (1918*)



Helena Mniszek
Czciciele szatana

Ilustracja nr 8. Okładka powieści *Czcciele szatana* H. Mniszek, wyd. Armoryka, Sandomierz 2021 [e-book]. Autor ilustracji: J. Susak.

Źródło: <https://www.empik.com/czciciele-szatana-mniszek-helena,p1268049163,ebooki-i-mp3-p> [dostęp: 11.08.2024].

* Rok pierwszego wydania powieści.

„Otaczała ich dwoje atmosfera wyłączna, jaka niekiedy owiewa ludzi niespodziewanie, spada na nich, niby jaskrawa smuga z przelotu demona – nie anioła, lecz demona”¹. W tej młodopolsko-rapsodycznej konwencji napisany jest romans *Czyciele szatana*, którego początek zacytowałam. Składa się on z dwu części. Pierwsza w pięciu obrazach kreśli romantyczny wizerunek dwojga niezwykłych ludzi w bliżej nieokreślonym wieku, nieznanego pochodzenia, którzy w pięknej scenerii włoskiego wybrzeża przeżywają swą miłość. Nie jest to zwykły romans, lecz wędrówka „w zaświaty, w krainę duchowej ekstazy”². Z dala od reszty świata, wśród kwiatów (stały motyw lilii i róż o wyraźnie eksponowanej symbolice) i muzyki (grają razem Bacha, Haendla, Beethovena – ona na fortepianie, on na wiolonczeli), dyskutują o literaturze i filozofii, coraz mocniej złączeni, coraz bliżsi sobie.

Pamiętając tajemniczą wróżbę szatana, oczekują spełnienia: „Dzień wasz już bliski, wasze przestworza uniosą was na szczyty gór zapomnienia... dokoła zapalę płomienie purpury... iskrami szału was zasypię, wszystko wam zblednie w potopie szkarłatu... w mojej żyć będziecie barwie, obojętni na sprawy Kosmosu... a imię was dwojga, to jedno... Alhalli...”³. (Typowy dla epoki motyw dwujedni, wszechharmonii). Malowniczy adriatycki krajobraz, bujna natura Południa (kwitnące migdałowce, białe tuberozy, róże itp.), blask słońca lub poświata księżyca, wspaniałe dzieła sztuki w białej, gotyckiej willi – wszystko to tworzy atmosferę luksusu, piękna, harmonii. Komentarze narratora i słowa bohaterów potwierdzają te odczucia: „Jesteśmy zatem najnowszym wytworem kultury w znaczeniu duchowym” lub „miłość ich nie była pospolitą, bo nie miała w sobie nizinno ziemskich podstaw”⁴.

Mniszkówna szkicuje quasi-scenariusz spełniania się szatańskiej przepowiedni, w którym najważniejsze jest oddanie nastroju. Rekwizyty są tu ważne, ale najistotniejszy jest język – raz rejestrująco-informacyjny, raz niczym proza poetycka, muzyczny, stylistycznie wyszukany. Tekst trudno streścić, gdyż akcja romansu jest właściwie pretekstowa. Dominującą formę podawczą stanowi opis, a dialogi są jakby rozpisaniem na role wygłoszonych uprzednio przez narratora, ogólnikowych teorii na temat życia, sztuki, miłości.

1 H. Mniszek, *Czyciele szatana*, Gebethner i Wolff, Warszawa 1918, s. 5.

2 Tamże, s. 6.

3 Tamże, s. 9.

4 Tamże, s. 51.

Wszystko dokoła zdaje się miłować, tęsknić, śnić, a zarazem szaleć i łaknąć rozkoszy i udzielać jej sobie wzajemnie. Szczęście, szal i rozkosz odczuwało się tu plastycznie wraz z bujnym temperamentem południa. Punkt kulminacyjny — ich dwoje, w głębi galerii, w cieniu środkowych sklepionych filarów. Siedzą naprzeciw siebie, blisko.

Dokoła nich mnóstwo róż i purpurowych goździków. Płaczą się na mozaikowej posadzce krwawe i białe kwiaty. Ich zapach odurza. Oni rozmawiają poważnie, jak ludzie, którzy dusze swe zgłębili, wiedzą, czego pragną, co jest ich ideą i co osiągnęli, a co jeszcze osiągnąć chcą. On mówi, ona słucha go uważnie, zatopiona w nim duszą i wzrokiem, oddana mu całym sercem; zabrał je samodzielnie i włączył do swego. Nie broniła mu tego skarbu, grabież ta dała jej szczęście. Dała jej więcej, bo pewność zupełną, że szczęście istnieje, że nie jest złudą. Dała jej więcej, bo przekonanie, że są dusze dla siebie stworzone i że są wśród nich wybrańcy Fortuny, którym dane jest spotkać się z sobą i trwać w ukochaniu.

Dała jej więcej, bo ukazując jej moc uczucia, płynącego z ducha i w nim ześrodkowanego, stworzyła ideału pełen, biały, cudny kwiat miłości duchowej, tylko w jasnym świetle i przejrzystym powietrzu kwitnąć on może. W palącej atmosferze zmysłów straciłby może czar swój i całe piękno. Więc czuła się magnatką w tej krainie, gdzie bogactwa wybrańcom rozdziela — szczęście. Czuła, że o ile być kochaną, to już tylko dla takiej idei, dla ich idei — osiągniętej.

Oboje pojmowali głębię szczęścia jednakowo. Bo nie dość było, że się duchy ich spotkały w odmętach świata, w tumanie życia, nie dość, że się ukochały, lecz trzeba było siły i woli męskiej, by zatrzymać koło Fortuny, uciekającej stale nawet przed jej ulubieńcami i skierować na siebie boskie oblicze i wzrok uszczęśliwiającej boginki. To się nie każdemu udaje. Spotkanie szczęścia, to wygranie głównego losu na loterii życiowej, ale zdobycie dla siebie i utrwalenie szczęścia, to salto mortale, po którym zostaje rozbitek lub wypływa zwycięzca. To klęska lub triumf.

Trzeba być twórcą swego szczęścia, aby być jego panem. On mógł to o sobie powiedzieć. Zdobył, utrwalił i dał mu odpowiednie ramy,

właściwą obsadę i panuje nad nim wszechwładnie, pewny swej mocy nad ideą swego szczęścia, jak pewny serca tej, dla której zdobywał, by razem z nią pić z tego kielicha. On czuł zadowolenie bezgraniczne i pełne, ona bezmierną wdzięczność.

A morze szumiało kołysane lekkim podmuchem nocy, migotliwe iskry lśniły po przezroczrej szybie wód lazuruowo mglistych jak mętna żrenica budzącej się po rozkosznych smach kobiety. A róże purpurowe ronily woń wsiąkającą w żyły, podniecającą nerwy jak haszysz.

Noc czar, noc melodii i rytmu dwojga serc szczęśliwych, że dane im było żyć.

W pewnej chwili, gdy blaski srebrnoametystowe zalały całą galerię, ona podniosła się z krzesła i podając mu rękę, rzekła miękko:

— Pójdźmy w światło.

Weszli w księżycowe smugi i sami stali się od razu jak posągi, tak ich blaski rzeźbiły, malując pastelowymi farbami ich postacie. Twarze pobladły w perłowym tumanie; jego włosy zalśniły czarnym aksamitem, na jej splotach błysnęły złote pasemka. Jego postać ciemna odrzynała się plastycznie od białości jej przytulonej do niego. Oczy ich zatoneły w morzu.

— Patrz, jak się fala iskrzy — szepnęła, wspierając głowę o jego ramię. Morze wygląda niby olbrzymi zbiornik gwiazd, sezam gwiezdny, wytryskają zeń pojedyncze gwiazdzice i przekłuwając błękitny strop, świecą ziemi.

— Prócz tych, które zatrzymując się w twoich oczach, świecą dla mnie, tylko dla mnie.

— Powiedziałeś to ładnie — uśmiechnęła się. — Ty mój, ty panie! Lubię szalenie ten twój mars na czole; oryginalnie ci się czoło fałduje i ten, ten rys brwi, taki dziki a chmurny nad szatańskimi oczami twymi. Czy czujesz, jak pachną róże? Ale ty się nasycasz wonią moich włosów? Przestań! Drażni mnie twój oddech.

— Daj mi usta, kochanie, kryształowe moje dziecko, daj mi usta, pragnę.

Usunęła się lekko przed zaborczością jego ramion.

— Jeszcze nie, pozwól, jeszcze chwilę. Ty wiesz, że skoro zapragniesz, skoro zażądasz, to je weźmiesz, są twoje⁵.

[...]

Zamknęła mu usta miękką swą pachnącą dłonią. Wtulił w nią palające swe wargi i trwali tak chwilę, zatopieni w sobie oczami. Jego źrenice nabierały dziwnej grozy, czoło zsunęło się w fałdy, twarz bladła. Jej oczy zmętniały lekko, jak źródłana woda pod wpływem upalnego tumanu. Chyliła się ku niemu bezwiednie prawie, on ją pociągał powoli, lecz stanowczo. Pchała ich ku sobie nieprzeparta siła, której nikt i nic oprzeć się nie zdoła, gdy nadejdzie. Czy nadejdzie jako błogosławieństwo losu czy jako jego przekleństwo, błogosławieństwem staje się zawsze.

— Daj usta, daj mi je sama — szepnął głucho, pochylony tuż nad jej twarzą.

— Weź je, oto są — odszepnęła, drżąc.

Podawała mu zwilżony kwiat swych warg rozchylonych, palających żywą krwią. On je porwał i wessał w swoje. Szał ich ogarnął. Zarzuciła mu na szyję ramiona i przylgnęła doń cała. Zamknął ją w swym męskim uścisku i chłonąc jej usta, przegiął jej głowę na bok, położył na swej piersi. Jęknęła cicho z rozkoszy. Nie uważał na to, zapamiętali się, ginęli w upojeniu. Rozwarły się przed nimi purpurowe kielichy szczęścia, oddawały im słodycz swą przedziwną. A księżyc osrebrał ich głowy, by miłość ich była jeszcze cudniejszą. A morze szumiało cicho, by melodią swą dośpiewywać gorętsze akordy w harmonii ich muzyki. I cisza była wielka, cisza rytualna. Ta noc cudowna, roziskrzane morze, biała, jak nimfa, willa, róże, woń i blaski — wszystko było jakby stworzone tylko dla tych dwojga, by czar ich pocałunku uczynić potężniejszym.

Ona pierwsza wyrwała usta spod jego mocy. Zadyszana, zakryła rękami zmacone rozkoszą oczy i szepnęła na wpół z zachwytem, na wpół z przerażeniem:

— To szaleństwo, co my robimy. Szaleństwo!

5 Tamże, s. 16–20.

— Tylko szal jest naprawdę piękny! Ukochana moja, miłość i szal chodzą w parze, jedno bez drugiego silnym być nie może, a pocałunek to ich dziecię.

— Twój pocałunek jest szatański — parzy jak całe piekło.

— Czy wołałabyś, bym ci dał anielskie pocałowanie, takie, wiesz, biblijne, braterskie?

— Och, nie! Wolę twój piekielny, chociaż stworzył go na pewno szatan!

— Więc się trwożysz...?

— Nie, jeśli to dzieło szatana, niech mu będzie...

— Za to chwała — dokończył, tuląc ją do swej wzburzonej piersi.

— To dzieło naszego szatana, który nam je przepowiadał. Wszak i mnie nazywałaś swym demonem.

— Bo objawiałeś mi się, jak Demon Tamarze w zamku Hudala. I ja wołałam w swej duszy trwożnej: „Ktoś ty, odpowiedz mi, ktoś ty!” A oto jesteś i jam twoja. Okazało się, żeś do Lermontowskiego Demona podobny. Zwalczyłeś i zwalczasz wszystko, jestem w twojej mocy, zdobyłeś mnie!

— „By na jedwabne rzęsy twe, zlewać rozkoszne, złote przyszłości sny” — zacytował słowa Demona z poematu. — A teraz, słuchaj... tyś mój cudowny raj, ty moje niebo i moje piekło, diabelstwo ty moje! Moje marzenie ty, cierpienie moje ty, bez granic szczęście to ty, udręka moja ty, ty moja śmierć, ty moje życie, ty moje wszystko! Tyś mój biały kwiat i jasna pani. Taki jakiś czar wieje od twojej całej osoby, że upijam się nim. Gdy nadejdzie nasz dzień, wtedy... słońce może zgasnąć i swój zmylić bieg. Bo ty musisz być dla mnie, musisz być moją. Słuchaj... musisz! Czy na to, Helios moje, zgadza się...?

Upadła mu na piersi z wybuchem szczęścia.

— Duchem należę do ciebie dawno. Tamara umiała tylko umrzeć, ja zaś będę cię kochała wiecznie i nawet w piekle chcę z tobą być. Porwałaś mnie i uniosłaś. Wtargnąłeś śmiało w mury, w których żyłam. Nie zawahałeś się, nic cię nie powstrzymało od wnikięcia w ich zawory.

Odpowiedział jej znowu słowami Demona:

— „Panuję tu — bo kocham”.

– Zaimponowałeś mi swą siłą ogromnie. Musiałam cię podziwiać. Przygarnął ją do siebie.

– Takiej jak ty, dziecino, trzeba imponować, chcąc ją mieć⁶.

[...]

Wyciągnął do niej ramiona. Tyle uczucia i natchnienia niemal malowało się na jego twarzy, że kobieta uniesiona szczęściem, z okrzykiem rozkoszy upadła do jego nóg, siedząc na dywanie, złożyła głowę na jego kolanach i zmrużyła oczy z nadmiaru upojenia. On pochylony nad nią gładził jej włosy rasową swą ręką, szepcząc słodkie, pieściwe słowa.

Z majolikowej płaskiej wazy, stojącej obok na konsoli lustra, wyszarpnął olbrzymi pęk krwawych róż i złożył u jej stóp.

– Teraz tylko wonne róże składam ci w hołdzie. Ale to jeszcze nie to, co bym pragnął, to nie cały świat!

– Cały świat jest w nas samych, zawiera się w naszym szczęściu.

Patrzył na nią z bezmierną tkliwością.

– Czego się uśmiewasz? – spytał.

– Myślę w tej chwili, że jednak miłość to wszechpotęga, to uczucie święte, lecz tak pojmowane jak przez nas, ze strony najgłębszej – duchowej. Ogólnie miłość bywa niedoceniana lub parodiowana, najczęściej niezgłębiona. Wszak prawda...?

– Dlatego że przeważnie dają jej jedno oświecenie, a wówczas majestat miłości istotnie zmniejsza się. Są ludzie, którzy nie rozumieją miłości inaczej, jak w purpurowej łunie; wtedy właśnie najgłębsza istotność tego uczucia zamyka się dla nieświadomych. Jaskrawy blask zalewa ich oczy, nie są zdolni sięgnąć do dna, do samego rdzenia tej potęgi, gdzie tli się błękitny płomień ideału. Kto go ujrzy, kto się przy nim ogrzeje, ten się uduchowi i przestaje hołdować bałwochwalczo jaskrawej łunie miłości zmysłowej.

– A jednak i nas, cośmy ten błękitny płomień odnaleźli dla siebie, by płonął nam jak Znicz, i nas otacza niekiedy purpurowa luna szału, jak wczoraj na przykład – szepnęła, kładąc jego dłoń na swych oczach.

– To nie luna zmysłowej pożogi, to purpurowy kwiat, wytryskający z powodzi białych kwiatów, które kwitną w naszych sercach

6 Tamże, s. 22–26.

i duchach. Szał spojenia naszych ust, rozkosz, jaką nam pocałunek daje, to nie jest jeszcze ta jaskrawa łuna oślepiająca, o jakiej mówiłem. Bo jednak nas nie zdołała wciągnąć w orbitę swego blasku, my jej podniet nie potrzebujemy, by miłować się bezgranicznie. Wystarczy nam nasz płomień ideału, ukochaliśmy go i nie wyklucza on zrywania przez nas purpurowych kwiatów pocałunku. Pocałunki nasze i pieszczoty nie kalają, nie brudzą miłości naszej, lecz ją potęgują, zachowując jej bezwzględność czystości. Pamiętaj jednak, że gdyby warunki nasze obecne zmieniły się zasadniczo jako takie, a łuna purpurowa zarzuciłaby na nas swoją płachtę, bo wtedy wszakże inaczej już by być nie mogło, to zawsze jednak tkwilibyśmy wiernie przy płomieniu duchowym i ten byłby źródłem naszych uczuć, bo pijąc z niego teraz zasmakowaliśmy w nim i źródło to stało się już dla nas konieczną ostoją. Nie rozumielibyśmy bez niego życia, miłości, skąd ona czerpie wszystko swe piękno i całe bogactwo czaru.

— Jak ja cię kocham za to, że jesteś właśnie takim — rzekła szepem, przesuwając jego dłoń po swej twarzy. — Tylu mężczyzn spotykałam w życiu, tylu zabiegało o mnie; o, nie sądzi, że się chwale, sam zresztą wiesz o tym, i nigdy żaden nie porwał mnie tak, jak ty, ukochany, nigdy nie trafiłam na swój, skończony w szczegółach typ⁷.

[...]

— [...] Władzy swej nad tobą nie nadużyję, najpierw dlatego, że cię czczę, po drugie, że mógłbym cię wtenczas stracić. Bo powtarzam, chcesz być moją niewolnicą z miłości, ale wiesz o tym, jak wysoko stoisz w moim pojęciu, jaki tam masz tron, jak królujesz. Duchu mój, perło moja śnieżnej białości, wszak ty mną władasz i oddając mi swoją wolę, podbijasz całkowicie moją. Twój tron zawsze wysoko wyniesiony będzie, aureolą świętości otoczę twoją skroń i ciebie całą i nietykalną pozostaniesz w tej swojej szczeroci i prostocie.

Pochylił się nad jej czołem i ucałował je po męsku, krótko, z uczuciem. W jej oczach zalśniły łzy, nagle chwyciła jego dłoń i przyłgnęła do niej ustami.

— Moja ty, słodka!

7 Tamże, s. 35–38.

Porwał ją w ramiona i posadził ją sobie na kolanach. Przytuliła się do jego piersi wzruszona do głębi duszy.

— I tym nie obrażam mej dumy, że całuję cię w rękę, to tylko jedna potrzeba więcej dla wyrażenia moich uczuć. W akordzie naszej miłości i taki ton nie razi. Ale kobiety emancypantki byłyby zgorszone, sarkalyby na mnie z oburzeniem niesłychanym.

— Ach, krzykaczki-emancypantki! Ty jesteś emancypantką, tylko w najszlachetniejszym gatunku. Wszakże miłość nie jest wstydem ani grzechem kobiety, zależy tylko, jak jest pojmowana przez nią i na jakim się gruncie opiera. Twoja miłość nie kala twej godności kobiecej, przeciwnie, przynosi jej zaszczyt. Kobiecość zyskuje na uroku, gdy kocha, byle tylko jej człowieczość utrzymała się na wyżynie, jak u ciebie. Więc to jest dopiero dobrze zrozumiana emancypacja duchowa. Ale takie tam wrzaski na mężczyzn nie przerażają ich zbyt, wierz mi, ukochana. Ręczę ci za to, że żadna z tych rozwichrzonych krzykaczek-emancypantek, będąc na twoim miejscu obecnie, nie byłaby tobą. Niech ci to wystarczy. Przypomina mi się zdanie Prusa, że taka pani emancypantka dotąd wrzeszczy na mężczyzn i urąga na nich, najniebezpieczniej w świecie, aż który z nich zlituje się nad nią, wtedy teorie swe składa do rupieci, a sama z wielkiej miłosnej pokory ściąga lube-mu buty z nóg.

Ona zaśmiała się wesoło⁸.

Bohaterowie, zajęci sobą bez reszty, nie zauważają milczącej dezaprobaty ani potępiających gestów otoczenia. Dążą do jak największej izolacji. Jedyne natura może być świadkiem ich miłości, wszyscy inni tylko ją profanują.

Fale unosiły łódź, nie zatapiając jej, kołysząc nią tylko coraz silniej, gdyż morze wznosiło się i ciemniało. Płynęli znowu w milczeniu, spoglądali jeno na siebie z wyrazem niewysłowionego spokoju, będącego wynikiem promienności dusz.

⁸ Tamże, s. 41–42.

A morze mieniło się całą gamą barw i tonów. Lekkie ciemne chmurki szybowwały lotem ptaka, gnane wiatrem, który fałdował przestrzeń wód w coraz wyższe bałwany. Spoza chmur wyzierało jaskrawo słońce jakies jakby podniecone, rozdrażnione igraszką wichru, paliło czerwienią, rzucało na fale strugi krwi i znowu gasło pod ciałem chmury, a na morze padał sinoszary ton. Groźne było wtedy, mroczne jak sumienie grzesznika po krwawej zbrodni. I znowu chmura ustąpiła, polala się na fale krew, spłynął ogień.

— Pożoga na morzu — szepnęła kobieta, drżąc ze wzruszenia przebytej chwili i grozy w naturze.

— Fale płoną! Już dojeżdżamy, bałwany są zbyt silne. Trzymaj się, dziecino, mocno, spadamy w przepaść... Cóż za uczucie tytaniczne! O! Znowu na szczyt fali! Nie blednij, jedyna, jeszcze chwila.

Bałwany cisnęły prawie ich łódź na brzeg. Wyniósł ją w ramionach, postawił drżącą.

Na plaży jacyś ludzie, tłum. Ktoś rzekł głośno:

— To tych dwoje z białej willi gotyckiej. Zdają się nie widzieć świata poza sobą.

Jakiś śmiech kobiecy, cyniczny, zły.

— Za to świat ich widzi i ocenia jak należy.

Znowu pierwszy głos:

— Mieszkają jak aniołowie na tej cudnej skale.

— A są czcicielami szatana. Bezwstydni! — zaśmiała się kobieta z tłumy.

Słowa te padły zimnym, twardym gradem na „tych dwoje z białej willi”. Ona uczuła bolesne ściśnięcie serca za profanację ich uczucia, on za spotwarzenie jej przeczystej bieli. Wziął ją pod ramię, przygarnął lekko i poszli pod górę do siebie. Poszli cisi, poważni, nie patrząc na gawiedź żadną żeru, nie słuchając jej bluźnierstw. Szli pod górę na swoją wyżynę, której gawiedź nie знаła i nie rozumiała, przyzwyczajona do pospolitego piasku plaży. Nie mówili do siebie nic, tylko serca ich były wzajemnym zrozumieniem się; ona oddawała mu swą czystą duszę, on ją koił potęgą swojej. Byli godni siebie.

Gdy znikli z oczu tłumu, gdy owionęła ich woń róż, tych róż kwitnących w ich Edenie, on przykląkł przed nią i objął jej kolana. Dusza jego mówiła, zda się, przez drżące uczuciem usta:

— Kwiecie mój biały, perło moja, czczę cię jak moje bóstwo, masz mnie u swych stóp, mnie i miłość moją. Promieniu świetlisty mego życia.

Ona złożyła ręce na jego głowie, parę cichych łez spłynęło na męskie czoło, pochylone do jej kolan.

— Powstań, jedyny. Ty wiesz, jam twoja do zgonu. Świat, ludzie to jeno tło, mój dogmat to ty.

Stali przytuleni do siebie z promiennymi twarzami, patrząc ze swych wyżyn na rozbijałe morze i szumiące życiem ludzkim bulwary⁹.

Kolejne, luźno ze sobą połączone obrazy (scala je zasada następstwa czasowego) prowadzą ku zapowiadанemu prorocत्वu. Niezwykły pejzaż – symbol, jakim jest wybuch Wezuwiusza i ich namiętności, stanowi punkt kulminacyjny miłosnego obcowania bezimiennych bohaterów *Czcicieli szatana*.

— Patrz!

Wydała okrzyk zdumienia i zachwyty. Z wulkanu buchnął potężny słup iskieł, prosty, strzelisty jak rakietę, w górze rozsypał się niby rozwiązany złocisty snop i siał rzęsistą kaskadę płynącego żaru. Blask pożogi lunął na całą Kampanię, gigantyczna fontanna iskieł waliła pod strop nieba, który stał się czarny jak zastygła lawa.

Wezuwiusz przemówił.

Zjawisko było tak pyszne i piękne, tak imponujące w swej grozie i żywiołowości, że ludzie oniemieli, ziemia, zda się, zdrętwiała¹⁰.

[...]

Oni oboje czuli, że dzieje się coś niezwykłego, że jakaś siła wszechmocna wnika w ich jestestwa i głuży wszystko, i rozsadza piersi

⁹ Tamże, s. 55–58.

¹⁰ Tamże, s. 90–91.

ogromem uczuć, że zawieja pragnień mąci im zmysły, że jakieś głosy nakazujące wołają na nich, że jakaś potęga żywiołowa pcha ich ku sobie, i że się jej nie oprą. Bo któż jest w stanie zgasić ten wicher ognisty buchający z krateru Wezuwiusza, któż zmusić go zdoła do zastygnięcia...? Więc kto zegnie i tę moc, która w nich oto rozwieliżnia się tak zaborczo...? Kto zdusi tę wszechwładzę ich pożądań siebie, kto odmęt taki szalony, pożarów pełny ostudzić potrafi...? Nikt! Nikt! To tytan, to kolos niezłomny, to siła twórcza, nieskruszona żadną wolą.

Ona przyjść musiała i nadeszła... Czuli oboje, że się jej poddają, czuli, że słabną. Bali się spojrzeć sobie w oczy, bali się poruszyć, by nie wywołać plastyki dotyku; w ich krwi płynęły potoki ognia. Walczyli resztą zanikającej siły, walczyli z buntem zmysłowej podniety, spychającym ich w przepaść zapomnienia. Rozumieli już, że są na skraju tej rozpalonej otchłani niby przy samej czeluści wulkanu. Rozumieli, że już nie ma dla nich ratunku, że czeluść ta pochłonie ich i spali na popiół. Żar mieli w piersiach, w całych istotach rozpanoszyła się jakaś olbrzymiość niesłychana i już nieujęta w żadne okowy. To targało nimi z coraz większą zawziętością, unosiło ich poza wszelką realność.

Pasja ich rosła. Zatopieni byli w czerwonej kurzawie dukatowego złota, siały się dokoła złote pyły, urokiem tchnęła ta noc pod grozą wybuchu, pełna niepokoju, będąca jakby wyrazem namiętności rozhułanej natury.

Na balkonie zaszemrały ciche szepty.

— Czego tak drżysz, jedyna, boisz się...?

— Nie... lecz myślę, że gdyby w takiej chwili nastąpił koniec świata, ludzie ginęliby w szale zachwyty.

— To prawda! Wezuwiusz uczcił nas pyszną iluminacją. Najśmielsza wyobraźnia maleje przy tym zjawisku. Cudowne...! Jakże ty drżysz...

— Bo wiesz... zatracą się pojęcie, czy ta noc jest obrazem piekła czy... nieba...?

— To sprawił Demon, nasz demon, on tu panem. Patrz...! Jesteśmy okryci... złotym deszczem.

Drgnęli oboje jak smagnięci biczem ognistym, ona przyłgnęła od niego mocniej, na nic już niepomna i... nagle została porwana

gwałtownie w objęcia. Zdusił ją w ramionach, przegiął w tył i chwytałmi wargami, gorącymi jak płomień, posiadał jej usta. Usłyszała stłumiony, głuchy jego okrzyk:

— Moja ty... Danae...

Świat zakręcił się wirami w ich mózgach. Świat runął, nie egzystował. Został jeno szal, zachwyty, jeden, jeden czar.

A potop złotego deszczu płynął i płynął z nieba.

Ocknęła się, gdy chwycił ją na ręce jak dziecko, poczuła, że jest niesiona w jego objęciach. Oprzytomniała...

Ogarniając ją całą żelazną obręczą swych ramion, okrywał gradem pocałunków jej oczy, włosy, policzki, parzył jej usta, gryzł je aż do bólu, żar swych łaknących warg przesuwiał po jej obnażonej szyi i piersiach, pieścił jej stopy i ręce, szalał, wrzał. Zrozumiała, że jest w jego mocy, zdana bezwzględnie na jego łaskę i pomimo rozkoszy nieziemskiej, zlekła się. Zbyt blisko byli siebie, władza jego zbyt ją upajała.

Usłyszał szept jej roztrzęsionych ust, szept błagalny:

— Jedyne mój, ja siłę swą... czerpać chcę... z twojej... tyś panem... ty mi jej użycz... ja ci ufam...

Odczuł ją, że pozostała już tylko jej prośba. Zawrzała w nim walka buntu, namietności, szalonego pożądania z siłą woli tak potężną, że łamała wszystko. Pohamował się mocarnie, szarpnął nerwami, aż coś w nim boleśnie zgrzytnęło, kipiącą krew zatrzymał tamą swego rozkazu i... zwyciężył. Dla niej, dla jej spokoju, i sam od tej myśli spokojniał.

Twarz jej przytulił do swojej i szepnął głosem wzburzonym:

— Ufaj! Tyś moja świętość, ja cię nie skalam, ja cię uszanuję, bo cię kocham siłą ducha mego; ciało mogłoby osłabnąć, duch nigdy. Nie trwóż się, zachowaj spokój, takich pieszczot, jakie ja biorę, nie broń mi. Duchem należysz do mnie całkowicie i niepodzielnie, ja mam do ciebie najwięcej praw duchowych, zatem całować, pieścić cię muszę, słyszysz, muszę, by choć przez chwilę zapomnieć o tym, co nas dzieli, choć przez chwilę mieć złudę, że należysz do mnie bez zastrzeżeń. Wszak nasze pieszczoty to punkt, gdzie się spotykają i łączą nasze uczucia, to zarazem i dowód twojej we mnie ufności. Rozumiemy to oboje i jestem dumny z ciebie. Jestem silny i ty silna, boś ty mój duch wybrany.

Uniesiona wdzięcznością dla niego, uczuciem, czcią, chwyciła jego dłoń i przywarła do niej ustami. Nie mówiła nic i on milczał, lecz oboje czuli, że w harmonijnym akordzie ich duchowego zespolenia przybył nowy, bardzo wzniosły ton. Oboje z dumą myśleli, że siła ich stanęła na najwyższym piedestale, oboje musieli się czcić, bo czystość ich sojuszu była osiągnięta. Miłość ich stała się górną, wyrosła ponad poziom pospolitych ludzkich namiętności.

Po długiej chwili zapatrzenia w swą duchową ekstazę, dostrzegli nagłą ciemność w pokoju. Różowy brzask zniknął ze stiukowych ścian. Wyszli na balkon. Wulkan przygasał. Już tylko pojedyncze węzowe zygzaki iskier pryskały w górę i marły w czarnej topieli nocy. Świat okrył się znowu sinoszarą ćmą.

Nieśmiało, jakby wystraszony, wyłaniał się spoza gór Apeninów blady sierp księżyca, drgał leciuchno na wodach zatoki, jakby badając, czy nic w nich nie pozostało ze świetlnych refleksów odbitego w ich falach wybuchu.

Oni oboje zapatrzyli się w tę nową metamorfozę Kampanii i zatoki, wsłuchani w dziwny spokój przyrody po jej szaleństwie.

I w nich zgasły pożary, ucichły gorące wichry, została bezmierna słodycz i wielka jasność w duszach, triumf, że zwalczyli samych siebie.

Ufnie, ze szczęściem w sercu, przygarnięta przez niego, dotknęła skronią jego czoła, ręką zakreśliła krąg.

— Patrz, wszystko jest tak jak było przed wybuchem...

— Tak, umiłowana, przeszliśmy ogniową próbę i znowu nam zabłyśnie nasz złoty świt...¹¹

Tę efektowną malarsko scenę wzbogaca o poetycką pointę wiersz, który on niegdyś dla niej ułożył. Raz jeszcze powraca znany już motyw – utopijne marzenie o pełnym, harmonijnym połączeniu tego, co męskie i żeńskie. Tego, co jest duchem i materią, dręcząca modernistów tęsknota za Androgyne.

¹¹ Tamże, s. 92–98.

„A imię nas dwojga – to jedno... Alhalli...”. Słowa te kończą część pierwszą utworu. Widać w niej wyraźnie wpływy Przybyszewskiego (szczególnie rap-sod *Nad morzem*) nie tylko w warstwie językowo-stylistycznej, ale i w wyborze tematu.

Część drugą, zatytułowaną *Jej zatrata gdyby...*, można uznać za rodzaj wariantowego zakończenia o własnej, wewnętrznej dynamice kompozycyjnej (objętościowo stanowi około 1/4 poprzedniego tekstu). Jest to rozwiązanie antytetyczne wobec pierwszego, pozytywnie zrealizowanego mitu Androgyne; rozwiązanie, w którym dwujednia kochanków z białej, gotyckiej wili nad Adriatykiem nie osiąga swej realizacji. Z nieprzedstawionych przez Mniszkównę przyczyn Ona (kobieta) zostaje sama, związek rozpada się. Po jej „drugiej połowie” zostają jedynie listy, fotografie. Analogiczna do wcześniej opisanego erupcja Wezuwiusza nie obrazuje już scalających, demiurgicznych mocy miłości, ale jej sataniczną siłę niszczyelską. Potęgą staje się nicością, a bezimienna Ona rzuca się w jej otchłań, oddając swe życie płomieniom, dobywającym się z krateru wulkanu. Tak spektakularne samobójstwo bohaterki to gest rozpacz, odmowy, gest heroiczny. Powagę i wzniosłość miłości dopełnia tu patos śmierci.

Gdyby to wszystko, czym teraz żyje, ten ogrom, który nosi w pier-siach i szczęściem zwie, okazał się złudą, gdyby ta jaśń złocista jej duszy, ta jaśń rozświetlająca duszę stupromienną zorzą, była jeno mamidłem... gdyby gmach ideału, stojący na wyżynie – w sferze górnej, nie dla wszystkich dostępnej, runął i zmienił się w osypisko gruzów, gdyby się unicestwił...

Gdyby to, co istnieje i pomimo swej tragedii jest szczęściem życia, jego radością, promieniem duszy, ogniem serca, uśmiechem i weselem losu, jego królewskim darem – znikło...

Gdyby to, co jest jej natchnieniem, jedyną osłodą życia i bodźcem do życia – rozwiało się...

Gdyby ta jej idea – skonala...

Gdyby ta – potęga – stała się nicością...

Gdyby ten płomień dla niej zgasił... przestał ogrzewać i świecić...

Gdyby została pustka tam, gdzie teraz sezam...

Gdyby powrócił dawny, beznadziejny chaos, przesmutna głusz,
miast obecnej Ikarii.

Gdyby tak... Wtedy!!...

.

Zrozumiała jasno, że księga jej życia zamknęła się... Oto jej strona
ostatnia — jej finał.

Odłożyła list na bok, spokojna, bez histerycznych wybuchów, nie
szarpała papieru, nie gniotła w pasji. Gniewu w niej nie było, tylko
bezdeń rozpacz.

Wszystko skończone!¹²

[...]

Na stoku Wezuwiusza, w Bosco Trecase przed oberżą zatrzymał
się powóz wiozący troje turystów: dwu mężczyzn i jedną kobietę. Męż-
czyźni jęli się zaraz umawiać z oberżystą o konie wierzchowe, któ-
re miały służyć do dalszej podróży na wulkan. Kobieta odeszła dalej,
obserwując okolicę. Niewiele jednak widziała, zapatrzona raczej w głę-
bie swej duszy, jak w labirynt ciemny i ponury.

Dusza jej była teraz niby jedno wielkie rumowisko spalonych na
węgiel uczuć, marzeń, stos kopających gruzów, popiół pozostały po ide-
ałach. Okrutne uczucie nosić w sobie taką martwość, pamiętając, że
była tam poprzednio Arkadia szczęścia, gdzie słońce szczodre, złote
i gorące sypało promienie, gdzie biel śnieżna lilii czarowała ekstatycz-
nie, gdzie krynicą upojen były purpurowe róże, gdzie wreszcie płynęła
kryształowa fala, jakby ze źródła kastalskiego, dając natchnienie duszy,
budząc do życia.

Zgasło słońce i pomarły białe lilie, i skonały purpurowe róże, wio-
nął przestraszny wichur, zabójczy samum, i wysuszył życiodajne źród-
ło. Zniszczenie piękna, zanik cudu, przekleństwo na miejscu błogosła-
wieństwa. Zatrata!¹³

[...]

¹² Tamże, s. 103–104.

¹³ Tamże, s. 112–113.

Turystka tępym wzrokiem wpatrywała się w zwały dymu u samej osady i jakby czekała na coś, dygocząc całym ciałem. W duszy jej wrzało, łamały się, miażdżyły ostatnie struny życia, krew krzepła w żyłach, wszystko zamierało, a jednocześnie obojętność jakaś zimna i pełna świadomość, że to się stanie, że i tego, i tego już nie będzie. Tak trzeba, tak postanowiła i spełni wiwisekcję na samej sobie. Wydrze krwawy kawał serca z jego krwawej rany, jeden ból więcej to nic, bo tak trzeba. Ostatni cios zadać sobie odważnie i koniec dźwiękom przeszłości. Myśli kołatały, lecz rozpierzchnięte, jak stado kruków złowieszczych.

Buchnął skołtuniony łeb dymu raz, drugi, trzeci z pękaniem i trzaskiem, jak z tytanicznej jakiejś lokomotywy; straszne te łby stłoczyły się w jedno rudoczarne cielsko i machnęły w górę, odsłaniając pod sobą rozpalone wnętrze krateru. Potworny lej ukazał swą ognistą paszczę, złą, warczącą, spienioną żarem. Przerazenie skuwa turystów, ogarnia ich niebywały strach, są na progu otchłani ziemnej. Czy to stworzyła się przed nimi kuźnica samego szatana...? Wałą w niej młoty, huczą pioruny, czerwonokrwawa przepaść zieje ogniem, dyszy gorącością żaru, jakby gotujący się do ataku smok stujęczyny. Kobieta wczepiła się oczyma w rozżarzoną gardziel, lęk niebywały chwycił ją niby w ostre szpony, zatargał całą jej postać, lecz nie cofnęła się w tył, jak jej towarzysze, groza widoku podnieciła ją i zdecydowała. Sięgnęła w zanadrze. Krótki moment, ostatnie pożegnanie oczyma, ustami. Ręka z małym ciężarkiem zakresliła linię w tył i naprzód, mignęło coś pośród dymów i znikło w buzującym płomieniami otworze wulkanu. Powstał huk, trzask, łomot, jakby Wezuwiusz ryczał z wściekłości.

Kobieta wygięła się w pałąk, załamane kurczowo dłonie wcisnęła w policzek, rysy się zbiegły w jeden bolesny, tragiczny węzeł, obłąkane źrenice szeroko otwarte wpiła w przepastny ogień ziemi, z piersi wydobył się jęk niezmiernego bólu, męczeński, złowrogi skowyt. Usta skrzywiły się jak w konwulsji. Stała nad grobem najdroższych, jedynych już w życiu pamiątek po szczęściu.

Stargane ostatnie struny. Ostatni kawał serca cisnęła tam. Klęska! Śmierć! Zagłada wszystkiego! Skon wspomnień.

I ona żyje...?

— Nie! Nie! Nigdy!

Rzuciła się naprzód jak sprężyna i... runęła w rozwartą straszliwie, ognistą gardziel krateru.

Dym skłębioną masą zakrył groźną czelusć, jeno wybuchły z niej gromy, zdawało się, iż góra pęknie, rozsadzona wewnętrzną, grzmącą kanonadą...

.
Jej zatrata... gdyby powrócił dawny, beznadziejny chaos, prze-
smutna głusz — miast obecnej Ikarii¹⁴.

Drugie zakończenie pochodzi z grudnia 1917 roku, a wcześniejsze, optymistyczne, datowane jest przez autorkę na jesień tego samego roku.

Ten niewątpliwie interesujący strukturalnie chwyt repetycji jest, być może, próbą dopowiedzenia tego, co było „niedomknięte”. Mniszkówna, śledząc literackie nowinki, pragnęła być nowoczesna (powieść młodopolska była celowo kompozycyjnie otwarta). Kolidowało to ze zwykłą potrzebą zaspokojenia ciekawości czytelników przyzwyczajonych do tradycyjnych, jednoznacznych rozwiązań, a sądząc po nikłej liczbie wydań (czytaj: popularności tego dziwnego romansu), eksperyment nie zyskał akceptacji wielbicieli *Trędowatej* czy *Gehenny*¹⁵.

¹⁴ Tamże, s. 122–125.

¹⁵ Powieść *Czyciele szatana* miała tylko kilka wydań. Pierwsze (tu cytowane) ukazało się w 1918 r., a współcześnie w latach 1990 i 1991 (Dom Księgarski i Wydawniczy „Fundacji Polonia”), w 2014 r. (wyd. Edipresse, w ramach serii wydawniczej *Klasyka Polskiego Romansu*) oraz w 2021 r. jako e-book (wyd. Armoryka).

Posłowie

Książka Marii Bujnickiej została przygotowana jako antologia, a nie praca naukowa, i ta właśnie jej cecha sprawia, że czytając *Anioły i demony*, powinniśmy pamiętać o głównych celach i zamierzeniach tomu. Nie jest łatwo je zrekonstruować. Wiadomo, że praca miała się ukazać w wydawnictwie popularnym, i to ono najpewniej wymusiło na autorce formę wyboru najbardziej interesujących fragmentów powieści romansowych. Jednakże rola, w jaką przy tej okazji weszła, nie wydaje się ani czysto pragmatyczna, ani wymuszona. *Anioły i demony* są przede wszystkim pierwszą autorską monografią Bujnickiej, ukazującą się z wielu przyczyn po jej śmierci, jednak zgodnie z tym, jak została zaplanowana i przygotowana. Dla tych, którzy spodziewaliby się książki wyrafinowanej teoretycznie i napisanej na podstawie wyszukanego materiału, propozycja ta może być zaskoczeniem. Eseistyczna lekkość stylu przeplata się tu z kompetentnym wprowadzaniem czytelnika w świat powieściowych romansów. Bujnicka prowadzi adeptów za rękę, którą trzyma mocno, czasem nawet kurczowo, ale przychodzi moment, że rzuca ich na głęboką wodę, urywając komentowanie i podsuwając długi, krwisty, niekiedy trochę nieobyczajny *passus* opowieści. Taki zwyczaj w książkach literaturoznawczych nie jest normą. Tymczasem w antologii sprawdza się znakomicie, buduje także odpowiednią dynamikę narracji, ponieważ przeplatanie się fabuł i komentarzy wznieca ciekawość, wzmacnia napięcie i działa jak zapowiedź intrygującego zdarzenia. Komentarze Bujnickiej wydają się należeć jednocześnie do starej szkoły krytyki artystycznej, zwłaszcza teatralnej czy filmowej, i do zupełnie nowego, będącego nieco na bakier z naukowymi normami, stylu pisania książek o literaturze, swobodnych i oddanych czytelnikowi.

Dziwna, a przynajmniej nietypowa *summa* dokonań Bujnickiej, jaką jest jej pierwsza książka, spełnia zarazem wszystkie warunki stawiane pracom naukowym. Przychodzi jako podsumowanie bogatego dorobku uczonej, rozproszonego w czasopismach i tomach zbiorowych, ale jest także rozwinięciem jej zainteresowań powieścią popularną przełomu XIX i XX wieku, ich

pogłębieniem i rozszerzeniem. Spór o formułę tego rozszerzenia można wieść w nieskończoność – wszakże fakt, że autorka napisała tę książkę czterdzieści lat temu i niewiele trzeba w niej poprawiać, ponieważ ani w założeniach, ani w stylu w ogóle się nie zestarzała, najlepiej świadczy o tym, jak trafnie dobrała ona krój do materii.

Anioły i demony są ważnym punktem na mapie badań polskiej kultury popularnej. Jest to mapa częściowo pusta, szczególnie w obszarze studiów nad romansem. Prezentowana antologia, pisana równolegle z pracami Anny Martuszeńskiej, wypełnia tę lukę; rozwija także wiedzę o popularnej powieści modernistycznej i o tym, jak chętnie żerowała ona na stereotypach płciowych. Bujnicka, dzieląc swoją książkę na rozdziały poświęcone tak znanym powieściom, jak *Gehenna* Heleny Mniszek czy *Kult ciała* Mieczysława Srokowskiego, pisze właściwie ich minimonografie. To, że nadaje im poczytny charakter, tak bardzo dziś potrzebny i pożądany, wydaje się niezwykle cenne.

Bibliografia najważniejszych publikacji Marii Bujnickiej

Synkretyzm gatunkowy „*Pada deszcz*” Stefana Flukowskiego, w: *Prace historycznoliterackie Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach*, T. 5, red. T. Bujnicki, I. Opacki, Uniwersytet Śląski, Katowice 1977.

Turpizm, „Tygodnik Kulturalny” 1977, nr 13, s. 6.

Informacja i emocja. (*O reklamie romansu popularnego*), „Ruch Literacki” 1982, z. 1/2, s. 25–38.

Bohaterki romansu popularnego. Z zagadnień konstrukcji, w: *Postać w dziele literackim*, red. C. Niedzielski, J. Speina, Uniwersytet Mikołaja Kopernika, Toruń 1982, s. 71–83.

Romans popularny – baśń kultury masowej, w: *Modele świata i człowieka. Szkice o powieści współczesnej*, red. J. Święch, Wydawnictwo Lubelskie, Lublin 1985, s. 56–83.

Erotyka romansu popularnego. Konteksty i podteksty, „Literatura Ludowa. Dwumiesięcznik Naukowo-Literacki” 1985, nr 1/2 (XXIV), s. 3–16.

Synkretyzm a fabuła. Fabuła a synkretyzm w literaturze popularnej, w: *Fabuła utworu literackiego*, red. nauk. C. Niedzielski, J. Speina, Wydawnictwo Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, Toruń 1987, s. 63–77.

- Romans popularny – „Trędowata”. Propozycja lektury*, „Literatura Ludowa” 1988, nr 2, s. 21–39.
- Egzotyka ad usum populi, czyli deskrypcja przestrzeni w powieściach Antoniego Marczyńskiego*, w: *Egzotyzm w literaturze*, red. nauk. E. Kuźma, Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu Szczecińskiego, Szczecin 1990, s. 171–193.
- O tym, kto z kim rozmawia w Skieroławkach: dialog i dialogiczność*, w: *Bohater w kulturze współczesnej. Wybrane problemy*, red. T. Kłak, Uniwersytet Śląski, Katowice 1990.
- Perswazja i retoryczność. O sposobach wartościowania w literaturze popularnej*, „Literatura i Kultura Popularna” 1991, t. 1, s. 23–41.
- Literatura popularna wobec... Perspektywa funkcjonalna: tematy i rematy*, „Ruch Literacki” 1993, z. 5, s. 581–596.
- Dwór szlachecki w literaturze popularnej. Pomiedzy mitem a stereotypem*, w: *Z problemów aksjologii literatury i kultury popularnej. Prace ofiarowane Józefowi Nowakowskiemu*, red. S. Uliasz, Wydawnictwo Wyższej Szkoły Pedagogicznej, Rzeszów 1996, s. 171–185.
- Sporne i bezsporne problemy literatury popularnej*, „Literatura i Kultura Popularna” 1997, t. 6, s. 25–27.
- Romans popularny wobec spraw wiary i religii*, w: *Religijne aspekty literatury polskiej XX wieku*, red. M. Jasińska-Wojtkowska, J. Święch, Towarzystwo Naukowe Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, Lublin 1997, s. 321–336.
- Feministki czytają „Gehennę” Heleny Mniszek*, „Ruch Literacki” 1998, z. 1, s. 55–64.
- Lot – ucieczka ku wolności – w polskiej współczesnej literaturze kobiecej*, w: *Erfolge und Niederlagen der Frauenfiguren in der deutschen und polnischen Literatur*, red. G. Szewczyk, Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, Katowice 2000, s. 120–137.
- Kobieta przed lustrem. Próba interpretacji motywu literackiego*, w: *Gender w humanistyce*, red. M. Radkiewicz, Rabid, Kraków 2001, s. 155–167.
- Czy to powieść brukowa? Genologiczne manipulacje*, „Literatura i Kultura Popularna” 2002, t. 10, s. 51–60.
- Pop-feminizm, czyli pragmatyka, moralistyka, komercja*, w: *Gender – kultura – społeczeństwo*, red. M. Radkiewicz, Rabid, Kraków 2002, s. 35–49.
- Udręki mężczyzny dobrze ułożonego, czyli salon i etykieta w drugiej połowie XIX wieku*, w: *Poszukiwanie realności. Literatura – dokument – Kresy. Prace ofiarowane Tadeuszowi Bujnickiemu*, red. S. Gawliński, W. Ligęza, Universitas, Kraków 2003, s. 103–115.

Metaliterackie eksperymenty Pawła Staški, w: Literatura i wyobraźnia. Prace ofiarowane Profesorowi Tadeuszowi Żabskiemu w 70. rocznicę urodzin, red. J. Kolbuszewski, Agencja Wydawnicza a Linea, Wrocław 2006, s. 333–345.

Romans, w: Słownik literatury popularnej, red. T. Żabski, Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego, Wrocław 2006, s. 540–542.

Marta Tomczok

Biogramy

STEFAN KIEDRZYŃSKI urodził się w 1888 r. w Warszawie w rodzinie inteligenckiej. Po ukończeniu Szkoły Sztuk Pięknych w Warszawie, w 1913 r. wyjechał na rok do Paryża. Tam zaczął pisać teksty do rewii. Odtąd przez całe życie był związany z kabaretem bądź teatrem. Drugą jego pasją była działalność dziennikarska. Pod koniec I wojny światowej w Mińsku Litewskim (dzisiejszy Mińsk – stolica Białorusi) założył satyryczny tygodnik „Antychryst”, prowadził też żołnierski teatr. W latach 1929–1939 stale współpracował z „Kurierem Warszawskim”.

Jest autorem ponad 70 powieści i sztuk teatralnych, przede wszystkim komedii. Wiele jego powieści było ekranizowanych, np.: *Krzyk w nocy* (wyd. 1919, film 1922), *Żona nie żona* (wyd. 1926, film 1939), *Serce na ulicy* (wyd. 1930, film 1931), *Dzień upragniony* (wyd. 1933, film pt. *Kłamstwo Krystyny* 1939). Kiedrzyński miał dobre wyczucie reguł sztuki popularnej, był „mistrzem efektownych tytułów”. W dwudziestoleciu międzywojennym zajmował drugie miejsce – po Tadeuszu Dołędże-Mostowiczu – pod względem sfilmowanych utworów.

Pisał również na specjalne zamówienie kina. Był scenarzystą filmów takich jak: *Słodysz grzechu* (1914, reż. E. Puchalski), *Zew morza* (1927, reż. H. Szaro), *Tajemnica starego rodu* (1928, reż. Z. Gniazdowski, E. Chaberski).

W 1938 r. otrzymał Złoty Wawrzyn Polskiej Akademii Literatury za całokształt twórczości. Zmarł w 1943 r. w Nowej Wsi.

HELENA MNISZEK urodziła się w 1878 r. w Kurczycach na Wołyniu. Odebrała staranne domowe wykształcenie: władała czterema językami, uczyła się gry na fortepianie (szczególnie lubiła grać sonaty Beethovena, jak bohaterka *Trędowatej*, Stefcia Rudecka), przez pewien czas również w Warszawie, amatorsko zajmowała się malarstwem. Dużo czytała, kochała ludzi (wiele czasu poświęcała pracy społecznej) i przyrodę (szczególnie kwiaty).

W 1898 r. wyszła za mąż za plenipotentą w majątku Wańkowiczów, Władysława Chyżyńskiego, i wyjechała na Litwę. Owdowiała w 1903 r., a po siedmiu latach poślubiła Antoniego Rawicza-Radomyskiego i przeniosła się z nim do Rogala pod Łuków, potem do Kuchar pod Płockiem. Z każdego małżeństwa miała dwie córki. W ich pamięci pozostała jako pogodna, towarzyska, wykwinna dama. Jarosław Iwaszkiewicz powiedział o niej: „Była dobrą i miłą kobietą”¹.

Żyła z dala od literackiego świata, zaskoczona popularnością, o którą wcale nie zabiegała, i bardzo przygnębiona złośliwymi recenzjami nieoszczędzających ją krytyków. (Początkowo niektórzy z nich, np. Edward Słोński, Antoni Lange czy Wiktor Gomulicki, przychylnie wypowiadali się na jej temat).

W 1913 r. znów została wdową. Zmuszona przez Niemców w 1939 r. do opuszczenia Kuchar, powróciła w rodzinne strony, do Sabni na Polesiu. Tam zmarła w 1943 r. i została pochowana w rodzinnym grobowcu.

Pierwszym recenzentem *Trędowatej* był Bolesław Prus, który przeczytał powieść na prośbę wuja Heleny. Pozytywna opinia pisarza zadecydowała o tym, że ojciec Mniszkówny wydał książkę własnym kosztem w 1909 r. w Warszawie, w drukarni P. Laskauera i S-ki. Nakład natychmiast został wyprzedany. *Trędowata* okazała się prawdziwym bestsellerem i do 1939 r. doczekała się 16 wydań. Do najbardziej znanych dzieł Mniszkówny należą ponadto: *Ordynat Michorowski* (1910; do wybuchu II wojny światowej 13 wydań), dwutomowy *Panicz* (1912; kilkanaście wydań), dwutomowa *Gehenna* (1914; kilkanaście wydań), *Czyciele szatana* (1918), *Pustelnik* (1919). Niektóre powieści, jak *Sfinks* (1922) czy *Powojenni* (1929), miały wyraźnie polityczno-społeczną wymowę. Mniszkówna pisała również nowele: *Zaszumiały pióra* (1911), *Książęta boru* (1928), *Kwiat magnolii* (1928), a w 1919 r. opublikowała *Plutona i Persefonę* – „baśń fantastyczną na tle mitologicznym”.

W dwudziestoleciu międzywojennym jej utwory były ekranizowane w prawdziwie gwiazdorskich obsadach. W 1926 r. Edward Puchalski i Józef Węgrzyn nakręcili niemą wersję *Trędowatej* z Bolesławem Mierzejewskim w roli Waldemara, Jadwigą Smosarską w roli Stefcy i Józefem Węgrzyńskim w roli ojca Rudeckiej. W drugiej ekranizacji, pochodzącej z 1936 r., w reżyserii Juliusza Gardana, wystąpili m.in.: Franciszek Brodniewicz (Waldemar),

¹ Informacje te podaje Barbara Wachowicz w książce: B. Wachowicz, *Malwy na lewadach*, wyd. 2, Wydawnictwa Radia i Telewizji, Warszawa 1983, s. 504–524.

Elżbieta Barszczewska (Stefcia), Mieczysława Ćwiklińska (Idalia), Kazimierz Junosza-Stępowski (Maciej Michorowski). Rok później Henryk Szaro wyreżyserował *Ordynata Michorowskiego*. W filmie tym Tamara Wiszniewska wcieliła się w postać Luci, zaś Wojciech Wojtecki – w postać Bohdana Michorowskiego (w pozostałych rolach zostali obsadzeni aktorzy z poprzedniej produkcji).

Rok 1938 przyniósł adaptację *Gehenny*, którą przygotował Michał Waszyński. Główną rolę powierzono Lidii Wysockiej, a w pozostałych wystąpili m.in.: Ina Benita (Lora), Mieczysława Ćwiklińska (Ewelina), Witold Zacharewicz (Andrzej), Bogusław Samborski (Kościeszka), Antoni Fertner (konsyliarz).

Po II wojnie światowej znów przypominano sobie o *Trędowatej*. Edward Dziwioński wyreżyserował dla telewizji spektakl z Martą Lipińską w roli Stefci, Igorem Śmiałowskim w roli Waldemara oraz Igą Cembrzyńską, Ireną Horecką, Bogumiłem Kobielą, Zdzisławem Mrożewskim, Kazimierzem Opałskim. Odmienne widzenie „arcydzieła kiczu” zaproponował Jerzy Hoffman w ekranizacji z 1976 r. (z Elżbietą Starostecką i Leszkiem Teleszyńskim w rolach głównych). Poszukując w *Trędowatej* ponadczasowych treści, zrealizował film o presji środowiska i alienacji. Z pewnością nieśmiertelny romans doczeka się jeszcze nowych odczytań, choć i melodramatyczna formuła ma wciąż swoich wielbicieli.

KAZIMIERZ PRZERWA-TETMAJER urodził się w 1865 r. w Ludźmierzu na Podhalu. Jego matką była Julia z Grabowskich (siostra matki Tadeusza Boya-Żeleńskiego). Ojciec, Adolf, marszałek powiatu nowotarskiego, po raz wtóry żonaty (z pierwszego małżeństwa pochodził Włodzimierz Tetmajer, znany malarz), po utracie majątku i stanowiska przeniósł się wraz z rodziną do Krakowa. Tutaj Kazimierz uczęszczał do gimnazjum, a potem ukończył studia filozoficzne na Uniwersytecie Jagiellońskim.

Utrzymywał się z pisania i choć całe życie borykał się z problemami finansowymi, zawsze zachowywał się jak ktoś, kto zajmuje się literaturą tylko dla przyjemności bądź kaprysu. Miał zresztą duże predyspozycje do tej roli: wytworny bywalec salonów, *bon vivant*, ulubieniec kobiet, Europejczyk.

Debiutował w 1886 r. poematem *Ilła*. Jednak za prawdziwy początek jego poetyckiej kariery trzeba uznać rok 1891, gdy wydał pierwszy tom *Poezji*. W 1894 r. ukazał się tom drugi (podobnie jak wszystkie osiem tomów zatytułowany *Poezje*), stanowiący najpełniejszy wyraz modernistycznego artyzmu,

nastrojów, motywów epoki. Tetmajer stał się sławny. Przyczyniły się do tego również bardzo śmiałe erotyki. Nikt dotąd w polskiej literaturze tak nie pisał o kobiecie i o miłości. („Tetmajer [...] podnosi kobietę najwyżej, ale też najniżej ją strąca” – powie Jan Błoński²). Lata następne (1898–1900, 1905, 1910, 1912, 1924) przynoszą dalsze tomiki wierszy. Są one coraz słabsze: dewaluacji uległ już młodopolski świat, a i talent poetycki Tetmajera wyraźnie zaniżał. Miejsce poety zajmował prozaik, autor pięknej *Legendy Tatr* (złożonej z dwu części: *Maryna z Hrubego* i *Janosik Nędza Litmanowski*). Góry stały się jego jedyną prawdziwą pasją i miłością. Cykl opowieści *Na skalnym Podhalu* (pięć książeczek opublikowanych w latach 1902–1912) to obok niektórych liryków ta część twórczości Tetmajera, która wciąż jest żywa. Umiłowanie Tatr nie było dla tego autora kwestią mody i chłopomańskim brataniem się z ludem. On przecież tam się urodził, to była jego ziemia. (Był inicjatorem Komitetu Ochrony Podhala, marzył o stworzeniu szkoły podhalańskiej w literaturze polskiej).

Próbował swoich sił także jako dramaturg (*Mąż – poeta*, 1892; *Sfinks*, 1893; *Zawisza Czarny*, 1901; *Judasza*, 1917). W jego dorobku znajdziemy wiele patriotycznych tematów (wiersze, opowiadania). Największym dziełem z tego ducha się wywodzącym był *Koniec epopei* (1913–1914), trytomowa opowieść o Napoleonie i Polakach.

Komercyjna twórczość Tetmajera to romanse pisane wyraźnie pod publiczność (a i przeciw niektórym). Temat miłości i cierpienia odmieniany na różne sposoby był tym wabikiem, który zapewniał popularność i dobre honoraria. Autor słynnego erotyku *Mów do mnie jeszcze...* wydał następujące powieści: *Anioł śmierci* (1898, najpierw drukowany w krakowskim „Czasie”), *Otchłań* (1900), *Panna Mery* (1901), *Zatrącenie* (1905), *Romans panny Opolskiej* (1912).

Po I wojnie światowej przeniósł się do stolicy. Ostatnie 20 lat życia spędził w odosobnieniu. Dotknięty manią prześladowczą, a później ślepotą, żył ze wznowień, dzięki pomocy państwa i osób prywatnych. W 1934 r. został honorowym członkiem Polskiej Akademii Literatury. Zmarł w 1940 r. w warszawskim szpitalu. Spoczywa na zakopiańskim Cmentarzu Zasłużonych na Pęksowym Brzyzku [uzup. D.W.Z.].

2 J. Błoński, Kazimierz Tetmajer 1865–1940, w: *Literatura okresu Młodej Polski*. T. I, red. nacz. K. Wyka et al., Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1968, s. 279–320.

MIECZYŚLAW SROKOWSKI urodził się w 1873 r. na Podolu, w miejscowości Bybło w powiecie rohatyńskim. Ukończył gimnazjum oo. jezuitów w Chyrowie, a następnie studiował kierunek humanistyczny na Uniwersytecie Lwowskim. W tym okresie był lektorem ociemniałego Stanisława Barącza, niezwykłego poety i artysty. Potem zamieszkał w Warszawie. Wiele podróżował, głównie do Włoch i Francji (w latach 1905–1908 przebywał w Paryżu). Współpracował z kabaretem „Momus” założonym w 1908 r. przez Arnolda Szyfmana. Zmarł w 1910 r. w Warszawie, gdzie został pochowany na Cmentarzu Powązkowskim [uzup. D.W.Z.].

Srokowski, zubożały arystokrata (wywodzący się z hetmańskiej rodziny), należał do nurtu polskiego modernizmu związanego z kulturą zachodnio-europejską. W jego dorobku odnajdujemy ślady szerokiej i różnorodnej lektury, głównie dzieł Gabriele d'Annunzia, Jorisa-Karla Huysmansa, Hannsa Heinza Ewersa, Paula Bourgeta. Na przykład opowiadanie *Krew perwersyjności* tematu przypomina twórczość Ewersa, a powieść *Kult ciała* – twórczość d'Annunzia i *Panią Bovary* Gustawa Flauberta, jak twierdził jeden z francuskich krytyków, który domagał się przetłumaczenia powieści na język francuski. Za *Kult ciała* wytoczono mu proces o obrazę moralności, a powieść została skonfiskowana [uzup. D.W.Z.].

Chore sny to poetycki debiut Srokowskiego, typowo modernistyczny w formie i treści. Później, gdy wypowiadał się jako prozaik, w pełni doszły do głosu znamienne cechy jego pisarstwa: połączenie hedonizmu ze znużeniem, poczuciem nicości; fascynacja kobietą niszczącą piękno i upojenie miłosne; lęk przed jej dominacją i okrucieństwem.

Spuścizna twórcy jest niewielka. Najważniejsze utwory to: *Epigoni* (1904), *Krew* (1906), *Kult ciała* (1909) i *Anachroniści* (1910).

Po śmierci Srokowskiego przez czas pewien niektóre jego książki były wznawiane. Na początku lat dwudziestych ubiegłego wieku Instytut Literacki „Lektor” wydał *Anachronistów*, *Epigonów*, *Hedone*, *Ich tajemnicę*, *Kult ciała* i *Markizę*. W 1930 roku przygotowano ekranizację *Kultu ciała* w reżyserii Michała Waszyńskiego. Była to koprodukcja polsko-austriacka, zrealizowana w Warszawie, Wiedniu, Budapeszcie i Nicei. Autor pomysłu: Mieczysław Srokowski, Scenariusz: Anatol Stern, Steve Sekely [uzup. D.W.Z.]. Jednakże w miarę upływu lat i zmieniających się mód literackich modernistyczny panerotyzm autora *Kultu ciała* skrzyżowany z mizoginizmem uległ całkowitemu zapomnieniu.

Bibliografia

- Banach A., *Erotyzm po polsku*, Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe, Warszawa 1974.
- Błoński J., *Kazimierz Tetmajer 1865–1940*, w: *Literatura okresu Młodej Polski*, T. I, red. nac. K. Wyka et al., Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1968.
- Bujnicka M., *Romans*, w: *Słownik literatury popularnej*, red. T. Żabski, Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego, Wrocław 2006, s. 535–544.
- Bujnicki T., *„Trylogia” Sienkiewicza na tle tradycji polskiej powieści historycznej*, Ossolineum, Wrocław 1973.
- Chesterton G.K., *Obrona niedorzeczności, pokory, romansu brukowego i innych rzeczy wzgardzonych*, przeł. S. Baczyński, Towarzystwo Wydawnicze „Rój”, Warszawa 1927.
- Grzelak W., *Kult ciała – i śmierci!*, w: *Cyganeria z „Udziałowej” 1908–1913*, Czytelnik, Warszawa 1965.
- Grzymała-Siedlecki A., *Niepospolici ludzie w dniu swoim powszednim*, wyd. IV, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1974.
- Kiedrzyński S., *Trujący kwiat*, wyd. 2, I. Rzepecki, Warszawa 1924.
- Konczyński T., *Blaski miłości*, J. Czernecki, Warszawa–Kraków 1926.
- Lechicki C., *Przewodnik po beletrystyce*, Naczelny Instytut Akcji Katolickiej, Poznań 1935.
- Louÿs P., *Psyché: powieść*, przeł. K. Bukowski, Wydawnictwo „Globus”, Lwów 1928.
- Mickiewicz A., *Do M...*, w: *Tegoż, Poezje*, T. 1: *Poezje rozmaite 1817–1854*, Nakład Gubrynowicza i Syna, Lwów 1929.
- Mniszek H., *Czczyciele szatana*, Biblioteka Nowości, Warszawa 1918.
- Mniszek H., *Gehenna, czyli dzieje nieszczęśliwej miłości*, Promotor SA, Warszawa 1989.
- Mniszek H., *Ordynat Michorowski*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1989.
- Mniszek H., *Trędowata*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1972.
- Moles A., *Kicz czyli Sztuka szczęścia: studium o psychologii kiczu*, przeł. A. Szczepańska, E. Wendel, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1978.
- Panofsky E., *Styl i medium w filmie*, przeł. J. Mach, w: *Estetyka i film*, red. A. Helman, Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe, Warszawa 1972.
- Parrott U., *Osaczona*, Wydawnictwo „Unja”, Warszawa 1936.

- Pitigrilli, *Jąkanie*, w: Tegoż, *Luksusowe zwierzątka*, przeł. Z. Melicka, Alfa, Warszawa 1931.
- Pitigrilli, *Rumuński czar*, w: Tegoż, *Luksusowe zwierzątka*, przeł. Z. Melicka, Alfa, Warszawa 1931.
- Przerwa-Tetmajer K., *Anioł śmierci. Romans. Dwa tomy w jednym*, wyd. czwarte, Gebethner i Wolff, Warszawa-Kraków 1906.
- Przerwa-Tetmajer K., *Romans panny Opolskiej z panem Główniakiem. Anegdota*, Gebethner i Wolff, Warszawa 1912.
- Srokowski M., *Kult ciała. Dziennik człowieka samotnego*, Stanisław Sadowski, Warszawa 1909.
- Staśko P., *Grzesznica: powieść*, J. Czernecki, Warszawa-Kraków 1921.
- Staśko P., *Kwiaty ziemi: powieść współczesna*, „Lotos”, Gdańsk 1922.
- Staśko P., *Serce na śniegu*, Wydawnictwo Współczesne, Warszawa 1937.
- Staśko P., *W rajskim ogrodzie: powieść o szczęściu*, „Wiedza i Sztuka”, Kraków 1922.
- Wachowicz B., *Malwy na lewadach*, wyd. 2, Wydawnictwa Radia i Telewizji, Warszawa 1983.
- Żeleński (Boy) T., *Reflektorem w mrok: wybór publicystyki*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1978.

Podstawę niniejszego opracowania stanowił komputeropis I tomu książki autorstwa Marii Bujnickiej pt. *Anioły i demony. Antologia romansu popularnego*. Został on sporządzony przez współczesną „skryptorkę”, Grażynę Sendek, na podstawie maszynopisu przygotowanego przez wprawną maszynistkę z autorskiego rękopisu Bujnickiej¹. Fakt ten odnotowujemy, ponieważ mówi on sporo nie tylko o warsztacie Marii Bujnickiej, ale również o wyzwaniach redakcyjnych, z jakimi należało się zmierzyć podczas przygotowywania pracy do publikacji. Głównym wyzwaniem, wynikającym ze specyfiki wspomnianego warsztatu, była konieczność uzupełnienia przypisów i podanie pełnych adresów bibliograficznych przywoływanych w książce źródeł – rozpraw, opracowań i artykułów z czasopism i gazet codziennych, do których odwoływała się autorka, częstokroć podając tylko skrótowo odniesienia, nazwiska krytyków bez tytułów artykułów, numerów stron etc. Dotyczy to także cytowanych powieści, a właściwie ich szczególnie, ponieważ przytaczanym, bardzo obszernym ich fragmentom, ale również pojedynczym wyimkom, nie towarzyszyły żadne odsyłacze. Podawano główne źródło – tytuł powieści (bez pierwszego roku wydania, który został przez nas uzupełniony), co wynikało

¹ Przepisywanie na maszynie było kiedyś standardowym sposobem utrwalania rękopisów. Dawało też szansę na uzyskanie kilku kopii dzieła. Zdolne maszynistki (osoby profesjonalnie zajmujące się przepisywaniem tekstów o różnej treści i przeznaczeniu) były cennie i poszukiwane przez autorów, którzy sami tej umiejętności nie posiadli. Oczywiście była to praca odpłatna, lecz anonimowa. Nazwisko maszynistki przepisującej duże fragmenty starych romansów i rękopisy Marii Bujnickiej jest nam znane, niestety, nie udało się zdobyć o niej więcej informacji. Z perspektywy współczesnych redaktorek *Aniołów i demonów* warto wszakże nadmienić, że cechowała ją ogromna sprawność. Większość cytowanych w antologii romansów, co z pewnością dostrzeże uważny czytelnik, pochodzi z ich wczesnych wydań (początek XX w.), kiedy to w ortografii obowiązywały inne zasady niż aktualnie. Jak wykazał proces kolacjonowania, wdrożony przy przygotowywaniu tomu do druku, maszynistce udało się jednak dochować wierności oryginałom. Dobrze mieć tego świadomość i uwzględnić wieloletnią współpracę i wkład maszynistki, pani Gorzelakowej, w powstanie tej antologii.

najpewniej z założenia autorki, że wskazywanie na konkretne strony cytacji w antologii jest zbędne. Największą trudność w edycji sprawiało odnalezienie setek stron źródeł niezaznaczonych. W procesie opracowywania książki cytaty umieszczone przez autorkę sprawdzono i porównano z oryginałami, dodając – o ile umożliwiał to ich odnalezienie w Polsce – numery stron pochodzących z pierwszych wydań, do których często sięgała Bujnicka. Uspółcześiono jedynie ortografię (np. pisownia łączna, pisownia z „ó”, „y”), korygując przy sposobności skryptorskie (bądź systemowe, wordowskie) „poprawki” pisowni w tekstach oryginałów (np. pisownia imienia Marya). Uzupełniono również adresy bibliograficzne. W przypadku kilku adresów publicznych okazało się to, niestety, niemożliwe. W rękopisach, pozostających w dyspozycji spadkobierczyni, zapisy źródeł, odnośniki do opracowań i stron romansów istnieją bowiem jako osobna, luźna partia materiałów odręcznych, nieco chaotycznych i niepełnych, budując niekoniecznie jasną wykładnię dla współczesnego edytora.

W aktualnej edycji zachowano całą treść i strukturę tomu, zgodnie też z pierwotnym zamysłem autorki (o czym we *Wprowadzeniu*) rozdziały przedstawiające konkretne dzieła literackie uzupełniono o zgromadzone przez nią w osobnej tece fotografie okładek ich wczesnych wydań. Fotografie nie były jednak opisane, stąd tylko w kilku przypadkach powiodło się ustalenie autora ilustracji, wydawcy, roku i miejsca wydania. W celu zachowania przyjętego układu graficznego do niektórych rozdziałów konsekwentnie dodano ilustracje okładek z nowszych wersji cytowanych powieści, za to szerzej informujących przynajmniej o roku ukazania się i oficynie wydawniczej. Ponadto przejrzano i uzupełniono zamieszczone na końcu biogramy. Książka została poprzedzona *Wprowadzeniem*, opisującym rzetelnie, na podstawie archiwów i osobistych kontaktów z autorką, historię i konteksty powstawania publikacji. Warto je poznać, zanim sięgnie się do samego tekstu. Dodatkowo tom wzbogacono o indeks osób i bibliografię. Aktualne redaktorki, współczesniając dawną pisownię, starały się zachować styl literacki przywoływanych w pracy autorów oraz samej jej twórczyni – Marii Bujnickiej.

Dobrosława Wężowicz-Ziółkowska, Marta Tomczok

Indeks osób

- Annunzio Gabriele d' 44, 333
Aretino Pietro 46
Bach Jan Sebastian 307
Baczyński Stanisław 19, 335
Banach Andrzej 23, 335
Barącz Stanisław 333
Barszczewska Elżbieta 331
Beethoven Ludwig van 174, 175, 307, 329
Benita Ina 331
Błoński Jan 332, 335
Boccaccio Giovanni 46
Bochdan-Niedenthal Maria 44
Bojanowski Gustaw 10, 20
Bourget Paul 333
Boye Edward 46
Boy-Żeleński Tadeusz zob. Żeleński (Boy) Tadeusz
Boziewicz Władysław 46
Brodniewicz Franciszek 330
Brown Dan 7
Bujnicka Dominika 8, 13
Bujnicki Tadeusz 13, 18, 326, 335
Bukowski Kazimierz 45, 335
Byron George 102, 175
Cayatte André 17
Cembrzyńska Iga 331
Chaberski Emil 329
Chesterton Gilbert Keith 19, 335
Chyżyński Władysław 330
Ćwiklińska Mieczysława 331
Dante Alighieri 299
Dekobra Maurycy (właśc. Ernest Maurice Tessier) 44, 47
Deotyma (właśc. Jadwiga Łuszczewska) 10
Dołęga-Mostowicz Tadeusz 12, 329
Dziewoński Edward 331
Ejsmond Julian 46
Esteja (właśc. Józefa Kisielnicka) 23
Ewers Hanns Heinz 333
Fertner Antoni 331
Flaubert Gustaw 333
Gardan Juliusz 330
Gawliński Stanisław 327
German Juliusz 10, 12, 20, 25, 30, 34, 46, 60
Gniazdowski Zbigniew 329
Gombrowicz Witold 27, 99
Gomulicki Wiktor 330
Gorzalakowa, maszynistka 337
Grzelak Władysław 141, 335
Grzymała-Siedlecki Adam 110, 335
Haendel Georg Friedrich 307
Hajota (właśc. Helena Janina Pajzderska) 23
Helman Alicja 37, 335
Hoffman Jerzy 331

- Horacy 175
 Horecka Irena 331
 Horska-Szpyrkówna Maria 36
 Huysmans Joris-Karl 333
 Iwaszkiewicz Jarosław 330
 Jasińska-Wojtkowska Maria 327
 Junosza-Stępowski Kazimierz 331
 Kiedrzyński Stefan 10, 20, 143–160, 329–330, 335
 Kłak Tadeusz 327
 Kobiela Bogumił 331
 Kochowski Wespazjan 21
 Kolbuszewski Jacek 328
 Konczyński Tadeusz 32, 335
 Krzyżanowski Józef 9
 Kuźma Erazm 12, 327
 Lam Jan 175
 Lange Antoni 330
 Lechicki Czesław 39, 47, 335
 Ligęza Wojciech 327
 Lipińska Marta 331
 Louÿs Pierre (właśc. Pierre Félix Louis) 45, 335
 Łozińska Irena 45
 Łuczyńska Mieczysława 10, 36
 Mach Jolanta 37, 335
 Maciejowski Józef 10, 20, 25, 43
 Margueritte Victor 44, 47
 Markiewicz Henryk 7, 12
 Martuszevska Anna 326
 Melicka Zuzanna (właśc. Maria Wisłowska) 27, 33, 336
 Mickiewicz Adam 42, 60, 335
 Mierzejewski Bolesław 330
 Miłaszewska Wanda 12
 Mniszek Helena 7, 8, 10, 25, 30, 31, 36, 46, 84, 160, 161–208, 209–240, 241–303, 305–323, 326, 329–331, 335
 Mochnacki Maurycy 175
 Moles Abraham 19, 335
 Mrożewski Zdzisław 331
 Napoleon Bonaparte 332
 Niedzielski Czesław 326
 Nietzsche Fryderyk 160
 Norblin Stefan 52
 Nowaczek Augustyn 11
 Okudźawa Bułat 17
 Opacki Ireneusz 326
 Opaliński Kazimierz 331
 Orzeszkowa Eliza 21
 Ostrowski Leon 112
 Owidiusz 46
 Panofsky Erwin 37, 335
 Parrott Ursula 45, 335
 Piłsudski Józef 46
 Pirożyński Marian 47
 Pitigrilli (właśc. Dino Segre) 27, 33, 42–43, 44, 336
 Prus Bolesław 64, 314, 330
 Przybyszewski Stanisław 35, 141, 320
 Puchalski Edward 329, 330
 Rabelais François 27
 Radkiewicz Małgorzata 327
 Rawicz-Radomyski Antoni 330
 Relidzyński Józef 10
 Rodziewiczówna Maria 12, 302
 Romański Marek 45
 Rościszewski Mieczysław 46
 Rybarski Jan 141
 Saganka (właśc. Françoise Sagan) 36

- Samborski Bogusław 331
 Samozwaniec Magdalena 208
 Sarnecki Zygmunt 46
 Sawicki Romuald 11
 Sekely Steve 333
 Sendek Grażyna 337
 Seneka 160
 Sienkiewicz Henryk 17, 18, 21, 84, 229, 251, 262
 Słoński Edward 330
 Słowacki Juliusz 64, 102
 Smosarska Jadwiga 330
 Sopoćko Konstancy Maria 86
 Speina Jerzy 326
 Srokowski Mieczysław 25, 111–141, 326, 333, 336
 Staël Madame de (właśc. Anne-Louise Germaine Necker) 175
 Stanisławski Jan Tadeusz 20
 Starostecka Elżbieta 331
 Staśko Paweł 10, 12, 20, 25, 28, 29, 30, 31, 32, 34, 36, 38, 39, 40, 328, 336
 Stendhal (właśc. Marie-Henri Beyle) 47
 Stern Anatol 333
 Susak Juliusz 306
 Szaro Henryk 329, 331
 Szczepańska Anita 19, 335
 Szewczyk Grażyna 327
 Szyfman Arnold 333
 Śmiałowski Igor 331
 Święch Jerzy 326, 327
 Teleszyński Leszek 331
 Tetmajer Adolf Przerwa 331
 Tetmajer Julia z Grabowskich 331
 Tetmajer Kazimierz Przerwa 10, 12, 33, 51–84, 85–110, 331–332, 335, 336
 Tetmajer Włodzimierz Przerwa 331
 Uliasz Stanisław 327
 Urbanowska Zofia 23
 Velde Theodor van de 46
 Wachowicz Barbara 330, 336
 Wańkowicz Melchior 21
 Waszyński Michał 331, 333
 Wende Edward 333
 Wendel Ewa 19, 335
 Węgrzyn Józef 330
 Wiszniewska Tamara 331
 Wojtecki Wojciech 331
 Wyka Kazimierz 332, 335
 Wyleżyńska Aurelia 10, 36
 Wysocka Lidia 331
 Zacharewicz Witold 331
 Zarzycka Irena 7, 8, 10, 35, 38, 39, 43, 46
 Ziemska Ewa 10
 Zobeltitz Fedor 45
 Zweig Stefan 240
 Żabski Tadeusz 20, 328, 335
 Żeleński (Boy) Tadeusz 31, 36, 46, 331, 336
 Żeromski Stefan 21

Anioły i demony

Antologia romansu popularnego

Streszczenie

Książka Marii Bujnickiej prezentuje najważniejsze osiągnięcia polskiej historii literatury popularnej XX wieku. Czytelnik znajdzie w niej zarys historii romansu literackiego, opowieść o rozwoju gatunku i jego dynamice, a także omówienie najważniejszych przykładów tej literatury. Pierwsza, wprowadzająca część książki jest napisana lekko i z poczuciem humoru. Autorka nie stroni od żartów i anegdot. W drugiej części znajdziemy omówienia wybranych powieści romansowych: *Anioła śmierci* i *Romansu panny Opolskiej z panem Główniakiem* Kazimierza Przerwy-Tetmajera, *Kultu ciała*. *Dziennika człowieka samotnego* Mieczysława Srokowskiego, *Trującego kwiatu* Stefana Kiedrzyńskiego, *Trędowatej*, *Ordynata* Michorowskiego, *Gehenny* i *Czcieli szatana* Heleny Mniszek. Krótkie wprowadzenia łączą się z dłuższymi cytatami ze wspomnianej literatury i w zamyśle autorki mają pełnić rolę przypomnienia. Ten charakter książki zbliża publikację Marii Bujnickiej do antologii z komentarzami. Książkę wzbogacają wprowadzenie, posłowie i nota edytorska.

Angels and Demons

An Anthology of Popular Romance

Summary

Maria Bujnicka's book presents the most important achievements of the Polish history of popular literature of the 20th century. The reader will find an outline of the history of literary romance, a story about the genre's development and its dynamics, and a discussion of the most important examples of this literature. The first introductory part of the book is written lightly and with a sense of humor. The author does not shy away from jokes and anecdotes. The second part contains discussions of selected romance novels: *Anioł śmierci* [*The Angel of Death*] and *Romans panny Opolskiej z panem Główniakiem* [*The Romance of Miss Opolska with Mr. Główniak*] by Kazimierz Przerwa-Tetmajer, *Kult ciała. Dziennik człowieka samotnego* [*The Cult of the Body. Diary of a Lonely Man*] by Mieczysław Srokowski, *Trujący kwiat* [*Poisonous Flower*] by Stefan Kiedrzyński, *Trędowata*, *Ordynat Michorowski*, *Gehenna* and *Cziciele szatana* [*Satan Worshipers*] by Helena Mniszek. The short introductions are combined with longer quotations from the mentioned literature and the author intended them to act as a reminder. This nature of the book brings Maria Bujnicka's publication closer to an anthology with commentaries. The book is enriched with an introduction, afterword, and editorial note.

Redaktor

Joanna Szewczyk

Projekt makiety

Zofia Oslislo-Piekarska

Projekt okładki, modyfikacja makiety, łamanie

Paulina Dubiel

Korekta

Marzena Marczyk

Redaktor inicjujący

Przemysław Pieniążek

Wydawca dołożył wszelkich starań, by skontaktować się z właścicielami praw autorskich dzieł użytych w publikacji. Autorzy i właściciele majątkowych praw autorskich, do których mimo wysiłków nie udało się dotrzeć, proszeni są o kontakt.

Nota copyrightowa obowiązująca do 31.12.2025:

Copyright © 2024 by Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego

Wszelkie prawa zastrzeżone



Sprzysjamy otwartej nauce

Od 1.01.2026 publikacja dostępna na licencji Creative Commons

Uznanie autorstwa-Na tych samych warunkach 4.0 Międzynarodowe (CC BY-SA 4.0)



<https://orcid.org/0000-0001-9512-007X>

<https://orcid.org/0000-0001-8423-9198>

Bujnicka, Maria

Anioły i demony : Antologia romansu popularnego

/ Maria Bujnicka ; opracowały i przypisami

opatrzyły Dobrosława Wężowicz-Ziółkowska

i Marta Tomczok. – Wydanie I. – Katowice

: Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, 2024

DOI <https://doi.org/10.31261/PN.4232>

ISBN 978-83-226-4449-2

(wersja drukowana)

ISBN 978-83-226-4450-8

(wersja elektroniczna)

Wydawca

Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego

ul. Bankowa 12B, 40-007 Katowice

<https://wydawnictwo.us.edu.pl>

e-mail: wydawnictwo@us.edu.pl

Wydanie I. Liczba arkuszy drukarskich: 215. Liczba arkuszy wydawniczych: 245. PN 4232. Cena 74,90 zł (w tym VAT). Publikację wydrukowano na **Munken Polar 100 g, vol. 113**. Do składu użyto kroju pisma **Maecenas** (autorstwa Michała Jarocińskiego). Druk i oprawę wykonano w drukarni volumina.pl Sp. z o.o. (ul. Księcia Witolda 7–9, 71-063 Szczecin)



Z czego wynika przekonanie, że romans popularny stanowi podręczny magazyn tego, co za kicz chcemy uważać? Może ze sztuki kamuflażu; drwiną pokrywamy własne zażenowanie, że ta sfera życia zszarzała z czasem? A może inaczej – romans z hiperbolizacją użytych środków, nadmiarowością, zaplątaniem się w damskie falbany, gorsety, batystowe, półprzezroczyste koszule uosabia poetykę kampu? Antologia Marii Bujnickiej, prezentująca fragmenty wybranych romansów wraz z jej komentarzami, zachęca do podjęcia tematu. Badaczka zwraca uwagę na formy wynikające z przyjętych konwencji, a jednocześnie przekazuje nam swoje zainteresowanie fenomenem miłości i pożądania jako zjawiskiem wspólnym dla kucharek i profesorów. Z tą różnicą, że kucharki się do tego przyznają, a profesorzy płci obojga na ogół – nie.

fragment recenzji prof. dr hab. Grażyny Borkowskiej





Cena 74,90 zł (w tym VAT)

ISBN 978-83-226-4450-8



9 788322 644508

Więcej o książce

